

Alistair MacLean  
**ZŁOTE RENDEZ-VOUS**

Przełożył  
Robert Ginalski

Tytuł oryginału  
The Golden Rendezvous

## Spis treści

I. Wtorek, od południa do siedemnastej.....	3
II. Wtorek, między dwudziestą a dwudziestą pierwszą trzydzieści .....	14
III. Wtorek, od dwudziestej pierwszej trzydzieści do dwudziestej drugiej piętnaście.....	25
IV. Wtorek, dziesiąta piętnaście wieczorem środa, ósma czterdzieści pięć rano.....	36
V. Środa, od ósmej czterdzieści pięć do piętnastej trzydzieści .....	46
VI. Środa, między dziewiętnastą czterdzieści pięć a dwudziestą piętnaście .....	60
VII. Środa, godzina dwudziesta trzydzieści - czwartek, godzina dziesiąta trzydzieści .....	71
VIII. Czwartek, od szesnastej do dwudziestej drugiej.....	84
IX. Czwartek, od dwudziestej drugiej do północy .....	95
X. Piątek, dziewiąta rano - sobota, pierwsza w nocy .....	107
XI. Sobota, między pierwszą a drugą piętnaście w nocy .....	125
XII. Sobota, między szóstą a siódmą rano .....	136

## I. Wtorek, od południa do siedemnastej

Zamiast koszuli miałem na sobie sflaczałą, lepiałą się szmatę przesiąkniętą potem. Palący żar stalowych płyt pokładu przypiekał mi stopy. Koszmarny ucisk białej czapki z daszkiem rozsadzał mi głowę, miałem wrażenie, że lada chwila stracę skalp. Ostry blask promieni słonecznych, odbity od metalu, wody i bielonych wapnem budynków portowych, raził mi oczy. A pragnienie przyprawiało mnie o ból gardła. Byłem rozgoryczony jak wszyscy diabli.

Ja byłem rozgoryczony, załoga była rozgoryczona, pasażerowie byli rozgoryczeni. Rozgoryczony był też kapitan Bullen, skutkiem czego ja sam byłem rozgoryczony podwójnie, ponieważ gdy tylko sprawy kapitana Bullena przybierały zły obrót, nieodmiennie odgrywał się na swoim pierwszym oficerze. Ja byłem jego pierwszym oficerem.

Przechylony przez reling, nasłuchiwałem skrzypienia drewna i łańcuchów, Spoglądając na rufę, gdzie nasz potężny dźwig z mozołem podnosił z nabrzeża szczególnie wielką skrzynię. Oho, znowu kapitan Bullen, pomyślałem ponuro, gdy czyjaś dłoń dotknęła mojego ramienia, lecz zaraz uświadomiłem sobie, że kapitan, mimo rozlicznych ekstrawagancji, nie używa Chanel nr 5. Mogła to być tylko panna Beresford.

I rzeczywiście. W charakterze dodatku do Chanel nosiła białą, jedwabną sukienkę, a na twarzy miała kpiarski, z lekka rozbawiony uśmiezek, sprawiający, że większość oficerów na statku wywijiała w duchu koziołki, ale we mnie wzbudzający jedynie irytację. Mam swoje słabotki, to fakt, ale trudno do nich zaliczyć wysokie, chłodne i przemądrzałe kobiety o nieco uszczypliwym poczuciu humoru.

- Witam naszego pierwszego oficera - odezwała się słodko. Miała miękki, melodyjny głos, z ledwie dostrzegalną nutą wyższości czy protekcyjności, gdy zwracała się do kogoś z niższych sfer, na przykład do mnie. - Zastanawialiśmy się, gdzie pan jest. Pana rzadko brakuje na aperitifie.

- Wiem, panno Beresford, przykro mi. - To, co powiedziała, było szczerą prawdą; nie wiedziała jednak, że na aperitif z pasażerami stawiam się niczym prowadzony na ścięcie. Regulamin towarzystwa stwierdzał, że do obowiązków oficera należy w równym stopniu zabawianie pasażerów, co kierowanie statkiem, a kapitan Bullen, który do wszystkich pasażerów żywił zagorzałą, totalną odrazę, dopatrywał, by większa część tegoż zabawiania spadła na mnie. Wskazałem wielką skrzynię, unoszącą się właśnie nad lukiem piątej ładowni, a potem skrzynie zgromadzone na nabrzeżu. - Niestety, mam robotę. Co najmniej na cztery, pięć godzin. Dziś nie mogę sobie pozwolić nawet na obiad, a co dopiero na aperitif.

- Miał mi pan mówić Susan - powiedziała. Zabrzmiało to, jak gdyby usłyszała tylko moje pierwsze słowa. - Długo jeszcze będę musiała pana o to prosić?

Aż do Nowego Jorku, powiedziałem sobie w duchu, a i wtedy nic z tego. Na głos zaś odparłem ze śmiechem:

- Nie powinna mi pani utrudniać życia. Zgodnie z regulaminem mamy traktować wszystkich gości z należnymi względami, kurtuazją i szacunkiem.

- Jest pan beznadziejny - skwitowała i uśmiechnęła się. Byłem zbyt małym kamyczkiem, żeby spowodować choćby zmarszczkę na oceanie jej samozadowolenia. - Nie dostanie pan obiadu, biedaczysko. Przechodząc tędy właśnie sobie myślałam, że wygląda pan dosyć posepnie. - Zerknęła na operatora dźwigu i marynarzy, przesuających opuszczoną skrzynię po dnie ładowni. - Mam wrażenie, że pańscy ludzie też nie są zachwyceni taką perspektywą. Tworzą raczej ponurą gromadkę.

Rzuciłem na nich okiem. Tworzyli ponurą gromadkę.

- Och, nie ma obawy, zrobią sobie przerwę na obiad. Mają po prostu własne, prywatne zmartwienia. Na dole w ładowni jest ponad czterdzieści stopni, a niepisane prawo mówi, że w tropiku biali marynarze nie powinni pracować po południu. W dodatku wciąż jeszcze

opłakują poniesione straty. Proszę nie zapominać, że nie minęły nawet siedemdziesiąt dwie godziny od ich utarczki z celnikami na Jamajce.

„Utarczka”, jak mi się zdawało, była odpowiednim słowem - w trakcie czegoś, co najwierniej można by określić jako dziką napaść, celnicy skonfiskowali czterdziestu członkom naszej załogi nie mniej niż dwadzieścia pięć tysięcy papierosów i ponad dwieście butelek trunków, które przed wpłynięciem na wody Jamajki powinny trafić do okrętowego składu celnego. To, że trunki nie znalazły się w składzie, było najzupełniej zrozumiałe, jako że załogę obowiązywał przede wszystkim bezwzględny zakaz posiadania alkoholu w kajutach. A to, że nawet papierosów nie oddano do składu, było rezultatem intencji załogi, by - zgodnie z normalną praktyką - przeszmuglować na brzeg i trunki, i tytoń, po czym odstąpić je z przyzwoitym zyskiem tubylcom, nader skłonny do zapłacenia niebagatelnych sum za luksus popijania wolnej od cła whisky z Kentucky i palenia amerykańskich papierosów. Tyle tylko, że nikt nie poinformował załogi, iż - po raz pierwszy w ciągu pięciu lat służby na wodach Indii Zachodnich - ss. „Campari” zostanie przeszukany od dziobu po rufę, z niezwykłą, wręcz bezlitosną skrupulatnością, przypominającą gwałtowny, porywisty wichur, którego podmuch wymiół statek do czysta. Był to czarny dzień.

Podobnie jak dzisiejszy. W momencie, gdy panna Beresford klepała mnie pocieszająco po ramieniu, szepcząc na odchodnym wyrazy współczucia, zdecydowanie nie idące w parze z błyskiem w jej oczach, na szczycie trapu, prowadzącego na dół z głównego pokładu, dostrzegłem kapitana Bullena. Zwrot „patrzcie wilkiem” najtrafniej, jak sądzę, oddawałby wyraz jego twarzy. Widząc pannę Beresford, Bullen zdobył się na heroiczny wysiłek i nadał swym rysom pozory uśmiechu. Wytrzymał tak przez całe dwie sekundy, potrzebne żeby ją minąć, i natychmiast znów zaczął patrzeć wilkiem. Ludziom ubranym od stóp do głów w lśniąca biel rzadko kiedy udaje się stworzyć wrażenie nadciągającej chmury gradowej, ale kapitanowi przyszło to bez trudu. Bullen był potężnie zbudowany, miał prawie dwa metry wzrostu, spłowiałe brwi i włosy, gładką czerwoną twarz, której żadne słońce nie było w stanie opalić i jasnoniebieskie oczy, których zamglić nie mogła żadna ilość whisky. Z jednakową dezaprobatą obrzucił wzrokiem nabrzeże, ładownię i mnie.

- Co słysząc, poruczniku? - odezwał się ponuro. - Jak leci? Panna Beresford wam pomaga, co? - Kiedy był w złym humorze, nieodmiennie zwracał się do mnie per „poruczniku”. W nastroju neutralnym tytułował mnie „Pierwszy”, a w dobrym humorze - czyli, szczerze mówiąc, prawie zawsze - mówił do mnie „Johnny, mój chłopcze”. Dziś jednak usłyszałem „poruczniku”. Stałem więc na baczność i zignorowałem ukryty w podtekście zarzut, że się objam. Następnego dnia będzie mnie burkliwie przeproszał. Jak zawsze.

- Nie najgorzej, kapitanie. Chociaż trochę się ślimaczą - odparłem i skinąłem głową w kierunku dokerów, usiłujących założyć pętlę z łańcucha na skrzynię mierzącą co najmniej sześć metrów na dwa. - Nie sądzę, żeby tragarze w Carracio byli przyzwyczajeni do tak ciężkich ładunków.

Przyjrzał im się bacznie.

- Ci to by nie podnieśli nawet taczek! - warknął w końcu. - Uwiniecie się z tym do szóstej? - Szósta oznaczała godzinę po maksymalnym przyptywie i musieliśmy do tej pory wyjść poza mieliznę przed portem albo czekać następne dziesięć godzin.

- Myślę, że tak, kapitanie.

Po chwili, aby oderwać jego myśli od kłopotów, a także przez ciekawość, zapytałem:

- A co jest w tych skrzyniach? Samochody?

- Samochody? Czyś pan na głowę upadł? - Jego zimne niebieskie oczy przesunęły się na białoną wapnem zabudowę miasteczka i ciemną zieleń wznoszących się z tyłu stromych zalesionych gór. - Ta hołota nie zmajstrowałaby na eksport nawet klatki dla królików, a co dopiero samochodu. Urządzenia mechaniczne, W każdym razie tak podano w konosamencie.

Prądnice, generatory, chłodziarki, aparaty klimatyzacyjne i wyposażenie cukrowni. Do Nowego Jorku.

- Chce pan przez to powiedzieć, że generalissimus najpierw skonfiskował wszystkie amerykańskie rafinerie cukru, a teraz je demontuje i odsprzedaje z powrotem Amerykanom? - zapytałem ostrożnie. - Takie jawne złodziejstwo?

- Złodziejstwo to drobne kradzieże dokonywane przez poszczególnych ludzi - oświadczył kapitan Bullen pośpiesznie. Kiedy rządy zajmują się kradzieżami na wielką skalę, to już ekonomika.

- Generalissimus i jego rząd gwałtownie potrzebują gotówki?

- A jak pan myśli? - warknął Bullen. - Nikt nie wie, ilu ludzi zginęło w stolicy i dziesięciu innych miastach we wtorkowych rozruchach głodującej biedoty. Władze Jamajki szacują ich liczbę na setki. Odkąd wywalili większość cudzoziemców i zamknęli lub skonfiskowali niemal wszystkie obce przedsiębiorstwa, nie zarobili za granicą ani grosza. Kufer rewolucji jest pusty jak bęben. Ten facet rozpaczliwie potrzebuje forsy.

Odwrócił się i wpatrzył w dal. Olbrzymie dłonie oparł na poręczy relingu i stał sztywny, jakby kij połknął. Zrozumiałem ten znak - po trzech latach żeglowania z nim nie można było nie zrozumieć. Było coś, czym chciał się podzielić, chciał wypuścić z siebie parę, dla której nie było lepszego ujścia niż wypróbowany, zaufany wentyl - pierwszy oficer Carter. Tyle tylko, że kiedy chciał się wyładować, duma nie pozwalała mu na zagajenie tematu. Nietrudno było odgadnąć, co go kłopotuje, toteż wyświadczyłem mu tę przysługę.

-A co z tymi telegramami wysłanymi do Londynu, kapitanie? - spytałem od niechcenia. - Przyszła już może odpowiedź?

- Właśnie dziesięć minut temu - warknął i odwrócił się obojętnie, jakby ta sprawa już dawno wypadła mu z pamięci, jednakże zdradził go purpurowy odcień czerwonej twarzy, a i jego głos był daleki od obojętności, kiedy mówił dalej: - Spoliczkowali mnie, masz pan pojęcie! Spoliczkowali. Moje własne towarzystwo. I Ministerstwo Transportu. Jedni i drudzy. Kazali mi o tym zapomnieć, stwierdzili, że protest był bezzasadny, przestrzegli mnie na przyszłość przed konsekwencjami odmawiania współpracy z odnośnymi władzami, bez względu na to, co to za władze! Moje własne towarzystwo! Od trzydziestu pięciu lat pływam na liniach Blue Mail, a teraz... teraz... - zacisnął pięści, zdławił głos i zapadła gniewna cisza.

- Ktoś tu chyba wywierał niezgorszy nacisk - mruknąłem.

- A żebyś pan wiedział. - Zimne, niebieskie oczy były faktycznie bardzo zimne, a wielkie dłonie zaciskały się i otwierały, aż zbieleły kostki. Bullen był więcej niż kapitanem - był komandorem floty Blue Mail, a dookoła komandora floty nawet rada nadzorcza chodzi na palcach, a w każdym razie nie traktuje go jak gońca. - Jeżeli kiedykolwiek dostanę w łapy doktora Slingsby Caroline, to skrucę mu ten jego wredny kark!

Kapitan Bullen marzył, żeby dostać w łapy noszącego dziwne nazwisko doktora Slingsby Caroline. Dziesiątki tysięcy policjantów, agentów federalnych i żołnierzy amerykańskich, biorących udział w obławie na doktora, także marzyły o dostaniu go w łapy. Podobnie jak i miliony zwykłych obywateli, chociażby z tego powodu, że za informację przyczyniającą się do ujęcia Caroline'a wyznaczono nagrodę w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Jednakże zainteresowanie kapitana Bullena i załogi ss. „Campari” miało bardziej osobisty charakter - zaginiony doktor był źródłem wszystkich naszych kłopotów.

Doktor Slingsby Caroline zniknął - nader stosownie - w Południowej Karolinie. Pracował w ściśle tajnym, rządowym Instytucie Badań Wojskowych, niedaleko miasta Columbia, instytucie związanym - jak się okazało mniej więcej tydzień temu - z produkcją nowego typu bomby atomowej, przydatnej w lokalnych, taktycznych wojnach jądrowych. Bomba ta, zaprojektowana dla myśliwców i małych wyrzutni raketowych, była - w porównaniu z gigantami o mocy pięciu megaton, wytwarzanymi już zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak w ZSRR - zupełną bagatelką, o sile wybuchu równej zaledwie jednej tysięcznej mocy tamtych

bomb i z trudem niszczącą obszar nieco większy niż półtora kilometra kwadratowego. A jednak, dysponując potencjałem wybuchowym równoważnym pięciu tysiącom ton TNT, nie była to zabawka.

Otóż pewnego dnia - a ściślej mówiąc, pewnej nocy - doktor Slingsby Caroline zniknął. Fakt, że był on dyrektorem instytutu wojskowego, sam w sobie wystarczył już do spowodowania wrzawy, ale najgorsze było to, że doktor zabrał ze sobą funkcjonujący prototyp bomby. Wyglądało na to, że zaskoczyli go dwaj nocni strażnicy na terenie instytutu, a on ich zastrzelił, prawdopodobnie posługując się pistoletem zaopatrzonym w tłumik, jako że nikt nie słyszał ani nie podejrzewał nic dziwnego. Około dziesiątej w nocy wyjechał z instytutu za kierownicą własnego niebieskiego chevroleta kombi. Wartownicy przy bramie, poznając samochód i swojego szefa, i wiedząc, że zwykle pracuje do późnej nocy, przepuścili go, nie przyglądając mu się zbytnio. I był to ostatni raz, kiedy widziano doktora Caroline i „Tornado” - jak, z bliżej niewiadomego powodu, nazwano tę bombę. Niebieskiego chevroleta widziano natomiast raz jeszcze - porzuconego przed portem w Savannah, jakieś dziewięć godzin od popełnienia zbrodni, lecz w niecałą godzinę od jej wykrycia, co oznaczało, że w policji ktoś odwalił kawał dobrej roboty.

I trzeba było naszego pieskiego szczęścia, żeby ss. „Campari” zawinął do Savannah akurat wieczorem w dniu zniknięcia doktora.

Po odkryciu w instytucie martwych strażników natychmiast wstrzymano wszystkie połączenia międzystanowe i zagraniczne w południowo-wschodniej części USA. Od siódmej rano wszystkie samoloty tkwiły na lotniskach, dopóki nie zostały skrupulatnie przeszukane. Od siódmej rano policja zatrzymywała i sprawdzała wszystkie ciężarówki przekraczające granicę stanu i oczywiście wydano zakaz wypływania w morze wszystkim jednostkom większym od zwykłych łodzi. Na nieszczęście władz, a tym bardziej nasze, ss. „Campari” wypłynął z Savannah o szóstej rano, automatycznie stając się podejrzanym numer jeden.

Pierwsze wezwanie radiowe nadeszło o ósmej trzydzieści rano. Czy kapitan Bullen zgodziłby się zawrócić natychmiast do Savannah? Kapitan, nienawykły do owijania w bawełnę, zapytał dlaczego, psiakrew, miałby wracać. Oświadczono mu, że jego powrót jest sprawą najwyższej wagi. Nie, odpowiedział kapitan, dopóki nie przedstawię mu konkretnych powodów. Odmówili przedstawienia powodów, a kapitan Bullen odmówił powrotu. Impas. Aż wreszcie, nie mając praktycznie wyboru, władze federalne, które przejęły sprawę od stanowych, podały fakty.

Kapitan Bullen zapytał o szczegóły. Zażądał opisu zaginionego naukowca i bomby, mówiąc, że sam wkrótce wykryje, czy znajdują się na pokładzie, czy nie. Nastąpiło piętnaście minut przerwy na przygotowanie wypuszczenia w eter ściśle tajnych informacji, po czym, acz niechętnie, podano oba opisy.

Były one dziwnie podobne do siebie. Długość „Tornada” - metr dziewięćdziesiąt - dokładnie odpowiadała wzrostowi doktora Caroline. Doktor był niezwykle chudy, bomba zaś miała tylko dwadzieścia osiem centymetrów średnicy. Doktor ważył dziewięćdziesiąt kilogramów, „Tornado” - sto trzydzieści pięć. „Tornado” okrywał jednoczęściowy futerał z polerowanego, anodyzowanego aluminium, doktora zaś dwuczęściowy, szary garnitur z gabardyny. Głowicę „Tornada” wieńczył szary kaptur z piroceraamu, a głowę doktora czarne włosy, przedzielone zdradzieckim siwym kosmykiem.

W sprawie doktora rozkaz brzmiał: zidentyfikować i zatrzymać; w sprawie „Tornada”- zidentyfikować, ale nie, powtarzam, nie dotykać. Bomba powinna być zabezpieczona, a nastawić ją mógł tylko jeden z dwóch ekspertów znających jej budowę, jednak trudno było przewidzieć, jaki efekt na delikatnym mechanizmie „Tornada” mogły wyrzeć wstrząsy spowodowane transportem.

Trzy godziny później kapitan Bullen mógł z absolutną pewnością stwierdzić, że na pokładzie nie ma ani zaginionego naukowca, ani broni. Słowo „intensywne” kiepsko

oddawałoby przebieg tych poszukiwań - każdy centymetr kwadratowy między komorą łańcuchową a sterówką przeszukano tam i z powrotem. Kapitan Bullen wysłał depeszę radiową do władz federalnych i zapomniał o wszystkim.

Nieszczęście spadło w Kingston. Ledwie tam dotarliśmy, na pokładzie zjawily się władze portowe z prośbą, byśmy zezwolili na skontrolowanie ss. „Campari” przez ekipę z amerykańskiego niszczyciela, stojącego tuż obok nas. Ekipa ta, w sile około czterdziestu chłopów, czekała już na pokładzie okrętu, gotowa do akcji.

Cztery godziny później wciąż tam stała. Kapitan Bullen, w kilku prostych dobitnych słowach, niosących się wyraźnie i daleko po zalanych słońcem wodach portu w Kingston, oświadczył władzom, że jeżeli wojacy z marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych zamierzają w biały dzień wdrzeć się na statek brytyjskiej marynarki handlowej w brytyjskim porcie, to niech spróbują, będą mile widziani. Równie mile, dodał, co ich odniesione w trakcie tego rany i przelana krew oraz nader ciężkie kary, nałożone przez międzynarodowy trybunał morski, a wynikające z oskarżenia o napad, piractwo i działania wojenne. Na szczęście trybunał morski, dorzucił kapitan Bullen znacząco, ma siedzibę nie w Waszyngtonie, lecz w Hadze, w Holandii.

To ich zastopowało radykalnie. Władze wycofały się na konsultacje z Amerykanami. Jak się później dowiedzieliśmy, z Waszyngtonem i Londynem wymieniono zakodowane depesze. Kapitan Bullen pozostał nieugięty. Nasi pasażerowie, w dziewięćdziesięciu procentach Amerykanie, udzielili mu entuzjastycznego poparcia. Zarówno z dyrekcji towarzystwa, jak i z Ministerstwa Transportu otrzymaliśmy depesze, proszące kapitana Bullena o współpracę z marynarką Stanów Zjednoczonych. Naciskano zewsząd. Bullen podarł depesze i skwapliwie skorzystał z oferty lokalnego przedstawiciela firmy Marconi, zamawiając u niego przegląd sprzętu radiowego. Dzięki temu mógł z czystym sumieniem zwolnić ze służby radiotelegrafistów, a poza tym rozkazał nie przyjmować żadnych depesz.

Czekaliśmy tak całe trzydzieści godzin. Kłopoty jednak zawsze chodzą parami, toteż skoro świt następnego dnia po naszym przybyciu do Kingston Harrisonowie i Curtisowie - dwie spokrewnione rodziny, zajmujące dwa pierwsze apartamenty na pokładzie „A” - otrzymali telegramy z wstrząsającą wiadomością, że członkowie obu rodzin ponieśli śmierć w wypadku samochodowym; skutkiem tego Harrisonowie i Curtisowie natychmiast wrócili do kraju. Nad „Campari” zawisły czarne chmury.

Impas przełamał pod wieczór dowódca amerykańskiego niszczyciela, dyplomatyczny, uprzejmy i wielce zakłopotany komandor nazwiskiem Varsi. Otrzymał pozwolenie wstępu na „Campari”, dał się namówić na szklaneczkę whisky, po czym - bardzo skruszony i pełen szacunku - zaproponował rozwiązanie dylematu.

Gdyby tak rewizję przeprowadzili nie Amerykanie, lecz brytyjscy celnicy, w ramach zwykłych obowiązków, a jego ludzie byłiby obecni jedynie w charakterze obserwatorów? Kapitan Bullen, gniewnie chrząkając i pomrukując, wyraził ostatecznie zgodę. Propozycja ta pozwoliła mu zachować twarz i do pewnego stopnia uratować honor, a zresztą wiedział, że jest w sytuacji bez wyjścia. Do czasu zakończenia poszukiwań władze Kingston odmówiły załatwienia odprawy lekarskiej, a bez niej nie można było przystąpić do wyładunku sześciuset ton żywności i urządzeń mechanicznych, które mieliśmy tam dostarczyć. W dodatku urzędnicy portowi mogli wielce skomplikować sprawę, odmawiając zezwolenia na wypłynięcie.

Poszukiwania, rozpoczęte o dwudziestej pierwszej, a zakończone o drugiej nad ranem następnego dnia, wyglądały tak, jakby zebrano do kupy wszystkich celników z całej Jamajki. Kapitan Bullen ział ogniem i siarką niczym wulkan przed erupcją. Pasażerowie kipieli gniewem - częściowo dlatego, że musieli znosić ponizającą, drobiazgową rewizję własnych kabin, a także dlatego, że trzymano ich na nogach prawie do rana. Jednakże przede wszystkim

wściekała się załoga, gdyż przy tej okazji celnicy, zazwyczaj tolerancyjni, nie mogli przymknąć oka na setki butelek trunków i tysiące papierosów, ujawnionych w trakcie rewizji.

Oczywiście, nie znaleziono nic więcej. Na „Campari” zignorowano przeprosiny i - po zakończeniu odprawy lekarskiej - przystąpiono do wyładunku. Kingston opuściliśmy późno w nocy. Przez następne dwadzieścia cztery godziny kapitan Bullen dumał nad ostatnimi wydarzeniami, a następnie wysłał dwa kablogramy - do dyrekcji w Londynie i do Ministerstwa Transportu - oświadczając co on, kapitan Bullen, o tym myśli. Teraz zaś wyglądało na to, że oni przekazali kapitanowi Bullenowi, co sądzą o nim. Rozumiałem uczucia, jakie w nim wzbudzał doktor Slingsby Caroline, który tymczasem był już pewnie w Chinach.

Ostry, ostrzegawczy krzyk przywrócił nas gwałtownie do rzeczywistości. Z wielkiej skrzyni, zawieszanej dokładnie nad lukiem czwartej ładowni, niespodziewanie zsunęła się jednasz dwóch pętli łańcucha, a jeden koniec skrzyni opadł pod kątem sześćdziesięciu stopni i zatrzymał się z szarpnięciem, od którego nawet gigantyczny dźwig zatrzęsł się i zachwiał. Wyglądało na to, że skrzynia wyśliznie się zaraz z drugiej pętli i roztrzaska na podłodze ładowni. I pewnie tak by się stało, gdyby dwaj marynarze, trzymający narożną linę zabezpieczającą, nie byli na tyle rozgarnięci, żeby całym ciężarem uwiesić się na niej, chroniąc skrzynię przed nagłym przechyłem i upadkiem. Ale nawet teraz wszystko wisiało na włosku.

Skrzynia przechyliła się z powrotem w stronę burty statku, a dwaj mężczyźni wciąż wisieli desperacko na linie. Poniżej, na nabrzeżu, dojrzałem kątem oka dokerów, których twarze wykrzywiała panika - w tej nowej demokracji, gdzie wszyscy ludzie byli równi i wolni, karą za takie niedopatrzenie był pewnie pluton egzekucyjny. Nic innego nie mogło tłumaczyć ich autentycznego przerażenia. Skrzynia zaczęła się przechylać z powrotem ku ładowni. Wrzasnąłem na dokerów, żeby się usunęli, jednocześnie dając sygnał do awaryjnego opuszczania. Na szczęście operator dźwigu był równie rozgarnięty, co doświadczony, i w momencie, gdy dziko rozhuśtana skrzynia powróciła z szarpnięciem do pionu, opuścił ją z dwukrotną, a może nawet trzykrotną szybkością, hamując kilka sekund wcześniej, nim jej dolny kraniec z chrzęstem rozłupał się o podłogę ładowni. Po chwili cała skrzynia spoczywała na dnie.

Kapitan Bullen wyłowił chusteczkę z drelichowego munduru, zdjął czapkę ze złotymi naszywkami i powoli przetarł jasne włosy i spocone brwi. Przez chwilę wyglądał, jakby mamrotał coś sam do siebie.

- Psiakrew - wyrzekł wreszcie. - No to koniec. Kapitan Bullen popadł w niełaskę. Załoga zła jak cholera. Pasażerowie warczą z wściekłości. Mamy dwa dni opóźnienia. Amerykanie nas przeszukali od deski do deski jak kontrabandzistów. Teraz przypuszczalnie przewozimy kontrabandę. Po naszych nowych pasażerach ani śladu. Musimy wyjść za mieliznę przed portem do szóstej. A do tego jeszcze ci idioci chcą nas posłać na dno. Za dużo tego wszystkiego, Pierwszy, oj, za dużo. - Nałożył czapkę. - Szekspir pisał coś na ten temat.

- Morze kłopotów, kapitanie?

- Nie, co innego. Ale w tym stylu. - Westchnął. - Niech cię zmieni drugi oficer. Trzeci sprawdza magazyny. Weź czwartego... nie, tylko nie tego skończonego osła, weź bosmana, on gada po hiszpańsku jak tubylec, niech przejmie nadzór nad dokerami. Jak będą mieli zastrzeżenia, to będzie to ostatni ładunek, jaki zabierzemy. A potem ty i ja zjemy obiad, Pierwszy.

- Powiedziałem panie Beresford, że nie będę mógł...

- Jeżeli uważasz, że zamierzam słuchać tej zgrai, pobrzękującej sakwami z forszą i użalającej się nad swoim ciężkim losem od przystawki aż po kawę, toś chyba zwariował - przerwał mi ciężko kapitan Bullen. - Zjemy w mojej kabinie.



Tak więc zjedliśmy w jego kabinie. Był to zwykły posiłek na „Campari” - coś, o czym mógłby marzyć nawet najbardziej zblazowany epikurejczyk. Po raz pierwszy, ze zrozumiałych względów, kapitan Bullen uczynił wyjątek od reguły, że ani on, ani żaden z jego oficerów nie powinien pić alkoholu do obiadu. Nim skończyliśmy, znów poczuł się niemal człowiekiem, a raz nawet zapomniał się tak dalece, że zwrócił się do mnie „Johnny, mój chłopcze”. Nie mogło to długo trwać. Było mi jednak całkiem przyjemnie i z dużym oporem zamieniłem w końcu chłód klimatyzowanej kabiny kapitańskiej na palące słońce na zewnątrz, aby złuzować drugiego oficera.

Uśmiechnął się szeroko, kiedy podszedłem do czwartej ładowni. Tommy Wilson zawsze się uśmiechał. Był to śniady, żyłasty, średniego wzrostu Walijszyk o zaraźliwym uśmiechu. Kochał życie na dobre i na złe.

- Jak leci? - spytałem.

- Sam widzisz - odrzekł z zadowoleniem i wskazał na stos przygotowanych do załadunku skrzyń, mniejszy teraz o dobrą jedną trzecią niż wtedy, gdy go ostatnio widziałem. - Szybkość połączona ze skutecznością. Gdy Wilson bierze się do roboty, to niech nikt się nie waży...

- Bosman nazywa się MacDonald, nie Wilson - wtrąciłem.

- I owszem - przyznał z uśmiechem i spojrzał na dół, gdzie bosman - wielki, silny wypiarz z Hebrydów, niezastąpiony fachowiec - przemawiał do brodatych robotników. Wilson z podziwem potrząsnął głową. - Chciałbym rozumieć, co on mówi.

- Szkoda czasu na tłumaczenie - stwierdziłem sucho. - Zmieniam cię. Stary chce, żebyś się przeleciał na brzeg.

- Na brzeg? - powtórzył Tommy. Rozpromienił się. W ciągu zaledwie dwóch lat wyczyny naszego drugiego oficera podczas wypraw na ląd przeszły już do legendy. - Jeszcze się nie zdarzyło, żeby Wilson odmówił spełnienia obowiązku. Dwadzieścia minut na prysznic, golenie i wykopanie paru...

- Biuro agenta jest tuż za bramą doku - przerwałem. - Możesz iść tak jak stoisz. Dowiedz się, co się stało z naszymi ostatnimi pasażerami. Kapitan zaczyna się o nich martwić, jeżeli się nie zjawia do piątej, to odpływamy bez nich.

Wilson odszedł. Słońce chyliło się ku zachodowi, lecz wciąż było gorąco jak w piecu. Dzięki doświadczeniu MacDonalda i jego bezbłędnej znajomości języka hiszpańskiego ładunek na nabrzeżu szybko i równomiernie się zmniejszał. Wilson powrócił z wiadomością, że po pasażerach ani śladu. Nasz agent był mocno zdenerwowany. To bardzo ważne osobistości, señor, bardzo, bardzo ważne. Jeden z nich to najważniejszy człowiek w całej prowincji Camafuegos. Wysłano już im na spotkanie jeepa. Czasami zdarza się, rozumie señor, że pęknie resor lub trzaśnie amortyzator. Gdy Wilson niewinnie zapytał, czy to dlatego, że rząd rewolucyjny nie ma pieniędzy na załatanie olbrzymich dziur na szosach, agent zdenerwował się jeszcze bardziej i odrzekł z godnością, że to wyłączna wina kiepskiego metalu, używanego do produkcji samochodów przez tych perfidnych Americanos. Wilson przyznał, że niemal dał się przekonać twierdzeniu, jakoby w Detroit była specjalna linia produkcyjna, służąca wyłącznie do montażu wybrakowanych samochodów przeznaczonych dla tego konkretnego skrawka Karaibów.

Wilson odszedł. Ładunek wciąż przemieszczano do czwartej ładowni. Około czwartej po południu usłyszałem zgrzyt zmienianych biegów i astmatyczne charczenie mocno sfatygowanego silnika. To pewnie wreszcie pasażerowie, pomyślałem, ale nie - w bramie doku ukazała się zdezelowana ciężarówka z resztkami farby na karoserii, wychodzącym z opon białym płótnem i zdjętą przednią maską. Z mojego punktu obserwacyjnego dojrzałem, że w miejscu, gdzie zazwyczaj znajduje się silnik, widnieje solidna bryła rdzy. Jak nic jeden ze specjalnych produktów z Detroit. Na potrzaskanej platformie jechały trzy średniej wielkości skrzynie, świeżo zapakowane i zabezpieczone metalowymi taśmami.

Spowita niebieską mgiełką ze strzelającego staccato gaźnika, drgająca niczym złamany kamerton, z klekotem sworzni w przestarzałym podwoziu ciężarówka przetoczyła się ciężko po kocich łbach i zatrzymała niecałe pięć kroków od MacDonalda. Z zastępującego drzwi otworu wyskoczył mały człowieczek w drelichach i czapce z daszkiem. Przez kilka sekund zataczał się, dopóki nie złapał przyczepności do terra firma, a następnie popędził w stronę nabrzeża. Rozpoznałem w nim naszego agenta z Carracio - tego, który wyrzekł na Detroit - i zastanawiałem się, jakie to nowe kłopoty nam sprowadza.

Dowiedziałem się tego równo trzy minuty później, kiedy na pokładzie ukazał się kapitan Bullen, za którym pędził wystraszony agent. Zimne oczy kapitana pałały, czerwoną cerę pokrywał ciemny rumieniec, lecz jego wentyl był zamknięty.

- Trumny! - wycedził przez zęby. - Ni mniej, ni więcej, tylko trumny.

Przypuszczam, że istnieje jakaś szybka a mądra odpowiedź. na taki gambit, ale nie znałem jej, toteż powiedziałem uprzejmie:

- Trumny, kapitanie?

- Trumny, poruczniku. Razem z zawartością. Na przewóz do Nowego Jorku. - Pomachał jakimiś papierkami. - Upoważnienie, świadectwo załadowania, wszystko w porządku. Mam nawet opieczętowany list polecający, podpisany przez samego ambasadora. Truposzów jest trzech. Dwóch Brytyjczyków, jeden Amerykanin. Zginęli podczas zamieszek.

- Załodze się to nie spodoba, kapitanie- powiedziałem.- Zwłaszcza stewardom z Gôa. Wie pan, jacy są przesądni i jak...

- Wszystko będzie dobrze, señor - pośpiesznie wtrącił ubrany na biało człowieczek. Wilson miał rację, mówiąc o jego zdenerwowaniu, lecz wyczuwało się w nim jeszcze coś: nadmierny niepokój, graniczący z rozpaczą. - Załatwiliśmy...

- Zamknij się pan! - przerwał mu krótko kapitan Bullen i odwrócił się do mnie. - Załoga nie musi o tym wiedzieć - warknął. - Ani pasażerowie. - Widać było, że ci akurat najmniej go obchodzi. Trumny są opakowane.... o tam, na ciężarówce.

- Tak jest, kapitanie. Zginęli podczas zamieszek. W zeszłym tygodniu. - Po krótkiej przerwie podjąłem delikatnie: - Przy takim upale...

- On twierdzi, że są opakowane w ołów. Więc można je dać do ładowni. Ale w jakiś osobny kąt. Któryś z, hm... nieboszczyków był krewnym jednego z wsiadających tu pasażerów. Przypuszczam, że nie da rady upakować tych trumien pomiędzy prądnicami. - Westchnął ciężko. - Do tego wszystkiego prowadzimy jeszcze zakład pogrzebowy. To już koniec, Pierwszy, czara się przepelniła.

- Zgadza się pan na ten, hm... ładunek, kapitanie?

- Ależ oczywiście, oczywiście - mały człowieczek znów wtrącił swoje trzy grosze. - Jeden z nich to kuzyn señora Carreras, który z wami płynie. Señora Miguela Carreras. Señor Carreras ma, jak to mówicie, złamane serce. Señor Carreras to najważniejszy człowiek...

- Spokój! - uciał Bullen zmęczonym głosem. Machnął papierami. - Tak, zgadzam się. Dostałem pismo od ambasadora. Znów nacisk. Mam dość depesz przecinających Atlantyk. Za dużo tych nieszczęść. Jestem starym, przegranym człowiekiem, Pierwszy, starym, przegranym człowiekiem.

Stał jeszcze przez chwilę, szeroko opierając ręce na balustradzie i bezskutecznie usiłując stworzyć obraz starego, przegranego człowieka, po czym wyprostował się gwałtownie, gdy bramę doku minęła procesja samochodów i skierowała się ku „Campari”.

- Sto do jednego, że oto nadciąga kolejne nieszczęście.

Procesja, w postaci dwóch wielkich, przedwojennych packardów, z których jednego holował jeep, zatrzymała się właśnie przy nabrzeżu i pasażerowie zaczęli wysiadać. To znaczy ci, którzy mogli - ponieważ było oczywiste, że jeden z nich nie może. Pierwszy kierowca, ubrany w zielone, tropikalne drelichy i okrągły kapelusz, otworzył bagażnik swojego wozu, wyciągnął składany, ręcznie poruszany wózek inwalidzki i z dowodzącą

wieloletniej praktyki wprawą rozłożył go w równe dziesięć sekund, podczas gdy drugi szofer, z pomocą wysokiej, chudej pielęgniarki, ubranej całkowicie na biało, poczawszy od zgrabnego, krochmalonego czepka aż po sięgającą kostek spódnicę, z tylnego siedzenia drugiego packarda uniósł ostrożnie zgiętego starca i delikatnie posadził go na wózku. Staruszek - nawet z tej odległości mogłem dostrzec pobrużdżoną i nadwerżoną przez wiek twarz oraz śnieżną biel wciąż obfitych włosów - w miarę swych możliwości starał się im pomóc. Możliwości miał jednak niewielkie.

Kapitan Bullen spojrział na mnie. Ja spojrzałem na kapitana Bullena. Wszelki komentarz był zbyteczny. Żadna załoga nie lubi mieć na pokładzie inwalidów - sprawiają oni kłopot lekarzom okrętowym, którzy muszą doglądać ich zdrowia, stewardom kajutowym, którzy muszą sprzątać ich kabiny, stewardom kuchennym, którzy muszą ich karmić, oraz wszystkim członkom załogi pokładowej, którzy mają obowiązek ich wozić. A kiedy inwalidą jest człowiek starszy i schorowany - czego nasz staruszek był najlepszym przykładem - wówczas zawsze należy się liczyć z możliwością śmierci na morzu, tego zaś marynarze nie cierpią ponad wszystko. To również źle wpływa na pasażerów.

- No, sądzę, że powinienem przywitać na pokładzie naszych ostatnich gości - wysapał ciężko kapitan Bullen. - Uwiń się pan z tym jak najszybciej.

- Rozkaz, kapitanie.

Bullen skinął mi głową i odszedł. Obserwowałem kierowców, którzy wsunęli parę długich prętów pod siedzenie wózka inwalidy i z łatwością podnieśli go na zбитy z pali pomost nabrzeża.

Za nimi szła wysoka, kanciasta pielęgniarka, a za nią jeszcze jedna, ubrana tak samo jak pierwsza, ale niższa i krępa. Staruszek zabierał ze sobą cały sztab medyczny, to oznaczało, że albo ma za dużo forsy, albo jest hipochondrykiem, albo też faktycznie jest z nim kiepsko. A możliwe, że była to kombinacja wszystkich tych czynników.

Mnie jednak bardziej interesowały dwie ostatnie osoby, które wysiadły z packardów.

Pierwszą z nich był mężczyzna mniej więcej mojego wieku i wzrostu, lecz na tym podobieństwo się kończyło. Wyglądał jak skrzyżowanie Ramona Novarro i Rudolfa Valentino, tyle że był przystojniejszy. Wysoki, barczysty, o śniadych, doskonale wyrzeźbionych latynoskich rysach, miał klasyczny, długi i cienki wąs, silne równe zęby, których wrodzony, naturalny blask sprawiał, że zdawały się lśnić przy każdym świetle od południa aż po zmierzch, i ciemną, błyszczącą pianę czarnych włosów na głowie - gdyby go wpuścić na teren żeńskiego uniwersytetu, byłby to stracony facet. Ale daleko mu było do mięczaka - jego ostro zarysowany podbródek, spokojne ruchy i lekki, sprężysty krok boksera zdradzały człowieka, który wie, że przejdzie przez życie bez niańki. Może przynajmniej, pomyślałem cierpko, będę miał z głowy pannę Beresford.

Drugi mężczyzna był nieco mniejszą kopią pierwszego, o takich samych rysach, zębach, wąsiku i włosach, tyle że siwiejących. Miał pewnie z pięćdziesiąt pięć lat. Otaczała go nieuchwytna atmosfera autorytetu i pewności siebie, biorąca się z władzy, pieniędzy lub starannie kultywowanego pozerstwa. To pewnie señor Miguel Carreras, pomyślałem, ten sam, który wzbudzał takie przerażenie w naszym lokalnym agencie. Swoją drogą, ciekawe dlaczego.

Dziesięć minut później reszta naszego ładunku znalazła się na statku i pozostały jedynie trzy opakowane trumny na platformie starej ciężarówki. Przyglądałem się, jak bosman nakłada pętlę na jedną z nich, kiedy usłyszałem za sobą nienawistny głos:

- To jest pan Carreras, poruczniku. Przesłał mnie kapitan Bullen.

Odwróciłem się i posłałem czwartemu oficerowi Dexterowi spojrzenie, które rezerwowałem specjalnie dla czwartego oficera Dextera. Był on wyjątkiem od reguły, mówiącej, że komandor floty zawsze doбира sobie najlepszą załogę, ale stary nic tu nie zawinił - są ludzie, których nawet komandor floty musi tolerować, a Dexter był jednym z

nich. Ten dosyć przystojny młodzieniec w wieku dwudziestu jeden lat, o jasnych, nieco wyłupiastych niebieskich oczach, przygnębiająco prawdziwym akcencie prywatnej szkoły i ograniczonej inteligencji, był jednocześnie synem - a niestety także i spadkobiercą - lorda Dextera, prezesa i dyrektora Blue Mail. Lord Dexter, który w wieku lat piętnastu odziedziczył około dziesięciu milionów i, co zrozumiałe, nigdy nie wątpił w swe racje, wpadł na osobliwy pomysł, by jego własny syn zaczynał od samego dołu i mniej więcej przed pięciu laty wysłał go na morze jako kadeta. Dexter junior zapatrywał się na to bez entuzjazmu; wszyscy ludzie na statku, od Bullena w dół, bez entuzjazmu zapatrywali się i na to, i na Dextera - niestety w tej sprawie nie dało się nic zrobić.

- Witam pana - powiedziałem i uściśniłem wyciągniętą dłoń Carrerasa. Przyjrzałem mu się bacznie. Spokojne, ciemne oczy i kurtuazyjny uśmiech nie przesłaniały faktu, że z odległości pół metra wokół jego oczu i ust widać było dużo więcej zmarszczek niż z trzydziestu metrów; nie przesłaniały jednak także i tego, że atmosfera autorytetu i opanowania była teraz podwójnie wyraźna i przekonałem się, że moje pierwsze wrażenie było błędne - był to produkt jak najbardziej naturalny.

- Pan Carter? Bardzo mi miło - odezwał się Carreras. Zwróciłem uwagę na jego mocny uścisk, ukłon będący czymś więcej niż tylko powierzchownym skłonem, kulturalny angielski, nabyty w ekskluzywnej szkole. - Chciałbym zobaczyć, jak załadują te skrzynie, toteż jeśli pan pozwoli...

- Ależ oczywiście, señor Carreras - wtrąciłem pośpiesznie. Carter, nieoszlifowany anglosaski diament, nie da się prześcignąć latynoskiej uprzejmości. Machnąłem ręką w kierunku luku. - Gdyby tylko był pan tak uprzejmy trzymać się od sterburty... po prawej stronie luku...

Uśmiechnął się.

- „Sterburta” wystarczy, panie Carter. Kiedyś dowodziłem własnymi statkami. Niestety, takie życie do mnie nie przemawiało.

Stał jeszcze przez chwilę, patrząc, jak MacDonald zaciska pętlę, ja zaś odwróciłem się do Dextera, który najwyraźniej nie zamierzał odejść. Dexter rzadko kiedy się śpieszył. Był zadziwiająco gruboskórny.

- Masz coś do roboty, Czwarty?

- Muszę pomóc panu Cummingsowi.

A zatem był bezrobotny. Cummings, płatnik, był nadzwyczaj sprawnym oficerem, który nigdy nie potrzebował pomocy. Miał tylko jedną wadę, wynikającą z obcowania przez lata z pasażerami - był stanowczo zbyt uprzejmy. Zwłaszcza dla Dextera.

- Te mapy, które zabraliśmy z Kingston. Mógłbyś je skorygować? - Murowane, że w ciągu kilku dni wysadziłyby nas na rafie Wysp Bahama.

- Ale pan Cummings oczekuje...

- Mapy, Dexter.

Spoglądał na mnie przez dłuższą chwilę, a jego twarz stopniowo ciemniała. W końcu okręcił się na pięcie i odszedł. Poczekalem, aż zrobi trzy kroki, i powiedziałem cicho:

- Dexter.

Zatrzymał się i odwrócił powoli.

- Mapy, Dexter - powtórzyłem. Przez może pięć sekund stał z oczyma utkwionymi w moich, aż wreszcie przestał się gapić.

- Rozkaz, poruczniku. - Na słowie „porucznik” położył lekki, ale znaczący akcent. Znów odwrócił się i odszedł, sztywny jakby kij połknął. Rumieniec sięgał mu szyi. Mało mnie to obchodziło - rzucę tę pracę dużo wcześniej niż on zasiądzie w fotelu prezesa. Patrzyłem, jak odchodzi, a następnie zwróciłem się do Carrerasa, który w milczeniu taksował mnie wzrokiem. Szacował pierwszego oficera Cartera, jeżeli jednak doszedł do jakichś wyników, to zatrzymał je dla siebie, gdyż bez pośpiechu odwrócił się i ruszył w kierunku prawej strony

czwartej ładowni. Gdy się odwracał, po raz pierwszy dostrzegłem wążutką wstążkę z czarnego jedwabiu, przymocowaną w poprzek lewej klapy jego szarego, tropikalnego garnituru. Na oko niezbyt pasowała do białej róży, którą nosił w butonierce, możliwe jednak, że w tych stronach takie zestawienie było oznaką żałoby.

Było to zresztą wielce prawdopodobne, ponieważ kiedy wciągano na pokład trzy skrzynie z trumnami, stał bez ruchu, niemal na baczność. Gdy trzecia, rozkołysana skrzynia przesunęła się nad relingiem, niedbale zdjął kapelusz, jak gdyby chciał się wystawić na podmuch lekkiej bryzy, która właśnie powiała z północy, od otwartego morza; następnie zaś, rozglądając się niemal ukradkiem, wsunął prawą rękę pod kapelusz, który trzymał w lewej dłoni, i uczynił szybki, skrócony znak krzyża. Mimo upału poczułem zimny powiew i dreszcz przechodzący przez moje ramiona, choć właściwie sam nie wiem czemu - w żaden sposób nie byłem w stanie wyobrazić sobie prozaicznego luku czwartej ładowni jako otwartego grobowca. Jedną z moich babek była Szkotka, może więc odziedziczyłem dar jasnowidzenia albo miałem „podwójny wzrok”, czy jak to tam nazywają w górach Szkocji. A może po prostu za dużo zjadłem.

Jeżeli jednak któryś z nas dwóch sprawiał wrażenie zatroskanego, to w każdym razie nie señor Carreras. Kiedy ostatnia skrzynia delikatnie dotknęła podłogi ładowni, nałożył kapelusz, przez kilka sekund spoglądał w dół, a następnie skierował się na dziób i mijając mnie uniósł kapelusz i posłał mi pogodny, beztrudny uśmiech. Z braku lepszego zajęcia również uśmiechnąłem się do niego.

Pięć minut później antyczna ciężarówka, oba packardy, jeep oraz ostatni dokerzy zniknęli, a MacDonald nadzorował uszczelnianie luku czwartej ładowni. O piątej, na całą godzinę przed ostatecznym terminem i dokładnie w porze największego przypływu, ss. „Campari” płynął wolno na północ, przez mieliznę, a potem ku zachodzącemu słońcu, wioząc skrzynie, maszynię, nieboszczyków, wściekłego kapitana, utyskującą załogę i gruntownie obrażonych pasażerów. O piątej po południu tego pięknego, czerwcowego dnia nie był to specjalnie wesoły statek.

## II. Wtorek, między dwudziestą a dwudziestą pierwszą trzydzieści

Tego samego dnia o ósmej wieczorem ładunek, skrzynie i trumny były przypuszczalnie w takim samym stanie co o piątej, za to nastrój pasażerów i załogi zmienił się radykalnie, przechodząc z głębokiego niezadowolenia w beztronską satysfakcję.

Oczywiście, były ku temu powody. W wypadku kapitana Bullena - który wysyłając mnie na kolację dwa razy zwrócił się do mnie „Johnny, mój chłopcze” - wynikało to stąd, że wreszcie znalazł się z dala od (jak to z upodobaniem mawiał) „zapowietrzonego portu Carracio”, że znów był na pełnym morzu, znów stał na mostku i że wpadł na znakomity pomysł, aby wysłać mnie na dół, samemu pozostając na mostku i unikając tym samym towarzyskiej tortury w postaci kolacji z pasażerami. W wypadku marynarzy przyczyną zmiany nastroju był fakt, że kapitan, częściowo z poczucia sprawiedliwości, a także chcąc się odegrać na dyrekcji za doznane poniżenia, przyznał im za ostatnie trzy dni wynagrodzenie za godziny nadliczbowe, których faktycznie nie przepracowali. No a w wypadku oficerów i pasażerów powód był prosty - istnieją pewne ściśle określone, podstawowe prawa natury ludzkiej, a jedno z nich głosi, iż nie sposób pozostawać długo w kiepskim nastroju na ss. „Campari”.

Jako statek bez regularnych portów zawijania, z bardzo ograniczoną liczbą pomieszczeń pasażerskich i przepastnymi ładowniami, które rzadko nie były pełne, ss. „Campari” można by przypuszczalnie zaliczyć do kategorii statków żeglugi trampowej - i faktycznie tak był sklasyfikowany w prospektach reklamowych Blue Mail. Lecz - jak to podkreślały reklamówki z właściwą sobie powściągliwością, idącą w parze z wydelikacjami uczuciami nieprzyzwoicie nadzianej klienteli, do której były adresowane - ss. „Campari” nie był zwykłym statkiem żeglugi trampowej. W gruncie rzeczy nie był to zwykły statek w żadnym tego słowa znaczeniu. Był to, jak prosto, spokojnie i bezpretensjonalnie stwierdzały prospekty, „średniej wielkości towarowiec, oferujący najbardziej luksusowe pomieszczenia i najznakomitszą kuchnię ze wszystkich współczesnych statków na świecie.”

Jedyne, co powstrzymywało wszystkie największe towarzystwa żeglugi pasażerskiej, począwszy od Cunnard White Star w dół, od oskarżenia Blue Mail za to niedorzeczne stwierdzenie, to fakt, że była to szczerza prawda.

Pomysłodawcą był prezes Blue Mail, lord Dexter, który najwyraźniej zatrzymał całą inteligencję dla siebie, nie zamierzając jej przekazać swojemu synowi, a naszemu czwartemu oficerowi. Pomysł ten, jak zgodnie przyznawali wszyscy konkurenci, zawzięcie dokładający starań, żeby samemu wejść do gry, był dziełem czystego geniuszu. Lord Dexter podzielał to zdanie.

Wszystko zaczęło się całkiem zwyczajnie, na początku lat pięćdziesiątych, od poprzedniego statku Blue Mail, ss. „Brandywine” (przedziwny kaprys, dający się wyjaśnić jedynie w kategoriach psychoanalitycznych, sprawiał, że lord Dexter, zaprzysięgły abstynent, nadawał swoim statkom nazwy pochodzące od win i innych napojów wysokowych). „Brandywine” był jednym z dwóch statków Blue Mail kursujących regularnie między Nowym Jorkiem a różnymi posiadłościami brytyjskimi w Indiach Zachodnich. Lord Dexter, przypatrując się luksusowym statkom pasażerskim krążącym na tej trasie i nie widząc powodu, dla którego i on nie miałby się wepchnąć na ten lukratywny rynek, zainstalował na „Brandywine” kilka kabin ekstra i posłał ogłoszenie do paru bardzo starannie wybranych amerykańskich gazet i czasopism, wyraźnie dając do zrozumienia, że interesuje go wyłącznie elita. Atrakcje, jakie zaproponował, to całkowity brak orkiestr, tańców, koncertów, balów kostiumowych, basenów, loterii fantowych, gier pokładowych, wywoływania duchów i przyjęć - tylko geniusz mógł stworzyć tak cenne, pociągające zalety z tego, czego tak czy inaczej nie miał. Na plus oferował jedynie tajemniczość i romantyczność statku żeglugi

trampowej, płynącego w nieznanym kierunku (co nie oznaczało zmian trasy, a tylko to, że kapitan trzymał w tajemnicy nazwy portów docelowych i podawał je na krótko przed przybyciem) oraz możliwość korzystania z salonu telegraficznego, pozostającego w stałym kontakcie z giełdami Nowego Jorku, Londynu i Paryża.

Początkowy sukces był fantastyczny. Mówiąc językiem giełdowym, popyt na akcje stukrotnie przewyższył emisję. Dla lorda Dextera było to nie do przyjęcia. Stwierdził, że najwyraźniej zainteresował swoim pomysłem wielu ludzi spoza elity, tych, którzy mieli ambicję dojść zaledwie do średnich szczebli drabiny społecznej, którzy dorobili się zaledwie kilku nędznych milionów - jednym słowem ludzi, z którymi elita nie chciałaby się zadawać. Podwoił ceny... bez skutku. Potroił je więc, dokonując przy okazji miłego odkrycia, że na tym świecie jest wielu ludzi gotowych zapłacić absolutnie każdą sumę nie tylko po to, by się wybić i dostać do elity, ale po to, aby ich awans stał się powszechnie znany. Lord Dexter wstrzymał budowę swojego najnowszego statku, ss. „Campari”, kazał zaprojektować i wbudować do niego tuzin najbardziej luksusowych kabin, jakie kiedykolwiek widziano, i wysłał go do Nowego Jorku, wierząc, że niebawem zwróci mu się nakład w wysokości ćwierć miliona funtów, poniesiony na te przeróbki. Jak zwykle, jego wiara nie była bezpodstawna.

Oczywiście, znaleźli się naśladowcy, jednak równie dobrze można by się starać skopiować pałac Buckingham, Wielki Kanion lub diament Cullinana. Lord Dexter pozostawił wszystkich na starcie. Znalazł swą formułę i trwał przy niej niezachwianie: komfort, wygoda, spokój, dobra kuchnia i dobre towarzystwo. Jeśli chodzi o komfort, to trzeba było zobaczyć na własne oczy przesławne luksusowe apartamenty, żeby w nie uwierzyć; wygodę, w wypadku większości męskiej części pasażerów, zapewniało zestawienie unikalnego salonu telegraficznego i odbioru notowań giełdowych z jednym z najlepiej zaopatrzonych barów na świecie; spokój zapewniał wysoki stopień izolacji apartamentów od maszynowni, naśladowanie królewskiego jachtu „Brytania” w tym, że nigdy nie wykrzykiwano rozkazów, a załoga pokładowa i stewardzi stale nosili sandały na gumowej podeszwie, a także wyeliminowanie wszelkich orkiestr, przyjęć, gier i tańców, które pasażerowie skromniejszych statków uważali za nieodzowne do osiągnięcia pełnej radości życia na pokładzie; wspaniałą kuchnię zapewniono kaptując, za cenę olbrzymich pieniędzy i fatalnego samopoczucia, szefów kuchni jednej z największych ambasad w Londynie i jednego, z najlepszych hoteli w Paryżu - ci mistrzowie sztuki kulinarnej działali co drugi dzień na zmianę, a rajskie efekty ich wysiłków, aby się nawzajem prześcignąć, były na zachodnim oceanie tematem zawistnych plotek.

Możliwe, że innym armatorom udałoby się powtórzyć niektóre czy nawet wszystkie z tych czynników, choć najprawdopodobniej na mniejszą skalę. Jednak lord Dexter nie był zwyczajnym armatorem - jak powiedziano, był geniuszem, co przejawiało się przede wszystkim w uporczywym dobieraniu odpowiedniej klienteli.

Nie było rejsu, żeby na liście pasażerów „Campari” nie figurowały Osobistości - począwszy od wysoko urodzonych, a kończąc na światowych sławach. Dla Osobistości zarezerwowany był specjalny apartament. Znani politycy, ministrowie, czołowe gwiazdy sceny i ekranu, sławni ekscentryczni pisarze lub artyści (o ile mieli zwyczaj się myć i używać brzytwy) oraz angielscy arystokraci niższego szczebla podróżowali w tym apartamencie po mocno obniżonych cenach. Członkowie rodzin panujących, byli prezydenci, byli premierzy i arystokraci od księcia w górę, podróżowali za darmo. Mówiono, że gdyby na „Campari” można było ulokować jednocześnie wszystkich parów oczekujących w kolejce na miejsce, to Izba Lordów zamknęłaby podwoje. Nie trzeba chyba dodawać, że w propozycji darmowej gościny nie było nic z filantropii - lord Dexter podbił jedynie ceny dla bogatych gości pozostałych jedenastu apartamentów, którzy byli gotowi zapłacić dosłownie każdą sumę już za sam przywilej podróżowania w tak wysoko postawionym towarzystwie.

Po kilku latach kursów na tej trasie niemal wszyscy pasażerowie byli naszymi stałymi klientami. Wielu pływało z nami nawet trzy razy do roku, co dawało niezłe pojęcie o stanie ich kont. Obecnie pasażerowie „Campari” tworzyli najbardziej ekskluzywny klub na świecie. Nie ma przesady w stwierdzeniu, że lord Dexter przedestylował snobów ze sfer towarzyskich i finansowych, odkrywając w nich niewyczerpane źródło dopływu złota.

Założyłem serwetkę pod brodę i rozejrzałem się po obecnej kopalni złota. Pięćset milionów dolarów jak na dłoni, a raczej na szarym zamszu, wyściełającym fotele w tej przestronnej, klimatyzowanej jadalni. Przypuszczalnie jednak było to bliższe miliarda dolarów, a stary Beresford sam jeden wart był co najmniej jedną trzecią tej sumy.

Julius Beresford, prezes i główny udziałowiec Zjednoczenia Kopalni Hart-McCormicka, siedział tam, gdzie siadywał niemal zawsze, nie tylko teraz, lecz i na sześciu poprzednich rejsach - przy stole kapitańskim, po prawej ręce samego Bullena. Zajmował to najbardziej pożądane miejsce na statku nie dlatego, że zabiegał o nie, uważając, że należy mu się z racji olbrzymiego majątku, lecz dlatego, że obstawał przy tym sam kapitan Bullen. Istnieją wyjątki od każdej reguły, a Julius Beresford był wyjątkiem od reguły Bullena, mówiącej, że nie znosi on żadnych pasażerów i kropka. Beresford - wysoki, szczupły, swobodny mężczyzna, z czarnymi krzaczastymi brwiami i podkową siwiejących włosów okalających jego opaloną łysinę oraz z żywymi oczami gazeli, błyszczącymi na pooranej zmarszczkami, smagłej twarzy - pływał z nami wyłącznie dla spokoju, komfortu i kuchni. Towarzystwo wielkich ziębiło go, co ogromnie doceniał kapitan Bullen, który dokładnie podzielał jego zapatrywania. Beresford, siedzący na skos od mojego stołu, podchwycił mój wzrok

- Dobry wieczór, panie Carter - odezwał się. W przeciwieństwie do swojej córki, nie sprawiał na mnie wrażenia, że za każdym razem, gdy się do mnie odzywa, nadaje mi tytuł hrabiego. - Cudownie znów być na morzu, prawda? A gdzież to się dziś podziewa pański kapitan?

- Niestety, panie Beresford, pracuje. Mam państwa przeprosić w jego imieniu. Nie mógł zejść z mostka.

- Jest na mostku? - Siedząca na wprost męża pani Beresford odwróciła się do mnie. - Myślałam, że o tej porze to pan zwykle trzyma wachtę, panie Carter?

- To prawda - odparłem z uśmiechem. Pulchna, obwieszona biżuterią, z przesadnie ufryzowanymi, farbowanymi jasnoblond włosami, lecz wciąż piękna w wieku lat pięćdziesięciu, pani Beresford kipiała dobrym humorem, śmiechem i uprzejmością. Płynęła z nami dopiero po raz pierwszy, ale od razu stała się moją ulubioną pasażerką. - W tej okolicy jest jednak tyle łańcuchów wysepek, raf i wysp koralowych, że kapitan Bullen wołał osobiście nadzorować nawigację.

Nie dodałem, że gdyby to był właśnie środek nocy, a pasażerowie byliby już w łózkach, to kapitan Bullen też by spał spokojnie, nie martwiąc się o kompetencje swojego pierwszego oficera.

- A ja myślałam, że pierwszy oficer ma pełne kwalifikacje do kierowania statkiem? - Panna Beresford znów mnie przyszpiliła, uśmiechając się słodko i przyglądając mi się niewinnymi, czystymi, zielonymi oczyma, niemal zbyt wielkimi dla jej delikatnie opalonej twarzy. - Na wypadek, gdyby kapitanowi coś się stało. Przecież ma pan chyba patent kapitański?

- Mam. Podobnie jak prawo jazdy, ale jakoś nigdy nie prowadziłem autobusu w godzinach szczytu w centrum Manhattanu.

Stary Beresford wyszczerzył zęby. Jego żona uśmiechnęła się. Panna Beresford spoglądała na mnie w zamyśleniu przez chwilę, a następnie pochyliła się nad przekąską, prezentując połyskujące kasztanowe włosy, tak przystrzyżone, że jej fryzura sprawiała wrażenie, jakby ją wykonano za pomocą grabi i sekatora. Nie wątpiłem jednak, że fryzjer kosztował krocie. Natomiast siedzący obok niej mężczyzna nie zamierzał puścić mi tego



plazem. Odłożył widelec, uniósł szczupłą, ciemną głowę, aż mniej więcej wycelował we mnie nos, i odezwał się piskliwym głosem, przeciągając słowa:

- Ależ, poruczniku! Nie wydaje mi się, żeby to było trafne porównanie.

„Porucznik” miał mnie przywołać do porządku. Księżę Hartwell większość czasu na „Campari” spędzał na przywoływaniu ludzi do porządku, co było z jego strony wysoce niewdzięczne, zważywszy, że korzystał ze wszystkiego za darmo. Nie miał nic przeciwko mojej osobie - on tylko publicznie udzielał panie Beresford swojego wsparcia. Nawet niebagatelne pieniądze, które zarabiał zwabiając do zwiedzania swojej majestatycznej siedziby przepelnione należnym szacunkiem niższe klasy w grupach po dwie i sześć osób, w minimalnym tylko stopniu ratowały go przed miażdżącym brzemieniem podatku spadkowego, podczas gdy związek z panną Beresford uwolniłby go od kłopotów raz na zawsze. Niestety dla księcia sprawę komplikował fakt, że chociaż rozsądek skłaniał go ku panie Beresford, to jego uwaga i oczy kierowały się przeważnie ku nadmiernie obfitym wdziękom - i niezaprzeczalnej urodzie - kilkakrotnie rozwiedzionej aktorki o platynowych włosach, siedzącej po jego drugiej ręce.

- Ma pan rację, sir - przyznałem. Kapitan Bullen odmówił tytułowania go „Wasza Miłość”, a i mnie prędzej szlag trafi, nim zacznę się do niego tak zwracać. - Po prostu bez głębszego namysłu nic lepszego nie mogłem wymyślić.

Usatysfakcjonowany, pokiwał głową i zaatakował przekąskę. Stary Beresford spoglądał na niego z namysłem, pani Beresford z uśmiechem, panna Harcourt - aktorka - z podziwem, natomiast panna Beresford dalej nas obdarzała widokiem kasztanowej fryzury.

Dania przybywały i znikwały. Tej nocy w kuchni dyżurował Antoine i można było niemal wyciągnąć dłoń i dotknąć tej błogiej ciszy, która zapadła nad towarzystwem. Kelnerzy z Gôa bezszelestnie krążyli w zamszowym obuwiu po perskim dywanie, jedzenie pojawiało się i znikowało jak we śnie, w odpowiednim momencie zawsze czyjaś dłoń nalewała odpowiednie wino. Ale nie mnie. Ja piłem wodę sodową. Zobowiązywał mnie do tego mój kontrakt.

Podano kawę. Teraz właśnie nadchodziła chwila, w której miałem zapracować na pensję. Kiedy dyżur miał Antoine i był w dobrej formie, rozmowa zakrawałaby na profanację, toteż najbardziej stosowna była święta, pełna uznania cisza, niemal kościelna ekstaza. Niestety, czterdzieści minut tak entuzjastycznego milczenia w zupełności wystarczało na posiłek. Nigdy nie trwało ono dłużej. Nie zdarzyło mi się jeszcze spotkać bogatego mężczyzny - kobiety, na dobrą sprawę, też nie - którego ulubionym zajęciem nie było gadanie, przede wszystkim na swój temat. A zwykle pierwszym celem takich spostrzeżeń był oficer siedzący u szczytu stołu.

Powiodłem wzrokiem dookoła, zastanawiając się, kto pierwszy kopnie piłkę. Panna Harrbride - jej właściwego, środkowoeuropejskiego nazwiska nie sposób było wymówić - chuda, koścista, pod sześćdziesiątkę, twarda jak żebro wieloryba, zbijająca majątek na wysoce kosztownych, za to całkowicie bezużytecznych preparatach kosmetycznych, których sama przezornie nie używała? Czy pan Greenstreet, jej mąż - szary, bezbarwny człowieczek, o szarej, zapadniętej twarzy, który poślubił ją z diabli wiedzą jakiego powodu, jako że sam był wyjątkowo zamożny? Tony Carreras? A może jego ojciec, Miguel Carreras? Przy moim stole powinna być jeszcze szósta osoba, na miejsce trzeciego z Curtisów, którzy wraz z Harrisonami zostali tak pilnie wezwani do powrotu z Kingston, jednak staruszek, który zjawił się na pokładzie w wózku, jadał u siebie w kabinie, w asyście pielęgniarek. Czterech mężczyzn i jedna kobieta - to był źle obsadzony stół.

Pierwszy odezwał się señor Miguel Carreras.

- Ceny na „Campari” są skandaliczne - rzekł zimno. Z lubością pyknął z cygara. - To rozbój na pełnym morzu. Choć, z drugiej strony, kuchnia jest taka, jak zapewniamie. Macie kucharza o boskich zdolnościach.

- Istotnie, „boski”, to właściwe słowo. Doświadczeni podróżnicy, którzy zatrzymywali się w najlepszych hotelach po obu stronach Atlantyku, przyznają, że Antoine nie ma równego sobie ani w Europie, ani w Ameryce. Z wyjątkiem, być może, Henriquesa.

- Henriquesa?

- Naszego drugiego mistrza kuchni. Będzie miał dyżur jutro.

- Czy nie uważa pan, panie Carter, że tak przesadne wychwalanie „Campari” zakrawa na bezwstydy? - W połączeniu z uśmiechem nie mogła to być zaczepka.

- Nie sądzę. Zresztą następne dwadzieścia cztery godziny oraz Henriques przemówią sami za siebie, dużo lepiej niż ja mógłbym to zrobić.

- Touche! - Z uśmiechem sięgnął po butelkę Remy Martin; przy kawie kelnerzy byli nieobecni. - A ceny?

- Są straszne- przyznałem. Mówiłem to wszystkim pasażerom i wydawało się, że sprawia im to przyjemność. - Oferujemy rzeczy, jakimi nie dysponuje żaden inny statek na świecie, ale i tak ceny są skandaliczne! Co najmniej z tuzin osób, siedzących teraz w tej sali, mówiło mi o tym... a jednak dla większości to już co najmniej trzeci rejs.

- Jeden zero dla pana, panie Carter - wtrącił Tony Carreras. Głos miał taki, jak się spodziewałem: wolny, spokojny, o głębokim, donośnym brzmieniu. Spojrzał na ojca. - Pamiętasz tę listę w przedstawicielstwie Blue Mail?

- Oczywiście, byliśmy na niej dość daleko... a cóż to za lista! Połowa milionerów z Ameryki Południowej i Środkowej. Przypuszczam, że powinniśmy się uważać za szczęśliwców, panie Carter, skoro tylko nam odpowiadał tak niespodziewany termin po nagłym wyjeździe naszych poprzedników. Może nam pan coś powiedzieć na temat trasy?

- To ma być właśnie jedna z atrakcji. Nie mamy rozkładu jazdy. Nasza trasa w dużej mierze zależy od możliwości zabrania i miejsca przeznaczenia ładunku. Jedno tylko jest pewne: płyniemy do Nowego Jorku. Większość naszych gości tam wsiadła na pokład, a pasażerowie lubią być odwożeni z powrotem. - I tak o tym wiedział, wiedział, że wieziemy trumny nadane do Nowego Jorku. - Możliwe, że zatrzymamy się w Nassau. To zależy od nastroju kapitana - dyrekcja w dużej mierze daje mu wolną rękę w ustalaniu lokalnych tras, żeby najbardziej odpowiadały życzeniom pasażerów - a także od prognoz pogody. Mamy właśnie sezon huraganów, panie Carreras, i jeżeli prognozy będą złe, to kapitan Bullen będzie chciał mieć przed sobą pełne morze, więc pożegnamy się z Nassau. - Uśmiechnąłem się. - Jedną z kolejnych atrakcji „Campari” jest to, że - o ile nie zachodzi absolutna konieczność - nie narażamy pasażerów na chorobę morską.

- Rozważne, bardzo rozważne - mruknął Carreras. Przyjrzał mi się z namysłem. - Rozumiem jednak, że raz czy dwa zawiniemy do wschodniego wybrzeża?

- Nie mam pojęcia. Zwykle zawijamy. Ale to również zależy od kapitana. A to, jak się zachowa kapitan, zależy od niejakiego doktora Slingsby Caroline.

- Jeszcze go nie złapali - oświadczyła panna Harrbride szorstkim, grobowym głosem. Nachmurzyła się z płomiennym patriotyzmem Amerykanki w pierwszym pokoleniu, rozejrzała dookoła stołu i obdarzyła nas wszystkich widokiem swej naburmuszonej twarzy. - To niewiarygodne, po prostu niewiarygodne. Wciąż jeszcze nie mogę w to uwierzyć. Amerykanin, i to w trzynastym pokoleniu!

- Słyszeliśmy o tym typie. - Tony Carreras, tak jak jego ojciec, pobierał nauki angielskiego w ekskluzywnych szkołach, miał jednak mniej formalne podejście do tego języka. - O tym Slingsby Caroline. Ale co taki facet ma z nami wspólnego, panie Carter?

- Dopóki on jest na wolności, każdy transportowiec odbijający od wschodniego wybrzeża poddawany jest ostrej rewizji. Władze chcą się upewnić, że ani doktora, ani „Tornado” nie ma na pokładzie. Zwalnia to o sto procent obrót ładunku i pasażerów, co dokerów bije po kieszeni. Zastrajkowali, a tyle nieprzyjemnych słów padło już po obu stronach, że

prawdopodobnie dalej będą strajkować, nawet jak wreszcie złapią doktora Caroline. Jeżeli w ogóle go złapią.

- Zdrajca! - warknęła panna Harrbride. - Trzynaście pokoleń!

- A więc nie zbliżamy się do wschodniego wybrzeża, co? - spytał Carreras senior. - Przynajmniej na razie?

- Nie, dopóki to będzie możliwe. Natomiast Nowy Jork to konieczność. Kiedy, tego już nie wiem. Jeżeli jednak wciąż będzie sparaliżowany przez strajk, to być może najpierw zawiniemy do St. Lawrence. To zależy.

- Romantyczność, tajemniczość, przygoda - mruknął Carreras z uśmiechem. - Dokładnie tak, jak w waszych prospektach. - Spojrzał ponad moim ramieniem. - Chyba ma pan gościa, panie Carter.

Okręciłem się na krześle. Miałem gościa. Rudy Williams („Rudy” wywodziło się od grzywy jego płomienistych włosów) zbliżał się do mnie w nienagannie odprasowanym mundurze, z czapką wetkniętą sztywno pod lewe ramię. Rudy miał szesnaście lat - był naszym najmłodszym kadetem, rozpaczliwie nieśmiałym i nadzwyczaj wrażliwym.

- Co jest, Rudy? - spytałem. Stary zwyczaj nakazywał zwracać się do kadetów wyłącznie po nazwisku, ale jego wszyscy nazywali Rudym. Nie sposób było inaczej.

- Przysłała mnie kapitan, poruczniku. Przeprasza pana i pyta, czy mógłby pan przyjść do niego na mostek.

- Zaraz idę.

Rudy zawrócił, ja zaś podchwyciłem błysk w oku Susan Beresford, błysk, który zwykle zapowiadał jakiś żart na mój temat. Tym razem przypuszczalnie dowcip miał być o tym, jaki to jestem niezastąpiony, jak to zrozpaczony kapitan posyła po zaufanego sługę, gdy wszystko już stracone. Nie sądziłem wprawdzie, że byłaby zdolna powiedzieć coś takiego w obecności kadeta, ale też nie postawiłbym na to złamanego grosza, wobec czego wstałem czym prędzej, powiedziałem „przepraszam, panno Harrbride, przepraszam panowie” i szybko wyszedłem za Rudym na korytarz od sterburty. Czekał tam na mnie.

- Kapitan jest w swojej kabynie. Chciałby, żeby pan tam przyszedł.

- Co? Mówiłeś...

- Tak, wiem. Kazał mi tak powiedzieć. Na mostku jest pan Jamieson - George Jamieson był naszym trzecim oficerem - a kapitan Bullen jest u siebie. Z panem Cummingsem.

Skinąłem głową i odszedłem. Przypomniłem sobie teraz, że kiedy wychodziłem, Cummingsa nie było na jego stałym miejscu przy stole, chociaż z pewnością siedział tam na początku kolacji. Apartament kapitana znajdował się dokładnie pod mostkiem i dotarłem tam w dziesięć sekund. Zastukałem w wypolerowane drzwi z drewna tekowego, usłyszałem burkliwe zaproszenie i wszedłem do kabiny.

Niewątpliwie Blue Mail dbała o swojego komandora. Nawet kapitan Bullen, który przecież nie był sybarytą, nie protestował, że go rozpieszczą. Miał trzypokojowy apartament z łazienką, urządzony w najlepszym milionerskim guście, a jego kabina dzienna, w której się właśnie znajdowałem, była bardzo stosownym przedśionkiem do reszty - zapadający się pod stopami dywan koloru czerwonego wina, ciemnopurpurowe draperie, błyszcząca boazeria z sykomoru, nad głową wąskie dębowe belki, a na krzesłach i kanapie zielona skóra. Kiedy wchodziłem, kapitan Bullen podniósł na mnie wzrok - ani trochę nie przypominał człowieka napawającego się domowym komfortem.

- Coś się stało, kapitanie? - spytałem.

- Siadaj. - Wskazał mi fotel. - Jakbyś zgadł, stało się. Zaginął Benson Bananowe Nogi. White zameldował o tym dziesięć minut temu.

Określenie „Benson Bananowe Nogi” brzmiało niczym imię jakiegoś udomowionego antropoida lub, w najlepszym razie, prowincjonalnego zawodowego zapaśnika, jednak w rzeczywistości było przydomkiem naszego łagodnego, wytwornego, wysoce kulturalnego

ochmistrza, Fredericka Bensaona. Benson cieszył się zasłużoną reputacją człowieka o żelaznej dyscyplinie i to jeden z jego niezadowolonych podwładnych, po otrzymaniu surowej, acz zasłużonej nagany, zauważył nieznaczny prześwit między kolanami Bensaona i dorobił mu przezwisko, nim ten zdążył się odwrócić. Imię przyłgnęło na dobre, głównie dlatego, że było kompletnie bezsensowne i nieadekwatne. Natomiast White był zastępcą ochmistrza.

Nic nie odpowiedziałem. Bullen nie cenił ludzi, a zwłaszcza swoich oficerów, wykazujących skłonność do wykrzykników czy dumnych powtórzeń. Zamiast tego spojrzałem na człowieka siedzącego przy stole naprzeciw kapitana, Howarda Cummingsa.

Cummings, płatnik - mały, pulchny, sympatyczny i niebywale bystry Irlandczyk - był, zaraz po Bullenie, najważniejszą osobą na statku. Nikt tego nie kwestionował, chociaż sam Cummings nie dawał odczuć, że faktycznie tak jest. Na statku pasażerskim dobry płatnik jest wart tyle złota, ile sam waży, a Cummings był perłą wręcz bezcenną. W ciągu trzech lat jego służby na „Campari” tarcia, kłopoty i skargi wśród pasażerów były czymś w zasadzie niespotykanym. Howard Cummings był geniuszem mediacji, kompromisu, łagodzenia wzbudzonych uczuć i w ogóle właściwego traktowania ludzi. Kapitan Bullen prędzej by sobie uciął prawą rękę niż puścił Cummingsa ze statku.

Spoglądałem na płatnika z trzech powodów. Po pierwsze, wiedział o wszystkim, co dzieje się na „Campari”, od planowanych tajnych partyjek w salonie telegraficznym, po kłopoty sercowe najmłodszego palacza w kotłowni. Był człowiekiem odpowiedzialnym za wszystkich stewardów na statku. I wreszcie był bliskim, osobistym przyjacielem Bananowych Nóg.

Cummings podchwycił moje spojrzenie i potrząsnął ciemną głową.

- Niestety, Johnny. Ja też jestem ciemny jak tabaka w rogu. Widziałem go tuż przed kolacją, była prawie za dziesięć ósma, kiedy piłem kwaterkę z płacącymi gośćmi. - Kwaterka Cummingsa pochodziła ze specjalnej butelki po whisky, napełnionej tonikiem. - Właśnie był tu White. Mówi, że widział Bensaona w apartamencie szóstym, kiedy przygotowywał go na noc, około dwudziestej dwadzieścia... pół godziny temu, nie, prawie czterdzieści minut. Miał się z nim później spotkać, ponieważ przez ostatnie kilka lat co noc, o ile pogoda dopisywała, Benson i White spotykali się na pokładzie na papieroska, kiedy pasażerowie siedzieli przy kolacji.

- O stałej porze? - przerwałem.

- Tak. Koło ósmej trzydzieści, a nie później niż o ósmej trzydzieści pięć. Ale nie dzisiaj. O ósmej czterdzieści White zaczął go szukać w kabinach. Nie było tam po nim ani śladu. Zebrał na poszukiwania z pół tuzina stewardów - i wciąż nic. Posłał po mnie, a ja przyszedłem do kapitana.

A kapitan posłał po mnie, pomyślałem. Jak tylko się kroi brudna robota, to posyłajcie po starego, zaufanego Cartera. Spojrzałem na Bullena.

- Poszukiwania, kapitanie?

- Właśnie, poruczniku. Cholerny świat, jedno nieszczęście za drugim. Byle spokojnie, o ile możecie.

- Oczywiście, kapitanie. Czy mogę wziąć Wilsona, bosmana, kilku stewardów i starszych marynarzy?

- Możesz sobie wziąć lorda Dextera i jego radę nadzorczą, jeżeli pomoże ci to znaleźć Bensaona - warknął Bullen.

- Tak jest. - Odwróciłem się do Cummingsa. - Nie był chory? Może miał zawroty głowy, omdlenia, był podatny na ataki serca itp.?

- Miał platfusa, to wszystko - odparł Cummings z uśmiechem, choć wcale nie było mu do śmiechu. - W zeszłym miesiącu był na okresowych badaniach lekarskich u doktora Marstona. To pewne na sto procent. A płaskostopie to choroba zawodowa.

Znów odwróciłem się do kapitana Bullena.

- Czy mógłbym najpierw prosić o dwadzieścia minut, może pół godziny, żeby się spokojnie rozejrzeć, kapitanie? Razem z panem Cummingssem. Zgadza się pan, żebyśmy szukali wszędzie?

- Byle w rozsądnych granicach.

- Wszędzie! - nalegałem. - Inaczej to będzie tylko strata czasu. Pan o tym wie, kapitanie.

- Mój Boże! Toż to dopiero parę dni od tej historii na Jamajce. Pamiętacie, jak zareagowali pasażerowie na celników i amerykańskich marynarzy przeszukujących ich kabiny? Radzie nadzorczej to się spodoba! - Podniósł wzrok ze znużeniem. - Przypuszczam, że chodzi ci o kabiny pasażerów?

- Załatwimy to bez hałasu.

- No, to dwadzieścia minut. Znajdziecie mnie na mostku. Ale nie wleźcie nikomu bez potrzeby na odcisk.

Po wyjściu zeszedliśmy na pokład „A” i skręciwszy w prawo i w lewo, znaleźliśmy się w trzydziestometrowej długości centralnym korytarzu, rozdzielającym apartamenty na pokładzie „A”. Było tam tylko sześć apartamentów - po trzy z każdej strony. Na środku korytarza White spacerował nerwowo tam i z powrotem. Skinąłem na niego, a on ruszył szybko w naszą stronę: chudy, łysiejący facet z wyrazem wiecznego bólu na twarzy, złożony podwójną niemocą - chroniczną niestrawnością i nadmiarem skrupulatności.

- Masz wszystkie klucze, White? - spytałem.

- Tak.

- Świetnie. - Skinąłem na pierwsze drzwi po mojej prawej stronie, prowadzące do apartamentu numer jeden. - Otwórz.

Otworzył. Wyminąłem go, a za mną płatnik. Nie musieliśmy zapalać świateł - były włączone. Zważywszy na ceny, jakie płacili pasażerowie „Campari”, prośby o oszczędzanie energii byłyby stratą czasu, wręcz obelgą.

W apartamentach na „Campari” nie było koi. Stały tam masywne łóża z baldachimami, wyposażone w ukryte ścianki boczne, które można było szybko podnieść na wypadek sztormu. Biorąc pod uwagę dokładność współczesnych prognoz pogody, wolną rękę kapitana Bullena w kwestii unikania huraganów oraz skuteczność naszych stabilizatorów firmy Denny-Brown, nie przypuszczam, żeby kiedykolwiek te ścianki były używane. Choroba morska nie miała wstępu na „Campari”.

W skład apartamentu wchodziła sypialnia, sąsiadujący z nią salon oraz łazienka, a za nią była jeszcze jedna kabina. Wszystkie okna z taflowego szkła wychodziły na lewą burzę. Sprawdziłemabinę w minutę, zaglądając pod łóżka, lustrując szafy, komody, patrząc za kotary, wszędzie. Nic. Wyszliśmy.

W korytarzu znów skinąłem na apartament po przeciwnej stronie. Numer drugi.

- Teraz ten - powiedziałem do White'a.

- Przykro mi, poruczniku, ale nie mogę tego zrobić. Tu mieszka starszy pan z pielęgniarzkami. Zaniesiono im specjalnie trzy tace, o... niech sprawdzę... tak jest, około szóstej piętnaście wieczorem, a pan Carreras, ten sam, który dziś wszedł na pokład, dał instrukcje, żeby im nie przeszkadzać aż do rana. - White'owi się to podobało. - Bardzo jasne instrukcje, poruczniku.

- Carreras? - Spojrzałem na płatnika. - A co on ma do tego, panie Cummings?

- Nie słyszał pan? Wygląda na to, że pan Carreras ojciec jest starszym wspólnikiem jednej z największych firm prawniczych w tym kraju, „Cerdan i Carreras”. Pan Cerdan, założyciel firmy, to właśnie staruszek w tym apartamencie. Zdaje się, że od ośmiu lat jest ciężko sparaliżowany. Jego żona i syn (Cerdan junior jest, obok Carrerasa, drugim starszym wspólnikiem) mają go cały czas na głowie, a przypuszczam, że staruszek jest uciążliwy jak diabli. Rozumiem Carrerasa, który zaproponował, że weźmie go w rejs, przede wszystkim po

to, żeby Cerdan junior i żona starego mogli trochę odetchnąć. Naturalnie Carreras czuje się za niego odpowiedzialny, więc pewnie dlatego dał Bensonowi takie polecenie.

- On mi nie wygląda na takiego, co to stoi nad grobem - stwierdziłem. - Nikt go przecież nie chce wykończyć, tylko zadać mu kilka pytań. I pielęgniarkom.

White ponownie otworzył usta, chcąc zaprotestować, ale przycisnąłem się twardo obok niego i zastukałem do drzwi.

Bez odpowiedzi. Odczekałem całe trzydzieści sekund, po czym zastukałem ponownie, głośniejsze. Za mną White stał sztywny z obrazy i oburzenia. Zignorowałem go i właśnie unosiłem rękę, żeby naprawdę przyłożyć w drewno, kiedy usłyszałem jakiś szmer i drzwi uchyliły się raptownie.

Otworzyła je niższa z dwóch pielęgniarek, ta krępa. Na głowie miała staromodny, wiązany na tasiemki płócienny czepek; jedną dłoń ścisnęła lekki, wełniany szlafrok, spoza którego wystawały tylko czubki jej pantofli. Światło w kabinie było przygaszone, ale dostrzegłem dwa łóżka, w tym jedno wymięte. Wolna dłoń, którą pielęgniarka przecierała oczy, dopowiadała resztę historii.

- Najmocniej panią przepraszam - odezwałem się. - Nie miałem pojęcia, że pani już śpi. Jestem pierwszym oficerem, a to jest pan Cummings, płatnik. Zaginął nasz ochmistrz i zastanawialiśmy się, czy może nie słyszała pani lub nie widziała czegoś, co mogłoby nam pomóc.

- Zaginął? - Jeszcze bardziej ścisnęła szlafrok. - Chce pan powiedzieć, że... że po prostu zniknął?

- Powiedzmy, że nie możemy go znaleźć. Czy może nam pani pomóc?

- Nie wiem, spałam. Widzi pan - wyjaśniła - zmieniamy się przy łóżku pana Cerdana co trzy godziny. On przez cały czas musi być pod opieką. Próbowaliśmy trochę zdrzemnąć, nim nadejdzie moja kolej, żeby zmienić pannę Werner.

- Przepraszam - powtórzyłem. - A więc nie może nam pani pomóc?

- Niestety nie.

- A może pani przyjaciółka, panna Werner, będzie coś wiedziała?

- Panna Werner? - Zamrugnęła. - Ależ pana Cerdana nie można...

- Bardzo proszę. To może być poważna sprawa.

- Dobrze. - Jak każda sprawna pielęgniarka wiedziała, na ile może sobie pozwolić i kiedy należy ustąpić. - Ale muszę prosić, żeby panowie zachowali spokój i nie sprawiali kłopotu panu Cerdanowi.

Nie wspomniała nic o takiej możliwości, że to pan Cerdan nam sprawi kłopoty, choć mogła nas uprzedzić. Kiedy wchodziliśmy do jego kabiny, siedział na łóżku, z książką na kocu przed sobą. Wisząca nad jego głową lampa nocna oświetlała ozdobioną purpurowymi kitkami szlafmycę i pograżała jego twarz w głębokim cieniu, jednak nie na tyle głębokim, by ukryć wrogi błysk pod prostą linią krzaczastych brwi. Ten wrogi błysk, jak mi się zdawało, był równie nieodłącznym elementem jego twarzy, co wielki, haczykowaty nos, sterczący ponad rzadkimi, białymi wąsami. Pielęgniarka wprowadziła nas i chciała przedstawić, lecz Cerdan uciszył ją rozkazującym gestem. Despotyczny jest ten staruch, pomyślałem, w dodatku skory do gniewu i kompletnie niewychowany.

- Mam nadzieję, że potrafi pan wyjaśnić to najście, mój panie. - Jego głos był dostatecznie lodowaty, by zmrozić polarnego misia. - Cóż to za zwyczaj, żeby wpadać tak do mojej prywatnej kabiny bez pozwolenia! - Przeniósł świdrujące spojrzenie na Cumminga. - Pan. Tak, właśnie pan. Miał pan wyraźne rozkazy, do cholery. Absolutny spokój. Niech no pan się wytłumaczy!

- Brak mi słów, żeby wyrazić, jak bardzo mi przykro, panie Cerdan - powiedział gładko Cummings. - To tylko nadzwyczajne okoliczności...

- Bzdury! - Jeżeli ten stary bałwan miał jakiś cel w życiu, to w każdym razie nie mogła to być chęć przeżycia przyjaciół: on ich stracił, nim jeszcze wyszedł ze żłobka. -Amanda! Złap kapitana przez telefon! Byle szybko!

Wysoka, chuda pielęgniarzka, siedząca na krześle z wysokim oparciem, zaczęła składać leżącą na jej kolanach robótkę - niemal skończoną, bładoniebieską kamizelkę - lecz machnąłem ręką, żeby nie wstawiała.

- Nie ma potrzeby wzywać kapitana, panno Werner. On o tym wie... to on nas tu przysłał. Mamy tylko maleńką prośbę do pani i pana Cerdana...

- A ja mam maleńką prośbę do pana. - Jego głos przeszedł w falset, z podniecenia, gniewu, wieku lub ze wszystkich tych powodów razem. - Wynoś się pan stąd do diabła!

Zamierzałem wziąć głębszy oddech, aby odzyskać równowagę, lecz nawet ta dwu, trzysekundowa przerwa przyspieszyłaby tylko następny wybuch, toteż odrzekłem natychmiast:

- Dobrze. Ale najpierw chciałbym się dowiedzieć, czy pan lub panna Werner nie słyszeliście jakichś dziwnych, niezwykłych odgłosów w ciągu ostatniej godziny lub czy nie widzieliście czegoś, co wydało się wam podejrzane. Zaginął nasz ochmistrz. Jak dotąd nie wykryliśmy niczego, co mogłoby wyjaśnić jego zniknięcie.

- Zaginął, co? - parsknął Cerdan. - Pewnie pijany albo śpi. Albo jedno i drugie - dorzucił po chwili.

- On nie jest tego typu człowiekiem - wtrącił spokojnie Cummings. - Może nam pan pomóc?

- Niestety, panowie - odparła panna Werner niskim, ochrypłym głosem. - Niczego nie widziałyśmy ani nie słyszałyśmy. Nic takiego, co mogłoby się wam przydać. Ale jeżeli mogłybyśmy w czymś pomóc...

- Nie macie do roboty nic poza waszą pracą - przerwał szorstko Cerdan. - Nie możemy wam pomóc, panowie. Dobranoc.

Na korytarzu pozwoliłem sobie na długi, głęboki wydech, który, jak mi się zdawało, wstrzymywałem przez ostatnie dwie minuty, i zwróciłem się do Cummingsa:

- Nie mam pojęcia, ile ten stary cymbał płaci za kabinę, ale i tak policzyli mu za mało - powiedziałem z goryczą.

- Teraz rozumiem, dlaczego pani Cerdan i Cerdan junior byli szczęśliwi, że chwilowo będą go mieli z głowy - zgodził się Cummings. Zważywszy, że wyszło to od niewzruszonego, dyplomatycznego płatnika, był to wyraz skrajnego potępienia. Cummings zerknął na zegarek. - Nigdzie nie dojechaliśmy, co? A za piętnaście, dwadzieścia minut pasażerowie zaczną napływać do kabin. Może pan skończy tutaj, a ja z Whitem zejdę na dół?

- Zgoda. Dziesięć minut. - Wziąłem klucze od White'a i zabrałem się za pozostałe cztery apartamenty, Cummings zaś zszedł z Whitem do sześciu na dolnym pokładzie.

Dziesięć minut później, bez najmniejszych rezultatów w pierwszych trzech apartamentach, dotarłem do ostatniego - wielkiego, pierwszego od dziobu po lewej stronie statku, zajmowanego przez Juliusa Beresforda i jego rodzinę. Przeszukałem kabinę Beresforda i jego żony - a teraz już szukałem na serio, nie tylko Bensona, lecz wszelkich możliwych śladów - ale znowu nic. To samo w salonie i łazience. Przeszedłem do drugiej, mniejszej kabiny, zajmowanej przez córkę Beresfordów. Za meblami nic, za kotarami nic, pod łóżkiem z baldachimem też nic. Ruszyłem do tylnej grodzi i przesunąłem rozsuwane drzwi, odsłaniając wielką garderobę, zajmującą całą ścianę kabiny. W ściennej szafie ujrzałem pewnie z sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt wieszaków, a jeśli na którymś z nich wisiało mniej niż dwieście, trzysta dolców, to mam kiepskie oko. Torowałem sobie drogę wśród Balenciagów, Diorów i Givenchych, zaglądając pod nie i za nie. Bez skutku.

Zasunąłem drzwi i ruszyłem do mniejszej szafy w rogu pokoju. Była pełna futer, płaszczy, czapek i etoli. Nie miałem pojęcia, po jakie licha ktoś chciałby ciągnąć ze sobą to

wszystko na Karaiby. Dotknąłem szczególnie pięknego, długiego futra i odsuwałem je na bok, by zajrzeć w ciemność za nim, kiedy usłyszałem cichy szcęk, jakby zwalnianej klamki, i głos:

- To rzeczywiście piękne norki, prawda, panie Carter? Dla pana są pewnie warte tyle, co dwuletnia pensja.



### III. Wtorek, od dwudziestej pierwszej trzydziści do dwudziestej drugiej piętnaście

Susan Beresford była piękna, to fakt. Idealny owal jej twarzy, wydatne kości policzkowe, błyszczące kasztanowe włosy i o dwa odcienie ciemniejsze brwi oraz najbardziej zielone oczy, jakie sobie można wyobrazić, sprawiały, że wszyscy oficerowie na statku chodzili po ścianach, nawet ci, których zdręczała na śmierć. Wszyscy z wyjątkiem Cartera. Nieustanny wyraz chłodnego rozbawienia na twarzy niespecjalnie mnie pociąga.

Teraz jednak nie miałem powodu, żeby się na to uskarżać. Nie była ani chłodna, ani rozbawiona. Dwie ciemnoczerwone plamy gniewu - a może zabarwione nieco strachem? - pojawiły się na jej opalonych policzkach, a jeżeli jej twarz nie wyrażała jeszcze reakcji kogoś, kto niespodziewanie natknął się na wyjątkowo odrażającego karalucha, to widać było, że nastąpi to niedługo - skrzywienie kącika jej ust można było zmierzyć bez pomocy mikromierza. Puściłem norki i zamknąłem drzwi szafy.

- Nie powinna pani tak wpadać na ludzi - powiedziałem z wyrzutem. - Powinna pani była zapukać.

- Powinam była... - Zaciśnęła wargi. Wciąż jeszcze nie była rozbawiona. - Co pan chciał zrobić z tym futrem?

- Nic. Nie noszę norek, panno Beresford. Żle na mnie leżą. - Uśmiechnąłem się, lecz ona nie. - Zaraz to wyjaśnię.

- Z pewnością. - Była już na wpół za drzwiami. - Wolałabym jednak, żeby pan to wyjaśnił mojemu ojcu.

- Jak pani sobie życzy - odparłem swobodnie. - Ale proszę się pośpieszyć, mam pilną robotę. Niech pani skorzysta z tego telefonu. A może ja mam to zrobić?

- Niech pan zostawi ten telefon - odrzekła z irytacją. Westchnęła, zamknęła drzwi i oparła się o nie, ja zaś musiałem przyznać, że każde drzwi, nawet te wyłożone kosztowną boazerią na „Campari”, wyglądały o niebo lepiej, gdy stanowiły tło dla Susan Beresford. Potrząsnęła głową i od stóp do głów obdarzyła mnie spojrzeniem wstrząsająco zielonych oczu. - Mogę sobie wyobrazić wiele rzeczy, ale jakoś nie widzę naszego nieocenionego pierwszego oficera uciekającego w szalupie na bezludną wyspę z moimi norkami na rufie. - Wraca do normy, stwierdziłem z żalem. - Zresztą, po co miałby pan to robić? W tamtej szufladzie leży pięćdziesiąt tysięcy dolarów w biżuterii.

- Przegapiłem ją - przyznałem. - Nie zaglądałem do szuflad. Szukam człowieka, który jest chory, nieprzytomny lub w jeszcze gorszym stanie, a Benson nie zmieściłby się w żadnej z szuflad, jakie mi się zdarzyło oglądać.

- Benson? Nasz ochmistrz? Ten miły człowiek? - Zrobiła kilka kroków w moją stronę, a ja poczułem dziwną przyjemność, widząc błysk zatroskania w jej oczach. - Zaginał?

Powiedziałem jej wszystko, co sam wiedziałem. Nie trwało to długo. Kiedy skończyłem, stwierdziła:

- Też coś! Tyle zachodu o nic. Mógł się wybrać na spacer, przysiąc sobie gdzieś czy zapalić, a tymczasem pierwsze, co pan robi, to przeszukuje kabiny...

- Nie zna pani Bensa, panno Beresford. Nigdy w życiu nie opuścił pomieszczeń pasażerskich przed jedenastą w nocy. Mniej by nas zaniepokoiło, gdyby się okazało, że oficer wachtowy zszedł z mostka lub że sternik porzucił koło. Przepraszam na moment. - Otworzyłem drzwi kabiny, chcąc zlokalizować źródło dźwięków na zewnątrz, i w głębi korytarza ujrzałem White'a i drugiego stewarda. Oczy White'a rozbłysły na mój widok, lecz zaraz pociemniały, gdy ujrzał za moimi plecami Susan Beresford. Jego poczucie przyzwyczajenia brało tej nocy tęgie baty.

- Zastanawiałem się, gdzie pan jest, poruczniku - odezwał się z naganą. - Przysłał mnie pan Cummings. Niestety, na dole bez rezultatów. Pan Cummings przeszukuje teraz nasze kabiny. - Przez chwilę stał nieruchomo, lecz niepokój szybko wyszedł na pierwszy plan i stał wyraz dezaprobaty z jego twarzy. - Co mam teraz robić?

- Nic. Dopóki nie znajdziemy ochmistrza, pan będzie szefem. Przede wszystkim niech pan pamięta o pasażerach. Proszę powiedzieć stewardom, że za dziesięć minut mają stawić się przed wejściem do pomieszczeń na pokładzie „A”. Jeden do przeszukania kwater oficerskich od dziobu, drugi do kwater od rufy, a trzeci do sprawdzenia spiżarni, kuchni i magazynów. Ale czekajcie na mój rozkaz. Panno Beresford, chciałbym skorzystać z pani telefonu.

Nie czekałem na pozwolenie. Złapałem słuchawkę, połączyłem się z centralą, a przez nią z kabiną bosmana. Miałem szczęście - był u siebie.

- MacDonald? Tu pierwszy oficer. Przepraszam, Archie, że cię wyciągam, ale mamy kłopot. Benson zaginął.

- Ochmistrz? - W jego powolnym, głębokim głosie, który po dwudziestu latach na morzu nie stracił ani krzty ze swej śpiewnej, góralskiej intonacji, w całkowitym braku podniecenia czy zdziwienia było coś niezmiernie uspokajającego. Archie był więcej niż moją prawą ręką - wśród załogi pokładowej był najważniejszą osobą na statku. I najbardziej niezastąpioną. - A przeszukaliście kabiny pasażerów i stewardów?

- Tak. Bez skutku. Weź paru ludzi, obojętne czy wolnych, czy z wachty, i przejdźcie się po głównych pokładach. Wieczorem o tej porze kręci się tam zwykle mnóstwo marynarzy. Sprawdźcie, czy ktoś widział Bensaona albo czy widział lub słyszał coś niezwykłego. Może jest chory, może się przewrócił czy zranił, choć z tego, co wiem, nie ma go na pokładzie.

- A jak nam się nie powiedzie? Następna cholerna rewizja?

- Niestety tak. Wystarczy ci na to dziesięć minut?

- Naturalnie.

Wyłączyłem się, zadzwoniłem do dyżurnego oficera mechanika, poprosiłem go o przysłanie kilku ludzi do pomieszczeń pasażerskich, wykonałem następny telefon do Tommy'ego Wilsona, drugiego oficera, a następnie kazałem się połączyć bezpośrednio z kapitanem. Kiedy czekałem, panna Beresford znów obdarzyła mnie swoim uśmiechem, jak zwykle słodkim, lecz jak na mój gust zbyt złośliwym.

- No, no - mruknęła z podziwem. - Sprawnie działamy. Telefon tu, telefon tam. Majestatyczny generał Carter planuje kampanię. To dla mnie nowe wcielenie pierwszego oficera.

- To niepotrzebne zamieszanie - usprawiedliwiłem się. - Zwłaszcza że chodzi o stewarda. Ale on ma żonę i trzy córki, które myślą, że słońce wciąż dla niego wstaje i zachodzi.

Zaczerwieniła się po cebulki kasztanowych włosów i przez chwilę myślałem, że mnie uderzy. Okręciła się jednak na pięcie, zrobiła kilka kroków po puszystym dywanie i stanęła koło okna, wpatrując się w ciemność na zewnątrz. Do tej pory nie zdawałem sobie sprawy, że plecy mogą wyrażać tyle emocji.

W słuchawce usłyszałem kapitana Bullena. Jego głos był szorstki i burkliwy jak zwykle, ale nawet metaliczna bezosobowość telefonu nie mogła zatuszować brzmiącego w nim niepokoju.

- Jakież rezultaty, poruczniku?

- Żadnych, kapitanie. Zorganizowałem ekipę poszukiwawczą. Mogę zacząć za pięć minut?

Nastąpiła przerwa, po czym rzekł:

- Musiało do tego dojść, jak sądzę. Ile to panu zajmie?

- Dwadzieścia minut, może pół godziny.

- Uwinie się pan z tym szybko, prawda?

- Nie przypuszczam, kapitanie, żeby się przed nami chował. Obojętne, czy jest chory, ranny, czy miał jakiś pilny powód do opuszczenia pomieszczeń pasażerskich, mam nadzieję, że go gdzieś znaję.

Chrząknął i powiedział:

- Mogę w czymś pomóc? - Było to na wpół pytanie, na wpół stwierdzenie.

- Nie, kapitanie. - Widok Bullena przeszukującego górne pokłady lub zagląającego pod pokrycia szalup z pewnością nie zwiększyłby zaufania pasażerów do „Campari”.

- No to w porządku, poruczniku. Jeśli będzie mnie pan potrzebował, to jestem w salonie telegraficznym. Postaram się panu zdjąć z głowy pasażerów. - Świadczyło to, że był zmartwiony, i to bardzo - w normalnych warunkach prędzej by wszedł do klatki pełnej tygrysów bengalskich niż wdał się w zażyłości z pasażerami.

- Rozumiem, kapitanie. - Wyłączyłem się. Susan Beresford przeszła z powrotem przez kabinę i stanęła koło mnie, wkręcając papierosa w długą na stopę cygarniczkę. Z nieokreślonego powodu cygarniczka ta zirytowała mnie, podobnie jak irytowało mnie wszystko, co dotyczyło panny Beresford, a już na pewno sposób, w jaki stała, z pewnością siebie oczekując na podanie ognia. Zastanawiałem się, kiedy ostatnio panna Beresford była zmuszona własnoręcznie przypalić sobie papierosa. Prawdopodobnie nie w ciągu ostatnich paru lat, przynajmniej o ile w promieniu stu metrów znajdował się jakiś mężczyzna. Dostała ogień, wypuściła leniwie chmurę dymu i rzekła:

- Ekipa poszukiwawcza? To powinno być interesujące. Może pan na mnie liczyć.

- Przykro mi, panno Beresford. - Muszę przyznać, że w moim głosie nie było przykrości.

- To sprawa załogi statku. Kapitanowi by się to nie podobało.

- Ani jego pierwszemu oficerowi, prawda? Niech pan się nie trudzi z odpowiedzią. - Spojrzała na mnie z namysłem. - A jednak mogę się okazać niewygodna. Co by pan powiedział, gdybym tak podniosła słuchawkę i powiedziała rodzicom, jak to złapałam pana na grzebaniu w naszych prywatnych rzeczach?

- Chciałbym to widzieć, proszę pani. Znam pani rodziców. Chętnie popatrzę, jak dostaje pani w skórę za to, że robi pani z siebie rozpaskudzonego bachora, podczas gdy stawką jest życie.

Tego wieczora barwy na jej wydatnych kościach policzkowych pojawiały się i znikwały niczym neony. Teraz znów wystąpiły. Wcale nie była tak opanowana i zrównoważona, jaką grała. Zgasiła świeżo zapalonego papierosa i powiedziała spokojnie:

- A gdybym tak doniosła o pańskiej bezczelności?

- Niech więc pani nie stoi i nie gada. Telefon ma pani pod ręką. - Nie ruszyła się z miejsca, ja zaś ciągnąłem: - Szczerze mówiąc, to tacy jak pani przyprowadzają mnie o mdłości. Korzysta pani z bogactwa ojca i z uprzywilejowanej pozycji pasażerki „Campari”, żeby stroić sobie żarty, najczęściej złośliwe, z marynarzy, którzy nie mogą się zrewanżować. Muszą po prostu siedzieć i to znosić, bo nie są równi pani. Przeważnie nie mają żadnych oszczędności, za to mają rodziny do wyżywienia, matki na utrzymaniu, więc wiedzą, że muszą się uśmiechać do panny Beresford, gdy ta dowcipkuje ich kosztem, wprawia ich w zakłopotanie i doprowadza do pasji, bo jak nie, to panna Beresford i jej podobni dopilnują, żeby się znaleźli bez pracy.

Zamarła w bezruchu.

- Proszę dalej - powiedziała.

- To wszystko. Nadużywanie władzy, nawet w takich drobiazgach, jest godne pogardy. A jak już ktoś się pani rewanżuje, tak jak ja, to grozi pani zwolnieniem z pracy, bo do tego pani insynuacje się sprowadzają. A to jest więcej niż godne pogardy. To tchórzostwo.

Odwróciłem się i ruszyłem do drzwi. Najpierw znaję Bensaona, a potem oświadczyć Bullenowi, że odchodzę. Zresztą i tak miałem już dość „Campari”.

- Panie Carter...

- Tak? - Odwróciłem się, lecz dłoń trzymałem na klamce. Aparat sterujący barwami jej twarzy pracował nadliczbowo. Tym razem zbladła pod opalenizną. Postąpiła kilka kroków ku mnie i oparła mi dłoń na ramieniu. Jej ręka drżała.

- Jest mi strasznie, strasznie przykro - powiedziała cicho. - Nie miałam pojęcia. Lubię żarty, ale nie złośliwe. Myślałam... myślałam, że to jest nieszkodliwe i że nikt nie ma mi tego za złe. Nigdy by mi się nawet nie śniło grozić komuś zwolnieniem z pracy.

- Ba!

- Nie wierzy mi pan. - Wciąż ten sam cichy głos, wciąż dłoń na moim ramieniu.

- Oczywiście, że pani wierzę - odparłem bez przekonania. I wówczas spojrzałem jej w oczy, co było grubym błędem i posunięciem wielce ryzykownym, ponieważ te wielkie zielone oczy, co zauważyłem po raz pierwszy, w przedziwny sposób rozplływały się i roztopiały, poważnie utrudniając mężczyznom oddychanie. - Oczywiście, że pani wierzę - powtórzyłem, tym razem z przekonaniem, które nawet mną wstrząsnęło. - Proszę mi wybaczyć grubiańskie maniery. Ale muszę się śpieszyć, panno Beresford.

- Czy mogę pójść z panem?

- Tak, do kroćset! - burknąłem poirytowany. Udało mi się oderwać wzrok od jej oczu i z powrotem zacząć oddychać. - Proszę ze mną, jeśli ma pani ochotę.

W przedniej części korytarza, tuż za wejściem do apartamentu Cerdana, wpadłem na Carrerasa seniora. Palił cygaro, a na twarzy miał wyraz ukontentowania i satysfakcji, właściwy wszystkim pasażerom, którzy właśnie mieli okazję poznać kunszt Antoine'a.

- A, tu pan jest, panie Carter - odezwał się. - Zastanawiałem się, dlaczego nie wrócił pan do stołu. Czy coś się stało, jeśli wolno spytać? Przy wejściu zebrał się chyba z tuzin marynarzy. Myślałem, że regulamin zabrania...

- Czekają na mnie. Benson - pan chyba jeszcze nie miał okazji go poznać, to nasz ochmistrz - zaginął. Na zewnątrz czeka ekipa poszukiwawcza.

- Zaginął? - Szare brwi powędrowały w górę. - A cóż się... no, oczywiście nie ma pan pojęcia, co mu się stało inaczej by pan nie organizował poszukiwań. Można w czymś pomóc?

Zawahałem się, pomyślałem o pannie Beresford, która już się w to wepchnęła, uświadomiłem sobie, że nie mam możliwości powstrzymania niektórych czy nawet wszystkich pasażerów od włączenia się do akcji, gdyby tego chcieli, i odparłem:

- Dziękuję, panie Carreras. Nie wygląda pan na człowieka, który mógłby coś przegapić.

- Jesteśmy z tej samej gliny, panie Carter.

Pozostawiłem tę zagadkową uwagę bez odpowiedzi i pośpieszyłem na zewnątrz. Noc była bezchmurna, a niebo usiane niezliczonymi gwiazdami. Z południa wiał ciepły, łagodny wiatr. Umiarkowana martwa fala nie stanowiła problemu dla naszych stabilizatorów firmy Denny-Brown, które bez trudu mogły zredukować trzydziestostopniowy przechył o dwadzieścia pięć stopni. Od pobliskiej ocienionej grodzi oddzielił się jakiś kształt i podszedł do mnie. Był to Archie MacDonald, bosman. Pomimo stu kilogramów żywej wagi poruszał się lekko jak tancerz.

- Jak poszło, bosmanie? - spytałem.

- Nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał. A pomiędzy ósmą a dziewiątą na pokładzie był z tuzin chłopców.

- Jest tam pan Wilson? O, jest. Niech pan weźmie personel maszynowni i trzech starszych marynarzy i zabierzcie się za główny pokład i teren pod nim. Chyba już wiecie, gdzie szukać - dodałem gorzko. - MacDonald, my się weźmiemy za górne pokłady. Ty od lewej burty, ja od prawej. Weź dwóch marynarzy i kadeta. Spotkamy się za pół godziny.

Wysłałem jednego człowieka do zbadania stanowisk łodzi. Nie mogłem sobie wyobrazić, dlaczego Benson mógłby chcieć dostać się do łodzi, może tylko dlatego, że szalupy zawsze stanowiły wielką atrakcję dla tych, którzy się chcieli ukryć, chociaż z jakiego powodu miałby chcieć się ukryć, również nie miałem pojęcia. Następnie wysłałem do przeszukania górnych

nadbudówek nad mostkiem. Sam zająłem się różnymi kabinami na pokładzie łodziowym, kabiną nawigacyjną, flagową i radarową. Pomagał mi Carreras. Rudy, nasz najmłodszy praktykant, udał się na rufę, aby przesunąć się w kierunku dziobu w towarzystwie panny Beresford, która przypuszczalnie odgadła, zresztą trafnie, że nie miałem nastroju na jej towarzystwo. Za to Rudy miał. Jak zawsze. Nic, co Susan Beresford robiła czy mówiła o nim, nie sprawiało mu najmniejszej różnicy. Był jej niewolnikiem i nie dbał, czy ktoś o tym wie. Gdyby mu kazała skoczyć dla niej w komin, poczytałby to sobie za zaszczyt; mogłem go sobie wyobrazić, jak przeszukuje górne pokłady, z Susan Beresford u boku i twarzą tego samego koloru co płomieniste włosy.

Wychodząc z kabiny radarowej dosłownie wpadłem na niego. Dyszał jak po dłuższym biegu, a ja stwierdziłem, że omyliłem się co do koloru jego twarzy - w panującym na pokładzie półmroku wydawała się szara niczym stara gazeta.

- Kabina radiowa! - wyrzucił z siebie i chwycił mnie za ramię. W normalnych warunkach coś takiego nawet by mu się nie śniło. - Proszę za mną, szybko.

Byłem już w pełnym biegu.

- Znalazłeś go?

- To nie on, to pan Brownell. - Brownell był naszym głównym radiotelegrafistą. - Wygląda na to, że coś mu się stało.

Dopadłem kabiny w dziesięć sekund, przecisnąłem się obok bladej plamy w postaci Susan Beresford stojącej na zewnątrz drzwi, przekroczyłem próg sztormowy i stanąłem.

Brownell przykręcił wiszący nad głową reostat, tak że pokój nie był oświetlony nawet w połowie, co jest często spotykaną praktyką wśród telegrafistów na nocnej służbie. Leżał oparty na stole, z głową spoczywającą na prawym przedramieniu, toteż widziałem tylko jego ramiona, ciemną głowę i łysinę, która była zmorem jego życia. Palce jego wyciągniętej lewej ręki dotykały telefonu, łączącego bezpośrednio z mostkiem. Klucz nadawczy wystukiwał nieprzerwanie. Przesunąłem prawe ramię Brownella o kilka centymetrów do przodu. Nadawanie ustało.

Zbadałem puls na wyciągniętym lewym nadgarstku. Zbadałem puls na szyi. Odwróciłem się do stojącej wciąż w drzwiach Susan Beresford i spytałem:

- Ma pani lusterko?

Skinęła głową w milczeniu, pogrzebała w torebce i wyciągnęła otwartą puderniczkę z lusterkiem. Podkręciłem reostat, by kabinę radiową zalało ostre światło, przesunąłem nieco głowę Brownella, przez może dziesięć sekund trzymałem lusterko przy jego ustach i nosie, odjąłem je, obejrzałem i oddałem.

- Fakt, że coś mu się stało - stwierdziłem. Mój głos był spokojny, nienaturalnie spokojny.

- Nie żyje. Przynajmniej tak mi się zdaje. Rudy, ściągnij natychmiast doktora Marstona, o tej porze jest zwykle w salonie telegraficznym. Powiedz o tym kapitanowi, jeśli go tam zastaniesz. Ale nikomu więcej ani słowa.

Rudy zniknął, a jego miejsce w drzwiach obok Susan Beresford zajęła inna postać. Carreras. Stanął ze stopą na progu i rzekł:

- Mój Boże! Benson!

- Nie, Brownell. Oficer radiotelegrafista. Sądzę, że nie żyje. - W mizernej nadziei, że Bullen nie zszedł jeszcze do salonu telegraficznego, sięgnąłem po zawieszony na grodzi telefon z napisem „kabina kapitana”. Czekając na odpowiedź, spoglądałem na rozciągniętego na stole człowieka. W średnim wieku, pogodny, z jedną nieszkodliwą manią na punkcie swojego wyglądu, która doprowadziła go kiedyś nawet do sprawienia sobie peruki (wyrzucił ją pod naporem opinii panującej na statku), Brownell był jednym z najbardziej popularnych i lubianych oficerów. Właśnie... był. Usłyszałem trzask podnoszonej słuchawki.

- Kapitan? Tu Carter. Może pan zejść do kabiny radiowej? Natychmiast, jeśli można.

- Benson?

- Brownell. Wydaje mi się, że nie żyje.

Nastąpiła przerwa, po niej trzask. Odwiesiłem słuchawkę i sięgnąłem po inny telefon, łączący bezpośrednio z kajutami telegrafistów. Mieliśmy trzech radiotelegrafistów, a jeden z nich, ten ze środkowej wachty od północy do czwartej rano, zwykle darował sobie obiad w jadalni i udawał się do łóżka.

- Tu Peters - usłyszałem odpowiedź.

- Pierwszy oficer. Przepraszam, że przeszkadzam, ale proszę natychmiast przyjść do kabiny radiowej.

- Co jest?

- Dowie się pan na miejscu.

Wisząca lampa wydawała się zbyt jasna jak na pokój, w którym leżą zwłoki. Przykręciłem reostat i zapanował półmrok. W drzwiach ukazała się twarz Rudego. Nie był już tak blady, ale może to przygaszone światło sprawiało, że wyglądał korzystniej.

- Chirurg już idzie, poruczniku - wysapał. Oddychał szybciej niż zwykle. - Właśnie bierze torbę z ambulatorium.

- Dzięki. Leć teraz po bosmana. Tylko się po drodze nie zabij, Rudy. Teraz już nie ma pośpiechu.

Odszedł.

- Co się dzieje? - spytała cicho Susan Beresford. - Co... co mu się stało?

- Nie powinna pani tu być, panno Beresford.

- Co mu się stało? - powtórzyła.

- Na to odpowie lekarz. Mnie się zdaje, że umarł na tym krześle. Atak serca, zakrzep wieńcowy, coś w tym rodzaju.

Wstrząsnęła się bez słowa. Umarli to dla mnie nic nowego, jednak od lekkiego, lodowatego szczypania w szyję i kręgosłup też mi się zbierało na dreszcze. Ciepły wiatr był jakby zimniejszy, dużo zimniejszy niż kilka minut temu.

Pojawił się doktor Marston. Nie biegł, nie śpieszył się nawet nasz doktorek. Był to powolny człowiek o powolnym kroku. Wspaniała grzywa białych włosów, przystrzyżone białe wąsy, niezwykle gładka, delikatna cera jak na człowieka w tak podeszłym wieku, poważne, wyjątkowo niebieskie oczy o dziwnie penetrujących zdolnościach - wyczuwałem instynktownie, że jest to lekarz, któremu można ślepo zaufać. Dowodziło to jednak tylko tego, że należy ci instynkt odebrać i zamknąć w bezpiecznym miejscu, gdzie nie wyrządzi ci krzywdy. Faktem jest, że już na sam widok Marstona robiło się człowiekowi lepiej, i to było w porządku. Niemniej powierzenie życia jego rękom to była zupełnie inna sprawa, ponieważ istniały poważne szanse, że się go już nie odbierze. Jego przenikliwe oczy nigdy nie spoczęły na „Lancecie” ani nie zdobyły się na najmniejszy wysiłek, żeby na bieżąco śledzić postępy medycyny od ładnych paru lat przed II wojną światową. Inna sprawa, że nie musiały - Marston chodził do szkoły podstawowej, średniej i na uniwersytet razem z lordem Dexterem, więc pracę miał zapewnioną, przynajmniej tak długo, jak długo będzie zdolny utrzymać stetoskop. Jednak, gwoli sprawiedliwości, trzeba przyznać, że gdy dochodziło do leczenia na wskroś zdrowych, hipochondrycznych starszych pań, nie miał równego sobie na morzach i oceanach.

- No, John! - huknął. Z wyjątkiem kapitana Bullena, do każdego oficera na statku zwracał się po imieniu, dokładnie tak, jak wychowawca w prywatnej szkole mógłby się zwracać do obiecującego ucznia, który mimo wszystko wymaga jednak nadzoru. - Co za problem? Piękny Brownell zleciał ze stołka?

- Gorzej, doktorze, nie żyje.

- Wielki Boże! Brownell? Nie żyje? Zobaczmy, zobaczymy. Trochę więcej światła, John, jeśli możesz. - Rzucił torbę na stół, wyłowił z niej stetoskop, osłuchiwał Brownella tu i

tam, zbadał puls i wyprostował się z westchnieniem. - W pełni życia John... i to już dosyć dawno. Temperatura jest tu wysoka, ale powiedziałbym, że zmarł dobrze przed godziną.

W drzwiach dojrzałem teraz ciemną sylwetkę kapitana Bullena, czekającego i słuchającego w milczeniu.

- Atak serca, doktorze? - zaryzykowałem. W sumie nie był on aż tak nieudolny, po prostu zacofany o ćwierć wieku.

- Niech no zobaczą, niech zobaczą - powtórzył. Odwrócił głowę Brownella i przyjrzał jej się z bliska. Musiał się przyjrzeć z bliska - zdawał sobie sprawę, że bez względu na jego przenikliwe niebieskie oczy wszyscy na statku wiedzą, że jest krótkowzroczny jak ptak dodo, a nie chciał nosić okularów. - O proszę, popatrzcie na to. Język, wargi, oczy, a przede wszystkim cera. Nie ma wątpliwości, najmniejszych wątpliwości. Wylew do mózgu. Ciężki. I to w jego wieku. Ile miał lat, John?

- Czterdzieści siedem, osiem. Coś koło tego.

- Czterdzieści siedem, tylko czterdzieści siedem - mruknął i potrząsnął głową. - To chwyta coraz młodszych. Stres współczesnego życia.

- A ta wyciągnięta ręka, doktorze? - zapytałem. - Sięga po telefon. Myśli pan...

- To właśnie potwierdza moją diagnozę. Poczuję, że nadchodzi atak, próbowałem dzwonić po pomoc, ale wylew był zbyt nagły, zbyt ciężki. Biedny, stary Piękny Brownell. - Odwrócił się i dostrzegł majaczącego w drzwiach kapitana Bullena. - A, jest pan, kapitanie. Kiepska sprawa, kiepska sprawa.

- Kiepska sprawa - zgodził się Bullen ponuro. - Panno Beresford, pani nie ma prawa tutaj przebywać. Jest pani przemarznięta i drżąca. Natychmiast proszę się udać do kabiny. - Gdy kapitan Bullen przemawiał tym tonem, miliony Beresfordów nie miały najmniejszego znaczenia. - Doktor Marston przyniesie pani później środek uspokajający.

- A pan Carreras może będzie tak uprzejmy... - zacząłem.

- Oczywiście - zgodził się natychmiast Carreras. - Z największą przyjemnością odprowadzę panią do kabiny. - Ukłonił się lekko, podał jej ramię. Wydawała się z tego więcej niż zadowolona, i odeszli.

Pięć minut później w kabinie radiowej wszystko wróciło do normy. Peters zajął miejsce zmarłego, doktor Marston powrócił do ulubionego zajęcia, to jest do brylowania w towarzystwie i tęgiego popijania z milionerami, kapitan dał mi instrukcje, ja je przekazałem bosmanowi i Brownell, owinięty w płótno, został przeniesiony na dziób, do magazynu cieśli.

Pozostałem w kabinie radiowej przez kilka minut, rozmawiając z mocno wstrząśniętym Petersem, a przy okazji obojętnie rzuciłem okiem na ostatnią przyjętą depeszę. Wszystkie depesze zapisywano natychmiast po odebraniu w dwóch egzemplarzach - oryginał wędrował na mostek, a kopia do spinanych codziennie akt.

Podniosłem depeszę leżącą na wierzchu, lecz nie było to nic ważnego - po prostu wiadomość o pogorszeniu się pogody na południowy wschód od Kuby, z czego mógł, ale nie musiał, wynikać huragan. Rutynowa depesza, dotycząca dość odległego terenu. Podniosłem czysty blankiet, leżący koło łokcia Petersa.

- Mogę go zabrać?

- Proszę bardzo. - Wciąż był zbyt zmartwiony, żeby się zainteresować, po co mi ten blankiet. - Tego nam nie brakuje.

Zostawiłem go, przez jakiś czas spacerowałem po pokładzie, a potem ruszyłem do kabiny kapitana, gdzie miałem się zameldować, jak skończę. Jak zwykle, siedział w fotelu przy biurku, a Cummings i starszy mechanik na kanapie. Obecność McIlroya, niskiego, grubego wyspiarza z Man, o wyrazie twarzy i włosach Friara Tucka, oznaczała, że kapitan jest mocno zatroskany i że zwołał naradę wojenną. Genialność McIlroya nie ograniczała się jedynie do silników tłokowych - za jego pulchną, roześmianą twarzą znajdował się mózg, przypuszczalnie najbystrzejszy na całym „Campari”, wliczając w to nawet Juliusa Beresforda,

który musiał być naprawdę bystry, żeby się dorobić trzystu milionów dolarów czy coś koło tego.

- Siadajcie, poruczniku, siadajcie - warknął Bullen. „Porucznik” nie oznaczał, że znalazłem się na czarnej liście, a jedynie to, że kapitan był zamordowany. - Po Bensonie ani śladu?

- Najmniejszego.

- Cholerny rejs! - Bullen podsunął mi tacę z whisky i szklankami. Ten otwarty przejaw niezwykłego liberalizmu był kolejnym dowodem jego zatroskania. - Częstoście się, poruczniku.

- Dziękuję, kapitanie. - Nalałem sobie szczerze, taka okazja nieczęsto się zdarzała. - Co zrobimy z Brownellem?

- O co wam, do diabła, chodzi? „Co zrobimy z Brownellem?” On nie ma nikogo, kogo by trzeba było zawiadamiać, nie potrzeba na nic niczyjej zgody. Kwatera główna została poinformowana. Pogrzeb na morzu o świcie, zanim pasażerowie zaczną się kręcić. Przypuszczam, że nie powinienem im psuć tej przeklętej wycieczki.

- Czy nie byłoby lepiej zabrać go do Nassau, kapitanie?

- Do Nassau? - Spojrzał na mnie sponad oprawki okularów, a następnie odłożył je ostrożnie na stół. - To, że zmarł człowiek, to jeszcze nie powód, żebyście mieli zwariować.

- Do Nassau albo na jakieś inne terytorium brytyjskie. Albo do Miami. Gdzieś, gdzie będziemy mogli sprowadzić odpowiednie władze, policję, do zbadania tej sprawy.

- Jakiej sprawy, Johnny? - zapytał McIlroy. Z przekreconą na bok głową wyglądał niczym gruba, dobrze wypchana sowa.

-- Właśnie, co to za sprawa? - Ton Bullena był całkiem inny od tonu McIlroya. - Tylko dlatego, że nie znaleziono jeszcze Bensaona...

- Odwołałem poszukiwania, kapitanie.

Bullen odsunął fotel tak, że jego oparte o stół ręce były całkiem wyciągnięte.

- Odwołaliście poszukiwania - rzekł cicho. - A któż was do tego upoważnił, do licha ciężkiego?

- Nikt. Ale...

- Dlaczego to zrobiłeś, Johnny? - Znów spokojny głos McIlroya,

- Bo nigdy więcej nie zobaczymy Bensaona. To znaczy żywego. Benson nie żyje. Został zabity.

Przez całe dziesięć sekund nikt się nie odezwał. Odgłos chłodnego powietrza wpadającego przez nawiewniki z górnego kanału wentylacyjnego wydawał się nienormalnie donośny.

- Zabity? - wychrypiął kapitan. - Benson zabity? Dobrze się czujecie, poruczniku? Co chcecie przez to powiedzieć?

- To, że został zamordowany.

- Zamordowany? Zamordowany? - McIlroy poruszył się niespokojnie na kanapie. - Widziałeś go? Masz jakieś dowody? Skąd wiesz, że został zamordowany?

- Nie widziałem go. I nie mam żadnych dowodów. Ani cienia dowodu. - Dostrzegłem, że płatnik zaciska ręce i wpatruje się we mnie, i przypomniałem sobie, że od prawie dwudziestu lat Benson był jego najbliższym przyjacielem. - Ale mam dowód, że dziś w nocy zamordowano Brownella. I mogę powiązać jedno z drugim.

Nastąpiła jeszcze dłuższa cisza.

- Postradaliście zmysły - stwierdził wreszcie Bullen z cierpkim przekonaniem. - A więc Brownell też został zamordowany. Postradaliście zmysły, poruczniku... Zbikowaliście. Słyszeliście, co powiedział doktor Marston? Ciężki wylew do mózgu. Ale, oczywiście, on jest tylko lekarzem z czterdziestoletnią praktyką. Nie poznałby...



- Może jednak pozwoli mi pan skończyć, kapitanie - przerwałem. Mój ton był równie cierpki jak jego. - Wiem, że jest lekarzem. Wiem także, że ma słaby wzrok. Za to ja mam dobry. Dostrzegłem to, co on przegapił. Zobaczyłem ciemną plamę na kołnierzyku munduru Brownella... a czy kto kiedy widział jakąś plamę na jego koszuli? Nie bez powodu nazywali go „Pięknym Brownellem”. Ktoś go silnie uderzył czymś ciężkim w kark. Także pod jego lewym uchem znalazłem lekkie zabarwienie. Widziałem je, gdy tam leżał. Zanieśliśmy go z bosmanem do magazynu cieśli i zbadaliśmy. Pod prawym uchem miał mały siniak, a pod kołnierzykiem ślady piasku. Ktoś uderzył go workiem napełnionym piaskiem, a kiedy już leżał, nieprzytomny, zaciskał mu tętnice szyjne, aż zmarł. Zresztą sprawdźcie sami.

- Beze mnie - mruknął McIlroy. Widać było, że nawet jego monolityczne opanowanie zostało nadszarpnięte. - Beze mnie. Ja... wierzę w to absolutnie. Zbyt łatwo byłoby to obalić. Wierzę w całej pełni, ale wciąż nie mogę się z tym pogodzić.

- Do cholery, Pierwszy! - Bullen zacisnął pięści. - Doktor powiedział, że...

- Nie jestem lekarzem, ale wyobrażam sobie, że w obu przypadkach objawy byłyby podobne - przerwał McIlroy. - Nie można winić starego Marstona.

Bullen zignorował go i obdarzył mnie komandorskim spojrzeniem w całej krasie.

- Słuchajcie no, poruczniku - rzekł wolno. - Zmieniliście ton, co? Kiedy tam byłem, zgodziliście się z doktorem Marstonem. Nawet sami wysunęliście pomysł, że to atak serca. Nie wyglądaliście...

- Była tam panna Beresford i pan Carreras - wpadłem mu w słowo. - Nie chciałem, żeby wysnuli nieodpowiednie wnioski. Gdyby się rozeszło po statku - a musiałyby się tak stać - że podejrzewamy morderstwo, to ten, kto je popełnił, być może zostałby zmuszony do dalszej akcji, i to szybkiej, żeby uprzedzić nasze działania. Nie wiem, co by mógł zrobić, ale należy sądzić, że byłoby to coś cholernie nieprzyjemnego.

- Panna Beresford? Pan Carreras? - Bullen przestał zaciskać dłonie, lecz widać było, że nie na długo. - Panna Beresford jest poza wszelkim podejrzeniem. Ale Carreras? I jego syn? Wsiadli na pokład dzisiaj... i to w niecodziennych okolicznościach. To by mogło pasować.

- Nie pasuje. Sprawdziłem. Przez ostatnie dwie godziny, nim znaleźliśmy Brownella, obaj Carrerasowie byli razem albo w salonie telegraficznym, albo w jadalni. Są czyści jak ła.

- To by zresztą było zbyt oczywiste - zgodził się McIlroy. - Myślę, kapitanie, że czas, byśmy zdjęli kapelusze przed panem Carterem. On jeden kręcił się po statku i robił użytek z głowy, podczas gdy my siedzieliśmy tylko, przebierając palcami.

- Benson - powiedział kapitan Bullen. Nic nie wskazywało na to, by miał zdjąć kapelusz. - A co z nim? Jak on się z tym wiąże?

- Ano tak. - Położyłem na stole pusty notes telegrafisty. - Sprawdziłem ostatnią przyjętą depeszę, która poszła na mostek. Zwykła prognoza pogody. Czas: dwudziesta zero siedem. Ale na tej kartce napisano jeszcze jedną wiadomość... w oryginale, na kalce i na duplikacie. Wiadomość ta jest, niestety, nie do odcyfrowania, ale dla kogoś dysponującego nowoczesnym sprzętem policyjnym wykrycie tego, co tam zapisano, będzie dziecinnie proste. Jedyne, co da się odczytać, to odcisk dwóch ostatnich cyfr zapisu. Popatrzcie sami. Całkiem wyraźny: „33”. To oznacza dwudziestą trzydzieści trzy. W tym momencie nadeszła depesza, tak pilna, że nie czekając na rutynowy odbiór depesz na mostek, Brownell natychmiast sam tam zadzwonił. To dlatego jego dłoń dotykała telefonu, nie dlatego, że nagle zachorował. I wtedy został zabity. Ten, kto go zabił, musiał to zrobić. Pozbawienie go przytomności nic by nie dało, gdyż jak tylko doszedłby do siebie, przypomniałby sobie treść depeszy i natychmiast wysłał ją na mostek. To musiała być - dorzuciłem w zamyśleniu - diabelnie ważna wiadomość.

- Benson - powtórzył niecierpliwie Bullen. - Co z Bensonem?

- Benson stał się ofiarą nawyku. Howie mówił nam, jak to Benson codziennie wychodził na pokład na papieroska, między wpół do dziewiątej a za dwadzieścia pięć dziewiąta, kiedy pasażerowie siedzieli przy kolacji. Kabina radiowa znajduje się dokładnie powyżej miejsca,

gdzie Benson odbywał przechadzki. Nadeszła wiadomość i Brownell został zabity. Benson musiał usłyszeć lub zobaczyć coś niezwykłego i poszedł to sprawdzić. Możliwe nawet, że złapał mordercę na gorącym uczynku. I dlatego też musiał umrzeć.

- Ale dlaczego? - spytał kapitan Bullen. Wciąż nie mógł w to uwierzyć. - Dlaczego, dlaczego, dlaczego? Dlaczego został zabity? Dlaczego ta depesza była tak straszliwie ważna? To zwariowana sprawa. I, na miłość boską, co takiego było w tej depeszy?

- Żeby się tego dowiedzieć, kapitanie, musimy się dostać do Nassau.

Bullen popatrzył na mnie bez wyrazu, spojrzął na swoją szklankę, najwyraźniej zdecydował, że woli trunek ode mnie - a może od niedobrych wieści, jakie przyniosłem - i rozprawił się z zawartością szklanki w paru łykach.

McIlroy nie tknął swojej szklanki. Przez całą minutę wpatrywał się w nią z zadumą, po czym stwierdził:

- Niewiele rzeczy pominąłeś, Johnny. Z wyjątkiem jednej. Ten telegrafista na służbie... Peters, zdaje się. Skąd wiesz, że ta wiadomość nie nadejdzie powtórnie? Mogła to być depesza wymagająca potwierdzenia. Jeśli tak, a potwierdzenia nie było, to prawie pewne, że znów nadejdzie. A wtedy jaką mamy gwarancję, że to samo nie stanie się z Petersem?

- Bosman jest tą gwarancją. Siedzi w głębokim cieniu niecałe dziesięć metrów od kabiny radiowej z marspiklem w ręku i morderstwem w góralskim sercu. Znacie MacDonalda. Niech Bóg ma w swojej opiece każdego, kto zbliży się do kabiny radiowej.

Bullen nalał sobie kolejną małą whisky, uśmiechnął się ze znużeniem i zerknął na swoją komandorską naszywkę.

- Wydaje mi się, panie Carter, że powinniśmy się zamienić kurtkami. - Były to największe przeprosiny, na jakie mógł się zdobyć. Nie spodziewałem się ich przez najbliższe dwanaście godzin. - Chciałby pan zasiąść po mojej stronie biurka?

- Jeszcze jak, kapitanie - zgodziłem się. - Zwłaszcza gdyby to pan zabawiał pasażerów.

- A, jak tak, to wszystko zostaje po staremu. - Znów nikły uśmiech, który zniknął szybciej niż się pojawił.

- Kto jest na mostku? Chyba Jamieson? Lepiej go zmień, Pierwszy.

- Później, kapitanie, za pańskim pozwoleniem. Do wyświetlenia pozostaje jeszcze najważniejsza sprawa. Ale nie wiem nawet, jak się do tego zabrać.

- Niech mi pan nie mówi, że jest jeszcze coś - wysapał Bullen.

- Miałem po prostu trochę czasu, żeby nad tym pomyśleć - powiedziałem. - Nadeszła do nas depesza, depesza tak ważna, że musieli ją przejąć za wszelką cenę. Ale skąd ktoś mógł wiedzieć o tej depeszy? Jedyne sposoby, w jaki mogła nadejść na „Campari”, to przez słuchawki na uszach Brownella, a jednak ktoś ją zapisywał w tym samym czasie co Brownell. Musiało tak być. Brownell sięgnął po telefon na mostek jak tylko przepisał treść depeszy, a ledwie sięgnął po telefon... zginął. Na „Campari” jest jeszcze inny odbiornik nastawiony na tę samą długość fal; nie wiemy gdzie, ale z pewnością niezbyt daleko od kabiny radiowej, bo nasz podsłuchiwacz musiał się do niej dostać w ciągu sekund. Problem to znalezienie tego odbiornika.

Bullen popatrzył na mnie. McIlroy popatrzył na mnie. Spojrzeli po sobie. Wreszcie McIlroy zaprotestował:

- Ale przecież telegrafisci zmieniają długość fal. Skąd ktokolwiek mógł wiedzieć, na jakich falach Brownell pracował w danym momencie?

- A cóż tu w ogóle można wiedzieć? - powiedziałem. Skinieniem głowy wskazałem leżący na stole blankiet na depesze. - Przynajmniej dopóki tego nie odcyfujemy.

Bullen, wpatrzony w blankiet, nagle podjął decyzję.

- Depesza - warknął. - Do Nassau. Maksymalna szybkość, szefie, ale powoli, w ciągu pół godziny, żeby nikt nie zauważył różnicy. Pierwszy, na mostek. Wejść na kurs. - Wyciągnął

mapy, linijkę i cyrkiel, podczas gdy ja dokonywałem obliczeń. Kiedy skończyłem, pokiwał głową. - Znajdź możliwie najkrótszy kurs.

Nie trwało to długo.

- Stań dotąd zero czterdzieści siedem, kapitanie, w przybliżeniu dwieście dwadzieścia mil. Potem trzysta pięćdziesiąt.

- Kiedy dopłyniemy?

- Przy maksymalnej szybkości?

- Oczywiście.

- Jutro, tuż przed północą.

Sięgnął po blankiet, bazgrał przez chwilę, a następnie odczytał:

- „Do władz portowych w Nassau. SS. »Campari«, pozycja taka i taka, przypływa jutro, w środę, o dwudziestej trzeciej trzydzieści. Prosimy o natychmiastowe przybycie policji dla wyjaśnienia sprawy jednego morderstwa i jednego zaginięcia. Pilne. Kapitan Bullen”. To powinno wystarczyć. - Sięgnął po telefon. Chwycił go za rękę.

- Ten kto ma odbiornik, może równie łatwo przechwytywać depesze nadchodzące, co wysyłane. Dowiedzą się, że jesteśmy na ich tropie. A wtedy Bóg jeden wie, co się może stać.

Bullen popatrzył powoli najpierw na mnie, potem na McIlroya, a wreszcie na płatnika, który odkąd wszedłem do kabiny nie odezwał się ani słowem, i wrócił spojrzeniem do mnie. Potem podarł depeszę na drobne strzępy i wyrzucił ją do kosza na śmieci.

#### **IV. Wtorek, dziesiąta piętnaście wieczorem środa, ósma czterdzieści pięć rano**

Tej nocy niewiele wyszło z mojego śledztwa. Wymyśliłem wprawdzie, jak się za nie zabrać, jednak pech chciał, że nie mogłem nic zdziałać do rana, zanim nie wstaną pasażerowie. Nikt nie lubi, jak się go wyciąga z łóżka w środku nocy, a już najmniej milionerzy.

Na wszelki wypadek, żeby nie dostać w łeb marspiklem, dałem znak bosmanowi, że to ja, a następnie spędziłem dobry kwadrans w pobliżu kabiny radiowej, starając się określić jej położenie w stosunku do sąsiednich kabin i innych pomieszczeń. Kabina radiowa znajdowała się od dziobu, na prawej burcie, akurat nad pomieszczeniami pasażerskimi na pokładzie „A” - dokładnie nad apartamentem starego Cerdana - a jeżeli słuszne było moje podejrzenie, że morderca, nawet jeśli nie czekał na ostatnie słowa depechy, miał nie więcej niż dziesięć sekund na przedostanie się do kabiny radiowej z miejsca, gdzie ukryto odbiornik, automatycznie należało brać w rachubę każdy punkt oddalony stamtąd o dziesięć sekund drogi.

W tych granicach było całkiem sporo pomieszczeń. Mostek, kabiny: flagowa, radarowa i nawigacyjna oraz wszystkie kwatery oficerów pokładowych i kadetów. Te można było wykluczyć od razu. Była też jadalnia, kuchnia, spiżarnia, salon fryzjerski, salon telegraficzny oraz, bezpośrednio do niego przylegająca, następna kabina, zwana po prostu salonem, przeznaczona dla tych żon i córek milionerów, które nie były tak zainteresowane alkoholowymi i telegraficznymi atrakcjami tamtego salonu, jak ich mężowie i ojcowie. Na przeszukiwaniu ich - o tak później porze były puste - spędziłem czterdzieści minut i jeżeli wymyślono już odbiornik tranzystorowy mniejszy od pudełka zapalek, to mogłem go nie zauważyć - gdyby jednak był choć ciut większy, znalazłbym go z pewnością.

Zostały więc kajuty pasażerskie - w pierwszym rzędzie z położonego nad kabiną radiową pokładu „A”. Apartamentów na dolnym pokładzie „B” nie można było wykluczyć, gdy jednak dokonałem w myślach przeglądu gromadki zajmujących je zasuszonych staruszków, nie dostrzegłem mężczyzny zdolnego przedostać się do kabiny radiowej w dziesięć sekund. A z całą pewnością nie mogła to być kobieta - ten, kto zabił Brownella, nie tylko załatwił także Bensaona, lecz jeszcze usunął ciało z widoku, Benson zaś ważył okrągłe dziewięćdziesiąt kilogramów.

A więc pokłady „A” i „B”. Rano trzeba je będzie dokładnie przetrząsnąć. Modliłem się o dobrą pogodę, która skusiłaby pasażerów do wyjścia na pokłady słoneczne, dając stewardom szansę przeprowadzenia dokładnej rewizji pod pozorem ścielenia i sprzątnięcia kabin. Oczywiście, celnicy na Jamajce już raz sprawdzili kabiny - oni jednak szukali mechanizmu długości prawie dwóch metrów, a nie radia, które w dzisiejszej dobie miniaturyzacji mogło osiągnąć wymiary pozwalające, powiedzmy, na ukrycie go w tych masywnych szkatułach na biżuterię, tak powszechnych wśród żon naszych milionerów.

Płynęliśmy teraz prawie dokładnie na północny wschód, pod wspaniałym niebem koloru indygo, usianym gwiazdami. „Campari” kołysał się łagodnie, lawirując między rzędami leniwych fal. Wykonanie skrętu o osiemdziesiąt stopni zajęło nam prawie pół godziny, ale nie chcieliśmy, żeby jakiś nocny ptak wśród pasażerów zwrócił uwagę na zmianę naszego kursu, chociaż jeżeli któryś z nich miał choćby blade pojęcie o nawigacji gwiazdnej, czy też znał zupełnie elementarne sposoby odszukania Gwiazdy Polarnej, wszystkie te środki ostrożności były na nic.

Szedłem wolno lewą stroną pokładu łodziowego, gdy nagle ujrzałem nadchodzącego kapitana Bullena. Podniósł rękę i wskazał mi miejsce w cieniu, rzucanym przez jedną z okrętowych szalup.

- Myślałem, że cię tu gdzieś znajdę - odezwał się cicho. Sięgnął pod marynarkę i wcisnął mi w dłoń coś twardego i zimnego. - Mam nadzieję, że wiesz, jak się z tym obchodzić?

Światło gwiazd odbijało się matowo od ołowianego metalu w mojej dłoni. Bębnowy colt, jeden z trzech egzemplarzy wiszących zwykle na łańcuchu w zamkniętej, oszklonej szafce w sypialni kapitana. Nareszcie Bullen podszedł do sprawy poważnie.

- Wiem, kapitanie.

- W porządku. Wsadź go sobie za pas, czy gdzie tam się te cholerne gnaty trzyma. Nigdy bym nie przypuszczał, że to tak ciężko ukryć przy sobie. A tu masz zapasowe naboje. Boże, spraw, żebyśmy ich nie musieli używać. - A więc kapitan także miał swój.

- A trzeci rewolwer, kapitanie?

- Nie wiem. - Zawahał się. - Może Wilson...

- To dobry chłop. Ale niech go pan da bosmanowi.

- Bosmanowi? - Bullen podniósł głos, lecz przypomniał sobie o konieczności zachowania ciszy i jego ton przeszedł w konspiracyjny pomruk. - Znacie regulamin, poruczniku. Tych rewolwerów można użyć jedynie na wypadek wojny, ataku piratów lub buntu... i w żadnym wypadku nie można ich wydawać nikomu poza oficerami.

- Regulamin ani w połowie mnie tak nie obchodzi jak własna skóra, kapitanie. Zna pan MacDonalda... najmłodszy wiekiem starszy sierżant w komandosach, lista odznaczeń długa jak pańskie ramię. Niech mu go pan da.

- Zobaczmy - burknął. - Zobaczmy. Byłem właśnie w magazynie cieśli. Z doktorem Marstonem. Po raz pierwszy widziałem tego starego szarlatana wstrząśniętego do głębi. Zgadza się z tobą. Jego zdaniem nie ma wątpliwości, że Brownella zamordowano. Myślałby kto, że mu grożą kazamaty, takie sobie wyrabiał alibi. Ale McIlroy miał chyba rację, twierdząc, że objawy są podobne.

- Ba - odparłem z powątpiewaniem. - Mam nadzieję, kapitanie, że nic z tego nie wyniknie...

- O co ci chodzi?

- Zna pan starego Marstona równie dobrze jak ja. Dwie wielkie miłości jego życia to rum i stwarzanie wrażenia, że siedzi w środku wszystkiego, co się dookoła dzieje. To niebezpieczna kombinacja. Poza McIlroyem, płatnikiem, panem i mną, jedyną osobą, która wie, że Brownell nie zginął śmiercią naturalną, jest bosman, ale on się nie wygada. Natomiast doktor Marston to już zupełnie inna sprawa.

- Bez obaw, mój chłopcze. - W głosie Bullena zabrzmiała nieomal rozkosz. - Oświadczyłem naszemu drogiemu chirurgowi, że - bez względu na to czy jest kumplem lorda Dextera, czy nie, jeżeli choćby dotknie szklaneczki rumu, zanim dotrzemy do Nassau, to wyleci w ciągu tygodnia.

Próbowałem wyobrazić sobie, jak ktoś oświadcza coś podobnego naszemu czcigodnemu i arystokratycznemu doktorowi, ale wzdragałem się już na samą myśl. Starego Bullena nie zrobili komandorem floty bez powodu. Wiedziałem, że postąpiłby dokładnie tak, jak zapowiedział.

- Nie zdejmował z Brownella ubrania? - spytałem - Na przykład koszuli?

- Nie. A co za różnica?

- Po prostu istnieje możliwość, że ten, kto udusił Brownella, zaciskał palce z tyłu jego szyi, a wierzę, że policja jest dziś w stanie zdjąć odciski palców praktycznie z każdej substancji, także z różnego rodzaju materiałów. Nie powinni chyba mieć kłopotów ze zdjęciem odcisków z tych wypucowanych, krochmalonych kołnierzyków, jakie nosił Brownell.

- O niewielu rzeczach zapominasz - stwierdził Bullen w zamyśleniu. - Może tylko o tym, że prawdopodobnie minąłeś się z powołaniem. Coś jeszcze?

- Tak. W sprawie tego pogrzebu na morzu o świcie.

Nastąpiła długa pauza, po czym z bluźnierczo znudzoną obojętnością od dawna cierpiącego człowieka, który już zbyt długo trzymał się w ryzach, powiedział:

- Co za pogrzeb o świcie? Brownell to nasz jedyny eksponat dla policji w Nassau.

- Pogrzeb, kapitanie - powtórzyłem. - Ale nie o świcie. Powiedzmy o ósmej, kiedy większość pasażerów będzie już na nogach, na porannym spacerze. Chodzi mi o to, kapitanie...

Powiedziałem mu, o co mi chodzi. Słuchał dość cierpliwie, w zamyśleniu. Kiedy skończyłem, skinął głową ze dwa, trzy razy, odwrócił się i odszedł bez słowa.

Stanąłem w świetle między dwiema szalupami i zerknąłem na zegarek. Dwadzieścia pięć minut po jedenastej. Powiedziałem MacDonaldowi, że go zmienię o północy. Podeszedłem do relingu i stanąłem koło skrzyni z kamizelkami ratunkowymi, oparłem wyciągnięte ręce na balustradzie i wpatrywałem się w migocące wolno fale, na próżno starając się dojść do tego, co mogło się kryć za wydarzeniami tego wieczoru.

Kiedy się obudziłem, była za dwadzieścia pierwsza lecz nie od razu zdałem sobie z tego sprawę. Na początku nie zdawałem sobie sprawy z niczego. Kiedy ma się głowę ściśniętą w gigantycznym imadle i oślepienie oczy, to trudno sobie uświadamiać cokolwiek, poza obecnością imadła i ślepotą. Ślepotą. Moje oczy. Bałem się o moje oczy. Uniosłem rękę, przez chwilę macałem twarz, aż wreszcie je znalazłem. Były wypełnione czymś twardym i zakrzepniętym i gdy je przetarłem, skrzep ustąpił, a pod nim wyczułem lepkość. Krew. Krew zalała mi oczy, krew, która zlepiła mi powieki i mnie oślepiła. Przynajmniej, pomyślałem mętnie, to tylko krew mnie oślepiła.

Grzbietem dłoni starłem jeszcze trochę krwi i wreszcie byłem w stanie widzieć. Nie za dobrze, nie tak jak zwykle, gwiazdy na niebie, nie były jasnymi punkcikami światła, do których przywykłem, lecz bladą, zamazaną mgiełką, oglądaną przez oszronioną szybę. Wyciągnąłem dłoń, próbując dotknąć tej szyby, lecz zniknęła, rozplynęła się, a moja dłoń zetknęła się z zimnym metalem. Otworzyłem szeroko oczy i zobaczyłem, że nie było żadnej szyby - dotykałem od spodu poręczy relingu.

Widziałem coraz lepiej, przynajmniej lepiej niż ślepiec. Moja głowa leżała w luku odpływowym, o parę centymetrów od żurawika łodziowego. A cóż ja, na miłość boską, robiłem z głową w luku odpływowym, o kilka centymetrów od żurawika łodziowego? Udało mi się podłożyć pod siebie obie ręce i z nagłym, pijackim przechyłem dźwignąłem się do pozycji na w pół siedzącej, opierając się jednym łokciem o pokład. To był błąd, duży błąd, ponieważ natychmiast oślepiający, rozdzierający ból, ten nigdy nie zarejestrowany ból, doświadczany w ostatnich, niweczających wszelkie nadzieje milisekundach świadomości, kiedy zlatująca gilotyna przecina kości, ciało i mięśnie, nim spadnie na kłoc, sparaliżował mi głowę, szyję i ramiona, obalając mnie z powrotem na pokład. Musiałem solidnie rąbnąć głową o żelazny luk, ale nie przypuszczam, bym choćby jęknął.

Powoli, nieskończenie powoli wracałem do przytomności. Do swoistej przytomności. Jeśli idzie o jasność myśli, świadomość i szybkość powrotu do siebie, to byłem jak człowiek ze skutymi rękami i nogami, wynurzający się z morza melasy. Coś, uświadomiłem sobie niejasno, dotykało mojej twarzy, oczu i ust - coś zimnego, wilgotnego i słodkiego. Woda. Ktoś przemywał mi twarz wodą, delikatnie próbując usunąć krew z moich oczu. Chciałem obrócić głowę, żeby zobaczyć, kto to jest, lecz wówczas, jak przez mgłę, przypomniałem sobie, co się stało ostatnim razem, gdy poruszyłem głowę. Zamiast tego uniosłem więc prawą rękę i dotknąłem czyjś nadgarstek.

- Spokojnie, tylko spokojnie. - Człowiek z gąbką musiał mieć bardzo długie ramię, był ze dwie mile ode mnie, ale mimo to poznałem go po głosie: Archie MacDonald. - Niech pan się nie próbuje ruszać. Proszę trochę poczekać, a wszystko będzie w porządku.

- Archie?- Stanowiliśmy parę pozbawioną powłoki cielesnej, pomyślałem mętnie. Ja też byłem przynajmniej o parę mil stamtąd. Miałem tylko nadzieję, że byliśmy o parę mil stamtąd w tym samym kierunku. - To ty, Archie?-Bóg mi świadkiem, że w to nie wątpiłem, ja tylko domagałem się zapewnienia, że tak jest naprawdę.

- To ja. Proszę zdać się na mnie. - A więc to bosman, odkąd go poznałem, użył tego zdania nie mniej niż pięć tysięcy razy. - Proszę tylko leżeć nieruchomo.

Nie miałem zamiaru robić nic innego. Nim zapomnę, co się stało ostatnim razem, kiedy się poruszyłem, będę już pewnie staruszkiem, oczywiście o ile będzie mi dane żyć wystarczająco długo, co w tym momencie nie wydawało się bardzo prawdopodobne.

- Szyja, Archie - jęknąłem. Mój głos był już jakby o kilkaset metrów bliżej. - Chyba złamana.

- Tak, na pewno tak się panu wydaje, ale myślę, że chyba nie jest aż tak źle. Zobaczymy.

Nie wiem, jak długo tam leżałem, zanim bosman nie starł ze mnie krwi, może ze dwie, trzy minuty, aż wreszcie gwiazdy rozpląnęły się i skupiły. Potem bosman wsunął rękę pod moje ramiona i głowę i cał po cału zaczął mnie dźwigać do pozycji siedzącej.

Czekałem na opadnięcie gilotyny, ale nie spadła. Tym razem był to rzeźniczy topór, za to tępy - w ciągu paru sekund „Campari” obrócił się kilkakrotnie o trzysta sześćdziesiąt stopni, po czym wrócił na kurs - zero czterdzieści siedem, jak sobie przypominałem. Tym razem nie straciłem przytomności.

- Która godzina, Archie? - Głupie pytanie, ale nie byłem w najlepszej formie. Mój głos, co stwierdziłem z radością, był już praktycznie tuż obok mnie.

Odwrócił mój lewy nadgarstek.

- Według pańskiego zegarka dwunasta czterdzieści pięć. Sądzę, że leżał pan tu dobrą godzinę. Padał na pana cień łodzi, więc żaden spacerowicz by tu pana nie znalazł.

W ramach eksperymentu przesunąłem głowę o centymetr i skrzywiłem się z bólu. Jeszcze ze dwa centymetry i chybaby mi odpadła.

- Cóż mi się, u diabła, stało, Archie? Przewróciłem się, czy co? Nie pamiętam...

- Przewrócił się pan! - Jego głos był cichy i zimny. Poczułem, jak bosman obmacuje z tyłu moją szyję. - Nasz przyjaciel z woreczkiem piasku znów wybrał się na przechadzkę. Kiedyś - dorzucił w zamyśleniu - przyłapię go na tym.

- Worek z piaskiem! - Zacząłem się zbierać na nogi, ale nigdy by mi się to nie udało bez pomocy bosmana. - Kabina radiowa! Peters!

- Teraz ma dyżur młody pan Jenkins. U niego wszystko w porządku. Obiecał pan zwolnić mnie o północy, więc gdy się zrobiło dwadzieścia po dwunastej, wiedziałem, że coś tu nie gra. Poszedłem wprost do kabiny radiowej i zadzwoniłem do kapitana Bullena.

- Do kapitana?

- A do kogo innego miałem dzwonić? - Faktycznie, do kogo? Poza mną, kapitan był jedynym oficerem pokładowym, który wiedział, co się stało, gdzie jest schowany bosman i dlaczego MacDonald obejmował mnie teraz ramieniem, częściowo podtrzymując i prowadząc do biegnącego poprzecznie korytarza, wiodącego do kabiny radiowej. - Przyszedł od razu. Teraz siedzi tam i rozmawia z panem Jenkinsem. Zmartwiony jak cholera... myśli, że z panem się stało to samo, co z Bensonem. Dał mi prezent, zanim mnie wysłał na poszukiwanie pana. - Wykonał szybki ruch i zobaczyłem lufę rewolweru, który prawie cały nikał w jego olbrzymiej dłoni. - Mam nadzieję, że będę miał okazję zrobić z niego użytek, panie Carter, i to nie z kolby. Zdaje pan sobie chyba sprawę, że gdyby się pan przewrócił do przodu zamiast na bok, to najprawdopodobniej wypadłby pan przez reling do morza.

Ponuro zastanawiałem się, dlaczego oni - lub on -nie wyrzucili mnie za burtę, ale nic nie powiedziałem koncentrując się na dobrnięciu do kabiny radiowej.

Kapitan Bullen czekał tuż przed drzwiami, a kieszeń jego kurtki była wybrzuszona nie tylko przez dłoń. Ruszył nam szybko na spotkanie, chcąc pewnie wyjść z zasięgu słuchu

telegrafisty. Jego reakcja na mój stan i relacja o tym, co się wydarzyło, była taka, jakiej można sobie było życzyć. Wściekł się jak cholera. Odkąd go spotkałem po raz pierwszy, trzy lata temu, ani razu nie widziałem go w takim nastroju ściśle kontrolowanego gniewu. Kiedy się nieco uspokoił, zapytał:

- Dlaczego oni nie poszli na całego i nie wyrzucili cię za burtę, skoro już do tego doszło?

- Nie musieli, kapitanie - odparłem ze znużeniem - Nie chcieli mnie zabić. Tylko usunąć z drogi.

Przyjrzał mi się badawczo, zimnym wzrokiem.

- Mówisz tak, jakbyś wiedział, dlaczego cię rąbnęli.

- Wiem. A przynajmniej tak mi się zdaje. -Delikatnie potarłem dłonią kark. Teraz już byłem całkiem pewny, że nie miałem złamanych żadnych kręgow, choć mi się tak zdawało. - Sam sobie jestem winny. Zapomniałem o najważniejszym. Właściwie to wszyscy zapomnieliśmy. Jak zabili Brownella, a my przez skojarzenie faktów wydedukowaliśmy, że zabili także Bersona, to przestaliśmy się interesować Bersonem. Ja po prostu przyjąłem, że się go pozbyli. Jedyne, co mnie obchodziło, co nas obchodziło, to żeby nie doszło do ataku na telegrafistę, to odszukanie odbiornika i wykrycie, o co w tym wszystkim chodzi. Byliśmy pewni, że Berson nie żyje, a martwy Berson nie mógł nam się przydać. Więc zapomnieliśmy o nim. Berson należał do przeszłości.

- Chcesz mi powiedzieć, że Berson żył jeszcze, a może wciąż żyje?

- Nie żył już. - Czułem się jak dziewięćdziesięciolatek, w dodatku sparaliżowany, a jeżeli imadło trzymające moją głowę choć trochę popuściło, to ja tego nie zauważyłem. - Nie żył, ale się go nie pozbyli. Pewnie nie mieli okazji. Może musieli z tym poczekać, aż się zupełnie ściemni. Ale musieli się go pozbyć... gdybyśmy go znaleźli, to dowiedzielibyśmy się, że na pokładzie jest morderca. Upchnęli go pewnie w jakimś miejscu, gdzie nam nie przyszło do głowy szukać, na przykład w jakiejś przybudówce, w wentylatorze, za ławą na pokładzie słonecznym, byle gdzie. A ja byłem albo zbyt blisko tego miejsca i nie mogli się tam dostać, albo nie mogli go wypchnąć za burtę, dopóki stałem przy relingu. Po usunięciu jedynej przeszkody, to znaczy mnie, niczym nie ryzykowali. Przy maksymalnej szybkości wytwarzamy taką falę, że nikt by nic nie usłyszał, gdyby go wyrzucili do morza. A przy tak ciemnej, bezksiężycowej nocy jak dziś, nikt by nic nie zobaczył. Tylko ja stałem na drodze... ale z tym już nie mieli większego kłopotu - zakończyłem z goryczą.

Bullen potrząsnął głową.

- Nic nie słyszałeś? Ani kroków, ani świstu pałki?

- Nasza Cicha Stopa to raczej niebezpieczny gość, kapitanie - odparłem z zadumą. - Nie spowodował nawet najmniejszego szmeru. Nie sądziłem, że to w ogóle możliwe. Z tego, co wiem, mogłem zemdleć i uderzyć głową w żurawik. Tak właśnie sobie pomyślałem... nawet tak powiedziałem bosmanowi. I tak też jutro powiem każdemu, kto tylko będzie ciekawy. - Wyszczrzyłem zęby i mrugnąłem do MacDonalda. Nawet mrugnięcie mnie zabolowało. - Powiem im, że mnie pan przemęcza, kapitanie, i że upadłem z wyczerpania.

- Po co wszystkim opowiadać? - Bullena to nie rozśmieszyło. -Nie widać, gdzie zostałeś uderzony, ranę masz na skroni, przykrytą włosami, i bez problemu można by ją ukryć. Zgoda?

- Nie, kapitanie. Ktoś wie, że miałem wypadek... ten facet, który to spowodował, i na pewno byłby mocno zdziwiony, gdybym nic o tym nie wspomniał. Jeśli jednak przedstawię to jako babskie omdlenie, mamy poważne szansę, że gość uwierzy, a wtedy będziemy mieli przewagę, wiedząc, że na pokładzie dokonano morderstwa i napadu, podczas gdy oni nie będą podejrzewali, że my o tym wiemy.

- W twojej głowie - oświadczył kapitan Bullen bez krzty współczucia w głosie - zaczyna się wreszcie przejaśniać.



Kiedy się rano obudziłem, gorące słońce wpadało do kabiny przez odsłonięte okno. Moja kabina, przylegająca od strony rufy do kapitańskiej, leżała na prawej burcie, słońce zaś wpadało od dziobu, co oznaczało, że wciąż płynie my na północny wschód. Uniosłem się na łokciu, by rzucić okiem na stan morza, ponieważ „Campari” podlegał łagodnemu, lecz wyraźnemu kołysaniu, i wówczas odkryłem, że na szyję założono mi gips. Przynajmniej na to wyglądało. Mogłem poruszać głową ze dwa centymetry w każdą stronę, po czym chwyciły mnie kleszcze. Tępy, jednostajny ból, jednak niewart nawet wzmianki. Spróbowałem przekręcić głowę poza granice kleszczy, ale poprzestałem na jednej próbie. Odczekałem, aż kabina przestanie wirować, a rozpalone do białości druciki w mojej szyi ostygną do jakiejś znośnej temperatury, po czym wygramoliłem się sztywno z łóżka. Niech mnie nazywają Sztywny Carter, pomyślałem. Mnie tam już wszystko jedno.

Podszedłem do okna. Niebo wciąż było bezchmurne, białe słońce jarzyło się wysoko nad horyzontem, wyznaczając na błękitnie nieba błyszczący, oślepiający szlak. Fale były dłuższe, głębsze, cięższe niż się spodziewałem. Uderzały od lewej burty. Otworzyłem okno, lecz nie poczułem wiatru, co oznaczało, że od rufy dmie lekka bryza, jednak nie na tyle silna, by spienić gładką powierzchnię morza.

Wziąłem prysznic, ogoliłem się - do tej pory nie wyobrażałem sobie, jak trudno jest się golić, kiedy można przekręcić głowę najwyżej o pięć centymetrów - a następnie zbadałem ranę. W świetle dziennym wyglądała źle, dużo gorzej niż w nocy. Nad lewą skronią, nieco z tyłu, miałem pięciocentymetrową ranę, szeroką i dosyć głęboką. Pulsowała ciężko, w sposób, który mi się nie podobał. Podniosłem słuchawkę i zadzwoniłem do doktora Marstona. Był jeszcze w łóżku, lecz tak, obejrzy mnie natychmiast - hipokratyczna gotowość rannego ptaszka, zupełnie do niego nie pasująca, lecz może gnębiły go wyrzuty sumienia z powodu błędnej diagnozy postawionej zeszłego wieczoru. Ubrałem się, włożyłem czapkę, zawadiacko zsunąłem ją pod takim kątem, że obwódka niemal muskała ranę, po czym udałem się do niego.

Doktor Marston, świeży, wypoczęty, o niezwykle przytomnym spojrzeniu (co niewątpliwie było zasługą Bullena, który kazał mu się odzepić od rumu) nie wyglądał na człowieka gnębionego wyrzutami sumienia, który rzucił się w łóżku przez całą bezsenność. Nie wyglądał nawet na specjalnie przejętego faktem, że mamy na pokładzie gościa, który, gdyby na liście pasażerów miał podać zgodny z prawdą zawód, musiałby wpisać „morderca”. Jedyne, co go martwiło, to notatka z wczorajszego wieczoru w dzienniku pokładowym, lecz gdy mu powiedziałem, że na temat śmierci Brownella nie było i nie będzie żadnej notatki, póki nie dopłyniemy do Nassau, oraz że moje nazwisko nie będzie wymieniane w związku z diagnozą dotyczącą tej śmierci, stał się wręcz jowialny. Wygolił mi włosy na kilku centymetrach kwadratowych, zrobił zastrzyk znieczulający, oczyścił i zaszył ranę, zalepił ją plastrem i życzył mi udanego dnia. On już swój dzień pracy zakończył.

Była za kwadrans ósma. Przeszedłem po kilku trapach prowadzących z kajut na dziób i skierowałem się do magazynu cieśli. Jak na tak wczesne porę, pokład dziobowy był niezwykle zatłoczony. Zebrało się tam prawie czterdziestu członków załogi, aby złożyć ostatni hołd Brownellowi: załoga pokładowa, obsługa maszynowni, kucharze i stewardzi. Ale nie byli oni jedynymi widzami. Spojrzałem w górę i na pokładzie spacerowym, biegnącym dookoła dziobowej nadbudówki „Campari”, ujrzałem pasażerów, w sumie jedenastu czy dwunastu. Niby niewielu, jednak reprezentowali oni niemal całą męską część naszych gości, może z wyjątkiem starego Cerdana i ze dwóch innych. Kobiet nie zauważyłem. Złe wieści rozchodzą się szybko, a nawet milionerom okazja obejrzenia pogrzebu na morzu nie trafia się zbyt często. W samym środku stał książę Hartwell, wyglądający jak stary wodniak w starannie nasadzonej czapce królewskiego Yacht-Clubu, jedwabnej apaszce i marynarskiej kurtce z sarniej skóry z drewnianymi guzikami.

Okrążając pierwszą ładownię rozmyślałem ponuro, że może jednak w starych przesądach coś jest - zmarli szukają towarzystwa, jak mówią stare wilki morskie, a nieboszczycy załadowani wczoraj po południu, leżący teraz w czwartej ładowni, nie zwlekali z dobraniem sobie kompanii. W ciągu kilku godzin dwaj ludzie przenieśli się w zaświaty, a trzeciemu niewiele brakowało. Tyle tylko, że upadłem na bok, zamiast przelecieć przez reling. Znów poczułem te lodowate, zimne palce z tyłu szyi i zadrzałem. Po chwili wszedłem we względny mrok panujący w magazynie cieśli, położonym w forpiku.

Wszystko było gotowe. Mary - pośpiesznie zbita z desek platforma o wymiarach dwa metry na pół - leżały na pokładzie. Flaga brytyjskiej marynarki handlowej, przywiązana z jednej strony do dwóch uchwytów na górze mar, przykrywała owiniętą w płótno bryłę. W magazynie byli tylko bosman i cieśla. Patrząc na MacDonalda, nigdy bym nie pomyślał, że nie spał poprzedniej nocy. Na ochotnika trzymał wartę przed kabiną radiową aż do świtu. Zaproponował także, mimo że za dnia prawdopodobieństwo kłopotów było niewielkie, aby po śniadaniu wysłać dwóch marynarzy do szorowania pokładu przed kabiną radiową, w razie potrzeby nawet na cały dzień. Tymczasem kabinę radiową zamknięto, aby umożliwić Petersowi i Jenkinsowi udział w pogrzebie kolegi. Nie było z tym trudności - mieliśmy standardową instalację, powodującą, że jeżeli przychodziła depesza na falach wywoławczych „Campari” albo na fali alarmowej, to w kajucie głównego telegrafisty i na mostku rozlegał się dzwonek.

Lekka wibracja „Campari” zniknęła, gdy silniki zwolniły bieg na tyle, że szybkość statku zaledwie umożliwiała sterowanie na rozkołysanym morzu. Korytarzem nadszedł kapitan, niosąc pod pachą ciężką, oprawioną w drewno Biblię. Masywne stalowe drzwi w lewej burcie forpiku otwarto i pchnięto, aż ze szczękiem zaskoczyły na zatrask. Długie drewniane pudło umieszczono na miejscu, tak żeby jednym końcem przylegało do otworu w burcie statku. Ukazali się MacDonald i cieśla, z gołymi głowami, niosąc mary, które położyli na pudle.

Nabożeństwo było bardzo krótkie, bardzo proste. Kapitan Bullen powiedział parę słów o Brownellu, słów, jakie zwykle się mówi w takiej sytuacji, zaintonował chaotycznie odśpiewane „Panie, bądź ze mną”, odczytał modlitwę za zmarłych i skinął na bosmana. Marynarka wojenna załatwiała te sprawy z większą pompą, ale my nie woziliśmy na „Campari” trąbek. MacDonald uniósł jeden koniec mar, owinięta w brezent bryła wysliznęła się wolno spod bandery i zniknęła, i tylko lekki plusk zaznaczył jej odejścia. Spojrzałem w górę na pokład spacerowy i zobaczyłem księcia Hartwell, stojącego sztywno na baczność, z prawą ręką zgiętą w uroczystym pozdrowieniu do czapki z daszkiem. Nawet biorąc poprawkę na jego niekorzystny wygląd, a konkretnie twarz, rzadko widywałem równie śmieszny widok. Niewątpliwie na bezstronnym obserwatorze sprawiał bardziej stosowne wrażenie niż ja, ale nie mogłem w sobie wzbudzić należnego szacunku, wiedząc, że to, co grzebiemy, to kawał brezentu, pokaźna ilość odpadów z maszynowni oraz osiemdziesiąt kilogramów zardzewiałego łańcucha, koniecznego dla uzyskania niezbędnego ciężaru.

Drzwi w burcie statku zamknięto z trzaskiem, kapitan Bullen wręczył Biblię kadetowi, silniki zwiększyły obroty i „Campari” wrócił do pracy. A pierwszym punktem programu było śniadanie.

Przez trzy lata mojej służby na „Campari” rzadko widywałem na śniadaniu w jadalni więcej niż pół tuzina pasażerów. Większość zamawiała je do apartamentów lub na prywatne werandy przed swymi kabinami. Z wyjątkiem kilku aperitifów, po których następowały wyborne dania Antoine'a lub Henriquesa, nic poza dobrym pogrzebem nie było w stanie tak pozytywnie wpłynąć na więzy towarzyskie pasażerów. Brakowało tylko siedmiu, ośmiu osób.

Przy moim stole miałem komplet, oczywiście z wyjątkiem inwalidy, pana Cerdana. Powinienem wprawdzie trzymać wachtę, ale kapitan zdecydował, że skoro za kołem stoi dobry sternik, a w promieniu siedemdziesięciu mil nie ma żadnego lądu, młody Dexter, który zwykle trzymał wachty razem ze mną, da sobie radę sam podczas śniadania.

Jeszcze nie zdążyłem przysunąć sobie krzesła, a już panna Harrbride wbiła we mnie paciorkowate oczy.

- A cóż się panu przydarzyło, młody człowieku? - zapytała.

- Prawdę mówiąc, panno Harrbride, sam nie wiem.

- Co takiego?

- To prawda. - Przybrałem możliwie najbardziej zawstydzony wyraz twarzy. - Wczoraj w nocy stałem na pokładzie łodziowym, a następnie, co pamiętam, to że leżałem w luku odpływowym ze zranioną głową... upadając uderzyłem chyba w żurawik. - Historyjkę miałem już przygotowaną zawczasu. - Doktor Marston uważa, że była to kombinacja udaru słonecznego - prawie cały dzień czuwałem nad załadunkiem, a zapewniam, że było naprawdę gorąco - i faktu, że z powodu kłopotów w Kingston i wynikającego z nich opóźnienia niewiele spałem przez ostatnie trzy dni.

- Muszę przyznać, że na „Campari” ciągle coś się dzieje - odezwał się Miguel Carreras. Na twarzy miał wyraz powagi. - Jeden człowiek zmarł na atak serca, czy co to było, następny zaginął... chyba nie znaleziono dotychczas waszego ochmistrza?

- Niestety, nie.

- A teraz jeszcze pan chodzi w bandażach. Miejmy nadzieję, że na tym będzie koniec.

- Do trzech razy sztuka. Jestem pewien, że to już koniec. Nigdy jeszcze...

- Młody człowieku, niech no się panu przyjrzę - dobiegł mnie stanowczy głos od stolika kapitańskiego. Pani Beresford, moja ulubiona pasażerka. Obróciłem się na krzesło i zobaczyłem, że pani Beresford, zwykle siedząca tyłem do mnie, była teraz całkiem odwrócona. Obok niej księżę Hartwell, w przeciwieństwie do poprzedniego wieczoru, nie miał problemów z poświęcaniem całej uwagi Susan Beresford - siedząca zwykle po jego prawicy druga atrakcja, zgodnie z najlepszymi tradycjami świata filmu, rzadko wstawała przed południem. Pani Beresford badała mnie wzrokiem przez dobre dziesięć sekund.

- Nie wygląda pan zbyt dobrze, panie Carter - oświadczyła wreszcie. - Skręcił pan szyję, prawda? Nie musi pan się odwracać mówiąc do mnie.

- Trochę - przyznałem. - Jest jeszcze nieco sztywna.

- A na dodatek potłukł pan plecy - dodała z triumfem. - Widać to po tym, jak pan siedzi.

- Prawie nie boli - odparłem dzielnie. Na dobrą sprawę wcale mnie nie bolały, ale jeszcze nie przywykłem do noszenia broni za paskiem i kolba wciąż dźgała mnie bolesne w dolne żebra.

- Udar słoneczny, tak? - Na jej twarzy malowała się szczerza troska. - I brak snu. Powinien pan być w łóżku. Kapitanie Bullen, odnoszę wrażenie, że przemęcza pan tego młodego człowieka.

- Ciągle to powtarzam kapitanowi, proszę pani - rzekłem. - Ale on na mnie nie zwraca najmniejszej uwagi.

Kapitan Bullen uśmiechnął się lekko i powstał. Jego oczy, przesuwające się wolno po pokoju, miały wyraz oczu człowieka, który żąda uwagi i ciszy. Osobowość tego mężczyzny była tak silna, że dopiął swego w równe trzy sekundy.

- Panie i panowie - rozpoczął. Księżę Hartwell wpatrywał się w stół z takim wyrazem twarzy, jakby miał pod nosem śmierdzącą rybę, wyrazem rezerwowanym specjalnie dla lokatorów domagających się obniżenia czynszu oraz kapitanów floty handlowej, odmawiających tytułowania go publicznie „Wasza Miłość”. - Podobnie jak i państwa - ciągnął kapitan - bardzo mnie martwią wypadki ostatnich dwunastu godzin.. Bóg mi świadkiem, że strata głównego telegrafisty na skutek śmierci z przyczyn naturalnych to straszne. Żeby jednak tego samego wieczoru zaginął ochmistrz... czegoś takiego nie doświadczyłem przez trzydzieści sześć lat służby na morzu. Nie możemy stwierdzić z całą pewnością, co przydarzyło się naszemu ochmistrzowi; zaryzykuję jednak domniemanie, które powinno być także przestrogą. Znamy dosłownie setki wypadków, gdy ludzie znikali w nocy

za burtą, a nie mam wątpliwości, że śmierć Bensona spowodowało to samo, co dziewięćdziesiąt dziewięć procent podobnych wypadków. Nawet na doświadczonym żeglarzu wychylenie się w nocy za burtę i wpatrywanie w czarną wodę wywiera niesamowite, hipnotyczne wrażenie. Myślę, że to coś w rodzaju zawrotu głowy, często doświadczanego przez ludzi przekonanych, że jeżeli podejną, powiedzmy, do parapetu w wysokim budynku, to jakaś dziwna siła każe im wyskoczyć, bez względu na to, co nakazuje im ich świadomość. Tyle tylko, że wychylenie się przez reling nie wzbudza strachu. Jedynie stopniowo hipnotyzuje. Człowiek po prostu wychyla się coraz bardziej, aż jego środek ciężkości traci oparcie. I znika.

Jako alibi mające wyjaśnić śmierć Bensona było to równie dobre, jak co innego, natomiast jako ogólne stwierdzenie była to, niestety, prawda.

- A więc, panie i panowie, doradzałbym wam wszystkim stanowczo, żebyście się nie zbliżali w nocy do relingu, chyba że w towarzystwie.

Rozejrzałem się po pasażerach, na ile pozwalała mi zeszywniała szyja. Widać było, że wbili to sobie do głowy. Teraz by ich nie zaciągnięto nocą do relingu „Campari” nawet koźmi.

- Jednak - ciągnął kapitan Bullen - roztrząsanie tej sprawy nie pomoże tym nieszczęśnikom, a nam może tylko wyrządzić szkodę. Nie mogę od państwa wymagać, żebyście natychmiast zapomnieli o tych wypadkach, ale prosiłbym o nieroztrząsanie ich. Na statku, tak jak wszędzie, życie musi toczyć się dalej... powiedziałbym, że szczególnie na statku. Jesteście na „Campari” po to, żeby cieszyć się rejsem. My tu jesteśmy po to, żeby wam w tym pomóc. Byłbym niezmiernie wdzięczny, gdybyście nam pomogli jak najszybciej doprowadzić życie na statku do normalnego stanu.

Rozległ się stłumiony pomruk uznania. Siedzący za kapitanem Julius Beresford powstał.

- Czy pozwoli pan, kapitanie, że powiem parę słów? - Mógłby wykupić całą Blue Mail bez najmniejszego uszczerbku dla stanu swojego konta, a mimo to zawsze prosił o pozwolenie zabrania głosu i tytułował starego Bullena „kapitanem”.

- Oczywiście, panie Beresford.

- Otóż... - Beresford przemawiał na dostatecznie wielu posiedzeniach, by zwracając się do ludzi zachować całkowitą swobodę, bez względu na to, ile milionów dolarów sobą reprezentują. - Zgadzam się, zgadzam się całkowicie ze wszystkim, co powiedział kapitan. Kapitan Bullen stwierdził, że on i jego załoga mają zadanie, zadanie polegające na zapewnieniu pasażerom wszelkiego komfortu i wygody. W tych smutnych okolicznościach, w jakich się spotykamy dziś rano, uważam, że my, pasażerowie, także mamy zadanie... na ile to możliwe, ułatwić życie kapitanowi, oficerom i załodze, i pomóc im jak najszybciej przywrócić normalny stan rzeczy. Ze swej strony chciałbym prosić was wszystkich, żebyście przyjęli moje zaproszenie na dziś wieczór. Dzisiaj, panie i panowie, moja żona obchodzi urodziny. - Uśmiechnął się do pani Beresford. - Zapomniała wprawdzie, które to już z kolei. Nie mogę was zaprosić na urodzinowy obiad, cóż bowiem mógłbym wam zaproponować takiego, czego Antoine i Henriques nie serwują nam codziennie? Jednak pani Beresford i ja bylibyśmy wdzięczni, gdybyście przyjęli nasze zaproszenie na wieczór. Przyjęcie rozpocznie się o siódmej czterdzieści pięć w salonie. Dziękuję.

Rozejrzałem się po stole. Miguel Carreras kiwał lekko głową, jak gdyby z całą powagą doceniał i akceptował motyw Beresforda. Panna Harrbride promieniowała zadowoleniem. Była zapatrzona w Beresfordów - nie z powodu ich pieniędzy, lecz dlatego, że byli jedną z najstarszych rodzin amerykańskich, z diabli wiedzą iloma pokoleniami za sobą. Pan Greenstreet wpatrywał się w stół z właściwym sobie przejęciem. A Tony Carreras, jeszcze bardziej nieprzyzwoicie przystrojony niż zwykle, odchylił się w krzesło i spoglądał na Beresforda z lekko rozbawionym, pełnym namysłu zainteresowaniem. Może zresztą patrzył na Susan Beresford. W każdym razie byłem teraz najzupełniej pewny, że z oczyma Tony'ego

Carrerasa było coś nie tak - nie można było określić, w którą stronę patrzą. Podchwycił moje spojrzenie i uśmiechnął się.

- Przyjdzie pan, panie Carter? - Był na luzie, swobodny, co brało się z pękającego w szwach konta bankowego, lecz daleki od zwykłej protekcyjności. Mógłbym go chyba nawet polubić.

- Niestety, wpadnę tylko na krótko. O ósmej zaczynam wachtę. - Uśmiechnąłem się. - Jeżeli o północy będziecie się jeszcze bawić, to do was dołączę. - Dołączę, jak cholera: o dwunastej w nocy będę wprowadzał na pokład policję. - A teraz muszę państwa przeprosić, powinienem zmienić oficera wachtowego.

Przeprosiłem towarzystwo i wyszedłem. Na pokładzie niemal wpadłem na starszego marynarza o włosach koloru piasku, Whiteheada, który zwykle dzielił ze mną wachtę, spełniając funkcję łącznika z maszynownią, obserwatora, posłańca na mostek i specjalisty od parzenia kawy.

- Co tu robisz? - spytałem ostro. Kiedy młody Dexter stał na wachcie, chciałem, żeby dookoła niego było tyle bystrych oczu i tęgich głów, ile się da. Whitehead miał i jedno, i drugie. - Wiesz, że nie masz prawa schodzić z mostka pod moją nieobecność.

- Przepraszam, poruczniku. Ale wysłał mnie Ferguson. - Ferguson był sternikiem na przedpołudniowej wachcie. - Przegapiliśmy dwie zmiany kursu i zaczął się tym niepokoić. - Co piętnaście minut skręcaliśmy na północ o trzy stopnie, by wejść na kierunek północno-wschodni, ale powoli, żeby nikogo nie ekscytować.

- To od razu trzeba z tym walić do mnie? - burknąłem zirytowany. - Czwarty oficer Dexter doskonale może załatwić takie sprawy. - Nie mógł, ale jedną z ciemniejszych stron kolegowania się z Dexterem była konieczność kłamania w żywe oczy, byleby tylko zachować pozory solidarności.

- Wiem, poruczniku. Ale go nie ma. Zszedł z mostka ze dwadzieścia minut temu i jeszcze nie wrócił.

Brutalnie przepchnąłem się obok Whiteheada, odpychając go na bok, i pędem ruszyłem na mostek, przeskakując na trapie po trzy stopnie. Mijając róg, zobaczyłem, jak Whitehead gapi się na mnie z przedziwnym wyrazem twarzy. Pewnie pomyślał, że mi szajba odbiła.

## V. Środa, od ósmej czterdzieści pięć do piętnastej trzydzieści

Ferguson - wysoki, śniady, małomówny londyńczyk, z resztką włosów, o której nie ma co wspominać - obejrzał się, gdy wpadłem do sterówki przez drzwi prowadzące na prawe skrzydło mostka. Jego twarz wyrażała ulgę.

- Bogu dzięki! Cieszę się, że pana wi...
- Gdzie czwarty oficer? - przerwałem mu.
- Choćby mnie pan zabił, nie wiem. Te zmiany kursu..
- Do diabła ze zmianami kursu! Gdzie on polazł?

Ferguson zamrugał ze zdziwieniem. Na twarzy miał ten sam wyraz, co kilka sekund temu Whitehead - wyraz ostrożnego zdziwienia kogoś, kto na własne oczy ogląda, jak innemu odbija szajba.

- Nie wiem, nic nie mówił.

Sięgnąłem po najbliższy telefon, połączyłem się z jadalnią i poprosiłem Bullena. Kiedy podszedł, rzuciłem słuchawkę:

- Tu Carter. Czy mógłby pan natychmiast przyjść na mostek?
- Po co? - zapytał po chwili przerwy.
- Dexter zniknął. Stał na wachcie, ale wyszedł dwadzieścia minut temu.

- Zszedł z mostka.-Bullen powiedział to bez specjalnego nacisku, ale tylko dlatego, że się bardzo starał. Syn lorda Dextera czy nie, młody Dexter był skończony na „Campari”, jeżeli się z tego nie wytłumaczy. - Szukaliście go? Może być wszędzie.

- Tego się właśnie boję, kapitanie.

Usłyszałem w słuchawce szcęk i wyłączyłem się. Młody Whitehead, wciąż jeszcze wylękniony, dotarł właśnie na mostek.

- Znajdziesz trzeciego oficera w jego kabinie - powiedziałem. - Przepróż go ode mnie i zapytaj, czy na kilka minut nie zmieni mnie na mostku. Ferguson!

- Poruczniku? - W jego głosie brzmiała obawa.
- Pan Dexter nic nie powiedział wychodząc?

- Owszem. Słyszałem, jak powiedział: „Chwileczkę, co tam się wyrabia?”, czy coś w tym rodzaju. Dokładnie nie pamiętam. Potem polecił mi: „Trzymaj kurs, wracam za chwilę” i wyszedł.

- To wszystko?
- Wszystko, poruczniku.
- Gdzie on wtedy stał?
- Na prawym skrzydle. Tuż przy drzwiach.
- I zbiegł z tej strony?
- Tak jest.
- Gdzie był wtedy Whitehead?

- Na zewnątrz, na lewym skrzydle. - Wyraz twarzy i ton Fergusona wskazywały wyraźnie, że stoi vis-à-vis pomyleńca, ale zachowywał spokój.

- Nie spojrzał, dokąd pobiegł pan Dexter?

- Nie, poruczniku. - Zawahał się. - No, nie od razu. Ale pomyślałem sobie, że to śmieszne, więc powiedziałem mu, żeby wyjrzał. Niczego nie zobaczył.

- Psiakrew! Ile czasu minęło od wyjścia Dextera do chwili, kiedy on wyjrzał?

- Minuta. Raczej dwie. Nie jestem pewny.
- Ale to, co zobaczył pan Dexter, było z przodu?
- Tak, poruczniku.

Przeszedłem na skrzydło mostka i wyjrzałem przed siebie. Na obu pokładach nie dostrzegłem nikogo. Załoga już dawno skończyła szorowanie dolnych pokładów, a

pasażerowie byli jeszcze przy śniadaniu. Nikogo. Nie było widać nic interesującego. Nawet kabina radiowa była pusta, zamknięta. Widziałem dokładnie mosiężną klamkę, błyszczącą i połyskującą w porannym słońcu, gdy „Campari” powoli i łagodnie zapadał się w wydłużające się coraz bardziej fale.

Kabina radiowa! Ferguson pewnie uważał mnie za kandydata numer jeden do wpakowania w kaftan bezpieczeństwa, gdybyśmy tylko taki mieli, kiedy przez całe trzy sekundy stałem tam jak wryty, a potem zbiegłem po trapie w ten sam sposób, w jaki wbiegłem: po trzy stopnie na raz. Tylko nieznaczne wyhamowanie z mojej strony i niespodziewanie szybki uskok ze strony kapitana uchroniły nas od stuknięcia się głowami u stóp schodów. Bullen wyraził słowami myśl, która na mostku pewnie już weszła w obieg:

- Szajba wam odbiła, poruczniku?

- Kabina radiowa, kapitanie! - rzuciłem szybko. - Za mną! - Dopadłem jej w trzy sekundy, tuż przed Bullenem. Szarpnąłem za kłódkę, zamykaną na gruby, przekręcany dwa razy klucz yale. Była zamknięta.

I wtedy dostrzegłem wystający z niej klucz. Spróbowałem go przekręcić w jedną stronę, potem w drugą, lecz był zaklinowany. Spróbowałem go wyrwać - z takim samym skutkiem. Zdałem sobie sprawę, że Bullen ciężko oddycha nad moim ramieniem.

- O co, do diabła, chodzi, poruczniku? Co was napadło?

- Chwileczkę, kapitanie. - Dojrzałem Whiteheada, wchodzącego na mostek, i przywołałem go skinieniem ręki. - Ściągnij bosmana, niech weźmie ze sobą obcęgi.

- Tak jest, poruczniku. Przyniosę obcęgi...

- Powiedziałem, żeby bosman je przyniósł! - wybuchnąłem dziko. - A potem weź od Petersa klucz od tych drzwi. Szybko!

Był szybki. Widać było, że ucieka z radością.

- Słuchajcie no, poruczniku... - zaczął Bullen.

- Dexter zszedł z mostka, bo zobaczył, że dzieje się coś dziwnego. Tak powiedział Ferguson. A gdzieżby indziej, jak nie tu, kapitanie?

- Dlaczego tu? Dlaczego...

- Niech pan spojrzy na to. - Wyciągnąłem kłódkę. - Ten zagięty klucz. A wszystko, co się dotychczas stało, stało się tutaj.

- Okno?

- Nie da rady, patrzyłem. - Zaprowadziłem go za róg, pod kwadrat tafLOWego szkła. - Zastony są wciąż zaciągnięte.

- Nie moglibyśmy wybić tego draństwa?

- Po co? Teraz już za późno.

Bullen spojrział na mnie ze zdziwieniem, ale nic nie odrzekł. Pół minuty minęło w ciszy. Bullen z sekundy na sekundę był coraz bardziej strapiony. Ja nie... ja już byłem tak strapiony, jak to tylko możliwe. Pojawił się Jamieson, zmierzający na mostek, dostrzegł nas, skierował się w naszą stronę, ale zawrócił na znak Bullena. Wreszcie nadszedł bosman, niosąc wielkie obcęgi.

- Otwórz pan te piekielne drzwi - polecił zwięźle Bullen. MacDonald spróbował poruszyć klucz palcami, zrezygnował i wziął się za obcęgi. Po pierwszym naciśnięciu klucz przełamał się na pół.

- No - sapnął ciężko Bullen. - To się nazywa pomoc.

MacDonald spojrział na niego, na mnie i na złamany klucz, wciąż tkwiący w szczękach obcęgow.

- Nawet go nie przekręciłem - powiedział spokojnie. - A jeśli to jest klucz yale - dorzucił z lekkim niesmakiem - to ja jestem Anglik. - Podał nam klucz do obejrzenia. Złamana powierzchnia ukazywała szary, chropowaty, porowaty metal. - Chałupnicza robota, i to kiepska.

Bullen schował do kieszeni złamany klucz.

- Może pan wyciągnąć złamany kawałek?

- Nie, kapitanie. Całkiem zaklinowany. - Pogrzebał w kombinezonie i wyjął pilnik do metalu. - Może tym?

- Dobrze.

Zabrało to MacDonaladowi trzy minuty ciężkiej pracy - skobel, w przeciwieństwie do kłódki, wykonany był z hartowanej stali - aż wreszcie bosman przestał piłować. Odczepił kłódkę i spojrzał pytająco na kapitana.

- Proszę z nami - powiedział Bullen. Na jego brwiach wystąpiły krople potu. - Niech pan pilnuje, żeby nikt nie podchodził.

Otworzył drzwi i wszedł do środka. Deptałem mu po piętach.

Znaleźliśmy Dextera, ale znaleźliśmy go za późno. Wyglądał jak sterta starych łachów, jak kompletnie bezwładna, bezkształtna masa - stan, jaki tylko zmarły może osiągnąć; rozciągnięty na podłodze twarzą w dół, prawie nie zostawiał miejsca dla Bullena i dla mnie.

- Mam ściągnąć doktora, kapitanie? - zapytał MacDonald. Stał po drugiej stronie progu sztormowego, a na jego zaciśniętej na framudze drzwi dłoni przez napiętą skórę przeświecały białe kostki.

- Już za późno na doktora, bosmanie - rzekł Bullen kamiennym głosem. Nagle jego opanowanie pękło i wybuchnął gwałtownie: - Na Boga, poruczniku, czym się to wszystko skończy? On nie żyje, widzicie sami, że nie żyje. Co stoi za... co to za maniackalny morderca... dlaczego go zabili, poruczniku? Dlaczego musieli go zabić? Do cholery, dlaczego ci maniacy musieli go zabić? To był jeszcze dzieciak, komu on mógł wyrządzić jakąś krzywdę? - Najlepiej świadczył o Bullenie fakt, że w tym momencie nie przeszło mu nawet przez myśl, że zmarły był synem prezesa i dyrektora Blue Mail. To miało przyjść później.

- Zginął z tego samego powodu, co Benson - odparłem. - Zobaczył za dużo. - Przykłęknąłem koło niego i zbadałem tył i bok jego szyi. Nie było żadnych śladów. Spojrzałem w górę i spytałem: - Czy mogę go odwrócić, kapitanie?

- Teraz to już nikomu nie zaszkodzi. - Zwykle czerwona twarz Bullena straciła nieco koloru, a jego wargi były zaciśnięte w cienką, twardą linię.

Podnosiłem i ciągnąłem Dextera przez kilka sekund, aż wreszcie udało mi się go mniej więcej odwrócić. Leżał teraz częściowo na plecach, częściowo na boku. Nie traciłem czasu na badanie jego oddechu czy pulsu - kiedy ktoś został postrzelony trzy razy w sam środek ciała, oddychanie i puls należą do przeszłości. A koszula od białego munduru Dextera z trzema małymi, osmalonymi prochem i spryskanymi krwią otworami tuż poniżej mostka, dowodziła, że faktycznie został postrzelony trzy razy. Wszystkie te otwory dałoby się przykryć kartą do gry. Ktoś tu był bardzo przezorny. Wstałem, spojrzałem na kapitana i bosmana, i powiedziałem do Bullena:

- Tego nie uda nam się zwalić na atak serca, kapitanie.

- Strzelili do niego trzy razy. - Bullen stwierdził fakt.

- Mamy przeciwko sobie jakiegoś maniaka, kapitanie. - Gapiłem się w dół, na Dextera, nie mogąc oderwać wzroku od jego twarzy, wykrzywionej i udręczonej w ostatnim momencie świadomości, tym przelotnym momencie rozdierającego bólu, który otwiera wrota do śmierci. - Każda z tych kul by go zabiła. Ale ten, kto go zabił, zabił go trzy razy, to ktoś, kto lubi naciskać spust, kto lubi widok kul wbijających się w ciało człowieka, mimo że ten już nie żyje.

- Bardzo chłodno do tego podchodzicie, poruczniku. - Bullen spojrzał na mnie z dziwnym wyrazem w oczach.

- Jasne, że chłodno. - Pokazałem Bullenowi mój rewolwer. Niech mi pan pokaże tego, kto to zrobił, a potraktuję go dokładnie tak, jak on potraktował Dextera. Dokładnie tak samo, i do diabła z kapitanem Bullenem i całym prawem. Właśnie taki jestem chłodny.



- Przepraszam, Johnny. -- Po chwili jego głos znów stwardniał: - Nikt nic nie słyszał. Jak to się stało, że nikt nic nie słyszał?

- Trzymał pistolet tuż przy Dexterze, może go nim nawet dotykał. Widać ślady spalonego prochu. To mogło trochę wytłumić huk. Poza tym wszystko wskazuje na to, że ta osoba, czy osoby, to profesjonaliści. Tacy używają pistoletów z tłumikiem.

- Rozumiem. - Bullen odwrócił się do MacDonalda. - Możesz tu sprowadzić Petersa, bosmanie? Natychmiast.

- Rozkaz, kapitanie. - MacDonald odwrócił się, chcąc odejść, lecz powiedziałem szybko:

- Kapitanie, jedno słówko, zanim MacDonald pójdzie.

- Co takiego? - Jego głos był twardy, niecierpliw.

- Zamierza pan wysłać depeszę?

- Jakbyś zgadł, wysyłam depeszę. Poproszę, żeby na nasze spotkanie wypłynęło kilka szybkich łodzi patrolowych. Te z silnikami benzynowymi rozwijają taką szybkość, że będą tutaj przed północą. A jak im powiem, że w ciągu dwunastu godzin zamordowano u nas trzy osoby, to przylecą jak na skrzydłach. Mam dość bawienia się w spryciarza, Pierwszy. Ten fałszywy pogrzeb dziś rano, żeby uśpić ich podejrzenia, żeby myśleli, że pozbyliśmy się jedynego dowodu rzeczowego przeciwko nim. Widzisz, co nam to dało? Następnego trupa.

- To nie ma sensu, kapitanie. Jest już za późno.

- Co masz na myśli?

- Nawet sobie nie zadał trudu, żeby założyć pokrywę, nim wyszedł. - Wskazałem wielki aparat nadawczo-odbiorczy, z krzywo założoną, nie przyśrubowaną pokrywą. - Może się śpieszył, może wiedział, że nie ma sensu jej zakładać, że i tak musimy to odkryć prędzej czy później... i to raczej prędzej niż później. - Podniosłem pokrywę i odstąpiłem na bok, żeby Bullen też mógł się przyjrzeć.

Nie było najmniejszych wątpliwości, że nikt już tego odbiornika nie uruchomi. Pod pokrywą wałały się porwane druty, pocięty metal, zmiażdżone kondensatory i lampy. Ktoś używał młotka. Tego nie trzeba się było domyślać - młotek wciąż leżał wśród splątanych, rozbitych szczątków czegoś, co kiedyś stanowiło skomplikowane wnętrze nadajnika. Zasunąłem pokrywę.

- Jest jeszcze zapasowy - rzekł Bullen ochryplym głosem. - W szafie pod tamtym stołem. Ten z generatorem benzynowym. Nie mógł go zauważyć.

Morderca go jednak zauważył, to nie był gość, który mógł coś przegapić. W każdym razie nie przegapił okazji do użycia młotka. Nad zestawem awaryjnym pracował jeszcze bardziej starannie niż nad głównym i - na wszelki wypadek - zgruchotał też armaturę generatora benzynowego.

- Nasz przyjaciel znów musiał prowadzić nasłuch na swym odbiorniku - stwierdził spokojnie MacDonald. - I przyszedł tu, chcąc zatrzymać depeszę lub zniszczyć aparat, żeby nie przychodziło więcej depesz. Miał szczęście. Gdyby się trochę spóźnił i telegrafista byłby na wachcie, a moi ludzie szorowaliby na zewnątrz pokład, nic by nie mógł zrobić.

- Ja bym w żadnym wypadku nie kojarzył szczęścia z tym mordercą - rzekłem. - On jest piekielnie sprawny, zbyt sprawny. Nie wydaje mi się, żeby nadeszły jakieś depesze, które go wystraszyły, ale bał się, że mogą nadejść, On wiedział, że podczas pogrzebu zarówno Peters, jak i Jenkins będą zwolnieni ze służby i przypuszczalnie sprawdził, że drzwi do kabiny radiowej są zamknięte. Więc poczekał, aż teren będzie czysty, wyszedł na pokład, otworzył kabinę i wszedł do środka. A Dexter, na własne nieszczęście, zobaczył go, jak wchodził.

- Klucz, poruczniku - wychrypiał Bullen. - Klucz. Jak on wszedł?

- Ten facet od Marconiego w Kingston, który sprawdzał oba zestawy, kapitanie. Pamięta go pan? - Jeszcze jak pamiętał: agent firmy Marconi zadzwonił na statek pytaniem, czy chcemy skorzystać z jego usług, a Bullen uczeplił się tego jak zesłanej z nieba okazji, by zamknąć kabinę radiową i nie przyjmować więcej kłopotliwych i rozwścieczających go

depesz z Londynu i Nowego Jorku. - On tu spędził ze cztery godziny. Miał dosyć czasu na wszystko. Jak to był facet od Marconiego, to ja jestem królowa Saba. Miał ze sobą ładną, wielką, imponującą skrzynkę z narzędziami, ale jedyne narzędzie, jakiego użył, o ile można to tak nazwać, to kawałek wosku rozgrzanego do odpowiedniej temperatury, żeby zdjąć odcisk klucza... Nawet gdyby mu się udało zwędzić klucz i zwrócić go niepostrzeżenie, to i tak nie zdołałby wyciąć nowego, te specjalne yale są zbyt skomplikowane. Przypuszczam, że to było wszystko, co on tu zrobił.

Moje przypuszczenie było z gruntu fałszywe. Niestety myśl, że ten rzekomy agent Marconiego mógł w inny sposób spędzać czas w kabinie radiowej, przyszła mi o wiele, wiele później. Było to tak oślepiająco oczywiste, że nie wpadło mi do głowy, choć dwie minuty konstruktywnego myślenia musiałyby mnie na to naprowadzić. Minęły jednak godziny, nim wpadłem na tę konstruktywną myśl - a wtedy było już za późno. Za późno dla „Campari”, za późno dla pasażerów, i o wiele za późno dla niektórych członków załogi.

Zostawiliśmy młodego Dextera w kabinie radiowej i zamknęliśmy drzwi na nową kłódkę. Prawie pięć minut dyskutowaliśmy o tym, gdzie go najlepiej umieścić, zanim nie wpadliśmy na oczywiste rozwiązanie: zostawić go tam, gdzie leży. Tego dnia nikt więcej nie miał korzystać z kabiny radiowej - do czasu przybycia policji z Nassau mógł leżeć równie dobrze tam, jak gdzie indziej.

Z kabiny radiowej ruszyliśmy wprost do salonu telegraficznego. Zamontowane w nim dalekopisy były podłączone do aparatów nadawczo-odbiorczych nastawionych na fale Londynu, Paryża i Nowego Jorku, ale ludzie tacy jak Peters i Jenkins, którzy wiedzą, co robią, mogli zmienić ich zakres tak, aby odbierały i nadawały na praktycznie każdej fali. Jednak w sytuacji, jaką zastaliśmy, nawet Peters i Jenkins nie mogli nic zrobić - w salonie telegraficznym znajdowały się dwa odbiorniki, najwyraźniej tak zaprojektowane, by wyglądem przypominały barki koktajlowe, i obydwa zostały potraktowane tak samo, jak dwa zestawy w kabinie radiowej: z zewnątrz nie naruszone, wewnątrz pogruchocone nie do naprawienia. W nocy ktoś był wyjątkowo pracowity - kabina radiowa była pewnie ostatnim punktem na liście.

Spojrzałem na Bullena.

- Za pozwoleniem, kapitanie, pójdę z MacDonaldem rzucić okiem na szalupy. Możemy tracić czas równie dobrze w ten sposób, co w inny.

Wiedział, co mam na myśli. Pokiwał głową. Kapitan Bullen zaczynał sprawiać wrażenie lekko zaszczutego. Był on najzdolniejszym, najsprawniejszym kapitanem Blue Mail - a jednak jego wieloletnie nauki i doświadczenie nie przewidywały stykania się z tego rodzaju sytuacjami.

Tak więc, razem z MacDonaldem, beznadziejnie traciłem czas. Mieliśmy trzy szalupy, wyposażone w napędzane na korbę nadajniki, na wypadek, gdyby „Campari” zatonał lub zaszła inna konieczność opuszczenia statku. A raczej niegdyś były w nie wyposażone. Ale teraz już nie. Nadajniki zniknęły. Po co tracić czas i robić zamieszanie gruchotaniem nadajników, kiedy można je po prostu wyrzucić za burtę. Nasz maniackalny morderca nie zapominał o niczym.

Kiedy powróciliśmy do kajuty kapitańskiej, gdzie mieliśmy się zameldować, w atmosferze było coś, co mi się wcale nie podobało. Powiadają, że można poczuć zapach strachu; nic mi o tym nie wiadomo, ale sam strach można wyczuć, a już na pewno można go było wyczuć w tej kabinie o dziewiątej rano tego dnia. Strach, świadomość zaszczucia i bezsilności, wrażenie, że jest się zdany całkowicie na łaskę nieznaną, nieskończenie potężnych, bezlitosnych sił, stwarzały atmosferę nerwowego, kruchej, niemal namacalnego napięcia.

Z kapitanem byli McIlroy i Cummings, a także nasz drugi oficer, Tommy Wilson. Jak stwierdził Bullen, trzeba go było poinformować, sprawy zaszły już tak daleko, że trzeba było poinformować o tym wszystkich oficerów, w interesie ich własnego bezpieczeństwa i samoobrony. Ja nie byłem tego taki pewny. Bullen podniósł wzrok, kiedy weszliśmy przez drzwi; jego twarz była ponura, nieruchoma - cienka, lecz nieprzejrzana maska, przykrywająca zżerający go niepokój.

- No i...?

Potrząsnąłem głową, usiadłem. MacDonald stał, ale Bullen z irytacją wskazał mu fotel.

- Przypuszczam - rzucił jakby w próżnię - że to się odnosi do wszystkich nadajników na statku?

- Z tego, co wiemy, tak. Nie sądzi pan, kapitanie - ciągnąłem - że powinniśmy tu ściągnąć White'a?

- Właśnie miałem to zrobić. - Sięgnął po telefon, mówił przez chwilę, odwiesił słuchawkę i powiedział szorstko: - No, poruczniku, wczoraj w nocy to pan miał najlepsze pomysły. Ma pan może jakieś nowe dziś rano? - Kiedy powtarzam te słowa, brzmią one szorstko i nieprzyjemnie. Były jednak dziwnie wyprane z wszelkiej obrazy; Bullen nie wiedział, co robić, i jak tonący chwycił się brzytwy.

- Żadnych. Jedyne, co wiemy, to to, że Dextera zabito dziś rano, o ósmej dwadzieścia sześć, może minutę wcześniej lub później. Co do tego nie ma wątpliwości. O tej porze większość naszych pasażerów siedziała przy śniadaniu - to też nie ulega kwestii. Na śniadaniu nie było jedynie panny Harcourt, pana Cerdana i jego dwóch pielęgniarek, państwa Piper z Miami i tej pary z Wenezueli... starego Hournosa, jego żony i córki. To nasi jedyni podejrzani, a przecież to jest kompletnie bez sensu.

- W dodatku wszyscy oni byli przy obiedzie wczoraj wieczorem, kiedy zabito Brownella i Bensona - dorzucił w zamyśleniu McIlroy. - Z wyjątkiem starego i jego pielęgniarek. To czyni z nich jedynych podejrzanych, co jest nie tylko śmieszne, ale i zbyt oczywiste. Myślę, że mamy już dostateczne dowody na to, że ludzie, którzy za tym wszystkim stoją, z pewnością nie zdemaskują się w oczywisty sposób. Chyba - dodał wolno - że jedni pasażerowie współpracują z innymi.

- Albo z załogą - mruknął Tommy Wilson.

- Co takiego? - Bullen obdarzył go swym komandorskim spojrzeniem w całej krasie. - Co pan powiedział?

- Powiedziałem: z załogą - powtórzył wyraźnie Wilson. jeżeli stary Bullen chciał zastraszyć Tommy'ego Wilsona, to tylko tracił czas. - A mówiąc „załoga”, mam na myśli także oficerów. Zgadza się, kapitanie, że o tych morderstwach po raz pierwszy usłyszałem, czy dowiedziałem się, zaledwie kilka minut temu, i przyznaję, że nie miałem czasu uporządkować myśli. Z drugiej strony, nie jestem tak w to wciągnięty jak wy. Przepraszam za porównanie, ale nie zaszedłem jeszcze tak daleko w las, żeby nie dostrzegać drzew. Wszyscy jesteście chyba przekonani, że odpowiedzialność za to ponosi jakiś pasażer czy pasażerowie - nasz pierwszy oficer, jak mi się zdaje, wbił wam to mocno do głowy - ale jeżeli jakiś pasażer działał w zмовie z kimś z załogi, to możliwe, że ten ktoś miał się kręcić w pobliżu kabiny radiowej i zająć się nią w razie potrzeby.

- Powiedział pan, że pierwszy oficer wbił nam ten pomysł do głowy - rzekł Bullen wolno. - Co pan chciał przez to powiedzieć?

- To, co powiedziałem. Ja tylko... - Nagle uderzyła go sugestia zawarta w pytaniu kapitana. - Mój Boże, kapitanie! Pan Carter? Sądzi pan, że zwariowałem?

- Nikt nie sądzi, żeś zwariował - wtrącił McIlroy uspokajająco. Nasz główny mechanik zawsze uważał Wilsona za ociężałego umysłowo, ale widać było, że powoli zmienia zdanie. - Załoga, Tommy. Dlaczego podejrzewasz załogę?

- Eliminacja, motyw i okazja - odparł szybko Wilson. - Wydaje się, że mniej więcej wyeliminowaliśmy pasażerów. Wszyscy mają alibi. A motyw? Jakie są najczęstsze motywy? - zapytał retorycznie.

- Rewanż, zazdrość, chęć zysku - rzekł McIlroy. - Te trzy.

- Właśnie. Weźcie rewanż i zazdrość. Wyobrażacie sobie, że któryś z naszych pasażerów był tak zawzięty na Brownella, Bensona i Dextera, żeby ich zabić? To śmieszne. Chęć zysku? A po co tej bandzie spasionych plutokratów więcej forsy? - Rozejrzał się powoli. - A któremu oficerowi na „Campari” nie przydałoby się więcej forsy? Mnie na przykład tak.

- Okazja, Tommy. - McIlroy ponaglił go delikatnie. - Mówiłeś o okazji.

- Nie muszę w to wchodzić - rzekł Wilson. - Mechaników i załogę pokładową można wyeliminować od razu. Mechanicy, z wyjątkiem oficerów podczas posiłków, nigdy nie zbliżają się do pokładów pasażerskich i łodziowych. Tam wpuszczani są tylko ludzie bosmana, na mycie pokładów w czasie porannej wachty. Ale - rozejrzał się raz jeszcze, jeszcze wolniej - na „Campari” każdy oficer pokładowy, radiowy, obserwator radarowy, kucharz czy steward ma święte prawo znajdować się w każdej chwili o kilka metrów od kabiny radiowej. Nikt by nie kwestionował jego obecności w tym miejscu. Nie tylko, że...

Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł zastępca ochmistrza, White, z czapką w rękę. Sprawiał wrażenie wyjątkowo markotnego, co pogłębiło się, gdy zobaczył skład komitetu powitalnego.

- Niech pan wejdzie i siada - rzekł Bullen. Począł, aż White to wykona, po czym ciągnął: - Gdzie pan był dziś rano pomiędzy ósmą a ósmą trzydzieści, White?

- Dziś rano... Od ósmej do ósmej trzydzieści... - White natychmiast zeszywniał z obrazy. - Oczywiście byłem na służbie, kapitanie. Ja...

- Spokojnie - rzekł Bullen ze znużeniem. - Nikt pana o nic nie oskarża. - Po chwili dorzucił bardziej uprzejmie: - Mamy bardzo złe wieści, White. Nic takiego, co by dotyczyło pana osobiście, więc niech się pan nie obawia. Lepiej, żeby pan o tym wiedział.

Bullen opowiedział mu chaotycznie o trzech morderstwach, czego natychmiastowym rezultatem było to, że wszyscy obecni mogli od razu skreślić White'a z listy podejrzanych. Mógł być dobrym aktorem, jednak nawet Irving nie potrafił na zamówienie zmieniać koloru twarzy ze zdrowej czerwieni na szarą błądź, tak jak to właśnie zrobił White. Wyglądał tak źle, jego oddech stał się tak szybki, że wstałem z pośpiechem i podałem mu szklankę wody. Wypił ją w paru łykach.

- Przykro mi, że pana zmartwiłem, White - ciągnął Bullen. - Ale musiał się pan o tym dowiedzieć. No więc, ilu pasażerów jadło śniadanie w kabinach pomiędzy ósmą a ósmą trzydzieści?

- Nie wiem, kapitanie, nie jestem pewny. - Potrząsnął głową i sprostował: - Przepraszam, pamiętam. Pan Cerdan i oczywiście jego pielęgniarki. Rodzina Hournosów. Panna Harcourt. Państwo Piper.

- Tak, jak mówił pan Carter - mruknął McIlroy.

- Tak. - Bullen pokiwał głową. - Uważajcie teraz, White. Czy w tym czasie któryś z pasażerów opuścił swoją kajutę? Choćby na chwilę?

- Nie, kapitanie. Absolutnie nie. W każdym razie nie na moim pokładzie. Hournosowie są na pokładzie „B”. Ale nikt z pozostałych nie wchodził ani nie wychodził z żadnego apartamentu, tylko stewardzi z tacami. Mogę przysiąc, kapitanie. Z mojej kabiny - to jest z kabiny pana Bensona - widać każde drzwi w korytarzu.

- Właśnie - zgodził się Bullen. Spytał o nazwisko starszego stewarda na pokładzie „B”, zamienił kilka słów przez telefon i rozłączył się. - W porządku, White, może pan odejść. Ale niech pan trzyma oczy i uszy otwarte, i melduje natychmiast, gdyby się pan natknął na coś niezwykłego. I nikomu a tym ani słowa. - White wstał szybko i wyszedł. Był wyraźnie zadowolony, że może odejść.

- No więc tak - rzekł ciężko Bullen. - Każdy... to znaczy wszyscy pasażerowie... są czyści. Zaczynam myśleć, że mimo wszystko ma pan rację, panie Wilson. - Popatrzył na mnie z namysłem. - I co w tej sytuacji, panie Carter?

Spojrzałem na niego, na Wilsona, i powiedziałem:

- Z nas wszystkich chyba tylko pan Wilson ma głowę na karku. To, co mówi, jest logiczne, wiarygodne i pasuje do faktów. To jest zbyt logiczne, zbyt wiarygodne. Nie wierzę w to.

- Dlaczego nie? - zapytał Bullen. - Bo nie wierzysz, że można kupić członka załogi „Campari”? Czy dlatego, że obala to twoje wypieszczone teorie?

- Nie mogę podać powodów, kapitanie. To po prostu przeczucie, tak mi się wydaje.

Kapitan Bullen chrząknął. Nie było to zbyt uprzejme chrząknięcie, lecz otrzymałem niespodziewaną pomoc ze strony głównego mechanika:

- Zgadzam się z panem Carterem. Mamy przeciw sobie bardzo, bardzo sprytnych ludzi... jeżeli to ludzie. - Przerwał, po czym zapytał nagle: - Czy opłata za przejazd rodziny Carrerasów, ojca i syna, już wpłynęła?

- A co to ma wspólnego z tym wszystkim? - spytał Bullen.

- Wpłynęła? - powtórzył McIlroy. Spoglądał na płatnika.

- Tak - odparł spokojnie Cummings. Daleki był jeszcze od otrząśnięcia się z szoku po śmierci swojego przyjaciela, Bensona.

- W jakiej formie?

- W czekach podróźnych. Wystawionych na bank w Nowym Jorku.

- W dolarach, co? No, kapitanie Bullen, proszę zważyć, że to jest naprawdę bardzo interesujące. Płatne w dolarach. A jeszcze w maju zeszłego roku generalissimus ustanowił surowe kary za posiadanie wszelkich obcych walut. Zastanawiam się, skąd nasi przyjaciele dostali tę forszę? I dlaczego mają na to zezwolenie? Zamiast gnić w jakimś więzieniu?

- Co pan sugeruje?

- Nic - wyznał McIlroy. - W tym sęk. Po prostu nie widzę, jak można to powiązać z resztą. Sugeruję jedynie, że to jest dziwne, a w obecnych okolicznościach wszystko, co dziwne, zasługuje na zbadanie. - Przez chwilę siedział w milczeniu, a następnie powiedział leniwie: - Wiecie chyba, że nasz generalissimus otrzymał niedawno prezent? Niszczyciela i kilka fregat? Za jednym zamachem potroił swoje siły morskie. Wiecie też chyba, że generalissimus straszliwie potrzebuje pieniędzy... jego reżim rozpada się na skutek ich braku i to właśnie było przyczyną krwawych starć w zeszłym tygodniu. Wiecie, że mamy na pokładzie tuzin osób, za które okup wyniosłby diabli wiedzą ile milionów dolarów? A gdyby tak nagle na horyzoncie pojawiła się jakaś fregata i kazała nam się zatrzymać... jak moglibyśmy wysłać SOS z pogruchotanymi nadajnikami?

- W życiu nie słyszałem równie śmiesznej sugestii - stwierdził ciężko Bullen.

Ale śmieszne czy nie, powiedziałem sobie w duchu, pan o tym myśli, kapitanie.

- Może pan to sobie od razu wybić z głowy. W jaki sposób jakiś statek mógłby nas odnaleźć? Zeszłej nocy zmieniliśmy kurs, jesteśmy o ponad sto mil od miejsca, gdzie powinniśmy być... nawet gdyby oni mieli blade pojęcie, dokąd się przedtem kierowaliśmy.

- W tej kwestii mógłbym poprzeć argumenty McIlroya, kapitanie - wtrąciłem. Nie uznałem za stosowne przyznać się, że - tak jak kapitan - uważam pomysł mechanika za kompletnie chybiony. - Ktoś, kto ma odbiornik radiowy, może mieć także nadajnik... a Miguel Carreras sam napomknął, że kiedyś dowodził własnymi statkami. Nawigacja, według słońca czy gwiazd, nie jest mu chyba obca. Przypuszczalnie zna naszą pozycję z dokładnością do dziesięciu mil.

- A ta depesza przyszła drogą radiową - podjął McIlroy. - Depesza albo depesze. Na tyle ważna, że zginęło przez nią dwóch ludzi, a możliwość, że nadejdzie następna, spowodowała śmierć trzeciego. Co to za depesza, kapitanie Bullen, co to za straszliwie ważna depesza?

Ostrzeżenie. Nie wiem od kogo, skąd. Ale to ostrzeżenie, kapitanie. Wiadomość, która - gdyby wpadła nam w ręce - zniszczyłaby starannie przygotowane plany... a o wadze tych planów może pan wnosić z faktu, że trzech ludzi zginęło, byleby tylko ta wiadomość do nas nie dotarła.

Stary Bullen był wstrząśnięty. Próbował tego nie okazywać, ale był wstrząśnięty. I to mocno. Przekonałem się o tym po chwili, gdy zwrócił się do Tommy'ego Wilsona:

- Na mostek, panie Wilson. Podwoić obserwatorów, póki nie dopłyniemy do Nassau. - Spojrzał na McIlroya. - Jeżeli tam dopłyniemy. Sygnalista ma stać cały czas przy aldisie. Flaga „potrzebna pomoc” ma być gotowa do wywieszenia. Kabina radarowa... jeżeli choć na sekundę zdejmą oczy z ekranu, to wywalę ich na zbity pysk. Jak zobaczą jakiś punkt, nieważne jak mały i w jakiej odległości, natychmiast niech meldują na mostku.

- Zwrócimy się do nich o pomoc?

- Idioto skończony! - warknął Bullen. - Życie nam miłe, uciekniemy w przeciwnym kierunku. Chcesz wpłynąć prosto na gotowe do strzału działa niszczyciela? - Bez wątpienia Bullen był mocno wytracony z równowagi: sprzeczność wydawanych instrukcji zupełnie do niego nie docierała.

- A więc wierzy pan McIlroyowi, kapitanie? - zapytałem.

- Sam nie wiem, w co wierzyć! - ryknął Bullen. - Po prostu nie chcę ryzykować.

Kiedy Wilson odszedł, powiedziałem:

- Możliwe, że McIlroy ma rację. Możliwe, że i Wilson ma rację. Jedno drugiego nie wyklucza... zbrojnego ataku na „Campari”, popieranego przez jakichś przekupionych członków załogi.

- Ale wciąż w to nie wierzysz - rzekł spokojnie McIlroy.

- Jestem jak kapitan. Sam nie wiem, w co wierzyć. Ale jedno wiem na pewno. Kluczem do wszystkiego jest odbiornik radiowy, na którym przyjęto depeszę.

- I zaraz tego klucza poszukamy. - Bullen dźwignął się na nogi. - McIlroy, byłbym wdzięczny, gdyby pan poszedł ze mną. Osobiście poszukamy tego radia. Zaczniemy od mojej kabiny, potem do pańskiej, a potem zajrzemy do kajut wszystkich członków załogi „Campari”. A potem będziemy szukać wszędzie, gdzie tylko może być ukryte poza ich kabinami. Pan pójdzie z nami, MacDonald.

Stary nie żartował. Jeżeli to radio było w kajutach załogi, musiał je znaleźć. Dostatecznym ostrzeżeniem był fakt, że zaproponował rozpoczęcie poszukiwań od swojej własnej kabiny.

- Panie Carter - ciągnął- to, zdaje się, pańska wachta?

- Tak, kapitanie. Ale Jamieson zastąpił mnie na godzinkę. Zezwała pan na przeszukanie apartamentów pasażerów?

- Wilson ma rację, że ktoś tu ma bzika, poruczniku.

Dowodziło to tylko tego, jak dalece Bullen był zmartwiony: zwykle, w razie konieczności, był człowiekiem najbardziej dbałym o konwenanse ze wszystkich znanych mi ludzi i w obecności bosmana nigdy by się tak nie odezwał do Wilsona i do mnie. Popatrzył na mnie spode łba i wyszedł.

Nie udzielił mi zezwolenia, ale też mi nie zabronił. Zerknąłem na Cummingsa - pokiwał głową i powstał.

Płatnik i ja mieliśmy szczęście, że w trakcie poszukiwań nie musieliśmy nikogo wyciągać z kabin - wszystkie były puste. Radiowe prognozy zapowiadały gwałtowne pogorszenie się pogody na południowym wschodzie i nadawano komunikaty ostrzegające o nadciąganiu złych warunków atmosferycznych. Pokłady słoneczne były zapełnione pasażerami, zdecydowanymi maksymalnie wykorzystać błękitne niebo przed zmianą pogody. Nawet stary Cerdan był na pokładzie, otoczony przez dwie uważne pielęgniarke. Wyższa miała torbę z robótką i pracowicie stukwała drutami, druga zaś czytała stertę magazynów. Jak

wszystkie dobre pielęgniarki, sprawiały wrażenie, że temu co robią, poświęcają mniej niż połowę uwagi - zdawało się, że nie ruszając się z miejsca, unoszą się nad starym Cerdanem jak dwie kwoki. Miałem uczucie, że kiedy Cerdan płacił pielęgniarkom za opiekę, to chciał wiedzieć, za co płaci. Siedział w swoim fotelu na kółkach, z bogato haftowanym pledem na kościstych kolanach. Mijając go, przyjrzałem się bacznie temu pledowi, jednak na próżno - chude nogi miał otulone tak ściśle, że nie mógłby schować pod pledem nawet pudełka zapalek, a co dopiero radia.

Postawiliśmy dwóch stewardów na straży i z pedantyczną dokładnością przeszukaliśmy apartamenty na pokładach „A” i „B”. Wziąłem ze sobą posłańca na mostek, aby w razie konieczności opowiedzieć historyjkę, jak to szukamy przebicia w kablu zasilającym, jednak żaden poczuwający się do winy pasażer nawet przez moment nie dałby się na to nabrać, gdyby nas zastał w swojej kabinie, toteż uznaliśmy, że pomysł ze stewardami nie jest zły.

Pasażerowie „Campari” nie mieli powodu do wozenia ze sobą radia. Każda kajuta pasażerska, ze zwykłą dla „Campari” rozrzutnością, wyposażona była w zawieszona na grodzi dwa odbiorniki transmisyjne, zasilane z baterii radiowych w salonie telegraficznym. Można było nastawić osiem różnych stacji, po prostu naciskając któryś z ośmiu guzików wybierających. Wszystko to było wyjaśnione w reklamówkach, toteż nikt nawet nie myślał o zabieraniu ze sobą radia.

Cummings i ja nie przeoczyliśmy niczego. Sprawdziliśmy wszystkie szafy, garderoby, łóżka, szuflady, nawet damskie szkatułki na biżuterię. Nic. Nigdzie nie było nic, z jednym wyjątkiem: kabiny panny Harcourt. Znajdował się w niej tranzystor, ale o tym wiedziałem - co wieczór, o ile pogoda dopisywała, panna Harcourt wychodziła na pokład w jednym ze swych licznych szlafroków, rozsiadała się wygodnie i kręciła gałką, póki nie znalazła jakiejś stosownej, nastrojowej muzyki. Może uważała, że to jej dodaje uroku i tajemniczości, która powinna otaczać królową ekranu, może uważała, że to romantyczne, a może po prostu lubiła nastrojową muzykę. Bez względu na powód, jedno było pewne - panna Harcourt nie była naszą podejrzaną. Szczerze mówiąc, brakowało jej inteligencji. I, gwoli sprawiedliwości, pomimo swej pretensjonalności była na to zbyt miła.

Pokonany, powróciłem na mostek i zmieniłem Jamiesona. Minęła niemal godzina, zanim dołączył do mnie następny pokonany - kapitan Bullen. Nie musiał mi mówić, że jest pokonany - miał to wypisane na nieruchomej, skłopotanej twarzy i w lekkim zgarbieniu barczystych pleców. Moje nieme kiwnięcie głową powiedziało mu wszystko, co chciał wiedzieć. Biorąc pod uwagę wielce prawdopodobną możliwość, że lord Dexter wywali nas obu z Blue Mail, zapisałem sobie w pamięci, aby odrzucić wszelkie sugestie kapitana Bullena, że powinniśmy założyć wspólną agencję detektywistyczną - istnieją zapewne szybsze metody skonania z głodu, lecz żadna z nich nie byłaby pewniejsza.

Weszliśmy teraz na drugi etap naszego kursu, dziesięć stopni na zachód od kierunku północnego, płynąc wprost do Nassau. Jeszcze dwanaście godzin i dopłyniemy. Oczy bolały mnie od wpatrywania się w horyzont i chociaż wiedziałem, że to samo robi co najmniej dziesięć innych osób, oczy wciąż mnie bolały. Czy wierzyłem w sugestię McIlroya, czy nie, to inna sprawa, z pewnością jednak zachowywałem się tak, jakbym wierzył. Lecz horyzont był zupełnie czysty - istny cud, ponieważ była to zazwyczaj bardzo uczęszczana trasa parowców. Głośnik z kabiny radarowej uparcie milczał. Na mostku mieliśmy wprowadzić ekran radarowy, ale rzadko z niego korzystaliśmy - Walters, obserwator radarowy trzymający wachtę, potrafił zlokalizować punkt na ekranie, nim jeszcze większość z nas była zdolna go dojrzeć.

Mniej więcej po pół godzinie nieustannego spacerowania po mostku Bullen zaczął się zbierać. Na szczycie trapu zawahał się, odwrócił, skinął na mnie i przeszedł na prawe skrzydło mostka. Ruszyłem za nim.

- Myślałem o Dexterze - powiedział cicho. - Co by było, gdybym ogłosił, że został zamordowany? Dość już mam troszczenia się wyłącznie o pasażerów, teraz interesuje mnie jedynie życie każdego mężczyzny i kobiety na pokładzie.

- Nic - odrzekłem. - Jeżeli masową histerię można nazwać niczym.

- Nie sądzisz, że łotry, które to zrobiły, mogłyby dać temu spokój? Bez względu na to, czym „to” jest?

- Jestem absolutnie pewny, że nie. Ponieważ o Dexterze nikt jeszcze nic nie wspomniał, nie starano się wyjaśnić jego nieobecności, więc muszą wiedzieć, że my wiemy, że nie żyje. Wiedzą bardzo dobrze, że oficer wachtowy nie może zniknąć z mostka bez spowodowania wrzawy. Powiedzielibyśmy im po prostu na głos to, co już i tak wiedzą. Tej bandy się nie wystraszy. Ludzie nie bawią się tak brutalnie jak oni, jeśli nie grają o jakąś kolosalną stawkę.

- Tak właśnie myślałem, Johnny - rzekł ciężko. - Tak właśnie myślałem. - Odwrócił się i zszedł na dół, a mnie nagle ogarnęło przecucie, jak będzie wyglądał Bullen, gdy będzie starym człowiekiem.

Pozostałem na mostku do drugiej, dużo dłużej niż trwała moja wachta, ale nie mogłem okraść Jamiesona, który miał wachtę popołudniową, z większości wolnego czasu. Z kuchni przysłano mi tacę i po raz pierwszy odesłałem dzieło Henriquesa nietknięte. Kiedy Jamieson przejął mostek, nie zamienił ze mną ani słowa poza rutynowymi wzmiankami o kursie i szybkości. Z napiętego, zawziętego wyrazu jego twarzy można by sądzić, że dźwiga na ramionach grotmaszt „Campari”. Bullen rozmawiał z nim, przypuszczalnie rozmawiał ze wszystkimi oficerami. W efekcie będą tylko zaniepokojeni jak diabli i roztrzęsieni jak stare panny zagubione na pustyni. Nie sądziłem, żeby to dało coś innego.

Poszedłem do kabiny, zamknąłem drzwi, ściągnąłem buty i koszulę i położyłem się na koi - dla załogi „Campari” nie było łóż z baldachimami- ustawiwszy przedtem umieszczony nad głową nawiewnik w taki sposób, aby zimne powietrze dmuchało prosto na moją twarz i pierś. Bolał mnie tył głowy, i to zdrowo. Podłożyłem sobie poduszkę, próbując zmniejszyć ból. Ale ból nie przechodził, więc zrezygnowałem i spróbowałem myśleć. Ktoś tu musiał myśleć, a nie sądziłem, żeby stary Bullen w obecnym stanie nadawał się do tego. Ja wprawdzie także nie, ale mimo to myślałem. Byłem gotów postawić ostatni grosz, że wrogowie - nie mogłem już myśleć o nich inaczej - znali nasz kurs, miejsce docelowe i godzinę przybycia równie dobrze, jak my sami. I wiedziałem, że nie stać ich na to, by pozwolić nam dopłynąć do Nassau tej nocy, przynajmniej nie wcześniej niż załatwią to, co mają do załatwienia. Ktoś musiał myśleć. Czas naglił straszliwie.

Do trzeciej nie doszedłem do niczego. Szarpałem ten problem ze wszystkich stron, jak terrier szarpie stary pantofel. Zbadałem go z każdej strony, wysunąłem z tuzin różnych możliwości, wszystkie równie niewiarygodne, i krążyłem koło tuzina różnych podejrzanych, wszystkich równie nieprawdopodobnych. Moje myślenie prowadziło donikąd. Usiadłem, uważając na zeszytniałą szyję, wyłowilem z szafki butelkę whisky, nalałem sobie kielicha, rozcieńczyłem wodą sodową, wysuszyłem go i - głównie dlatego, że było to nielegalne - nalałem sobie następnego. Postawiłem go na stoliku przy koi i znów się położyłem.

Whisky to sprawiła, stale sobie powtarzam, że whisky to sprawiła - jako oliwa na zardzewiały mózg nie ma ona sobie równych. Po dalszych pięciu minutach leżenia na plecach i gapienia się niewidzącym wzrokiem na nawiewnik chłodnego powietrza nad głową, nagle zrozumiałem. Zrozumiałem nagle, w jednej jedynej chwili, i wiedziałem, że to jest to. Radio! Odbiornik, na którym przechwycono depezę na mostek! Nie było żadnego radia, Boże, tylko taki ślepiec jak ja mógł to przegapić, nie było żadnego radia! Było za to coś innego. Poderwałem się gwałtownie, niczym Archimedes wyskakujący z kąpieli, wydając skowyt bólu, gdy gorące ostrze zatopiło się w mojej szyi.



- Często pan dostaje takich ataków, czy zawsze się pan tak zachowuje, gdy jest pan sam?  
- od drzwi dobiegł mnie troskliwy głos. Susan Beresford, ubrana w wydekoltowaną suknię, stała w wejściu z rozbawionym, choć nieco wylężnionym wyrazem twarzy. Moja koncentracja była tak całkowita, że nie słyszałem otwieranych drzwi.

- Panna Beresford... - Prawą dłonią przetarłem obolałą szyję. - Co, pani tu robi? Wie pani, że pasażerowie nie mają prawa wstępu do kajut oficerskich?

- Tak? A ja myślałam, że ojciec na kilku ostatnich rejsach bywał u pana na pogawędkach?

- Pani ojciec nie jest młodą kobietą, a w dodatku panną.

- Phi! - Weszła do kabiny i zamknęła drzwi. Uśmiech natychmiast zniknął z jej twarzy. - Czy wysłucha mnie pan, panie Carter?

- Zawsze i wszędzie - odparłem z kurtuazją - ale nie tutaj... - Zamilkłem, zmieniłem zdanie, jeszcze nim skończyłem.

- Widzi pan, pan jest jedyną osobą, z którą mogę porozmawiać - powiedziała.

- Tak. - Piękna dziewczyna, sama w mojej kabine, najwyraźniej rwąca się do rozmowy ze mną, a ja jej nawet nie słuchałem. Myślałem nad czymś - miało to wprowadzić związek z Susan Beresford, ale tylko przypadkiem.

- Och, niech pan wreszcie zacznie zwracać uwagę! - wybuchnęła gniewnie.

- Dobrze - odrzekłem zrezygowany. - Zwracam.

- Co pan zwraca?! - spytała ostro.

- Uwagę. - Sięgnąłem po szklanekę whisky. - Na zdrowie.

- Myślałam, że picie na służbie jest zabronione?

- Tak. O co pani chodzi?

- Chcę wiedzieć, dlaczego nikt nie chce ze mną porozmawiać. - Podniosła dłoń, widząc, że chcę się odezwać. - Tylko bez żartów. Martwię się. Dzieje się coś strasznie dziwnego, prawda? Wie pan, że zawsze częściej rozmawiam z oficerami niż inni pasażerowie - odmówiłem sobie przyjemności rzucenia paru nasuwających się komentarzy - a teraz nikt nie chce ze mną rozmawiać. Tata mówi, że sobie to tylko wyobrażam. Ale nie, ja wiem, że nie. Nie chcą mówić. I wiem, że nie ze względu na mnie. Są czymś śmiertelnie przerażeni, biegają ze ściągniętymi twarzami, udając, że na nikogo nie patrzą, a rozglądając się dookoła przez cały czas. Coś się stało, prawda? Coś strasznie, strasznie złego. A czwarty oficer Dexter... on zaginął, mam rację?

- Co się mogło stać, panno Beresford?

- Bardzo pana proszę. - Oto coś do zapisania w księgach. Susan Beresford mnie prosi. Przeszła przez kabinę - co wobec rozmiarów pomieszczenia, w jakie stary Dexter uważał za stosowne wyposażyć swojego pierwszego oficera, nie wymagało od niej więcej niż dwóch kroków - i stanęła przede mną. - Niech mi pan powie prawdę. Trzech ludzi zaginęło w ciągu dwudziestu czterech godzin... niech mi pan nie mówi, że to przypadek. A wszyscy oficerowie wyglądają, jakby ich mieli wystrzelać o świcie.

- Nie wydaje się to pani dziwne, że tylko pani zauważyła, że dzieje się coś niezwykłego? Co na to inni pasażerowie?

- Inni pasażerowie? - Ton, jakim to powiedziała, nie był specjalnie pochlebny dla innych pasażerów. - Jak mogą cokolwiek zauważyć, skoro wszystkie kobiety są albo w łózkach, albo u masażysty, a wszyscy mężczyźni siedzą w salonie telegraficznym jak płaczki na pogrzebie, tylko dlatego, że zepsuły się maszyny podające notowania giełdowe? I jeszcze jedno. Dlaczego te maszyny się zepsuły? I dlaczego kabina radiowa jest zamknięta? I dlaczego „Campari” płynie tak szybko? Poszłam właśnie na rufę posłuchać pracy silników i wiem, że nigdy tak szybko nie pracowały.

Niewiele pominęła, to fakt.

- A dlaczego przyszła z tym pani do mnie?- spytałem.

- Tata mi tak doradził. - Zawahała się i uśmiechnęła lekko. - Powiedział, że sobie wszystko wyobrażam, a dla kogoś cierpiącego na złudzenia i przerost wyobraźni nie ma nic lepszego, jak wizyta u pierwszego oficera Cartera, który nie wie, co to takiego.

- Pani ojciec się myli.

- Myli się? Pan, a... cierpi na złudzenia?

- Myli się, że pani to sobie wyobraża. Tak nie jest. - Dopitem whisky i wstałem. - Dzieje się coś złego, bardzo złego, panno Beresford.

Spojrzała mi prosto w oczy i powiedziała spokojnie:

- Powie mi pan, o co chodzi? Bardzo pana proszę. - Chłodne rozbawienie całkowicie zniknęło z jej twarzy i głosu: to była Susan Beresford zupełnie inna od tej, jaką znałem, i taką wolałem ją dużo bardziej. Po raz pierwszy, o wiele za późno, przyszło mi na myśl, że to może być prawdziwa panna Beresford. Kiedy się nosi metkę z wybitymi lichem wie iloma milionami dolarów i przedziera przez las pełen wilków, złaknionych złota i darmowego biletu na życie, to jakaś tarcza, coś, co dałoby obronę przed wilkami, jest nader potrzebne, a musiałem przyznać, że kpiarskie rozbawienie, rzadko tylko ją opuszczające, było najbardziej skutecznym środkiem odstraszającym.

- Powie mi pan? Proszę - powtórzyła. Podeszła do mnie bliżej. Zielone oczy zaczęły się rozpląwać w swój niesamowity sposób i znów miałem kłopoty z oddychaniem. - Myślę, że może mi pan zaufać, panie Carter.

- Tak. - Odwróciłem wzrok - za pomocą resztek siły woli, ale jednak odwróciłem - i udało mi się znów zacząć oddychać, wdech-wydech, wdech-wydech, to nie było takie trudne, jak już się zaczęło. - Myślę, że mógłbym pani zaufać, panno Beresford. Powiem pani. Ale nie teraz. Gdyby pani wiedziała, dlaczego to mówię, nie naciskałaby pani, żebym pani powiedział. Czy pasażerowie dalej siedzą na pokładzie, korzystając ze słońca i świeżego powietrza?

- Co takiego? - Zmiana tematu sprawiła, że zamrugła, lecz szybko odzyskała równowagę i wskazała na okno.- Przy czymś takim?

Zrozumiałem, co miała na myśli. Słońce zaszło, a całe niebo przesłoniła potężna, ciemna chmura nadciągająca z południowego wschodu. Morze nie było bardziej wzburzone niż przedtem, ale odniosłem wrażenie, że temperatura spadła. Nie podobała mi się ta pogoda. Doskonale rozumiałem, dlaczego nikt z pasażerów nie chciał być na pokładzie. To nieco komplikowało sytuację. Ale był jeszcze inny sposób.

- Rozumiem, co ma pani na myśli. Przyrzekam, że wieczorem powiem wszystko, co pani będzie chciała wiedzieć - był to dość elastyczny limit czasu - jeżeli pani z kolei obieca nie zdradzić nikomu, że coś się stało... i jeżeli coś pani dla mnie zrobi.

- Co mam zrobić?

- Już mówię. Wie pani, że dziś w salonie pani ojciec urządza przyjęcie na cześć pani matki. O siódmej czterdzieści pięć. Niech pani sprawi, żeby je przyspieszył na siódmą trzydzieści. Potrzebuję więcej czasu przed kolacją... teraz to nieważne dlaczego. Niech pani wymyśli pierwszy lepszy powód, ale niech mnie pani w to nie miesza. I niech pani także poprosi ojca, żeby zaprosił starego Cerdana. Nieważne, czy będzie musiał zabrać ze sobą wózek i pielęgniarki. Niech przyjdzie na przyjęcie. Pani ojciec jest człowiekiem o dużej sile perswazji... a wyobrażam sobie, że pani jest w stanie nakłonić ojca do wszystkiego. Niech mu pani powie, że żal pani staruszka, który zawsze pozostaje na uboczu. Niech mu pani powie cokolwiek, byleby tylko stary Cerdan zjawił się na przyjęciu. Nie ma pani pojęcia, jak wielkie to ma znaczenie.

Spojrzała na mnie z powolnym namysłem. Rzeczywiście miała nadzwyczajne oczy, to już trzy tygodnie, jak z nami płynęła, a do tej pory tego nie zauważyłem. Oczy koloru głębokiej, lecz półprzezroczystej zieleni wody morskiej, zalewającej piaski wyspy Windward, oczy rozpląwające się i migoczące, jak gdyby lekka bryza zmarszczyła powierzchnię wody,

oczy, które... odwróciłem moje własne oczy. Zobacz się z Carterem, powiedział stary Beresford, to facet dla ciebie. Bez przerostu wyobraźni. Tak właśnie myślał. Zdałem sobie sprawę, że ona mówi do mnie spokojnym głosem:

- Zrobię to, przyrzekam. Nie wiem, na jakim pan jest tropie, ale to dobry trop.

- Co ma pani na myśli? - spytałem powoli.

- Ta pielęgniarka pana Cerdana. Ta wysoka, co robi na drutach. Ona potrafi równie dobrze robić na drutach, co latać na księżyc. Siedzi tylko, stuka drutami, partaczy każdy ścieg i wcale się nie posuwa do przodu. Wiem o tym. To, że jest się córką milionera, wcale nie znaczy, że nie można sobie radzić z drutami równie dobrze, jak każda inna dziewczyna.

- Co! - Chwyciłem ją za ramiona i gapiłem się na nią. - Widziałaś to? Jesteś tego pewna?

- Pewnie, że jestem pewna.

- No, no. - Wciąż się w nią wpatrywałem, ale tym razem nie widziałem oczu, widziałem wiele innych rzeczy, które mocno mi się nie podobały. - To bardzo interesujące - rzekłem. - Zobaczmy się później. A teraz bądź dobrą dziewczynką i załatw tę sprawę z ojcem, dobrze? - Z roztargnieniem klepnałem ją w ramię, odwróciłem się i wyjrzałem przez okno.

Po kilku sekundach uświadomiłem sobie, że jeszcze nie odeszła. Otworzyła drzwi i z ręką na klamce przypatrywała mi się z dziwnym wyrazem twarzy.

- Nie chciałby pan może dać mi lizaka? - Jeżeli możecie sobie wyobrazić głos słodki i gorzki zarazem, to taki właśnie był jej głos. - Albo wstążkę do warkoczyków? - Po czym trzasnęła drzwiami i już jej nie było. Drzwi się nie rozleciały, ale to tylko dlatego, że były wykonane ze stali.

Przez chwilę gapiłem się na nie, lecz tylko przez chwilę. W innym momencie być może poświęciłbym kilka minut na rozmyślanie o tajemniczych, cudownych właściwościach duszy kobiecej. Ale to nie był inny moment. To był zupełnie nie ten moment. Włożyłem buty, koszulę i kurtkę, wyciągnąłem colta spod materaca, wsadziłem go sobie za pasek i udałem się na poszukiwanie kapitana.

## VI. Środa, między dziewiętnastą czterdzieści pięć a dwudziestą piętnaście

Wieczorem, w miarę napływu gości, pan Julius Beresford nie miał powodu do narzekania - wszyscy pasażerowie przybyli na przyjęcie urodzinowe jego żony i - o ile mogłem dojrzeć - byli tam także wszyscy wolni od służby oficerowie. A przyjęcie niewątpliwie przebiegało wspaniale: o siódmej czterdzieści pięć praktycznie każdy był już przy drugim koktajlu, a koktajle serwowane na „Campari” nie należały do najmniejszych.

Beresford krążył wraz z żoną po sali, rozmawiając po kolei ze wszystkimi gośćmi. Właśnie przysła kolej na mnie. Zobaczyłem, jak się zbliżają, uniosłem szklankę i powiedziałem:

- Sto lat, pani Beresford.

- Dziękuję, młody człowieku. Dobrze się pan bawi?

- Oczywiście. Zresztą jak każdy. A najlepiej powinna się bawić pani.

- Tak. - Zabrzmiało to niezbyt przekonująco. - Nie wiem, czy Julius dobrze zrobił... nie minęły jeszcze dwadzieścia cztery godziny...

- Jeżeli myśli pani o Brownellu i Bensonie, to martwi się pani niepotrzebnie. Nie można było zrobić nic lepszego od tego przyjęcia. Jestem pewny, że wszyscy nasi pasażerowie są wdzięczni za pomoc w szybkim przywróceniu normalnego życia. W każdym razie wiem, że wszyscy oficerowie są wdzięczni.

- To samo ci mówiłem, moja droga. - Beresford poklepał żonę po dłoni i spojrzał na mnie z wesołym błyskiem w oczach. - Wydaje mi się, że moja żona, podobnie jak moja córka, ma ogromne zaufanie do pańskich opinii, panie Carter.

- Tak... Zastanawiam się, czy mógłby pan wyperswadować swojej córce, żeby nie odwiedzała kajut oficerskich?

- Nie - odparł z żalem Beresford. - To niemożliwe. To bardzo samowolna pannica. - Wyszczrzył zęby. - Założę się, że nawet nie zapukała.

- Nie. - Spojrzałem na drugą stronę sali, gdzie panna Beresford w całej krasie obdarzała Tony'ego Carrerasa widokiem swych oczu ponad kieliszkiem martini. Niewątpliwie tworzyli uderzającą parę. - Ona, za przeproszeniem, ma bzika na punkcie tego, że na „Campari” dzieje się coś złego. Myślę, że musiały ją przygnębić nieszczęsne wypadki z zeszłej nocy.

- Naturalnie. A pan jej pomógł, hm... pozbyć się tego bzika?

- Myślę, że tak.

Nastąpiła chwila ciszy, po czym pani Beresford powiedziała ze zniecierpliwieniem:

- Julius, wydaje mi się, że owijamy sprawę w bawełnę.

- Och, Mary, nie sądzę, żeby...

- Bzdury - przerwała szybko. - Młody człowieku, czy zna pan jeden z głównych powodów, dla których wybrałam się na ten rejs? Oczywiście - roześmiała się - pomijając jedzenie. Dlatego, że prosił mnie o to mąż, bo chciał usłyszeć moją opinię... na pański temat. Julius, jak panu wiadomo, już kilka razy pływał na pańskim statku. On, jak to się mówi, miał pana na oku jako kandydata na stanowisko w swojej organizacji. Powiem panu, że mój mąż zbił majątek nie tyle pracując sam, co dobierając sobie odpowiednich ludzi, którzy pracowali dla niego. Nigdy jeszcze nie popełnił omyłki. Teraz też nie wydaje mi się, żeby się mylił. A pan ma jeszcze jedną bardzo ważną cechę.

- Słucham, proszę pani - odparłem uprzejmie.

- Wśród naszych znajomych jest pan jedynym młodym mężczyzną, który nie pada na dywan, by dać się podeptać, gdy tylko nasza córka pojawia się na widoku. Niech mi pan wierzy, to jest bardzo ważna cecha.

- Chciałby pan dla mnie pracować, panie Carter? - zapytał bez ogródek Beresford.

- Myślę, że tak.

- No? - Pani Beresford spojrzała na męża. - To załatwione...

- Czy zgadza się pan? - przerwał Julius Beresford.

- Nie.

- Dlaczego?

- Ponieważ pańskie interesy dotyczą stali i ropy naftowej. Ja znam się tylko na morzu i statkach. To nie idzie w parze. Nie mam kwalifikacji, żeby dla pana pracować, a w moim wieku nauka trwałaby zbyt długo. Nie mógłbym przyjąć pracy, do której nie mam kwalifikacji.

- Nawet za podwójną pensję? Czy potrójną?

- Niech mi pan wierzy, jestem wdzięczny za propozycję. W pełni ją doceniam. Ale tu nie chodzi o pieniądze.

- Cóż. - Beresfordowie spojrzeli po sobie. Nie wydawali się specjalnie przejęci moją odmową. Zresztą, nie mieli do tego powodu. - Zadaliśmy pytanie, otrzymaliśmy odpowiedź. Uczciwie. - Beresford zmienił temat. - Co pan powie na mój wyczyn, że udało mi się ściągnąć staruszka?

- Uważam, że to był wyśmienity pomysł. - Zerknąłem na drugą stronę pokoju, gdzie koło drzwi siedział w swoim wózku stary Cerdan, z kieliszkiem sherry w dłoni. Obok niego, na kanapie, siedziały jego pielęgniarki. One także trzymały kieliszki sherry. Zdawało się, że staruszek z ożywieniem rozmawia z kapitanem. - On pewnie prowadzi bardzo samotne życie. Ciężko go było namówić?

- Gdzież tam. Przyjął zaproszenie z radością. - Zanotowałem sobie w pamięci tę informację. Moje spotkanie z Cerdanem pozostawiło we mnie wrażenie, że jedyne, co sprawiłoby mu radość z takiego zaproszenia, to okazja do zgryźliwego odrzucenia propozycji.

- Proszę nam wybaczyć, panie Carter. Mamy obowiązki wobec gości, wie pan, jak to jest.

- Ależ oczywiście. - Odstąpiłem na bok, lecz pani Beresford stanęła przede mną i uśmiechnęła się zabawnie.

- Panie Carter - powiedziała stanowczo - jest pan młodym człowiekiem o wyjątkowo sztywnym karku. I niech pan sobie ani przez chwilę nie wyobraża, że mam na myśli pański wypadek z zeszłej nocy.

Odeszli. Patrzyłem na nich przez chwilę, myśląc sobie najróżniejsze rzeczy, a następnie ruszyłem do kłapy w ladzie baru, prowadzącej na zaplecze. Podchodząc do niej zawsze miałem wrażenie, że powinienem trzymać nie szklanek, lecz maczetę, aby utorować sobie drogę przez dżunglę kwiatów, krzewów w donicach, kaktusów oraz girland pnącz i zwisających roślin, które powodowały, że był to najdziwniejszy bar, jaki sobie można wyobrazić. Dekorator wnętrz, który to projektował, piał hymny pochwalne, ale jemu z tym było dobrze, on nie musiał z tym żyć, jedyne, co go czekało, to wieczorne powroty do swej willi w południowym Londynie, gdzie żona wystawiłaby go za drzwi, gdyby spróbował zaprojektować podobny nonsens do własnego domu. Pasażerom jednak się to podobało.

Przedostałem się na zaplecze baru nawet bez większych zadrapań i spytałem barmana:

- Jak leci, Louis?

- Bardzo dobrze, poruczniku - odrzekł Louis sztywno. Jego łysa głowa świeciła od potu, a pedantycznie przycięte wąsy drgały nerwowo. Działy się rzeczy nie zaplanowane, a Louis rzeczy nie zaplanowanych nie lubił. Po chwili rozluźnił się nieco i stwierdził: - Oni dziś piją dużo więcej niż zwykle.

- To jeszcze nic, w porównaniu z tym, co się będzie działo niedługo. - Podszedłem do oszklonych półek, skąd mogłem zajrzeć pod ladę baru, i rzekłem: - Wygląda na to, że nie jest ci tam zbyt wygodnie.

- Bo i nie jest! - Faktycznie, pomiędzy podwyższeniem pokładu a ladą nie było zbyt wiele miejsca dla cielska bosmana: kolana miał przy policzkach, ale przynajmniej był

niewidoczny dla ludzi po drugiej stronie baru. - Zdrętwiałem jak cholera. Jak przyjdzie co do czego, to się stąd nie wygrzebię.

- I ten dolatujący do ciebie zapach trunków - dodałem ze współczuciem. Nie byłem tak spokojny, jak na to wskazywał mój głos: musiałem wycierać dłonie o kurtkę, lecz i tak nie były suche jak należy. Znów podszedłem do lady. - Podwójną whisky, Louis. Dużą podwójną whisky.

Louis napełnił szklanekę i podał mi ją bez słowa. Uniosłem ją do ust i opuściłem poniżej lady, gdzie z wdzięcznością zamknęła się na niej duża dłoń. Powiedziałem spokojnie, jakbym mówił do Louisa:

- Jeżeli po wszystkim kapitan poczuje zapach whisky, to zaklinaj się, że to ten niezdara Louis cię oblał. Idę teraz na spacer, Archie. Jak wszystko pójdzie dobrze, to wracam za pięć minut.

- A jeżeli nie? Jeżeli się mylisz?

- Niech Bóg ma mnie w swojej opiece. Stary rzuci mnie na pożarcie rekinom.

Wydostałem się z baru i powoli ruszyłem do drzwi. Widziałem, jak Bullen próbuje podchwycić mój wzrok, ale go zignorowałem - był najgorszym aktorem na świecie. Uśmiechnąłem się do Susan Beresford i Tony'ego Carrerasa, dosyć uprzejmie skinąłem głową staremu Cerdanowi, skłoniłem się lekko jego dwóm pielęgniarkom - zauważyłem, że wyższa powróciła do swojej robótki i, na mój gust, szło jej całkiem dobrze - i znalazłem się przy drzwiach.

Gdy tylko wydostałem się na zewnątrz, przestałem udawać, że mi się nie śpieszy. U wejścia do pomieszczeń pasażerskich na pokładzie „A” znalazłem się w dziesięć sekund. W połowie długiego centralnego korytarza siedział White w swojej kabine. Podszedłem do niego szybko, podniosłem blat jego biurka i wyjąłem cztery leżące tam przedmioty: colta, latarkę, śrubokręt i wytrych. Colta wsadziłem za pas, latarkę do jednej kieszeni, a śrubokręt do drugiej. Popatrzyłem na White'a, ale on na mnie nie spojrzał. Gapił się w róg swojej kabiny, jakbym w ogóle nie istniał. Zaciskał kurczowo dłonie, niczym w modlitwie. Miałem nadzieję, że modli się za mnie. Nawet zaciskając dłonie nie był w stanie powstrzymać ich drżenia. Zostawiłem go bez słowa i dziesięć sekund później znalazłem się w apartamencie starego Cerdana i jego pielęgniarek, zamknąwszy za sobą drzwi. Instynktownie zapaliłem latarkę i oświetliłem futryny. Były jasnoniebieskie, na tle jasnoniebieskiej grodzi. Z sufitu zwisała jasnoniebieska nitka kończąca się tuż nad górną krawędzią drzwi. Przerwana jasnoniebieska nitka - dla tych, którzy ją zawiesili, nieomylny znak, że byli goście. To mnie nie martwiło, natomiast martwił mnie fakt, że ktoś tu był podejrzliwy, bardzo podejrzliwy. To mogło nielecho skomplikować sytuację. Może jednak powinniśmy byli powiadomić ludzi o śmierci Dextera.

Przeszedłem przez kabinę pielęgniarek i salon wprost do kabiny Cerdana. Zasłony były zaciągnięte, ale nie zapalałem światła: światło mogło przebić się przez zasłony, a jeżeli ktoś był tak podejrzliwy, jak przypuszczałem, to mógł się zainteresować, dlaczego tak nagle wyszedłem na spacer. Zmniejszyłem światło latarki, tak że rzucała zaledwie cienki promyk, i powiodłem nią po suficie. Kanał wentylacyjny biegł przez całą długość kabiny, a pierwszy nawiewnik znajdował się dokładnie nad łóżkiem Cerdana. Nawet nie potrzebowałem śrubokręta. Poświeciłem latarką w głąb otworu i wewnątrz kanału dojrzałem coś, co w świetle latarki błyszczało metalicznie. Wsadziłem dwa palce i powoli wyciągnąłem to coś przez otwór nawiewnika. Słuchawki. Ponownie zajrzałem w głąb kanału. Kabel słuchawek miał na końcu wtyczkę, wetkniętą w przyśrubowane do górnej strony kanału gniazdko. Dokładnie powyżej gniazdko leżała kabina radiowa. Wyciągnąłem wtyczkę, zwinąłem kabel dookoła słuchawek i gasiłem latarkę.

White siedział dokładnie tak samo jak wtedy, gdy go zostawiłem. Drgał niczym potrącony kamerton. Otworzyłem jego biurko, zwróciłem klucz, latarkę i śrubokręt. Słuchawki zatrzymałem. Broń też.

Kiedy wróciłem do salonu, wszyscy byli już przy trzecim koktajlu. Nie musiałem liczyć pustych butelek, żeby się o tym przekonać - śmiech, ożywienie rozmów i wzrost decybeli świadczyły o tym dobitnie.

Kapitan Bullen wciąż gadał z Cerdanem. Wysoka pielęgniarka robiła na drutach, niższa zaś trzymała świeżo napełniony kieliszek. Tommy Wilson stał przy barze. Potarłem policzek, a on zgasił papierosa. Zobaczyłem, jak mówi coś do Miguela i Tony'ego Carrerasów - z odległości siedmiu metrów, przy takim gwarze, nie sposób było usłyszeć ani słowa - zobaczyłem, jak Tony Carreras unosi brew, zdziwiony, a może zaskoczony, i cała trójka kieruje się do baru.

Przyłączyłem się do kapitana Bullena i Cerdana. Długie przemówienia nic by mi nie dały, tylko głupiec nadstawiałby karku, ostrzegając takich ludzi, jak ci.

- Dobry wieczór, panie Cerdan - odezwałem się. Wyciągnąłem lewą rękę spod kurtki i rzuciłem słuchawki na jego okryte pledem kolana.- Poznaje pan?

Cerdan otworzył szeroko oczy. Rzucił się w przód i w bok, jakby chcąc się uwolnić od zawadzającego mu fotela na kółkach, jednak stary Bullen był na to przygotowany i był dla niego za szybki. Rąbnął Cerdana, wkładając w cios całą powstrzymywaną troskę i furię ostatnich dwudziestu czterech godzin. Cerdan przetoczył się przez poręcz fotela i upadł ciężko na podłogę.

Nie widziałem, jak upadał, usłyszałem tylko dźwięk. Sam byłem zbyt zajęty samoobroną. Pielęgniarka z kieliszkiem sherry, szybka jak kot, chlusnęła mi w oczy jego zawartością w tym samym momencie, gdy Bullen uderzył Cerdana. Rzuciłem się w bok, by nie dać się oslepić, i upadając zobaczyłem, jak wysoka chuda pielęgniarka odrzuca robótkę i zanurza prawą rękę głęboko w torbie.

Prawą dłonią wyrwałem colta zza pasa, jeszcze zanim uderzyłem o podłogę, i dwukrotnie nacisnąłem spust. Uderzyłem najpierw prawym ramieniem, właśnie w momencie strzału, i nie widziałem, gdzie trafiły kule. Nie dbałem o to zresztą, gdyż oslepiający, nagły ból towarzyszący upadkowi, przeniósł się na moją uszkodzoną szyję. Otrząsnąłem się jednak natychmiast, gdy zobaczyłem, że wysoka pielęgniarka wstaje. Nie tylko wstała, lecz uniosła się na palcach, z daleko wysuniętą głową i ramionami i ze zbieleńcami wciśniętymi w mostek. Następnie pochyliła się do przodu, w makabrycznym, zwolnionym tempie, i zwała na leżącego Cerdana. Druga pielęgniarka nie ruszyła się z fotela - mając lufę colta kapitana Bullena zaledwie o piętnaście centymetrów od twarzy i widząc jego zbieleńcze palce na spuście, nie była do tego zbyt skora.

Echo wystrzału ciężkiego colta, bolesne i ogłuszające w swym natężeniu w tej ciasnej, ograniczonej metalowymi ścianami przestrzeni, przeszło w śmiertelną, w dosłownym tego słowa znaczeniu, ciszę, przez którą dobiegł nas cichy góralski głos:

- Jeżeli któryś z was się poruszy, zabije.

Carreras senior i junior, którzy dotychczas stali plecami do baru, byli teraz na wprost odwróceniu, gapiąc się na rewolwer w dłoni MacDonalda. Twarz Miguela Carrerasa była nie do poznania, nie była to już twarz łagodnego, wytwornego, dobrze prosperującego biznesmana, lecz wyrażała coś naprawdę wstrętnego. Kiedy okręcał się na pięcie, jego prawa dłoń spoczęła na barze obok kryształowej karafki.

Archie MacDonald nie nosił tej nocy swych licznych medali, a Carreras nie mógł wiedzieć o długiej, znaczonej krwią przeszłości bosmana, inaczej nigdy by nie spróbował cisnąć tą karafką w jego głowę. Reakcja Carrerasa była tak szybka, tak nieoczekiwana, że gdyby naprzeciw siebie miał kogoś innego, zapewne by mu się udało. Stał jednak naprzeciw

MacDonalda, toteż nawet nie zdążył podnieść karafki z lady, a już ułamek sekundy później gapił się na krwawą, poszarpaną masę, która niegdyś była jego dłonią.

Po raz drugi w ciągu kilku sekund grzmot wielkiego rewolweru, zmieszany teraz z brzękiem rozbitego, spadającego szkła, umilkł i ponownie rozległ się głos MacDonalda:

- Powinienem cię zabić - powiedział prawie z żalem - ale lubię czytać o procesach morderców. Zachowam cię dla kata, panie Carreras.

Zbierałem się na nogi, kiedy ktoś krzyknął chrapliwym, nieprzyjemnym głosem, świdrującym w uszach. Krzyk podjęła następna kobieta - zawieszony w połowie wrzask, przypominający ekspres, gwiżdżący przed przejazdem kolejowym. Wyglądało na to, że zapanuje masowa histeria.

- Dość tych wrzasków! - warknąłem. - Słyszycie? Dość! Wszystko skończone.

Krzyki ustały. Zapadła cisza - niesamowita, nienaturalna cisza, prawie tak straszna jak niedawny zgiełk. Podszedł do mnie Beresford, trochę niepewnie, jego wargi układały się w nie wypowiedziane słowa, był blady. Nie mogłem go winić - w jego dobrze ułożonym świecie bogaczy przyjęcia rzadko kiedy kończyły się zalegającymi podłogę ciałami.

- Zabiłeś ją, Carter - wydusił wreszcie. Jego głos był szorstki, napięty. - Zabił ją pan. Widziałem to, wszyscy widzieliśmy. Bez... bezbronną kobietę. - Wpatrywał się we mnie, a jeżeli nadal myślał o zaproponowaniu mi pracy, to w każdym razie nie widziałem tego na jego twarzy. - Pan ją zamordował!

- Gówno, nie kobieta! - ryknąłem dziko. Schyliłem się, zdarłem czepek pielęgniarki i brutalnie zerwałem przyklejoną perukę, pod którą ukazały się krótko przycięte, czarne włosy. - Atrakcyjna, prawda? Ostatni model z Paryża. I bezbronna! - Chwyciłem torbę rzekomej pielęgniarki, wyrzuciłem do góry nogami, wyrzuciłem jej zawartość na dywan, nachyliłem się i wstałem z czymś, co pierwotnie było długą strzelbą o dwóch lufach. Lufy zostały obcięte, miały nie więcej niż piętnaście centymetrów, a drewnianą kolbę usunięto, zastępując ją toporną kolbą pistoletu. - Widział pan kiedyś coś takiego, panie Beresford? Rodzimy produkt z pańskiego kraju, jak przypuszczam. Nazywa się to „obryz”, czy jakoś tak. Strzela ołowianymi kulami i z tej odległości, z jakiej nasza pielęgniarka chciała jej użyć, wywaliby mi dziurę w piersiach na wylot. Bezbronna! - Odwróciłem się do Bullena, wciąż celującego w drugą „pielęgniarkę”. - Czy ten facet jest uzbrojony?

- Zaraz się przekonamy - odrzekł Bullen ponuro. - Masz broń, przyjacielu?

„Pielęgniarka” niskim, ochrypłym głosem rzuciła mu przekleństwo, dwa słowa w czystym angielskim. Bullen bez ostrzeżenia uniósł colta i kolbą silnie uderzył mężczyznę na odlew w twarz i skroń. Ten zatoczył się i zachwiał, wytrącony z równowagi. Złapałem go, przytrzymując jedną ręką, podczas gdy drugą rozdarłem z przodu sukienkę. Z filcowej kabury pod jego lewym ramieniem wyjąłem pistolet maszynowy z obciętą lufą i puściłem go. Zachwiał się jeszcze bardziej, upadł na kanapę i osunął się na podłogę.

- Czy... czy to wszystko jest konieczne? - Głos Beresforda był wciąż chrapliwy, napięty.

- Wszyscy do tyłu! - zarządził Bullen autorytatywnie. - Trzymajcie się blisko okien i z dala od tych dwóch ludzi, naszych przyjaciół Carrerasów. Są wysoce niebezpieczni i mogą spróbować wmieszać się między was, szukając osłony. MacDonald, to była wyśmienita robota. Ale następnym razem strzelaj tak, żeby zabić. To rozkaz. Biorę na siebie pełną odpowiedzialność. Doktorze Marston, proszę przynieść niezbędny sprzęt i zająć się dłonią Carrerasa. - Począł, aż Marston wyjdzie, a następnie zwrócił się do Beresforda z wymuszonym uśmiechem: - Przykro mi, że zepsułem pańskie przyjęcie, panie Beresford. Zapewniam pana, że to wszystko jest nader konieczne.

- Ale... ale ta brutalność... zabijanie...

- Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny oni zabili trzech moich ludzi.

- Co takiego?!



- Bersona, Brownella i czwartego oficera Dextera. Zamordowali ich. Brownella udusili. Bersona udusili albo zastrzelili. Dexter leży martwy w kabinie radiowej z trzema kulami w brzuchu, a Bóg jeden wie, ilu ludzi by jeszcze zginęło, gdyby nasz pierwszy oficer Carter nie wziął się za tych drani.

Rozejrzałem się po białych, napiętych, wciąż niedowierzających twarzach - jeszcze nie docierało do nich to, co powiedział kapitan: szok, przerażenie, niemal histeria, nie zostawiały miejsca na myślenie. Musiałem przyznać, że z nich wszystkich stary Beresford przyjął to najlepiej, najlepiej przystosował się do niewiarygodnego widoku, jak oficerowie „Campari” zabijają jego współpasażerów, najszybciej otrząsnął się z tej mgły zwariowanego oszołomienia.

- Ale... chwileczkę, kapitanie, jaką rolę może w tym odgrywać stary, sparaliżowany pan Cerdan?

- Według pana Cartera Cerdan nie jest stary... po prostu jest odpowiednio ucharakteryzowany. Również według pana Cartera, jeżeli Cerdan jest kaleką, sparaliżowanym od pasa w dół, to będziecie świadkami współczesnego cudu, gdy tylko odzyska przytomność. O ile wiemy, Cerdan najprawdopodobniej jest przywódcą tej bandy morderców. Nie wiemy jeszcze.

- Ale co się, na Boga, za tym kryje? - zapytał Beresford.

- Tego się właśnie zaraz dowiemy - rzekł Bullen z mocą. Popatrzył na Carrerasów, ojca i syna. - Chodźcie no tu.

Podeszli, a za nimi MacDonald i Wilson. Carreras senior owinął sobie poszarpaną dłoń chusteczką, próbując, niezbyt skutecznie, zatamować upływ krwi. Kiedy na mnie spojrział, jego oczy wypełniała nienawiść. Dla odmiany Tony Carreras wydawał się beztrosko spokojny, nawet z lekka rozbawiony. Zapisałem sobie w pamięci, że należy zwracać na niego baczniejszą uwagę. Był opanowany i swobodny zarazem.

Zatrzymali się o metr od nas.

- Panie Wilson...- rzekł Bullen.

- Kapitanie?

- Ta obcięta strzelba, należąca do naszego świętej pamięci przyjaciela. Niech pan ją podniesie.

Wilson wykonał polecenie.

- Wie pan, jak się tym posługiwać? Niech pan nie celuje z tego draństwa we mnie - dorzucił pośpiesznie.

- Myślę że tak, kapitanie.

- Cerdan i ta tak zwana pielęgniarka. Miej pan na nich oko. Jeżeli spróbują coś zrobić... - Bullen nie dokończył zdania. - Panie Carter, Carreras i jego syn mogą być uzbrojeni.

- Tak jest, kapitanie. - Okrążyłem Tony'ego Carrerasa, ostrożnie schodząc z linii strzału Bullena i MacDonalda, chwyciłem go za kołnierz kurtki i gwałtownym ruchem ściągnąłem ją w dół, aż zatrzymała się na jego łokciach.

- Wygląda na to, że robił pan już takie rzeczy, panie Carter - odezwał się spokojnie Tony Carreras. Szkoda gadać, to był zimny gość, zbyt zimny jak na mój gust.

- Widziałem w telewizji - wyjaśniłem. Miał broń, pod lewym ramieniem. Nosił specjalną koszulę, mającą po lewej stronie z przodu i tyłu dwie obrębione dziurki, dzięki którym kłamra paska od kabury na piersiach była ukryta pod koszulą. Tony Carreras był wyjątkowo starannie przygotowany.

Przeszukałem jego ubranie, ale miał tylko jeden pistolet. Tak samo sprawdziłem Miguela Carrerasa - uprzejmością ani trochę nie przypominał swojego syna, ale może bolała go dłoń. On nie nosił broni. To mogło świadczyć o tym, że nie musiał, że mógł kazać zabijać innym.

- Dziękuję - powiedział Bullen. - Panie Carreras, za kilka godzin będziemy w Nassau, O północy na pokładzie zjawi się policja. Czy chce pan złożyć zeznanie teraz, czy woli pan poczekać na policję?

- Mam złamaną dłoń - powiedział Carreras ochryłym szeptem. - Mam zmiażdżony palec wskazujący, trzeba go będzie amputować. Ktoś mi za to zapłaci.

- Rozumiem, że to pańska ostateczna odpowiedź - stwierdził zimno Bullen. - Dobrze. Bosmanie, proszę o cztery rzutki. Związać tych ludzi jak indyki.

- Rozkaz, kapitanie. - Bosman zrobił krok do przodu, lecz stanął jak wryty. Przez otwarte drzwi doleciał staccato matowy dźwięk - znajomy terkot pistoletu maszynowego. Wydawało się, że dolatuje z góry, od mostka. I wtedy zgasły wszystkie światła.

Przypuszczam, że byłem pierwszą osobą, która się poruszyła. Byłem chyba jedyną osobą, która się poruszyła. Zrobiłem krok w przód, otoczyłem lewym ramieniem szyję Tony'ego Carrerasa, wbiłem mu colta w krzyż i rzekłem cicho:

- Nawet nie myśl o jakichś sztuczkach, Carreras.

Znowu zapadła cisza. Wydawało się, że trwa i trwa, i trwa, lecz przypuszczalnie nie trwała dłużej niż kilka sekund. Rozległ się krzyk kobiety, krótki, zdławiony, przechodzący w jęk, i znów zapadła cisza, cisza, która przerwana została gwałtownie brutalnym trzaskiem, brzękiem i chrzęstem, gdy ciężkie, solidne, metalowe przedmioty, działające w doskonałym unisono, wybiły szyby z tafLOWego szkła w wychodzących na pokład oknach. W tym samym momencie doleciał ostry dźwięk metalu uderzającego o metal, gdy kopnięciem wyważono drzwi, aż trzasnęły o grodz.

- Rzućcie broń, wszyscy! - zawołał Miguel Carreras wysokim, czystym głosem. - Rzućcie... natychmiast! Chyba że chcecie masakry.

Zapaliły się światła.

Jak przez mgłę dostrzegłem obramowane przez cztery strzaskane okna salonu zarysy czterech nieznanymi mi głów, ramion i rąk. One mnie nie obchodziły, jednak niepokoiło mnie to, co zobaczyłem w tych rękach: złośliwie wyglądające otwory luf i cylindryczne magazynki czterech pistoletów maszynowych. W drzwiach stanął piąty mężczyzna, ubrany w leśną zieleń, z zielonym beretem na głowie, trzymający w rękach podobny pistolet maszynowy.

Rozumiałem teraz, co Carreras miał na myśli, krzycząc, byśmy rzucili broń. Mnie ten pomysł wydał się wyśmienity - mieliśmy szanse równie wielkie, co ostatnia porcja lodów na dziecięcej zabawie. Już rozluźniałem dłoń trzymającą rewolwer, gdy z niedowierzaniem dostrzegłem, jak kapitan Bullen podrywa colta w kierunku stojącego w drzwiach uzbrojonego mężczyzny. To była zbrodnia, samobójcza głupota - albo działał całkowicie instynktownie, bez najmniejszego namysłu, albo też nie zniósł gorzkiego, śmiertelnego rozczarowania w momencie, kiedy myślał, że trzyma wszystkie karty w ręku. Powinienem być to przewidzieć, pomyślałem dziko, on był zbyt spokojny i opanowany, niczym kipiący czajnik z przyśrubowaną pokrywą.

Próbowałem ostrzec go krzykiem, ale było za późno, dużo za późno. Gwałtownie odepchnąłem Tony'ego Carrerasa na bok, starając się dopaść Bullena i wytrącić mu broń z ręki, byłem jednak zbyt wolny, o całe życie zbyt wolny. Ciężki colt podskoczył i zagrzmiął w dłoń Bullena, a mężczyzna w drzwiach, dla którego śmieszny pomysł stawiania oporu był pewnie ostatnią w życiu myślą, wypuścił powoli pistolet maszynowy z martwych rąk i przewrócił się do tyłu, ginąc z widoku.

Facet stojący na zewnątrz najbliższego okna od drzwi wycelował swój pistolet maszynowy w kapitana. W tej sekundzie Bullen był największym głupcem na świecie, zwariowanym, samobójczym maniakiem, a jednak nie mogłem pozwolić, by zginął tak jak stał. Nie wiem, gdzie trafiła pierwsza kula, ale druga musiała rąbnąć w pistolet maszynowy - zobaczyłem, jak podskoczył gwałtownie, niczym uderzony gigantyczną ręką. I wtedy rozległo

się nieustające, kakofoniczne, ogłuszające bębnienie, gdy trzeci mężczyzna nacisnął spust swojego pistoletu maszynowego. Coś o sile i wadze opadającego kafara uderzyło mnie w lewe udo, rzucając mną o bar. Wyrzuciłem głowę w ciężką, mosiężną barierkę przy ladzie i odgłos strzelającego karabinu ucichł.

Zapach kordytu i cisza grobowca. Nim jeszcze całkiem odzyskałem przytomność, nim otworzyłem oczy, zdałem sobie z tego sprawę. Kordyt i nieziemski cisza. Otworzyłem powoli oczy, uniosłem się chwiejnie, tak że siedziałem z plecami opartymi mniej więcej o bar, i potrząsałem głową, chcąc odzyskać jasność myśli. Zrozumiałe, że zapomniałem o zeszywniałej szyi. Ostry, przeszywający ból natychmiast rozjaśnił mi w głowie.

Pierwsze, co zauważyłem, to pasażerowie. Leżeli wyciągnięci na dywan, bez ruchu. Przez jeden, ściskający serce moment, pomyślałem, że są martwi lub umierają, skoszeni tym terkoczącym pistoletem maszynowym, lecz po chwili zobaczyłem, jak pan Greenstreet przesuwa głowę i ostrożnie rozgląda się po pokoju z przerażeniem w oku. Mogłem dojrzeć tylko jedno oko. W innym momencie byłoby to naprawdę śmieszne, jednak nigdy nie było mi mniej do śmiechu. Pasażerowie, być może świadomie, lecz raczej pchnięci instynktem samozachowawczym, rzucili się na dywan w momencie, gdy pistolet maszynowy otworzył ogień, a teraz ledwie śmieli podnieść głowy. Doszedłem do wniosku, że straciłem przytomność najwyżej na kilka sekund.

Przesunąłem wzrok na prawo. Carreras i jego syn stali tam, gdzie przedtem. Tony Carreras trzymał teraz w ręku rewolwer. Mój rewolwer. Za nimi, na podłodze, dojrzałem zbitą grupkę leżących lub siedzących ludzi: Cerdana, „pielęgniarkę”, którą zastrzeliłem, i jeszcze trzy osoby.

Tommy Wilson, uroczy, roześmiany, beztroski Tommy Wilson był martwy. Nigdy więcej nie będzie miał kłopotów z matematyką.

Nie potrzebowałem starego doktora Marstona i jego krótkowzrocznych oczu, by stwierdzić, że Wilson nie żyje. Leżał na plecach i wyglądał tak, jakby mu odstrzelono klatkę piersiową - zapewne przyjął na siebie największy impet tego zmasowanego ognia. A Tommy nawet nie dotknął swojej broni.

Archie MacDonald leżał wyciągnięty na boku, tuż obok Wilsona. Wydawało mi się, że jest zbyt sztywny, o wiele za sztywny. Był odwrócony, więc nie widziałem przodu jego ciała, lecz wydawało mi się, że kule pistoletu maszynowego pozbawiły go życia tak samo, jak Tommy'ego Wilsona. Widziałem krew, spływającą z całej jego twarzy i szyi i wsiąkającą powoli w dywan.

Kapitan Bullen był jedynym, który siedział. Nie był martwy, ale nie postawiłbym złamanego grosza na to, że będzie mu dane żyć długo. Był w pełni przytomny, z ustami ściągniętymi i wygiętymi w nienaturalnym uśmiechu i białą, wykrzywioną bólem twarzą. Jego prawy bok, od ramion do pasa, był przesiąknięty krwią do tego stopnia, że nie widziałem, którędy wleciała kula. Widziałem jednak jasnoczerwone bąbelki na jego wargach, świadczące o tym, że dostał postrzał w płuca.

Znów na nich spojrzałem. Na Bullena, MacDonalda, Wilsona. Trudno by było znaleźć trzech lepszych ludzi, a trzech lepszych marynarzy - wykluczone. Oni tego nie chcieli, nie chcieli tej krwi, bólu i śmierci, wszystko czego chcieli, to wykonywać swoją robotę tak cicho i spokojnie, jak to możliwe. Ciężko pracujący, przyjacielscy i bezgranicznie przyzwoici ludzie, nie szukali gwałtu, nie myśleli o gwałcie, a teraz leżeli martwi lub umierający. MacDonald i Bullen zostawili rodziny, Tommy Wilson narzeczoną w Anglii i dziewczynę w każdym porcie Ameryki i Karaibów. Patrząc na nich nie czułem przykrości, smutku, gniewu czy szoku - byłem zimny, zrównoważony, jakbym był od tego wszystkiego oderwany. Przeniosłem wzrok na rodzinę Carrerasów i Cerdana i złożyłem sobie w duchu przysięgę. Na

moje szczęście Carreras jej nie usłyszał ani nie wiedział, jak dalece była nieodwołalna, gdyż byli to bystrzy, przewidujący ludzie i zastrzeliliby mnie na miejscu.

Nie czułem żadnego bólu, ale przypomniałem sobie kafar, który cisnął mną o bar. Spojrzałem w dół na nogę. Od połowy uda, aż do miejsca sporo poniżej kolana, moje spodnie były tak przesiąknięte krwią, że nie było widać najmniejszego białego skrawka. Dywan wokół mojej nogi też był zakrwawiony. Ten dywan, przypomniałem sobie jak przez mgłę, kosztował ponad dziesięć tysięcy funtów, a tej nocy niewątpliwie mocno mu się dostało. Lord Dexter chyba wpadł w szal. Znowu spojrzałem na nogę i pomacałem mokry materiał. Trzy dziury, a więc dostałem trzy razy. Przypuszczałem, że ból nadejdzie później. Dużo krwi, o wiele za dużo. Zastanawiałem się, czy nie mam przeciętej tętnicy.

- Panie i panowie - odezwał się Carreras. Dłoń musiała go boleć jak diabli, lecz nie było tego widać po jego twarzy. Nienawiść i furia, które tak niedawno widziałem, były już tylko wspomnieniem. Wrócił do równowagi, stał wytworny, majestatyczny, całkowicie panując nad sytuacją. - Bardzo tego wszystkiego żałuję, naprawdę bardzo. - Lewą ręką machnął w kierunku Bullena, Wilsona, MacDonalda i mnie. - To wszystko było tak niepotrzebne, straszliwie niepotrzebne, a spowodował to kapitan Bullen przez swoją głupotę. - Większość pasażerów już powstała. Zobaczyłem Susan Beresford, stojącą obok ojca, wpatrującą się we mnie tak, jakby widziała niezbyt dobrze: jej oczy pośród bladej twarzy były nienormalnie wielkie. - Przykro mi również z powodu szoku, jakiego doznaliście, a państwa Beresford przepraszam za zepsucie zabawy. Złe wam odplacono za waszą uprzejmość.

- Daj pan spokój tym cwanim gadkom - przerwałem. Mój głos zupełnie nie przypominał mojego głosu, raczej ochrypli, napięty rechot żaby, cierpiącej na zapalenie krtani. - Zawołaj pan lekarza do kapitana Bullena. Dostał postrzał w płuca.

Spojrzał na mnie z namysłem, potem na Bullena i znowu na mnie.

- Pan jest niemal niezniszczalny, panie Carter - rzekł w zamyśleniu. Pochylił się i zerknął na moją zalaną krwią nogę. - Dostał pan trzy razy, ma pan pewnie zmasakrowaną nogę, a jednak dostrzega pan tak drobny szczegół, jak strumyczek krwi na ustach kapitana. Jest pan unieszkodliwiony i cieszę się z tego: gdyby pański kapitan, oficerowie i załoga byli ludźmi pańskiego pokroju, to nie zbliżyłbym się do „Campari” na tysiąc mil. A co do lekarza, to zaraz tu będzie. Zajmuje się człowiekiem na mostku.

- Jamiesonem? Naszym trzecim oficerem?

- Panu Jamiesonowi pomoc już niepotrzebna - odrzekł zwięźle. - Chciał zostać bohaterem jak kapitan Bullen. I jak kapitan Bullen, zapłacił za swoją głupotę. Sternik dostał w ramię zbląkaną kulą. - Odwrócił się twarzą do pasażerów. - Nie musicie się dalej obawiać o siebie. „Campari” jest teraz w moich rękach i tak pozostanie. Wy jednak nie jesteście uwzględnieni w moich planach i za dwa lub trzy dni zostaniecie przetransportowani na inny statek. Do tego czasu wszyscy będziecie jeść, mieszkać, i spać w tym pokoju. Dostaniecie koce i materace. Jeżeli będziecie z nami współpracować, to spędzicie te kilka dni względnie wygodnie. Z całą pewnością nie macie się już czego obawiać.

- Jaki jest cel tego napadu, Carreras? - Głos Beresforda drżał. - Ci bandyci, zabójcy. Co z nimi? Kim oni są? Skąd, na miłość boską, się tu znaleźli? Co pan zamierza zrobić? Człowieku, jesteś szalony, kompletnie szalony. Wiesz chyba, że ci to nie ujdzie?

- Może się pan tym pocieszać. Ach, doktorze, jest pan. - Wyciągnął prawą dłoń, owiniętą przesiąkniętą krwią chusteczką. - Niech pan rzuci na to okiem.

- Do diabła z panem i pańską ręką - powiedział gorzko Marston. Stary cały dygotał, widok trupów i umierających musiał nim dobrze wstrząsnąć, lecz mimo to szalał z wściekłości. - Tu są ludzie bardziej poszkodowani. Muszę...

- Niech pan sobie wreszcie uświadomi, że od tej pory ja i tylko ja wydaję tu rozkazy - przerwał mu Carreras. - Moja dłoń. Natychmiast. Ach, Juan - rzucił do wysokiego, szczupłego, smagłego mężczyzny, który właśnie wszedł, niosąc pod pachą zwinięte mapy. -

Daj to Carterowi. Tak, to on. Panie Carter, kapitan Bullen powiedział coś, z czego zdawałem sobie sprawę od wielu godzin. Że kierujemy się do Nassau i że mamy tam dotrzeć w niecałe cztery godziny. Niech pan wykreśli taki kurs, żebyśmy się oddalili od Nassau, na wschód, a potem środkiem pomiędzy Wielką Abaco i Eleuthera i dalej w przybliżeniu na północno-północny zachód, na północny Atlantyk. Obawiam się, że moja znajomość nawigacji nieco zardzewiała. Niech pan zaznaczy w przybliżeniu godziny zmian kursu.

Wzięłem mapę, ołówek, linijki i cyrkle i rozpostarłem mapę na kolanach.

- Dziwne, że nie krzyczy pan „sam sobie prowadź swoją cholerną nawigację”, czy coś w tym stylu - powiedział z zastanowieniem Carreras. .

- Po co? - odparłem ze znużeniem. - Pan by się nie zawałał ustawić pasażerów w szeregu i wystrzelać ich po kolei, gdybym odmówił współpracy.

- To przyjemność mieć do czynienia z człowiekiem, który dostrzega i akceptuje rzeczy nieuchronne. - Carreras uśmiechnął się. - Ale pan stanowczo przecenia moją bezwzględność, panie Carter. Później, kiedy zostanie pan opatrzony, umieścimy pana na stałe na mostku. To pech, ale przypuszczam, że zdaje pan sobie sprawę z faktu, że pozostał pan jedynym oficerem pokładowym?

- Zainstaluje pan sobie na mostku kogo innego - odrzekłem z goryczą. - Mam strzaskaną kość udową. .

- Co takiego? - Jego oczy zwięzły się.

- Czuję, jak zgrzyta. - Wykrzywiłem twarz, by sam się mógł przekonać, jak odbieram to zgrzytanie. - Doktor Marston zaraz to panu potwierdzi.

- Możemy to załatwić w inny sposób - stwierdził spokojnie Carreras. Skrzywił się, gdy doktor Marston zaczął badać jego rękę. - Trzeba mi będzie amputować palec wskazujący?

- Nie wydaje mi się. Lokalne znieczulenie, drobna operacja i sądzę, że go uratuję. - Carreras nie wiedział, w jakim niebezpieczeństwie się znalazł: gdyby pozwolił Marstonowi zająć się swoim palcem, najprawdopodobniej straciłby całe ramię. - Ale to trzeba będzie zrobić w moim gabinecie.

- Pewnie już czas, żebyśmy się tam wszyscy udali. Tony, sprawdź maszynownię, kabinę radarową, wszystkich ludzi wolnych od służby. Dopilnuj, żeby wszyscy byli pod strażą. Potem zanieś mapy na mostek i uważaj, czy sternik w podanym czasie robi podane zmiany kursu. Operator radarowy ma być pod nieustannym nadzorem i niech melduje, jeśli zobaczy na ekranie choćby najmniejszy obiekt. Nasz pan Carter jest zdolny wykreślić zmiany kursu, które nas zaprowadzą prosto na środek Eleuthery. Niech dwaj ludzie zabiorą pana Cerdana do jego kabiny. Doktorze Marston, czy można przenieść tych dwóch ludzi do pańskiego gabinetu bez narażenia ich życia?

- Nie wiem. - Marston skończył chwilowo bandażowanie dłoni Carrerasa i podszedł do Bullena. - Jak się pan czuje, kapitanie?

Bullen spojrzał na niego przygastym wzrokiem. Spróbował się uśmiechnąć, lecz zdobył się tylko na grymas bólu. Spróbował się odezwać, lecz nie wydobył żadnych słów, na jego wargach pojawiły się tylko świeże kropelki krwi. Marston wyciągnął nożyczki, rozciął koszulę kapitana, zbadał go szybko i stwierdził:

- Możemy zaryzykować. Potrzebni będą dwaj pańscy ludzie, panie Carreras, silni ludzie. Niech pan dopilnuje, żeby mu nie uciskali klatki piersiowej. - Zostawił Bullena, pochylił się nad MacDonaldem i wyprostował niemal natychmiast. - Jego można przenieść zupełnie bezpiecznie.

- MacDonald! - wyrwało mi się. - Bosman. On... on żyje?

- Dostał cios w głowę. Nieprzytomny. Przypuszczalnie ma wstrząs mózgu, może nawet uszkodzoną czaszkę, ale przeżyje. Wygląda na to, że dostał też w kolano. To nic poważnego.

Poczułem się, jakby mi zdjęto z pleców most w Sydney. Już od wielu lat bosman był moim przyjacielem, bliskim przyjacielem. W dodatku, mając u boku Archiego MacDonalda, wszystko było możliwe.

- A pan Carter? - rzucił pytanie Carreras.

- Nie dotykaj mojej nogi! - zawyłem.- Zanim nie dostanę znieczulenia!

- On pewnie ma rację - mruknął Marston. Przyjrzał mi się z bliska. - Niewiele krwi, John, miałeś szczęście: gdyby uszkodzeniu uległa główna tętnica... no, to byłoby po tobie. - Spojrzał na Carrerasa z powątpiewaniem. - Sądzę, że można go przenieść, ale ze złamaną kością udową będzie odczuwał rozdzierający ból.

- Pan Carter jest nadzwyczaj twardy - stwierdził Carreras bez cienia współczucia w głosie. To nie była jego kość udowa, przez całą poprzednią minutę grał dobrego samarytanina, i najwyraźniej taki wysiłek przerastał jego możliwości. - Pan Carter przeżyje.

## VII. Środa, godzina dwudziesta trzydzieści - czwartek, godzina dziesiąta trzydzieści

Przeżyłem, to fakt, ale nie było to zasługą traktowania, jakiego doznałem podczas schodzenia na dół, do izby chorych. Izba chorych leżała dwa pokłady pod salonem, na lewej burcie. Na drugim trapie jeden z niosących mnie ludzi pośliznął się i upadł, a ja straciłem kontakt ze światem, dopóki nie obudziłem się w łóżku.

Jak wszystkie pomieszczenia na „Campari”, izbę chorych wyposażono nie licząc się z kosztami. Był to wielki pokój, siedem metrów na pięć. Jak zwykle, podłogę od ściany do ściany pokrywał perski dywan, a pastelowe grodzie ozdabiały freski, przedstawiające narty wodne, nurkowanie, pływanie i tym podobne sporty - symbole tężyzny fizycznej i zdrowia, tak chytrze pomyślane, by zachęcić każdego pacjenta, który miał pecha i dał się przykuć do jednego z trzech znajdujących się tam łóżek, aby zerwał się i zwiął co sił w nogach. Natomiast same łóżka, ustawione głowami do okien w burcie statku, stanowiły dysonans: były to zwykłe, standardowe łóżka szpitalne, a jedyne ustępstwo na rzecz dobrego smaku polegało na tym, że pomalowano je na ten sam pastelowy kolor, co grodzie. W przeciwległym rogu pokoju, naprzeciw drzwi, stało biurko starego Marstona oraz dwa krzesła. Przy tej samej grodzi, obok drzwi, znajdował się płaski tapczan, który można było podwyższać do badania pacjentów, albo - w razie potrzeby - do przeprowadzania lżejszych operacji. Pomędzy tapczanem a biurkiem były drzwi, prowadzące do dwóch mniejszych pomieszczeń - ambulatorium i gabinetu dentystycznego. Wiedziałem o tym, ponieważ niedawno spędziłem trzy kwadransy w fotelu dentystycznym, podczas gdy Marston zajmował się moim złamanym zębem. Wspomnienie tego przeżycia pozostanie mi w pamięci do końca dni moich.

Trzy łóżka były zajęte. Najbliżej drzwi leżał kapitan Bullen, obok niego bosman, a ja w samym rogu, naprzeciw biurka Marstona. Wszyscy leżeliśmy na gumowych prześcieradłach, rozłożonych na łóżkach. Marston pochylał się nad środkowym łóżkiem, badając kolano bosmana; obok niego, trzymając metalową tacę z miseczkami, gąbkami, instrumentami lekarskimi i buteleczkami zawierającymi jakieś dziwne mikstury, stała Susan Beresford. Była bardzo błada. Zastanawiałem się mętnie, co ona tu robi. Na tapczanie siedział młody człowiek, gwałtownie wymagający brzytwy. Ubrany był w zielone spodnie, zieloną przepoconą koszulę z naszywkami i zielony beret. Mrużył oczy przed dymem ulatującym spiralnie z papierosa w kąciu jego ust, a w ręku ścisnął pistolet maszynowy. Ciekaw byłem, ilu jeszcze ludzi z iloma pistoletami maszynowymi było rozstawionych na „Campari”. Fakt, że Carreras przydzielił jednego człowieka do pilnowania trzech takich poturbowanych inwalidów jak Bullen, MacDonald i ja, wskazywał, że albo miał on ludzi pod dostatkiem, albo też był przesadnie ostrożny. Albo jedno i drugie.

- Co pani tu robi, panno Beresford? - zapytałem.

Podniosła wzrok, wzdrygnęła się, a instrumenty na trzymanej przez nią tacy zagrzeczoły metalicznie.

- Och, jak się cieszę - powiedziała. Zabrzmiało to niemal tak, jakby faktycznie się cieszyła. - Myślałam... jak pan się czuje?

- Tak jak wyglądam. Po co tu pani przyszła?

- Bo jest mi potrzebna. - Doktor Marston wyprostował się powoli i potarł plecy. - Mając do czynienia z takimi ranami... ba, potrzebna mi pomoc. Pielęgniarki, John, są zwykle młode i kobiece, a na „Campari” są tylko dwie osoby tej kategorii. Panna Beresford i panna Harcourt.

- Jakoś nie dostrzegam panny Harcourt. - Spróbowałem wyobrazić sobie czarującą młodą aktorkę we wziętej z prawdziwego życia roli siostry miłosierdzia, ale moja wyobraźnia nie nadawała się do rozważania tak absurdalnych pomysłów. Nawet nie mogłem jej sobie wyobrazić w takiej roli na scenie.

- Była tu - odrzekł zwięźle. - Zemdląła.  
- To ci pomoc. Co z bosmanem?  
- Muszę cię prosić, John, żebyś nic nie mówił - stwierdził poważnie. - Straciłeś dużo krwi i jesteś bardzo słaby. Proszę cię, oszczędzaj siły.  
- Co z bosmanem? - powtórzyłem.  
Doktor Marston westchnął.  
- Wyjdzie z tego. To znaczy, nie ma niebezpieczeństwa. Powiedziałbym, że ma nienormalnie grubą czaszkę. To go uratowało. Ma wstrząs, ale myślę, że czaszka nie jest uszkodzona. Bez prześwietlenia ciężko coś powiedzieć. Oddech, puls, temperatura, ciśnienie krwi... nic nie wskazuje na objawy poważnego uszkodzenia mózgu. Za to martwi mnie jego noga.  
- Noga?  
- Patella. Dla ciebie rzepka. Zupełnie strzaskana, nie do wyleczenia. Zerwane, ścięgno, uszkodzona goleń. Noga przecięta na pół. Musiał dostać kilka razy. Cholerni mordercy!  
- Amputacja? Myśli pan...  
- Nie trzeba amputować.  
Z irytacją pokręcił głową.  
- Usunąłem wszystkie odłamki, jakie znalazłem. Kość albo będzie trzeba stopić, a więc skrócić nogę, albo wstawić metalową płytkę. Za wcześniej o tym mówić. Ale jedno mogę powiedzieć już teraz: nigdy więcej nie zegniesz tego kolana.  
- Chce mi pan powiedzieć, że będzie kulą? Przez całe życie?  
- Przykro mi. Wiem, że jesteście bardzo zaprzyjaźnieni.  
- A więc to dla niego koniec z morzem?  
- Przykro mi - powtórzył Marston. Pomijając jego niekompetencję, był to całkiem przyzwoity stary piernik. - Teraz twoja kolej, John.  
- Tak. - Nie wypatrywałem mojej kolejki. Patrzyłem na strażnika. - Hej! Hej, ty tam! Gdzie Carreras?  
- Señor Carreras. - Młody człowiek rzucił niedopałek na perski dywan i przydeptał go obcasem. Lord Dexter by chyba zwariował. - Nie moja sprawa wiedzieć, gdzie jest señor Carreras.  
To załatwiało sprawę. Znał angielski. W tym momencie nic mnie nie obchodziło mniej niż to, gdzie jest Carreras. Marston wyciągnął wielkie nożyce i przygotowywał się do rozcięcia nogawki moich spodni.  
- Kapitan Bullen...? - spytałem. - Jakie ma szanse?  
- Nie wiem. Jest jeszcze nieprzytomny. - Zawahał się. - Został postrzelony dwa razy. Jedna kula przeszła czysto poniżej ramienia, rozdierając mięsień piersiowy. Druga weszła w prawą stronę klatki, nieco niżej, łamiąc żebro, i musiała przejść przez płuco, koło wierzchołka. Kula wciąż tkwi w ciele, prawie na pewno koło łopatki. Być może później zdecyduję się na operację, żeby ją wyjąć.  
- Operację? - Na myśl, że stary Marston miałby grzebać we wnętrznościach nieprzytomnego Bullena, poczułem się jeszcze gorzej niż wyglądałem. - Operować? Podjąłby się pan takiego ryzyka, zaryzykowałby pan utratę zdobywanej przez całe życie reputacji?  
- Tu chodzi o życie ludzkie, John - odrzekł uroczyście.  
- Ale będzie pan musiał spenetrować klatkę piersiową. To poważna operacja, doktorze Marston. Bez asystujących chirurgów, bez wykwalifikowanych pielęgniarek, bez kompetentnego anestezjologa, bez prześwietlenia, a w dodatku możliwe, że usunąłby pan kulę, która zatyka jakiś żywotny otwór w płucach, opłucnej, czy jak wy to nazywacie. A zresztą kula mogła gdzieś skrócić. - Wziąłem głęboki oddech. - Doktorze Marston, nie sposób wyrazić, jaki żywot dla pana szacunek i podziw, już za samą myśl o operowaniu w tak nieprawdopodobnych warunkach. Ale pan nie podejmie takiego ryzyka! Doktorze, dopóki



kapitan jest niezdolny do pracy, ja jestem dowódcą „Campari”... przynajmniej nominalnie - dodałem gorzko. - Absolutnie zabraniam panu przyjmować na siebie tak poważną odpowiedzialność za operowanie w tak niesprzyjających warunkach. Panno Beresford, jest pani świadkiem.

- Cóż, John - powiedział Marston ciężko. - Może masz rację. - Nagle odmłodził o pięć lat. - Rzeczywiście, masz chyba rację. Jednak poczucie obowiązku...

- Przynosi panu zaszczyt, doktorze. Ale niech pan pomyśli o tych wszystkich ludziach, którzy noszą w piersiach kule jeszcze z czasów drugiej wojny światowej, a wciąż się dobrze trzymają.

- W rzeczy samej, w rzeczy samej. - Dawno już nie widziałem takiej ulgi na czyjejs twarzy. - Pozwolimy działać naturze, co?

- Kapitan Bullen jest silny jak byk. - Stary miał teraz przynajmniej jakąś szansę. Czuję się, jakbym właśnie uratował komuś życie. - Miał pan rację, doktorze - rzekłem słabo. - Chyba za dużo mówiłem. Mógłbym dostać trochę wody?

- Oczywiście, mój chłopcze, oczywiście. - Przyniósł mi szklanekę, patrzył, jak piję, po czym spytał: - Lepiej?

- Dziękuję. - Mój głos był bardzo słaby. Poruszyłem kilka razy wargami, jakbym chciał coś powiedzieć, ale nie wydałem głosu. Zaalarmowany Marston przytknął ucho do moich ust, starając się zrozumieć, co do niego mówię, a ja szepnąłem, powoli i wyraźnie: - Nie mam strzaskanego uda, ale niech pan udaje, że tak jest.

Zerknął na mnie ze zdziwieniem, otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, lecz zaraz je zamknął. Skinął lekko głową i zapytał:

- Mogę zaczynać?

Zaczął. Pomagała mu Susan Beresford. Moja noga przedstawiała straszny widok, ale wyglądała gorzej niż powinna była wyglądać. Jedna kula przeszła mi nogę na wylot, lecz dwie inne zadały mi od wewnętrznej strony poszarpane, powierzchowne cięcia, i z nich to wypływała większość krwi. W trakcie pracy doktor Marston, na użytek strażnika, na bieżąco komentował ciężki stan i rozmiary moich ran, i gdybym nie wiedział, że kłamie jak z nut, to chyba rzeczywiście bym się poczuł poważnie chory. Z pewnością przekonał strażnika. Gdy oczyścił i obandażował moje rany, co zniósłem ze stoickim hartem ducha tylko dlatego, że nie chciałem wyć w obecności Susan Beresford, założył mi na nogę łubki i także je zabandażował. Następnie ułożył moją nogę na stosie poduszek, wszedł do ambulatorium i ukazał się po chwili, niosąc dwa koła od wyciągu, drut z przymocowanym na końcu ciężarkiem i skórzany rzemyk. Rzemyk przywiązał do mojej lewej kostki.

- A to po co? - spytałem ostro.

- Niech pan pamięta, że to ja jestem lekarzem - rzucił krótko. Jego lewa powieka opadła w powolnym mrugnięciu. - Wyciąg, panie Carter. Chce pan chodzić przez całe życie z jedną nogą krótszą?

- Przepraszam - mruknąłem. Chyba jednak trochę nie doceniałem starego Marstona. Nic nigdy nie spowoduje zmiany mojej opinii o nim jako o lekarzu, ale w innych sprawach był dość bystry - pierwsze, o co by zapytał Carreras, to dlaczego człowiek ze złamaną nogą nie leży na wyciągu. Marston wkręcił dwa haki w otwory w suficie, przeciągnął przez nie drut, przymocował do niego z jednej strony ciężarek, a z drugiej rzemyk. To nawet nie było specjalnie niewygodne. Następnie wziął odciętą nogawkę moich spodni, szybko sprawdził, czy strażnik na nas patrzy, skropił ją nieco wodą i nawinał nią moje bandaże. Musiałem przyznać, że rzadko kiedy widywałem równie przekonujący widok - pacjenta tak całkowicie, radykalnie unieruchomionego.

Skończył akurat na czas. Właśnie zbierał się do wyjścia wraz z Susan Beresford, kiedy otworzyły się drzwi i wszedł Tony Carreras. Powoli, z namysłem, popatrzył na Bullena,

MacDonalda i na mnie - to nie był człowiek, który mógł coś przeoczyć - i podszedł do mojego łóżka.

- Dobry wieczór, Carter - odezwał się uprzejmie. - Jak pan się czuje?

- A gdzie jest twój ojciec morderca? - spytałem.

- Ojciec morderca? Jest pan dla niego niesprawiedliwy. Tak się składa, że w tym momencie śpi. Po opatrunku Marstona bardzo bolała go ręka - nie zdziwiło mnie to - więc zażył proszek nasenny. Poczciwy „Campari” jest zabezpieczony na noc, a kapitan Tony Carreras objął dowództwo. Możecie spać spokojnie. Pewnie pana zainteresuje, że właśnie złapaliśmy Nassau na ekranie radaru - lewa czterdzieści, czy jakiś podobny termin morski - więc jednak nie próbował pan żadnych sztuczek z tym kursem.

Chrząknąłem i odwróciłem głowę. Carreras podszedł do Marstona.

- W jakim oni są stanie, doktorze?

- A jak pan myśli, w jakim mają być stanie, po tym, jak wasze zbiry naszpikowały ich kulami? - zapytał Marston z goryczą. - Kapitan Bullen będzie żył albo umrze, tego nie wiem. MacDonald, bosman, będzie żył, ale na całe życie zostanie kaleką z zeszywniałą nogą. Pierwszy oficer ma skomplikowane złamanie femury... kości udowej. Kompletnie strzaskana. Jeżeli nie odstawimy go do szpitala w ciągu kilku dni, to także zostanie kaleką na całe życie. W każdym razie nigdy już nie będzie chodził normalnie.

- Jest mi autentycznie przykro - stwierdził Tony Carreras z przekonaniem. - Zabijanie i okaleczanie dobrych ludzi to niewybaczalne marnotrawstwo. No, prawie niewybaczalne. Są sytuacje, które to usprawiedliwiają.

- Twoja humanitarność przynosi ci zaszczyt - parsknąłem szyderczo z mojej poduszki.

- Jesteśmy humanitarni - powiedział.

- Właśnie tego dowiedliście. - Odwróciłem się, by mu się przyjrzeć. - Ale moglibyście wykazać trochę zainteresowania bardzo chorym człowiekiem.

- Tak? - Podnoszenie brwi miał opanowane do perfekcji.

- Tak. Ten kowboj tutaj. - Skinąłem ręką w kierunku uzbrojonego strażnika. - Pozwalaś ludziom palić na służbie?

- José? - Uśmiechnął się. - José to nałogowy palacz. Gdyby mu zabrać papierosy, to by pewnie zastrajkował. To nie gwardia królewska, Carter. A skąd ta nagła troska?

- Słyszałeś, co powiedział doktor Marston. Kapitan Bullen. Z tym przestrzelonym płucem jest w krytycznym stanie.

- Ach, chyba rozumiem. Zgadza się pan, doktorze?

Wstrzymałem oddech. Istniała możliwość, że stary nie ma nawet bladego pojęcia, o czym tu mówimy. Jednak znowu nie doceniłem jego przebiegłości.

- Dla człowieka z przestrzelonym płucem nie ma nic gorszego niż dym z papierosów - oświadczył z powagą.

- Rozumiem. José! - Carreras szybko powiedział coś po hiszpańsku do wartownika, który wyszczerzył zęby, wstał i skierował się do wyjścia, zabierając po drodze stołek. Trzasnął za sobą drzwiami.

- Brak dyscypliny. - Tony Carreras westchnął. - To już nie ten marszowy krok co przed pałacem Buckingham, panie Carter. Uderzył stołkiem o ścianę. To pewnie ta nasza latynoska krew. Ale ostrzegam, to jednak nadzwyczaj sprawny strażnik. Nie widzę przeszkód, by trzymać wartowników na zewnątrz, chyba że chcielibyście wyskoczyć przez okno do morza - choć i do tego się nie nadajecie - a poza tym nie wiem, jak moglibyście mi zaszkodzić. - Przerwał i popatrzył na mnie z namysłem. - Pan nigdy nie bywa ciekawy, Carter? To do pana nie pasuje. To wzbudza podejrzenia.

- Ciekawy czego? - burknąłem. - Nie widzę powodów do ciekawości. Ilu tych uzbrojonych zbirów macie na „Campari”?

- Czterdziestu. Nieźle, co? Z tego trzydziestu ośmiu sprawnych. Kapitan Bullen zabił jednego, a pan drugiemu poważnie uszkodził rękę. Gdzie pan się tak nauczył strzelać, Carter?

- Zwykle szczęście. Cerdan się ocknął?

- Tak - odparł lakonicznie. Wyglądało na to, że nie chce mówić o Cerdanie.

- On zabił Dextera? - naciskałem.

- Nie. Werner, pielęgniarz... ten facet, którego pan dziś zabił. - Jak na rzekomo humanitarnego człowieka, śmierć jednego z kolegów po fachu dziwnie go nie wzruszyła. - Był w mundurze stewarda i niósł tacę na wysokości twarzy. Wasz ochmistrz, White, widział go dwa razy i nic nie podejrzewał. Chociaż on nie zbliżał się do White'a bliżej niż na dziesięć metrów. A to już po prostu był pech Dextera, że zobaczył, jak ten steward otwiera kabinę radiową.

- Przypuszczam, że ten sam łotr załatwił również Brownella?

- I Bersona. Benson go nakrył, jak wychodził z kabiny radiowej po załatwieniu Brownella, więc został zastrzelony. Werner chciał go od razu wyrzucić do morza, ale na dole byli akurat ludzie z załogi. Zaciągnął go pod lewą burtę. Tam też poniżej była załoga. Więc opróżnił skrzynkę na kamizelki ratunkowe i wpakował tam Bersona. - Carreras wyszczerzył zęby. - A pański pech polegał na tym, że stał pan właśnie koło tej skrzyni, kiedy tuż przed północą wysłaliśmy Wernera, żeby się pozbył zwłok.

- Czyj to był pomysł, żeby ten podstawiony facet od Marconiego w Kingston przewiercił się z kabiny radiowej do kanału wentylacyjnego w pokoju Cerdana i podłączył słuchawki do odbiornika telegrafisty? Cerdana, twojego starego, czy twój?

- Mojego ojca.

- A ta idea konia trojańskiego? Też twojego ojca?

- To genialny człowiek. Teraz wiem, dlaczego pan nie był ciekawy. Pan wiedział.

- Nietrudno było zgadnąć - rzekłem ze znużeniem. - Przynajmniej wtedy, kiedy już było za późno. Wszystkie nasze kłopoty naprawdę zaczęły się w Carracio. Teraz wiem, dlaczego tragarze byli tak przerażeni, kiedy jedna skrzynia prawie się wysliznęła z pętli. Wiem już, dlaczego twój stary był tak zainteresowany ładownią... nie dlatego, że chciał oddać cześć zmarłemu, lecz żeby zobaczyć, jak ustawiono skrzynie, czy jego ludzie będą się mogli z nich wydostać. Aż wreszcie wydostali się wczoraj w nocy i sforsowali uszczelnienie luku. Ilu ich było w jednej skrzyni, Carreras?

- Dwudziestu. Byli dość niewygodnie ściśnięci, biedacy. Myślę, że spędzili ciężkie dwadzieścia cztery godziny.

- Dwudziestu. Dwie skrzynie. A załadowaliśmy cztery. Co jest w pozostałych?

- Urządzenia mechaniczne, panie Carter, zwykłe urządzenia mechaniczne.

- Jedno mnie tylko ciekawi.

- Tak?

- Co się za tym wszystkim kryje? Porwanie? Okup?

-- Nie mam prawa dyskutować z panem na ten temat. - Uśmiechnął się. - Przynajmniej nie teraz. Zostaje pani tutaj, panno Beresford, czy życzy pani sobie, żebym ją, hm... odeskortował do rodziców do salonu?

- Niech pan zostawi tę panią - rzekł Marston. - Potrzebna mi jest do sprawowanie opieki nad kapitanem Bullenem przez okrągłą dobę. W każdej chwili chory może mieć nawrót gorączki.

- Jak pan chce. - Ukłonił się Susan Beresford. - Dobranoc wszystkim.

Drzwi się zamknęły.

- Więc to tak wdarli się na pokład - powiedziała Susan Beresford. - Skąd pan o tym wiedział?

- Skąd wiedziałem? Nie myślała pani chyba, że schowali czterdziestu ludzi w kominie? Jak tylko się dowiedzieliśmy, że to Carreras i Cerdan, wszystko stało się oczywiste. Dostali

się na statek w Carracio. Tak samo jak te olbrzymie skrzynie. Dwa i dwa, panno Beresford, zawsze dają cztery. - Zarumieniła się i posłała mi bardzo staromodne spojrzenie, lecz zignorowałem je i ciągnąłem: - Rozumiecie, co to wszystko znaczy?

- Pozwólmę mu powiedzieć, doktorze - rzekła cierpko panna Beresford. - On po prostu umiera z niecierpliwości, żeby nam to powiedzieć.

- To znaczy, że chodzi tu o coś naprawdę wielkiego - oświadczyłem powoli. - Wszystkie ładunki, poza wolnymi portami czy pewnymi warunkami przewozu tranzytowego, co w tym wypadku nie wchodzi w grę, muszą przejść przez kontrolę celną. Te skrzynie przeszły przez kontrolę celną w Carracio... a to oznacza, że celnicy wiedzą, co znajduje się w środku. Przypuszczalnie tłumaczy to także nerwowość naszego agenta. Ale celnicy to przepuścili. Dlaczego? Bo mieli takie rozkazy. A kto im dał rozkaz? Rząd. A kto dał rozkaz rządowi? Któżby, jeśli nie generalissimus, w końcu to on sam jest rządem. Generalissimus - ciągnąłem w zamyśleniu - musi za tym stać. I wszyscy wiemy, że ogromnie potrzebuje pieniędzy. Tak się zastanawiam...

- Nad czym? - spytał Marston.

- Sam nie wiem. Niech mi pan powie, doktorze, czy ma pan tu jak zaparzyć herbatę lub kawę?

- W życiu nie widziałem ambulatorium, w którym by to było niemożliwe, mój chłopcze.

- Wyśmienita myśl! - Susan Beresford poderwała się na nogi. - Marzę o filiżance herbaty.

- Kawy.

- Herbaty.

- Kawy. Niech pani ustąpi choremu. To będzie dopiero przeżycie dla panny Beresford. Sama zaparzy sobie kawę. Napełnia się ekspres do kawy wodą...

- Niech pan przestanie. - Podeszła do mojego łóżka i spojrzała na mnie bez wyrazu, poważnym wzrokiem. - Pan ma bardzo krótką pamięć, panie Carter. Wczoraj wieczorem mówiłam panu, że jest mi bardzo, bardzo przykro. Pamięta pan?

- Pamiętam - przyznałem. - Przepraszam, panno Beresford.

- Susan. - Uśmiechnęła się. - Jeżeli chce pan dostać swoją kawę.

- Szantaż.

- Na miłość boską, nazywaj ją Susan, jeżeli ona tak chce - przerwał zirytowany doktor Marston. - Co za różnica?

- Rozkaz doktora - odparłem zrezygowany. - W porządku, Susan, przynieś swojemu pacjentowi kawę. - Okoliczności nie były normalne, jeszcze zdążę wrócić do nazywania jej panną Beresford.

Po pięciu minutach wróciła z napojem. Spojrzałem na tacę i spytałem:

- Co? Tylko trzy filiżanki? Powinny być cztery.

- Cztery?

- Cztery. Trzy dla nas i jedna dla naszego przyjaciela za drzwiami.

- Naszego przyjaciela... ma pan na myśli strażnika?

- Kogóż by innego?

- Zwariował pan, panie Carter?

- Jak się tykać, to w obie strony - mruknął Marston. - Dla ciebie - John.

Popatrzyła na niego zimno, zerknęła na mnie i rzekła lodowato:

- Zwariowałeś? Dlaczego miałabym zanosić temu łotrowi kawę? Nie zrobię nic...

- Nasz pierwszy oficer nic nie robi bez powodu. - Marston ostro udzielił mi niespodziewanego poparcia. - Proszę zrobić to, o co prosi.

Nalała filiżankę kawy, wyniosła ją za drzwi i wróciła po kilku sekundach.

- Przyjął? - zapytałem.

- Jeszcze jak. Wyglądał tak, jakby przez ostatnie dni nie miał do picia nic poza łykiem wody.

- Wierzę. Wyobrażam sobie, że w tych klatkach nie byli specjalnie zaopatrzeni w prowiant. - Wziąłem od niej filiżankę kawy, wypilem i odstawiłem ją. Smakowała dokładnie tak, jak powinna.

- Jaka była? - spytała Susan Beresford.

- Doskonała. Jeżeli robiłem jakieś sugestie, że nie potrafisz nawet zagotować wody, to wycofuję je raz na zawsze.

Ona i Marston spojrzeli po sobie, po czym Marston spytał:

- Chcesz dziś jeszcze trochę pomyśleć czy pomartwić się, John?

- Ani trochę. Wszystko, czego chcę, to dobrze się wyspać.

- I dlatego też wyspałem ci do kawy mocny środek nasenny. - Popatrzył na mnie z namysłem. - Kawa ma zdumiewające właściwości zabijania innych zapachów, prawda?

Wiedziałem, co chciał przez to powiedzieć, a on wiedział, że ja o tym wiem.

- Doktorze Marston - rzekłem - sądzę, że wyjątkowo pana nie doceniałem.

- Chyba tak, John - odparł jowialnie. - Chyba mnie rzeczywiście nie doceniałeś.

Uświadomiłem sobie przez sen, że boli mnie lewa noga; nie bardzo, ale wystarczająco, żeby mnie obudzić. Ktoś za nią ciągnął, szarpiąc silnie co kilka sekund, puszczać i szarpiąc znowu. Chciałem, żeby ten ktoś przestał, bez względu na to, kim jest. Ciągnąć i szarpać. Nie wiedział, że jestem chory?

Otworzyłem oczy. Pierwszą rzeczą, jaką ujrzałem, był zegar, zawieszony na przeciwległej grodzi. Dziesiąta. Dziesiąta rano, gdyż światło dzienne wpadało przez odsłonięte okno. Doktor Marston miał rację, mówiąc o środku nasennym, lecz nawet określenie „potężny” nie oddawało jego istoty.

Ktoś gadał... fakt, to Bullen paplał bez związku, pogrążony w narkotycznym, niespokojnym śnie. Nikt jednak mnie nie szarpał. To ciężarek, przymocowany do zwisającego z sufitu wyciągu, targał moją nogę. „Campari”, pomimo swych stabilizatorów, przechylał się od dziesięć do piętnastu stopni, co oznaczało, że musiała być silna, głęboka fala boczna lub krzyżowa. Ilekroć statek zbliżał się do końca przechyłu, zwisający wyciąg, osiągając granicę swego wahadłowego ruchu, powodował przenoszące się na moją nogę szarpnięcia. Kilka sekund i następne szarpnięcie. Teraz, gdy już się całkiem obudziłem, było to dużo bardziej bolesne niż myślałem. Gdybym nawet faktycznie miał uszkodzone udo, to coś takiego z pewnością by mi na dobre nie wyszło. Rozejrzałem się za doktorem Marstonem, żeby mnie od tego uwolnił.

Jednak pierwszą osobą, na którą padł mój wzrok nie był doktor Marston, lecz Miguel Carreras. Stał u szczytu mojego łóżka, może to on mną potrząsał. Był starannie ogolony, sprawiał wrażenie świeżego i wypoczętego; zgrabnie obandażowaną rękę miał na temblaku, a pod pachą trzymał jakieś mapy. Posłał mi lekki uśmiech.

- Dzień dobry, panie Carter, jak się pan dziś czuje?

Zignorowałem go. Susan Beresford siedziała przy biurku doktora. Widziałem, że jest porządnie zmęczona, pod zielonymi oczyma miała ciemne smugi.

- Susan - odezwałem się. - Gdzie jest doktor Marston?

- Susan? - mruknął Carreras. - Jak szybko bliski kontakt przeradza się w zażyłość.

Znów go zignorowałem.

- W ambulatorium - odparła Susan. - Śpi. Czuwał prawie całą noc.

- Obudź go, dobrze? Powiedz mu, żeby zdjął ten piekielny ciężarek. Rozrywa mi nogę na części.

Weszła do ambulatorium.

- Prosiłbym pana o uwagę, panie Carter - powiedział Carreras.

- Jak mi zdejmą ten ciężar - odparłem cierpko. - Nie wcześniej.

Ukazał się doktor Marston, ścierający sen z oczu. Bez słowa zaczął odczepiać ciężarek.

- Kapitan Bullen i bosman - powiedziałem.- Co z nimi?  
- Kapitan się trzyma... ledwie-ledwie. - Głos i wygląd starszka świadczyły, że jest zmęczony. - Bosman dochodzi do siebie szybko. Obaj obudzili się za wcześnie, dałem im środki nasenne. Im dłużej będą spali, tym lepiej.  
Pokiwałem głową, poczekałem, aż podniesie mnie do pozycji siedzącej i ułoży moją nogę, i spytałem zwięźle:  
- Czego chcesz, Carreras?  
Rozwinął mapę i położył mi ją na kolanach.  
- Pomocy w nawigacji... nazwijmy to podwójną kontrolą. Będzie pan z nami współpracował?  
- Będę.  
- Co? - Susan Beresford odeszła od biurka i spojrzała na mnie z góry. - Ty... ty pomożesz temu człowiekowi?  
- Słyszałaś chyba? Kim mam być według ciebie, bohaterem? - Wskazałem na moją nogę.  
- Popatrz, co zarobiłem na bohaterstwie.  
- W życiu bym w to nie uwierzyła! - Na jej bladych policzkach wystąpił rumieniec. - Ty. Ty chcesz pomóc temu... temu potworowi, mordercy.  
- Gdybym mu nie pomógł, to zabrałby się za ciebie - rzekłem ze znużeniem. - Może by ci łamał po kolei palce albo wyrywał zęby jeden po drugim za pomocą kleszczy doktora Marstona... i to bez znieczulenia. Nie twierdzą, że sprawiłoby mu to przyjemność, ale by to zrobił.  
- Nie boję się pana Carrerasa - odrzekła wyzywająco. Ale była blada jak nigdy dotąd.  
- Więc czas najwyższy, żebyś się bała - podsumowałem krótko. - No, Carreras?  
- Pływał pan po północnym Atlantyku, panie Carter? To znaczy pomiędzy Europą i Ameryką?  
- Wielokrotnie.  
- Dobrze. - Dźgnął palcem w mapę. - Statek wypływa z Clyde i kieruje się do Norfolk, w Wirginii. Chciałbym, żeby pan wykreślił kurs, jaki będzie musiał obrać. Jeżeli są panu potrzebne jakieś pomocnicze księgi, to mogę je przynieść.  
- Nie potrzebuję. - Wziąłem od niego ołówki. - Na północ, dookoła Irlandii, o tak, potem lekko spłaszczoną, okrężną drogą na zachód, po letniej trasie, o, w ten sposób, aż do tego miejsca, daleko na południowy wschód od Nowej Funlandii. Północna krzywizna wygląda dziwnie, ale to tylko na skutek zniekształcenia mapy. To jest najkrótsza droga.  
- Wierzę panu. A potem?  
- Krótko potem jego droga oddziela się od głównej trasy wiodącej do Nowego Jorku, w przybliżeniu tutaj, i dochodzi do Norfolk mniej więcej od wschodnio-północnego-wschodu. - Odwróciłem głowę, by wyrzeć przez drzwi gabinetu. - Co to za hałas? Skąd to dochodzi? To brzmi jak nitownica albo młot pneumatyczny.  
- Później, później - rzucił z irytacją. Rozwinął następną mapę i irytacja zniknęła z jego twarzy. - Wyśmienicie, Carter, wyśmienicie. Pańska trasa jest niemal idealnie zbieżna z moimi informacjami.  
-Po kiego diabła mnie pan prosił...  
- Ja wszystko sprawdzam, panie Carter. A więc, ten statek ma przybyć do Norfolk za dwa dni, w sobotę, dokładnie o dziesiątej w nocy. Nie wcześniej, nie później: dokładnie o dziesiątej. Gdybym chciał spotkać ten statek tego dnia o świcie, to gdzie by wypadł punkt spotkania?  
Zachowałem swoje pytania dla siebie.  
- Pod tą szerokością geograficzną świt o tej porze roku wypada o piątej. Z dokładnością do paru minut. Jaką szybkość rozwija tamten statek?  
- Oczywiście, wygłupiłem się. Dziesięć węzłów.

- Dziesięć węzłów. Siedemnaście godzin. Sto siedemdziesiąt mil morskich. Punkt spotkania byłby gdzieś tutaj.

- Idealnie. - Znowu porównał wynik ze swoją mapą. - Idealnie. Bardzo mnie to cieszy. - Zerknął na kartkę w dłoni. - Nasza obecna pozycja to dwadzieścia sześć stopni i pięćdziesiąt dwie minuty szerokości północnej i siedemdziesiąt sześć stopni i trzydzieści trzy minuty długości zachodniej lub coś koło tego. Ile czasu zabierze nam droga na miejsce spotkania?

- Co to za łoskot tam na zewnątrz? - spytałem stanowczo, - Jakie znowu łajdactwo szykujesz, Carreras?

- Odpowiadaj na pytania! - rzucił ostro.

To on trzymał wszystkie karty.

- Jaką mamy szybkość? - spytałem.

- Czternaście węzłów.

- Czterdzieści trzy godziny - odrzekłem po minucie. - Niecałe.

- Czterdzieści trzy godziny - powtórzył powoli. - Teraz mamy czwartek, dziesiątą rano, a ja mam rendez-vous o piątej rano w sobotę. Mój Boże, to akurat czterdzieści trzy godziny. - Przez jego twarz przemknął cień zatroskania. - Jaka jest maksymalna szybkość „Campari”?

- Osiemnaście węzłów. - Zerknąłem na twarz Susan Beresford. Szybko traciła wszelkie złudzenia na temat pierwszego oficera Cartera.

- Ach! Osiemnaście? - Jego twarz rozjaśniła się. - A przy osiemnastu węzłach?

- Przy osiemnastu węzłach przypuszczalnie rozerwą się stabilizatory, a „Campari” się rozsypie - oświadczyłem.

Nie spodobało mu się to.

- Co masz na myśli? - spytał.

- To, że będziesz miał kłopoty, Carreras. Wielkie kłopoty. - Spojrzałem w okno. - Nie widzę stąd morza, ale je czuję. Nienormalnie głębokie, długie fale. Spytaj pierwszego z brzegu rybaka na Bahamach, co to oznacza o tej porze roku, a się dowiesz. To może być tylko jedno, Carreras... tropikalna burza, prawie na pewno huragan. Fala uderza od wschodu, i tam też jest serce huraganu. Być może o kilkaset mil stąd, ale jest. A fala jest coraz większa. Zauważyłeś? Jest większa dlatego, że klasyczna trasa huraganów w tej części oceanu to zachodnio-północny-zachód, przy szybkości dziesięciu do piętnastu mil na godzinę. A my płyniemy na północny wschód. Innymi słowy, tory „Campari” i huraganu są zbieżne. Czas, żebyś zaczął słuchać prognoz pogody, Carreras.

- Ile by nam zabrała droga przy osiemnastu węzłach?

- Trzydzieści trzy godziny. Mniej więcej. Przy dobrej pogodzie.

- A kurs?

Odłożyłem mapy i spojrzałem na niego.

- Taki sam, jaki masz niewątpliwie na swojej mapie.

- Fakt. Na jakiej długości fal nadają prognozę pogody?

- Obojętne - rzekłem sucho. - Jeżeli od Atlantyku nadciąga na zachód huragan, to wszystkie stacje na wschodnim wybrzeżu nie nadają praktycznie nic innego.

Podszedł do telefonu Marstona, połączył się z mostkiem i kazał rozwinąć maksymalną szybkość i nasłuchiwać prognoz pogody. Kiedy skończył, odezwałem się:

- Osiemnaście węzłów? No cóż, ja ostrzegałem.

- Muszę mieć w zapasie tyle czasu, ile się da. - Spojrzał na Bullena, który wciąż mamrotał chaotycznie przez sen. - Co by zrobił pański kapitan w tych okolicznościach?

- Zawróciłby i uciekał gdziekolwiek, byle nie na północ. My musimy myśleć o pasażerach. Oni nie przepadają za chorobą morską.

- Obawiam się, niestety, że będą mocno chorować. Ale to wszystko dla dobra sprawy.

- Tak... - wycodziłem powoli. Znałem już źródło hałasu na zewnątrz. - Dla dobra sprawy. Dla takiego patrioty jak ty, Carreras, nie ma lepszej sprawy. Kufer generalissimusa jest pusty.

Ani grosza na widoku, a jego reżim się rozpada. Tylko jedno może uratować chorego człowieka Karaibów... transfuzja. Transfuzja złota. Ten statek, który mamy spotkać, Carreras... ile milionów dolarów w złocie ma na pokładzie?

Marston powrócił już do izby chorych. On i Susan popatrzyli na mnie, następnie spojrzeli po sobie, i widać było, że postawili wspólną diagnozę: mającę pod wpływem opóźnionego szoku. Natomiast Carreras nie myślał nic podobnego - jego twarz, tak jak jego ciało, całkiem znieruchomiała.

- Pan ma dostęp do źródła informacji, o którym nic nie wiem - wyszeptał. - Co to za źródło, Carter? Szybko!

- Nie ma żadnego źródła, Carreras. - Wyszczерzyłem się do niego. - A powinno być jakieś źródło?

- Ze mną nie ma zabawy w kotka i myszkę. - Wciąż był bardzo spokojny. - Źródło, Carter?

- Tutaj - poklepałem się po głowie. - Tylko tutaj. To jest moje źródło.

Przez kilka sekund wpatrywał się we mnie zimno, w milczeniu, po czym lekko pokiwał głową.

- Wiedziałem to, jak tylko cię zobaczyłem. Ty masz... masz klasę. Mistrz bokserski nawet podczas przerwy wygląda jak mistrz bokserski. Niebezpieczny człowiek nawet w najbardziej domowych sytuacjach, w najbardziej niewinnym otoczeniu wygląda niebezpiecznie. Tak jak ty. Mam dużą wprawę w rozpoznawaniu takich ludzi.

- Słyszysz? - powiedziałem do Susan. - Nigdy się tego nie spodziewałaś, co? Myślałaś, że jestem jakiś pierwszy lepszy, prawda?

- Pan jest nawet bardziej przebiegły niż myślałam, panie Carter - mruknął Carreras.

- Jeżeli według ciebie ktoś jest przebiegły dlatego, że dodał dwa do dwóch i wyszło mu cztery, to jasne, jestem przebiegły. Boże drogi, gdybym był przebiegły, to nie leżałbym teraz ze zgruchotaną nogą. - Okazyjna wzmianka o mojej bezradności nie mogła zaszkodzić. - Generalissimus potrzebuje gotówki... powinienem był to rozpracować o wiele wcześniej.

- Tak?

- Tak. Mam ci powiedzieć, dlaczego Brownell, nasz radiotelegrafista, musiał zginąć?

- Zamieniam się w słuch.

- Bo przejęliście depeszę od Harrisonów i Curtisów, dwóch rodzin wezwanych z Kingston telegramem. W tej depeszy stało, że ten telegram to był dowcip, a gdybyśmy o tym wiedzieli, to byśmy się bacznie przyjrzeliby panom Carreras i Cerdanowi, którzy zajęli ich miejsca. Rzecz w tym, że te telegramy przeszły przez twoją stolicę, Carreras, co dowodzi współpracy urzędu pocztowego, a zatem i rządu. To rząd jest właścicielem urzędu pocztowego.

Po drugie, w waszym kraju lista oczekujących na miejsce na „Campari” była bardzo długa. Wy byliście niemal na końcu, lecz w tajemniczy sposób wskoczyliście na samą górę. Powiedzieliście, że tylko wy mogliście natychmiast zająć dwa zwolnione nagle apartamenty. Bzdura. Ktoś potężny, bardzo potężny, nakazał: „Carreras i Cerdan będą pierwsi”. I nikt nawet nie pisał. Ciekawe dlaczego?

Po trzecie, wprawdzie jest lista oczekujących na miejsce, ale nie ma na niej twoich rodaków, Carreras. Im nie wolno wsiadać na statki kursujące za granicę... a w dodatku natychmiast trafiają do więzienia, jeżeli zostaną przyłapani na posiadaniu zagranicznych walut. Ale wy mieliście zgodę na ten rejs... i zapłaciliście w dolarach USA. Chwytasz, co mówię?

Skinął głową.

- Musieliśmy podjąć ryzyko zapłacenia w dolarach.

- Po czwarte, celnicy przymknęli oko na te skrzynie z waszymi ludźmi... i na dodatek z działami. To dowodzi...



- Działami? - przerwał Marston. Był kompletnie oszołomiony. - Działami?

- Ten dźwięk dolatujący z zewnątrz - powiedział Carreras spokojnie. - Pan Carter to za chwilę wyjaśni. Chciałbym - ciągnął z żalem - żebyśmy stali po tej samej stronie. Byłby pan niezrównanym porucznikiem, panie Carter. Niech pan poda swoją cenę.

- Prawie to samo powiedział mi wczoraj pan Beresford - stwierdziłem. - Ostatnio ciągle ktoś mi proponuje robotę. Szkoda tylko, że w takim momencie.

- Chcesz powiedzieć - wtrąciła Susan - że tata zaproponował ci...

- Bez paniki - odrzekłem. - Zmienił zdanie. A więc, Carreras, tak to jest. Współpraca rządu ze wszystkich stron. A czego chce rząd? Pieniądzy. Dużo pieniędzy. W ciągu ostatniego roku czy dwóch zapłacili za uzbrojenie trzysta pięćdziesiąt milionów dolarów. Kłopot w tym, że po pierwsze generalissimus nigdy nie miał trzystu pięćdziesięciu milionów dolarów. Teraz nikt już nie kupuje jego cukru, handel praktycznie nie istnieje, więc w jaki sposób uczciwy człowiek zdobywa pieniądze? To proste. Kradnie.

- Możemy się obejść bez wycieczek osobistych.

- Jak chcesz. Może napad z bronią w ręku albo jawne piractwo brzmią bardziej moralnie niż kradzież. Nie wiem. A zresztą, cóż on kradnie? Obligacje, akcje, listy zastawne, czek, gotówkę? Nigdy w życiu. On szuka tylko tego, czego nigdy nie będzie można z nim powiązać... a jedyne, co może zdobyć w wystarczającej ilości, to złoto. Pański przywódca, panie Carreras - zakończyłem w zamyśleniu - musi mieć bardzo silnie rozgałęzioną siatkę szpiegowską w Anglii i w Ameryce.

- Jeśli ktoś jest przygotowany na duże wydatki w związku z taką sprawą jak ta, to siatka szpiegowska jest zbędna - powiedział obojętnie. - W mojej kabinie mam nawet dokładny plan załadowania tego złota. Większość ludzi ma swoją cenę, panie Carter.

- Chciałbym, żeby pewnego dnia ktoś mnie wypróbował - rzekłem. - No i tak. Rząd amerykański nie robił ostatnio tajemnicy z wielkiego sukcesu w odzyskaniu poważnych procentów z rezerw złota, które od kilku lat składano w Europie. To złoto musi zostać przetransportowane, a stawiam ostatnią koszulę, że część tego złota płynie na tym statku, który mamy spotkać. Interesujący jest już sam fakt, że ma przybyć do Norfolk dopiero o zmroku... ale bardziej interesujące jest to, że Norfolk, w tym wypadku, oznacza niewątpliwie Bazę Operacji Morskich w Hampton Roads, gdzie można będzie rozładować statek z maksymalnym bezpieczeństwem. A Norfolk, jak mi się zdaje, to miejsce, z którego prowadzi najkrótsza droga lądowa do Fortu Knox, gdzie ostatecznie złoto zostanie zmagazynowane. Ile złota, Carreras?

- Sto pięćdziesiąt milionów dolarów - odparł zimno. - Niewiele pan pominął. W każdym razie nic ważnego.

Sto pięćdziesiąt milionów dolarów. Zadumałem się nad tą sumą. Wszelki komentarz wydał mi się zbyteczny, więc spytałem:

- Dlaczego wybraliście „Campari”?

- Myślałem, że to także pan odgadł. Właściwie braliśmy pod uwagę jeszcze trzy inne statki, kursujące na trasie Nowy Jork - Karaiby. Przez jakiś czas badaliśmy ruchy wszystkich tych czterech statków. Wasz odpowiadał nam najbardziej.

- Mieliście niezły napięty plan, co? Gdybyśmy przyплыли do Carracio o kilka dni później...

- Odkąd tylko wyплылиście z Savannah, kręcił się koło was okręt wojenny, fregata, gotowa zatrzymać was pod byle pretekstem. Ale to nie było konieczne. - Wyjaśniało to, jaki statek widzieliśmy na ekranie radaru w nocy po wyplynięciu z Savannah: nie był to okręt wojenny USA, lecz generalissimusa. - Ta metoda była łatwiejsza, przyjemniejsza.

- Oczywiście - powiedziałem. - Nie mogliście użyć do swych celów fregaty. Nie ma takiego zasięgu. Jest beznadziejna przy złej pogodzie. Nie ma dźwigów do podnoszenia ciężkich ładunków. I wzbudza podejrzenia, poważne podejrzenia. Za to „Campari”... kto się

zaniepokoi, jeśli „Campari” spóźni się o kilka dni do punktu do celowego? Tylko dyrekcja naczelna...

- Dyrekcją naczelną się zajęliśmy - wtrącił Carreras. - Nie sądzi pan chyba, że przeoczyliśmy rzeczy oczywiste? Sprowadziliśmy na pokład własny nadajnik i już go podłączyliśmy do sieci. Zapewniam pana, że informacje, które z niego wychodzą, są dokładnie takie jak należy.

- Więc załatwiliście i to. A „Campari” ma szybkość wystarczającą, by dogonić większość statków handlowych, jest dużą jednostką morską na praktycznie każdą pogodę, ma wysmienity radar do wyłapywania innych statków oraz olbrzymie dźwigi do przenoszenia ciężkich ładunków. - Przerwałem i popatrzyłem na niego. - Na dziobie i rufie mamy nawet wzmocnione pokłady dla zamontowania platform działowych. Od czasu wojny instaluje się je na większości statków brytyjskich. Ale ostrzegam cię, że trzeba je wzmocnić od spodu stalowymi kątownikami, a samo to zabiera już kilka dni. Bez nich każde działo większe od trzycalówki powygina i wypaczy platformy już po kilku strzałach.

- Kilka strzałów nam wystarczy.

Przemyślałem sobie tę ostatnią uwagę. Kilka strzałów. To nie miało najmniejszego sensu. O co chodziło Carrerasowi?

- O czym wy, u licha, gadacie? - spytała zmęczona Susan. - Wzmocnione stalowe pokłady, kątowniki... o co tu chodzi?

- Proszę ze mną, panno Beresford, a będę miał przyjemność pokazać pani osobiście, o co nam chodzi. - Carreras uśmiechnął się. - Poza tym jestem pewny, że kochający rodzice bardzo się o panią niepokoją. Zobaczymy się później, panie Carter. Chodźmy, panno Beresford.

Popatrzyła na niego z wahaniem.

- Idź z nim, Susan - powiedziałem. - Nigdy nie wiadomo, czy ci się nie trafi okazja. Jedno dobre pchnięcie, jak podejdziesz do relingu i będzie wytracony z równowagi. Tylko tego nie przegap.

- Pana angielskie poczucie humoru staje się nieco męczące - odparował słabo Carreras. - Ciekawe, czy zachowa je pan w najbliższych dniach. - Wyszedł, zostawiając za sobą złowróżbną atmosferę.

Marston spojrział na mnie z głębokim namysłem w oczach.

- Czy Carreras miał na myśli to, co mi się wydaje?

- Tak. To, co pan słyszy, to uderzenia młotów i świdry pneumatyczne. Na wzmocnionych partiach rufy i pokładu dziobowego są przygotowane otwory do zamontowania platform różnej wielkości dział brytyjskich. Ale działa Carrerasa prawdopodobnie nie są brytyjskie, więc musi wiercić nowe otwory.

- On... on chce zamontować działa morskie?

- Trzymał je w dwóch z tych wielkich skrzyń. Pewnie rozłożone na kilka części, przygotowane do szybkiego montażu. Nie muszą być bardzo wielkie... nawet nie mogą, zamontowanie wielkich dział wymaga roboty w doku. Ale będą wystarczająco duże, by zatrzymać tamten statek.

- Nie wierzę w to! - zaprotestował Marston. - Napad na pełnym morzu? Piractwo w naszych czasach? To śmieszne! Niemożliwe!

- Niech pan to powie Carrerasowi. On ani przez chwilę nie wątpi, że to jest całkiem możliwe. Ja też nie. Może mi pan powiedzieć, co go może zatrzymać?

- My go musimy zatrzymać, John. Musimy go zatrzymać!

- Dlaczego?

- Dobry Boże! Dlaczego? Żeby taki człowiek miał uciec z diabli wiedzą iloma milionami funtów...

- To tym się pan martwi?

- Oczywiście - parsknął Marston. - Każdy by się martwił.

- Ma pan rację, doktorze - zgodziłem się. - Nie jestem dziś w najlepszej formie. - Nie dodałem, że gdyby się nad tym zastanowił nieco dłużej to martwiłby się dziesięć razy bardziej, i to nie z powodu pieniędzy. Martwiłby się w połowie tak, jak ja. A ja się martwiłem jak diabli, byłem przerażony, śmiertelnie przerażony. Carreras był sprytny, to fakt, ale chyba trochę mniej sprytny niż to sobie wyobrażał. Popełnił błąd, dając się zbyt wciągnąć w dyskusję. A ktoś, kto dał się wciągnąć w dyskusję i ma coś do ukrycia, popełnia następny błąd - albo gada za dużo, albo za mało. Carreras popełnił oba te błędy. Chociaż dlaczego miałby się troszczyć o to, czy gada za dużo, czy za mało? Nie mógł przegrać, teraz już nie.

Przyniesiono śniadanie. Nie miałem apetytu, lecz mimo to zjadłem wszystko. Straciłem zbyt dużo krwi, a na noc musiałem zebrać wszystkie siły, jakie zdołałem odzyskać. Jeszcze mniej chciało mi się spać, więc poprosiłem Marstona o środek nasenny. Przyniósł mi go. Snu też potrzebowałem jak najwięcej. W nocy nie miałem spać długo.

Ostatnie uczucie, jakie mnie ogarnęło przed zaśnięciem, to dziwna, nienaturalna suchość w ustach, suchość, która zwykle jest skutkiem przesadnego strachu. Ale to nie z powodu strachu, powtarzałem sobie, to nie z powodu strachu. To po prostu efekt pastylki nasennej. Tak właśnie sobie powtarzałem.

## VIII. Czwartek, od szesnastej do dwudziestej drugiej

Kiedy się obudziłem, było późne popołudnie, około czwartej - dobre cztery godziny przed zachodem słońca, ale w izbie chorych paliły się już światła, a niebo na zewnątrz było niemal tak ciemne, jak w nocy. Z czarnych, wiszących chmur gwałtownie zaczął ulewny deszcz. Pomimo zamkniętych drzwi i okien słyszałem wysoki, cienki dźwięk, ni to jęk, ni gwizd porywistego wiatru, wyjącego między wspornikami i stałym takielunkiem.

Na „Campari” spadał grad uderzeń. Statek wciąż płynął szybko, o wiele za szybko jak na warunki pogody, torując sobie drogę między ciężkimi, toczącymi się falami, które waliły się na dziób od prawej burty. Byłem całkiem pewny, że nie były to jakieś gigantyczne fale, nadspodziewanie wielkie jak na tropikalny sztorm, nie - to po prostu „Campari” przebijał się przez rozkołysane morze z taką szybkością, że niemal rozpadał się na części. Kręcił się złośliwie jak korkociąg, ruchem, który powodował największe napięcie kadłuba statku. Z regularnością metronomu „Campari” opadał lewą stroną dziobu do przodu, we wznoszące się morze, unosił dziób i przekręcał się na lewą stronę, wynurzając na szczyt, przez chwilę trwał w zawieszeniu, by zaraz rzucić się gwałtownie do przodu i przechylić na prawą burtę, spływając po grzbiecie fali, a następnie wpaść z gwałtownym szarpnięciem, od którego szczękały zęby, w ramiona następnej fali. Po takim wstrząsającym, przyprawiającym o dreszcze zderzeniu, wszystkie płyty i nity na całej długości „Campari” wibrowały przez kilka sekund. Bez wątplenia w stocznicy w Clyde, w której go zbudowano, zbudowano go dobrze, ale nie konstruowano go z założeniem, że dostanie się w ręce maniaka. Nawet stal ma prawo się rozlecieć.

- Doktorze Marston - odezwałem się. - Niech pan spróbuje złapać Carrerasa przez telefon.

- Cześć, obudziłeś się? - Potrząsnął głową. - Sam u niego byłem, jakąś godzinę temu. Jest na mostku i twierdzi, że jeśli będzie trzeba, zostanie tam przez całą noc. A szybkości już więcej nie zmniejszy, mówi, że i tak zwolnił do piętnastu węzłów.

- Ten facet oszalał. Bogu dzięki, że mamy stabilizatory. Gdyby nie one, wywijalibyśmy salta.

- Czy one wytrzymają coś podobnego w nieskończoność?

- Mało prawdopodobne. Kapitan i bosman... jak się czują?

- Kapitan wciąż śpi, wciąż majaczy, ale oddycha spokojniej. A naszego przyjaciela MacDonalda sam możesz spytać.

Odwróciłem się na łóżku. Bosman faktycznie był przytomny i szczyrzył się do mnie.

- Jak już się obaj obudziliście, to może ja się zdrzemnę na godzinkę w ambulatorium - powiedział Marston. - Przydałoby mi się to.

Widać było, że by mu się to przydało - był blady, wymęczony.

- Gdyby się coś działo, to pana zawołamy. - Patrzyłem, jak odchodzi, a następnie powiedziałem do MacDonalda: - Lubisz sobie pospać, co?

- Z wrodzonego lenistwa, panie Carter. - Uśmiechnął się. - Chciałem wstać, ale doktorowi się to nie spodobało.

- Dziwisz się? Wiesz, że masz strzaskaną rzepkę i że miną tygodnie, zanim zaczniesz normalnie chodzić? - On już nigdy nie będzie normalnie chodził.

- Tak, to niewygodne. Doktor Marston mówił mi o tym Carrerasie i jego planach. Gość jest stuknięty.

- Jeszcze jak. Ale stuknięty czy nie, co go zatrzyma?

- Być może pogoda. Na zewnątrz jest raczej paskudnie.

- Pogoda go nie zatrzyma. To jeden z tych fanatycznych zapaleńców. Ale ja mógłbym może spróbować.

- Pan? - MacDonald podniósł głos, lecz zaraz ściszył go do szeptu. - Pan! Ze strzaskanym udem! Jak...

- Nie jest złamane. - Powiedziałem mu o naszym podstępie. - Sądzę, że dam sobie z nim radę, jeśli się nie będę musiał zbyt wiele wspinać.

- Rozumiem. A plan?

Powiedziałem mu. Pomyślał, że jestem tak samo stuknięty, jak Carreras. Zrobił, co mógł, żeby mnie od tego odwieść, ostatecznie zaakceptował rzeczy nieuchronne i zaproponował kilka własnych sugestii. Wciąż jeszcze omawialiśmy to przyciszonymi głosami, kiedy otworzyły się drzwi od korytarza, strażnik wprowadził Susan Beresford, zamknął drzwi i wyszedł.

- Gdzie byłeś cały dzień? - spytałem oskarżycielsko.

- Widziałam działa. - Była blada, zmęczona i najwyraźniej zapomniała, że jest na mnie zła za współpracę z Carrerasem. - Zamontowali jedno wielkie na rufie i mniejsze na forpiku. Przykryli je teraz brezentem. Resztę dnia spędziłam z mamą, tatą i innymi.

- A co u naszych pasażerów? - spytałem. - Wściekają się, że zostali uprowadzeni, czy też uważają to za jeszcze jedną atrakcję „Campari”... za wspaniałą przygodę za darmo, o której będą mogli opowiadać do końca dni swoich? Jestem pewny, że większość z nich czuje ulgę, że Carreras nie trzyma ich dla okupu.

- Większość z nich nie myśli ani tak, ani siak - odrzekła. - Są tak powaleni morską chorobą, że jest im obojętne czy żyją, czy nie. Powiem ci, że sama też się tak trochę czuję.

- Przyzwyczaisz się - stwierdziłem niedelikatnie. - Wszyscy się przyzwyczaiacie. Chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła.

- Tak, John? - Pełen szacunku szept, spowodowany w gruncie rzeczy zmęczeniem, oraz użycie przez nią mojego imienia sprawiły, że spojrzałem szybko na bosmana, lecz on był zajęty oglądaniem fragmentu sufitu, na którym nie było nic do oglądania.

- Załatw sobie zezwolenie na pójście do kabiny. Powiedz, że idziesz po koce, że w nocy było ci zimno. Między koce włóż garnitur, który twój ojciec wkładał do obiadu. Nie tropikalny, ciemny. Tylko, na miłość boską, sprawdź, czy cię nie obserwują. Masz jakieś ciemne sukienki?

- Ciemne sukienki? - Wstrząsnęła się. - Dlaczego...

- Jak mi Bóg miły! - wyszeptałem z rozdrażnieniem. Słyszałem dochodzący z zewnątrz pomruk głosów. - Odpowiadaj!

- Czarną sukienkę koktajlową...

- Też ją przynieś.

Popatrzyła na mnie bystro.

- Mógłbyś mi powiedzieć...

Otworzyły się drzwi i wszedł Tony Carreras, balansując swobodnie na rozkołysanym, chwiejnym pokładzie. Pod pachą trzymał zmoczoną przez deszcz mapę.

- Dobry wieczór wszystkim. - Wprawdzie mówił radośnie, lecz wyglądał dosyć blado. - Carter, mała robota dla mojego ojca. Pozycja i kurs „Ticonderogi” o ósmej rano, w południe i o szesnastej. Sprawdź je i powiedz, czy „Fort Ticonderoga” wciąż płynie wyznaczonym kursem.

- „Fort Ticonderoga” to nazwa statku, który mamy przechwycić?

- Cóż by innego?

- Ale... ale pozycje - rzekłem głupio. - Skąd je, u diabła, macie? Nie mów mi, że „Ticonderoga” sam wam je wysyła. Czy... czy radiotelegrafiści na tym statku...

- Mój ojciec myśli o wszystkim - przerwał mi zimno Tony Carreras. - Dosłownie o wszystkim. Mówiłem ci, że on jest genialny. Wiesz, że każemy „Ticonderodze” zatrzymać się i poddać. Myślisz, że chcemy, żeby zaczęli wysyłać SOS, jak dla ostrzeżenia strzelimy im

przed dziób? Telegrafisci z „Ticonderogi” mieli przed wypłynięciem z Anglii mały wypadek i zostali zastąpieni przez ludzi, hm... bardziej stosownych.

- Mały wypadek? - powiedziała wolno Susan. Z powodu choroby morskiej i znużenia jej twarz miała barwę papieru, lecz jeżeli bała się Carrerasa, to ja tego nie zauważyłem. - Jaki wypadek?

- Taki, jaki łatwo może się zdarzyć każdemu z nas, panno Beresford. - Tony Carreras wciąż się uśmiechał, ale nie miał już tego chłopięcego uroku. Na jego twarzy nie widziałem żadnych emocji, jedyne co widziałem, to dziwnie matowe oczy. Byłem pewny jak nigdy dotąd, że z oczami Tony'ego Carrerasa jest coś nie w porządku, lecz jak nigdy dotąd byłem także pewny, że to nie dotyczyło samych tylko oczu, a było znamienym wskaźnikiem zła, leżącego dużo głębiej niż oczy. - Nic złego, zapewniam panią. - Znaczyło to, że nie zabili ich więcej niż tylko raz. - Jeden z zastępców jest nie tylko telegrafistą, lecz także doświadczonym nawigatorem. Nie widzieliśmy powodu, dla którego nie mielibyśmy skorzystać z takiej okazji, żeby co godzinę informować się o dokładnej pozycji „Ticonderogi”.

- Twój ojciec w niczym nie zdaje się na los szczęścia - przyznałem. - Może z wyjątkiem tego, że polega na mnie jako na specjalście od nawigacji.

- On nie wiedział... nie mogliśmy wiedzieć, że pozostali oficerowie „Campari” wykażą taką, hm... głupotę. My, to znaczy mój ojciec i ja, nie lubimy nikogo zabijać. - W jego głosie znów zabrzmiała absolutna szczerłość, lecz zacząłem się zastanawiać, czy nie słyszałem w nim, fałszywej nuty. - Mój ojciec jest także kompetentnym nawigatorem, ale, niestety, w tym momencie ma pełne ręce roboty. Tak się składa, że on jest jedynym zawodowym marynarzem, jakiego mamy.

- A inni nie?

- Niestety, nie. Ale doskonale potrafią dopilnować, żeby zawodowi marynarze, to jest pańscy ludzie, robili co do nich należy.

To była radosna nowina. Jeżeli Carreras się uparł żeby „Campari” płynął przy takim sztormie z taką szybkością, to praktycznie każdy, kto nie był zawodowym marynarzem, musiał być naprawdę chory. Mogło mi to ułatwić nocną robotę.

- A co się stanie z nami, jak już zagarniecie to cholerne złoto? - spytałem.

- Wpakujemy was wszystkich na „Ticonderogę” - odparł leniwie. - Cóż by innego?

- Tak? - parsknąłem. - Żebyśmy mogli od razu zawiadomić wszystkie statki, że „Campari”...

- Możecie sobie zawiadamić, kogo wam się podoba - odparł uprzejmie. - Myślisz, że zwariowaliśmy? Opuszczamy „Campari” tego samego ranka. W pobliżu będzie stał inny statek. Miguel Carreras naprawdę myśli o wszystkim.

Nic nie odrzekłem i poświęciłem całą uwagę mapom, Susan zaś poprosiła o zgodę na przyniesienie koców. Carreras odparł z uśmiechem, że z przyjemnością będzie jej towarzyszył. Wyszli razem. Kiedy powrócili za pięć minut, wziąłem się za zaznaczone na mapie pozycje i stwierdziłem, że „Ticonderoga” rzeczywiście trzyma się kursu. Wraz z tą informacją wręczyłem mapę Carrerasowi. Podziękował mi i wyszedł.

Kolację dostaliśmy o ósmej. Nie był to taki posiłek, jak zwykle na „Campari”, Antoine nigdy nie był w najlepszej formie, gdy wszystko składało się przeciwko niemu, ale i tak było to dobre. Susan nie jadła nic. Podejrzewałem, że chorowała kilka razy, jednak nic na ten temat nie wspomniała - córka milionera czy nie, nie była beksą i się nad sobą nie rozczulała, tak jak się tego spodziewałem po córce Beresfordów. Ja nie byłem głodny, zamiast żołądka miałem wielki węzeł (oczywiście nie z powodu kołysania „Campari”), jednak wiedząc, że będę potrzebował wszystkich możliwych sił, zjadłem całkiem sporo. MacDonald jadł tak, jakby nie miał nic w ustach od tygodnia. Bullen wciąż spał pod wpływem środków znieczulających,

nieruchomy pod przytrzymującymi go do łóżka rzemieniami, oddychając niespokojnie i nieustannie mamrocząc do siebie.

O dziewiątej Marston spytał:

- Czas już na kawę, John?

- Czas na kawę - zgodziłem się. Zauważyłem, że dłonie Marstona nieco drżały. Po ładnych kilku latach wypijania co wieczór większej części butelki rumu, jego nerwy nie były przystosowane do takiej sytuacji.

Susan przyniosła pięć filiżanek kawy, po jednej na raz - dzikie skoki „Campari”, wstrząsy i szarpnięcia, kiedy spadaliśmy w doliny fal, uniemożliwiały niesienie więcej niż jednej filiżanki na raz. Jedna dla niej, jedna dla MacDonalda, jedna dla Marstona, jedna dla mnie... i jedna dla wartownika - tego samego młodzika, który trzymał straż poprzedniej nocy. Dla naszej czwórki był cukier, dla wartownika - pełna łyżeczka białego proszku z apteki Marstona. Susan wyniosła mu filiżankę na zewnątrz.

- Jak się miewa nasz przyjaciel? - spytałem, gdy wróciła.

- Prawie taki zielony jak ja... - Bezskutecznie spróbowała się uśmiechnąć. - Chyba był zadowolony z kawy.

- Gdzie on jest?

- W korytarzu. Siedzi na podłodze, wciśnięty w róg, z karabinem na kolanach.

- Kiedy ten proszek zadziała, doktorze?

- Jeżeli wypije natychmiast, to za jakieś dwadzieścia minut. Ale nie pytaj mnie, jak długo będzie trwał efekt. Ludzie różnią się tak dalece, że nie mam pojęcia. Może pół godziny, a może trzy. W takich wypadkach nigdy nie ma pewności.

- Zrobił pan wszystko, co pan mógł. Z wyjątkiem jednej rzeczy. Niech mi pan zdejmie te zewnętrzne bandaże i łubki, dobrze?

Popatrzył nerwowo na drzwi.

- Jeżeli ktoś nadejdzie...

- Najgorsze już za nami - odparłem zniecierpliwiony. - Nawet jeżeli zaryzykujemy i przegramy, to nie będzie gorzej. Proszę je zdjąć.

Marston przysunął sobie krzesło, usiadł, wsunął nożyczki pod bandaże przytrzymujące łubki i rozciął je kilkoma zgrabnymi cięciami. Bandaże opadły, łubki się rozluźniły i... otworzyły się drzwi. Kilka długich kroków i Tony Carreras stał przy moim łóżku, spoglądając w dół w zamyśleniu. Był jeszcze bardziej blady niż ostatnim razem.

- Dobry lekarz na nocnej zmianie, co? Ma pan kłopot z pacjentem, doktorze?

- Kłopot? - powtórzyłem ochryple. Przymknąłem oczy, zagryzłem wargi, dłonie na kocu zacisnąłem w pięści. Carter w agonii. Miałem nadzieję, że nie przesadzam. - Czy twój ojciec oszalał, Carreras? - Całkiem zamknąłem oczy i wydałem z siebie niemal jęk, gdy „Campari” rzucił się do przodu w nadzwyczaj głęboką dolinę fal, z szarpnięciem, które prawie obaliło Carrerasa. Nawet przez zamknięte drzwi, nawet przez niesamowite wycie wiatru i zacinający deszcz, odgłos uderzenia zabrzmiał jak wystrzał armatni, i to bliski. - Czy on chce, żebyśmy się wszyscy zabili? Dlaczego, u licha, nie zwolni trochę?

- Pan Carter odczuwa bardzo silny ból - powiedział spokojnie Marston. Pomijając jego wady jako lekarza, szybko chwycił, o co chodzi, a kiedy spojrzano się w te mądre, niebieskie oczy pod wspaniałą grzywą białych włosów, nie sposób było mu nie wierzyć. - Choć „katusze” byłyby bardziej odpowiednim określeniem. On, jak panu wiadomo, ma skomplikowane złamanie kości udowej. - Delikatnie obmacał przesiąknięte krwią bandaże, przykrywające łubki, żeby Carreras mógł się przekonać, jak bardzo skomplikowane było to złamanie. - Za każdym gwałtownym przechyłem statku dwa końce złamanej kości trącają się. Może pan sobie wyobrazić, jak to jest... nie, wątpię, żeby pan mógł. Próbuje przestawić i tak zacisnąć łubki, żeby unieruchomić nogę całkowicie. W takich warunkach to trudna robota. Pomoże mi pan?

W jednej sekundzie zmieniłem zdanie na temat bystrości Marstona. Niewątpliwie starał się odsunąć wszelkie podejrzenia, jakie Carreras mógł powziąć, jednak nie mógł wymyślić nic gorszego. Zakładając oczywiście, że Carreras zaoferowałby mu swoją pomoc, ponieważ w takim wypadku było wielce prawdopodobne, że wychodząc znajdzie wartownika chrapiącego w korytarzu.

- Niestety. - Beethoven nigdy nie zabrzmiał równie słodko w moich uszach jak muzyka jednego słowa Carrerasa. - Nie mogę czekać. Kapitan Carreras na obchodzie. Zresztą, po to tu jest panna Beresford. Jak nic innego nie pomoże, to niech go pan naszpikuje morfiną. - Pięć sekund później już go nie było.

Marston uniósł brew.

- Kiedyś był bardziej uprzejmy, prawda, John? Ani krzty tego współczucia, które tak często okazywał.

- Martwi się - powiedziałem. - Jest trochę przestraszony i pewnie więcej niż trochę chory. Ale mimo tego twardy. Susan, odbierz od wartownika filiżankę i zobacz, czy nasz przyjaciel Carreras rzeczywiście poszedł.

Wróciła za piętnaście sekund.

- Poszedł. Horyzont czysty.

Przerzuciłem nogi przez krawędź łóżka i wstałem. Chwilę później zwałem się ciężko na podłogę, a moja głowa o włos minęła żelazną nogę łóżka MacDonalda. Stało się tak z czterech powodów: nagłego przechyłu pokładu, kiedy „Campari” opadł gwałtownie pomiędzy fale, sztywności obu moich nóg, częściowego paralizu lewej nogi i bólu, który przeszył moje udo jak płomień, gdy tylko dotknąłem nogą podłogi.

Dźwignąłem się na nogi, podpierając się o łóżko bosmana, i spróbowałem ponownie. Marston chwycił mnie pod prawe ramię. Potrzebowałem wszelkiej możliwej podpory. Dotarłem do swojego łóżka i usiadłem ciężko. Twarz MacDonalda była bez wyrazu. Susan wyglądała tak, jakby się miała rozpłakać. Nie wiadomo dlaczego, poczułem się przez to lepiej. Poderwałem się na nogi jak nóż sprężynowy, chwyciłem za poręcz łóżka i spróbowałem jeszcze raz.

Niewiele to dało. Nie byłem z żelaza. Mogłem sobie poradzić z przechyłami „Campari”, a początkowe odrętwienie powoli ustępowało. Nawet tę przerażającą słabość lewej nogi mogłem do pewnego stopnia zignorować. Zawsze przecież mogłem skakać na jednej nodze. Ale nie mogłem zignorować bólu. Nie jestem z żelaza, mój układ nerwowy przewodzi ból jak u każdego innego człowieka, a teraz pracował na pełnych obrotach. Możliwe zresztą, że poradziłbym sobie z bólem, ale za każdym razem, gdy stawiałem stopę na pokładzie, ten rozdzierający ból w lewym udzie przyprawiał mnie o zawroty głowy, niemal traciłem przytomność. Kilka kroków na tej nodze i całkiem stracę świadomość. Zastanawiałem się mętnie, czy to nie z powodu upływu krwi. Usiadłem.

- Wracaj do łóżka - zarządził Marston. - To szaleństwo. Będziesz musiał leżeć co najmniej przez tydzień.

- Kochany Tony Carreras - powiedziałem. Faktycznie miałem lekki zawrót głowy. - Bystry facet, ten Tony. Miał dobry pomysł. Pańska strzykawka, doktorze. Środek przeciwbólowy w udo. Wie pan, tak jak piłkarz z obolałą nogą bierze zastrzyk przed meczem.

- Żaden piłkarz nie wyszedł na boisko z trzema kulami w nodze - mruknął ponuro Marston.

- Niech pan tego nie robi, doktorze Marston - wtrąciła pośpiesznie Susan. - Bardzo pana proszę. On się z pewnością zabije.

- Bosmanie? - zapytał Marston.

- Niech mu pan da zastrzyk, doktorze - rzekł bosman spokojnie. - Pan Carter wie lepiej.



- Pan Carter wie lepiej! - przedrzeźniła go z furią Susan. Podeszła do bosmana i spojrzała na niego. - Łatwo panu tu leżeć i mówić, że on wie lepiej. Pan nie musi stąd wyjść i dać się zastrzelić albo paść z upływu krwi.

- Ja nie, panienko. - Bosman uśmiechnął się do niej. - Ja bym na takie ryzyko nie poszedł.

- Przepraszam, panie MacDonald. - Usiadła ze znużeniem na jego łóżku. - Tak mi wstyd. Wiem, że gdyby nie pańska strzaskana noga... ale niech pan na niego popatrzy! On nie może nawet stać, a co dopiero chodzić. Zabije się, mówię panu, że on się zabije!

- Możliwe. Ale to tylko kwestia tego, czy dwa dni wcześniej, czy później, panno Beresford - odrzekł spokojnie MacDonald. - Ja o tym wiem, pan Carter o tym wie. Obaj wiemy, że nikt na „Campari” długo nie pożyje... o ile nikt nic nie zrobi. Nie sądzi pani chyba, panno Beresford - ciągnął poważnie - że pan Carter robi to tylko dla zabawy?

Marston popatrzył na mnie, a jego twarz powoli stężała.

- Rozmawiałeś z bosmanem? O sprawach, o których ja nic nie wiem?

- Powiem panu, jak wrócę.

- Jeżeli wrócisz. - Wyszedł do ambulatorium, wrócił ze strzykawką i wstrzyknął mi jakiś bładny płyn. - Robię to wbrew własnej woli. Bez wątpienia ból będzie mniejszy, ale to ci pozwoli nadwerżyć nogę i spowodować nieodwracalne szkody.

- Śmierć jest bardziej nieodwracalna. - Pokuśtykałem do apteki, wyciągnąłem garnitur starego Beresforda ze stosu koców, które przyniosła Susan, i ubrałem się tak szybko, jak na to pozwalała moja chora noga i przechyły „Campari”. Właśnie podnosiłem kołnierz i spinałem klapy agrafką, kiedy weszła Susan. Z nienormalnym spokojem stwierdziła:

- Dobrze na tobie leży. Chociaż marynarka jest trochę za ciasna.

- Lepsze to, niż gdybym miał paradować po górnych pokładach w środku nocy w białym mundurze. Gdzie jest ta czarna sukienka, o której mówiłaś?

- Tutaj. - Wyciągnęła ją spod dolnego koca.

- Dzięki. - Zerknąłem na metkę. Balenciaga. Powinna być z tego niezła maska. Chwyciłem za lamówkę sukienki, zerknąłem na Susan, zobaczyłem, jak kiwnęła głową, i zacząłem drzeć materiał, każdy ścieg po dolarze. Wydarłem spory kwadrat, złożyłem go w trójkąt i zawiązałem sobie na twarzy, tuż poniżej oczu. Jeszcze kilka szarpnięć, następny kwadrat, i zawiązałem materiał na głowie i czole, tak że przeświecały tylko moje oczy. Bładny błysk rąk zawsze mogłem ukryć.

- Więc nic cię nie powstrzyma? - spytała poważnie.

- Tego bym nie powiedział. - Przesunąłem nieco ciężar ciała na lewą nogę, wysiliłem wyobraźnię i powiedziałem sobie, że noga jest już pozbawiona czucia. - Wiele rzeczy może mnie powstrzymać. Może mnie powstrzymać każdy z tych czterdziestu dwóch ludzi uzbrojonych w rewolwery lub pistolety maszynowe. Jeżeli mnie zobaczą.

Popatrzyła na strzępy Balenciagi.

- Odedrzyj i dla mnie kawałek, skoro już to robisz.

- Dla ciebie? - Spojrzałem na nią. Wyglądała tak, jak ja się czułem. - Po co?

- Idę z tobą. - Wskazała na swoje ubranie: morskigo koloru sweter i spodnie. - Nietrudno było zgadnąć, po co ci potrzebne ubranie taty. Nie sądzisz chyba, że się w to przebrałam bez powodu?

- Nie sądzę. - Oddarłem następny kawałek materiału. - Proszę.

- No... - Stała z materiałem w ręku. - Tak po prostu, co?

- Przecież sama tego chciałaś, prawda?

Obrzuciła mnie od góry do dołu powolnym, staromodnym spojrzeniem, potrząsnęła głową i zawiązała materiał. Pokuśtykałem do ambulatorium. Susan ruszyła za mną.

- A dokąd to się wybiera panna Beresford? - zapytał ostro Marston. - Po co włożyła ten kaptur?

- Idzie ze mną - powiedziałem. - Przynajmniej tak twierdzi.

- Z tobą? A ty jej pozwalasz? - Był przerażony. - Ona się zabije.

- Bardzo prawdopodobne - zgodziłem się. Coś, być może środek znieczulający, wywierało dziwny wpływ na mój umysł: czułem się niebywale spokojny i zrównoważony. - Ale, jak powiedział bosman, co za różnica, czy parę dni wcześniej, czy później? Potrzebna mi druga para oczu, ktoś, kto może poruszać się szybko i lekko, zwiadowca. Niech pan nam da jedną ze swoich latarek, doktorze.

- Protestuję! Stanowczo protestuję przeciwko...

- Niech mu pan da latarkę! - przerwała mu Susan.

Poparzył na nią, zawahał się, westchnął i odwrócił.

MacDonald skinął na mnie ręką.

- Przykro mi, że nie mogę iść z panem, ale to najlepsze, co mogę zrobić. - Weisnął mi w rękę nóż marynarski, mający z jednej strony szerokie składane ostrze, a z drugiej zabezpieczony na klamrę marspikiel, z czubkiem ostrym jak igła. - Jeżeli będzie pan musiał tego użyć, to niech pan uderza szpicem w górę, trzymając ostrze od strony dłoni.

- Nie zapomnę. - Złożyłem nóż i zobaczyłem, jak Susan wpatruje się w niego szeroko otwartymi zielonymi oczyma.

- Ty... ty byś zrobił z tego użytek?

- Zostań tutaj, jeśli chcesz. Latarka, doktorze Marston.

Schowałem latarkę do kieszeni, nóż zatrzymałem w ręku i przeszedłem przez drzwi gabinetu. Przytrzymałem je za sobą - wiedziałem, że Susan pójdzie za mną.

Wartownik, wciśnięty w nóg korytarza, spał głęboko. Na kolanach miał pistolet maszynowy. To była straszna pokusa, ale go zostawiłem. Śpiący strażnik zarobiłby parę kopniaków i wyzwisk, natomiast śpiący strażnik bez broni spowodowałby natychmiastowe przeszukiwanie całego statku.

Przejsście przez dwa trapy prowadzące na pokład „A” zabrało mi dwie minuty. Były to ładne, szerokie trapy, a jednak zabrały mi dwie minuty. Moja lewa noga była sztywna, bardzo słaba i zupełnie niepodatna na autosugestię, kiedy powtarzałem sobie, że ból maleje z minuty na minutę. W dodatku „Campari” przechylał się tak gwałtownie, że nawet od pełnosprawnej osoby wdrapywanie się na górę wymagało całkowitej uwagi, by nie dać się zrzucić.

Kołysanie. „Campari” kołysał się, lecz teraz jego ruchy jeszcze bardziej przypominały korkociąg. Wielkie płachty wody przelewały się nad dziobem i spływały po nadbudówkach. Kilkaset mil od centrum huraganu - a nie potrzebowałem barometru ani prognozy pogody, żeby wiedzieć, co mamy przed sobą - rozchodzi się fala, wskazująca, gdzie znajduje się centrum. Płynęliśmy kursem odchylonym mniej więcej o dwadzieścia stopni na wschód od kierunku północnego, a wiatr wiał dokładnie od dziobu. Znaczyło to, że huragan jest od nas nieco na południowy wschód i, dotrzymując nam kroku, pędzi w przybliżeniu na północny zachód, czyli bardziej na północ niż zwykle. A „Campari” i huragan znajdowały się teraz na jeszcze bardziej zbieżnych szlakach niż dotychczas. Siłę wiatru oceniałem na osiem lub dziewięć w skali starego Beauforta. Oznaczało to, że centrum sztormu leży niecałe sto mil od nas. Jeżeli Carreras dalej będzie płynął z taką szybkością tym samym kursem, to i jego, i nasze kłopoty wkrótce się skończą.

Na szczycie drugiego trapu przez chwilę stałem nieruchomo, by odzyskać równowagę, po czym oparłem się na ramieniu Susan i ruszyłem ku rufie, do salonu znajdującego się siedem metrów dalej. Jeszcze dobrze nie wystartowałem, a już stanąłem. Coś było nie tak.

Pomimo oszołomienia stwierdziłem, co było nie tak, nie zabrało mi dużo czasu. W nocy na morzu „Campari” był zwykle oświetlony jak choinka. Dziś jednak wszystkie światła na pokładach były wygaszone. Kolejny przykład na to, że Carreras nie ryzykuje, chociaż ten przykład był niepotrzebny i przesadny. Jasne, że nie chciał, żeby go ktoś zobaczył, ale w takich ciemnościach i zawierusze i tak nikt by go nie dostrzegł, zakładając nawet, że

znalazłby się jakiś statek płynący w tym samym kierunku, co było raczej niemożliwe, chyba że jego kapitan postradałby zmysły. Mnie to jednak doskonale odpowiadało. Zataczając się, ruszyliśmy do przodu, nie starając się nawet zachować ciszy. Przy tym wyciu wiatru, bębnieniu zacinającego deszczu i powtarzających się jakby pistoletowych wystrzałach, kiedy dziób „Campari” miażdżył ciężkie, przelewające się fale, nikt by nas nie usłyszał z odległości jednego metra.

Rozbite okna salonu topornie zabito deskami. Ostrożnie, żeby nie przeciąć sobie tętnicy szyjnej ani nie wpakować oka na któryś ze sterczących odłamków szkła, przysunąłem twarz do desek i zajrzałem przez szparę pomiędzy nimi.

Zasłony od wewnątrz były zaciągnięte, ale wskutek gwałtownych podmuchów wiatru, wpadającego przez szpary pomiędzy deskami, nieustannie trzepotały i powiewały. W ciągu minuty obejrzałem wszystko, co chciałem zobaczyć, lecz niewiele mi to dało. Wszyscy pasażerowie byli zgromadzeni w jednym rogu pokoju. Większość z nich leżała na ułożonych na pokładzie materacach, a kilku siedziało, opierając się plecami o gródź. Najbardziej żałosna kolekcja powalonych chorobą morską milionerów, jaką widziałem w życiu. Barwy ich twarzy wahały się od bladej zieleni do śmiertelnej bieli. Widać było, że cierpią. W rogu dojrzałem kilku stewardów, kucharzy i oficerów mechaników, razem z McIlroyem, obok którego siedział Cummings. Wyglądało na to, że z pasażerami uwięziono wszystkich wolnych od służby oficerów. Carreras ekonomicznie rozdzielał strażników - widziałem ich tylko dwóch: twarogłowych, nie ogolonych facetów, trzymających lekkie pistolety maszynowe. Przez moment pomyślałem, żeby wpaść przez drzwi i rzucić się na nich, ale tylko przez moment. Mając za całe uzbrojenie jedynie składany nóż i mogąc rozwijać maksymalną szybkość średnio aktywnego żółwia, nie zrobiłbym nawet metra.

Dwie minuty później staliśmy przed kabiną radiową. Nikt nas nie zatrzymał, nikt nas nie widział, pokłady były zupełnie wyludnione. To nie była noc na spacer.

Kabina radiowa była pogrążona w ciemności. Przycisnąłem jedno ucho do metalowych drzwi, drugie zakryłem ręką, żeby wyciszyć hałas sztormu, i cały zamieniłem się w słuch. Nic. Delikatnie położyłem dłoń na klamce, przekręciłem ją i popchnąłem. Drzwi nie drgnęły ani o milimetr. Zdjąłem dłoń z klamki z nadzwyczajną uwagą i ostrożnością człowieka, który wyciąga Koh-i-noora z kosza pełnego śpiących kobr.

- Co się stało? - spytała Susan. - Czy...

Nic więcej nie zdążyła powiedzieć, gdyż moja dłoń zamknęła jej usta, niezbyt zresztą łagodnie. Zanim odsunąłem rękę, byliśmy już pięć metrów od kabiny.

- Co się dzieje? Co się dzieje? - W jej cichym szepcie słychać było drzenie; nie wiedziała czy się bać, czy gniewać, czy jedno i drugie.

- Drzwi były zamknięte.

- I co z tego? Po co mieliby trzymać wachtę...

- Od zewnątrz drzwi zamykane są na kłódkę. Założyliśmy nową wczoraj rano. Już jej nie ma. Ktoś zasunął zamek od środka. - Nie wiedziałem, ile z tego do niej dociera: ryk morza, bębnienie deszczu, pędzący z północy wicher, śpiewający wysokim tonem żałobny tren pośród takielunku, zagłuszały i wykradały słowa, ledwie je wypowiadałem. Zaciągnąłem ją w żalosaną osłonę wentylatora, a jej słowa dowiodły, że faktycznie usłyszała i zrozumiała większość z tego, co powiedziałem.

- Zostawili strażnika? Na wypadek, gdyby ktoś chciał się włamać? Ale kto mógłby się tam włamać? Wszyscy jesteśmy pod strażą i pod kluczem.

- Jak mówi Carreras junior... jego stary nigdy nie ryzykuje. - Zawahałem się, a nie wiedząc, co powiedzieć, ciągnąłem: - Nie mam prawa tego robić. Ale muszę. Jestem zdesperowany. Chcę cię użyć jako przynęty... żebyś mi pomogła wyciągnąć stamtąd tego gościa.

- Co mam zrobić?

- Dobra dziewczyna. - Ścisnąłem jej ramię. - Zapukaj do drzwi. Ściągnij kaptur i pokaż się w oknie. Na pewno zapali światło lub latarkę, a kiedy zobaczy, że to dziewczyna... hm, będzie zdziwiony, ale nie przestraszony. Będzie chciał to sprawdzić.

- A ty... ty...

- Właśnie.

- Mając tylko składany nóż... - Jej głos niewątpliwie drżał. - Jesteś bardzo pewny siebie.

- Wcale nie. Ale jeśli nie zrobimy posunięcia, po którym będziemy pewni sukcesu, to równie dobrze możemy wyskoczyć za burtę już teraz. Gotowa?

- Co chcesz zrobić? Jak już wejdiesz do środka? - Była przestraszona i zawracała mi głowę. Choć ja też nie byłem specjalnie szczęśliwy.

- Nadam sygnał SOS na falach alarmowych. Ostrzegę każdy statek w zasięgu fal radiowych, że „Campari” został wzięty siłą i w takim a takim miejscu ma zamiar napaść na statek przewożący złoto. W ciągu kilku godzin wszyscy w Ameryce będą znali sytuację. Podejmą jakąś akcję.

- Tak. - Długa pauza. - Podejmą jakąś akcję. Pierwszą akcją będzie to, że Carreras odkryje brak strażnika... a gdzie go zamierzasz ukryć?

- W Atlantyku.

Wstrząsnęła się krótko i rzekła:

- Myślę, że być może Carreras zna ciebie lepiej niż ja... Strażnik zginie. Będą sądzić, że to robota kogoś z załogi. Szybko odkrywają, że jedyny strażnik pilnujący załogi, który nie czuwał przez cały czas, to ten chłopak przed izbą chorych. - Milczała przez moment, po czym mówiła dalej, tak cicho, że przez wycie sztormu ledwie ją słyszałem. - Już widzę, jak Carreras zrywa ci z nogi bandażę i stwierdza, że nie masz złamanego uda. Wiesz, co się wtedy stanie?

- To nie ma znaczenia.

- Dla mnie ma. - Powiedziała to chłodno, obojętnie, jakby jej słowa nie wyrażały nic specjalnego. - I jeszcze jedno. Powiedziałeś, że w ciągu kilku godzin wszyscy się o tym planie dowiedzą. Telegrafisci, których Carreras wpakował na „Ticonderogę”, dowiedzą się natychmiast. I natychmiast prześlą te wieści na „Campari”, Carrerasowi.

- Jak wyjdę z kabiny radiowej, to już nikt więcej nie skorzysta z tego nadajnika.

- Zgoda. Więc go rozbijesz. Już samo to powie Carrerasowi, co zrobiłeś. A nie możesz rozbić każdego nadajnika na „Campari” Na przykład, nie dostaniesz się do tego w salonie. Mówisz, że wszyscy się dowiedzą. Znaczy to, że dowie się także generalissimus i jego rząd. A wtedy wszystkie stacje na jego wyspie nie będą nadawać nic innego, jak tylko tę wiadomość. Carreras musi to usłyszeć.

Nic nie odrzekłem. Pomyślałem mętnie, że chyba naprawdę straciłem dużo krwi. Jej głowa pracowała dziesięć razy szybciej i sprawniej niż moja. Co nie znaczy, żeby przez to była bardziej sprytna.

- Ty i bosman - ciągnęła - jesteście bardzo pewni tego, że Carreras nie zostawi nas - załogi i pasażerów przy życiu. Pewnie dlatego, że nie może sobie pozwolić na zostawienie żadnych świadków, że generalissimus nie miałby z tych pieniędzy żadnego pożytku ze względu na nieprzychylną reakcję całego świata, gdyby świat się dowiedział, co on zrobił. Pewnie...

- Reakcja! - przerwałem. -Reakcja! Następnego dnia o świcie zawitałyby do niego amerykańskie i brytyjskie siły powietrzne i morskie, i to by był koniec generalissimusa. Nikt by nie podniósł ręki, żeby mu pomóc, nikt by nawet nie kiwnął palcem. Oczywiście, że nie może pozwolić, żeby ktoś się o tym dowiedział. Byłby skończony.

- Nawet nie może pozwolić, żeby ludzie wiedzieli, że w ogóle próbował? Więc jak tylko Carreras dowie się, że nadałeś SOS, to pozbędzie się wszystkich świadków... ostatecznie... odstąpi od planu, przesiądzie się na ten drugi, czekający obok statek, i tyle.

Stałem nic nie mówiąc. Mój umysł był przytępiony, ociężały i zmęczony, a moje ciało jeszcze bardziej. Próbowałem sobie wmówić, że to efekt narkotyku, którym mnie naszpikował Marston, ale to nie było to, wiedziałem że to nie to, poczucie klęski jest najlepszym środkiem nasennym. Nie wiedząc, co mówię, stwierdziłem:

- Przynajmniej byśmy uratowali złoto.

- Złoto! - Trzeba być córką milionera, żeby z taką pogardą wymówić to słowo. - Kto by dbał o całe złoto świata? Czym jest złoto w porównaniu z twoim życiem, moim, moich rodziców i wszystkich ludzi na „Campari”. Mówiłeś, że ile złota wiezie „Fort Ticonderoga”?

- Słyszałaś. Sto pięćdziesiąt milionów dolarów.

- Sto pięćdziesiąt milionów! Tata mógłby to podjąć w ciągu tygodnia, a jeszcze by mu zostało drugie tyle.

- Szczęśliwy tatuś - mruknąłem. Zaczynałem chyba majaczyć.

- Co powiedziałaś?

- Nic. Nic. Kiedy wymyśliśmy to z MacDonalodem, wydawało nam się, że to świetny pomysł, Susan.

- Przykro mi. - Chwyliła moją prawą dłoń w swoje ręce i ścisnęła. - Naprawdę bardzo mi przykro, Johnny.

- Skąd ty właściwie wzięłaś tego „Johnny'ego”? - wymamrotałem.

- Podoba mi się. Co wolno kapitanowi Bullenowi... masz lodowate ręce! - krzyknęła cicho. - I drzysz! - Delikatne palce wsunęły się pod moją czapkę. - Masz rozpalone czoło. I coraz większą gorączkę. Jesteś chory, bardzo chory. Wracaj do ambulatorium, Johnny. Proszę!

-Nie.

- Proszę cię!

- Daj ty mi spokój, kobieto. - Z trudem oderwałem się od wentylatora. - Chodź.

- Dokąd idziesz? - Szybko stanęła obok mnie, wsunęła mi dłoń w rękę, a ja byłem rad z tego oparcia.

- Cerdan. Nasz tajemniczy pan Cerdan. Zdajesz sobie sprawę, że praktycznie nic nie wiemy o panu Cerdanie... z wyjątkiem tego, że leży sobie spokojnie i pozwala innym pracować? Carreras i Cerdan... oni chyba są tu najważniejsi. Może Carreras nie jest jednak szefem. Ale wiem jedno: gdybym tylko mógł któremuś z nich podetkać nóż pod szyję albo przystawić lufę rewolweru, to zdobylibyśmy w tej grze silną kartę.

- Chodź, Johnny - poprosiła. - Chodź na dół.

- Dobra, jestem wariat. Ale to prawda. Gdybym mógł zawlec któregoś z nich do salonu i zagrozić strażnikom, że go zabiję, jeżeli nie rzucą broni, to sądzę, że by mnie posłuchali. Mając dwa pistolety maszynowe i tylu ludzi do pomocy wiele bym mógł zrobić w taką noc. Nie jestem szalony, Susan, tylko zdesperowany.

- Ty ledwie stoisz. - Teraz w jej głosie zabrzmiała desperacja.

- Dlatego tu jesteś. Żeby mnie trzymać. Carreras nie wchodzi w rachubę. Będzie na mostku, a to jest pewnie najbardziej strzeżone miejsce na statku, bo najważniejsze.

Drgnąłem i cofnąłem się w róg, gdy dokładnie nad naszymi głowami błękitno-biały, postrzępiony, rozwidlony błysk zamigotał i przebił się przez czarną ścianę cumulonimbusów i rześisty deszcz, przez moment oświetlając swym oślepiającym blaskiem każdy szczegół na pokładzie „Campari”. Dziwnie głuchy grzmot został stłumiony, zdławiony przez wycie burzy.

- To ci pomoc - mruknąłem. - Pioruny, błyski, tropikalna ulewa, a w dodatku wchodzimy w centrum huraganu. Król Lear powinien to zobaczyć. Nie skarżyłby się więcej na swoje przekłete wrzosowisko.

- Makbet - powiedziała. - To był Makbet.

- Do diabła! - Była równie pomyłona jak ja. Chwyliłem ją za rękę, a może ona chwyciła mnie, nie pamiętam kto kogo. - Chodź. Tu jesteśmy zbyt widoczni.

Minutę później znaleźliśmy się na pokładzie „A” i kucnęliśmy przy grodzi.

- Finezja nic nam nie da - powiedziałem. - Idę wprost do centralnego korytarza, wprost do kabiny Cerdana. Włożę rękę do kieszeni, udając, że mam broń. Zostań przy wejściu, daj mi znać, gdyby ktoś nadchodził.

- Nie ma go w kabynie - powiedziała. Staliśmy u prawego przedniego wejścia do pomieszczeń pasażerskich, naprzeciw sypialni Cerdana. - Nie ma go u siebie. Światło zgaszone.

- Zaciągnął zasłony - odrzekłem niecierpliwie. - Statek jest całkowicie zaciemniony. Założę się, że Carreras nawet nie zapalił świateł pozycyjnych. - Oparliśmy się o gródź, gdy następny błysk wystrzelił z ciemnych chmur. Zdawało się, że niemal zatańczył na czubku masztu „Campari”. - To nie potrwa długo.

- Poczekaj! - Chwyciła mnie obiema rękami. - Zasłony nie są zaciągnięte. Błysk... Widziałam wnętrze kabiny.

- Widziałaś... - Nie wiem dlaczego zniżyłem głos do szeptu. - Jest ktoś w środku?

- Nie widziałam całego wnętrza. To była sekunda.

Wyprostowałem się, przycisnąłem twarz do okna i wyteżyłem wzrok. Ciemność w kabynie była absolutna... absolutna aż do chwili, gdy kolejny piorun ponownie oświetlił nadbudówki „Campari”. Przez chwilę oglądałem własną, zakrytą kapturem twarz i wytrzeszczone oczy, odbite w szybie, po czym krzyknąłem bezwiednie. Zobaczyłem jeszcze coś.

- Co się dzieje? - zapytała Susan ochryplym głosem. - Co się stało?

- To. - Wyciągnąłem latarkę Marstona, zakryłem ją dłonią i poświeciłem przez szybę.

Przy grodzi, niemal dokładnie pod oknem, stało łóżko. Leżał na nim Cerdan, ubrany i przytomny, hipnotycznie wpatrzony w światło latarki. Szeroko otwartymi, wytrzeszczonymi oczyma. Jego białe włosy nie były tam, gdzie przedtem - zsunęły się do tyłu, ukazując jego własne włosy. Czarne włosy, kruczoczarne, przedzielone pośrodku stalowoszarym kosmykiem. Czarne włosy ze stalowoszarym kosmykiem? Gdzie ja widziałem kogoś z takimi włosami? Kiedy słyszałem o takich włosach? Nagle uświadomiłem sobie, że to było „kiedy”, nie „gdzie” - znałem odpowiedź. Zgasilem latarkę.

- Cerdan! - W głosie Susan brzmiał szok, niedowierzenie i całkowity brak zrozumienia. - Cerdan! Ze związanymi rękami i nogami, przywiązany do łóżka tak, że się nie może ruszyć ani o centymetr. Cerdan! Ale... nie, nie! - Była gotowa się poddać. - Och, Johnny, co to wszystko znaczy?

- Wiem, co to znaczy. - Teraz już nie było wątpliwości, wiedziałem, co to znaczy, choć Bóg mi świadkiem, że wolałbym nie wiedzieć. Ja tylko myślałem, że się boję, wtedy gdy jeszcze tylko domyślałem się wszystkiego. Ale czas domysłów minął, o Boże, już minął. Znałem wreszcie prawdę, prawdę gorszą niż wszystko, co mogłem sobie wymyślić. Opanowałem narastającą panikę i zapytałem spokojnie przez wysuszone wargi: - Obrabowałaś kiedyś grób, Susan?

- Czy obrabo... - przerwała, a kiedy odzyskała głos, brzmiały w nim łzy. - Oboje jesteśmy wymęczeni, Johnny. Zejdźmy na dół. Chcę wrócić do izby chorych.

- Mam dla ciebie nowiny, Susan. Nie zwariowałem. I nie żartuję. Mam tylko nadzieję, że grób nie będzie pusty. - Chwyciłem ją za ramię i w świetle pioruna ujrzałem jej oczy - dzikie, przerażone. Byłem ciekaw, jak według niej wyglądają moje oczy.

## IX. Czwartek, od dwudziestej drugiej do północy

Z powodu ciemności, mojej chorej nogi, sporadycznych błysków, dzikiego kołysania się i nurkowania „Campari” ze szczytów fal oraz konieczności zachowania maksymalnej ostrożności, droga do położonej daleko na pokładzie rufowym czwartej ładowni zajęła nam dobre piętnaście minut. Kiedy tam wreszcie dotarliśmy, ściągnęliśmy brezent, usunęliśmy uszczelki i zajrzeliśmy w czelusć ładowni niczym w otchłań Styksu, przestałem już być taki pewny, że dobrze zrobiliśmy, przychodząc tam.

Po drodze zabrałem z magazynu bosmana kilka narzędzi, między innymi lampę elektryczną. Rzuciła niewiele światła, ale wystarczająco dużo, bym zobaczył, że podłoga ładowni to istna jatka. Po wypłynięciu z Carracio zabezpieczyłem ładownię przed kołysaniem morza, ale nie przed niemal huraganem - a to z tego prostego powodu, że zawsze, gdy pogoda się pogarszała, „Campari” uciekał w przeciwną stronę.

Teraz jednak Carreras wiózł nas w złym kierunku i albo zapomniał, albo nie zatroszczył się o zabezpieczenie na wypadek złej pogody. Chyba jednak zapomniał, ponieważ ładownia numer cztery stanowiła, łagodnie mówiąc, zagrożenie dla wszystkich na pokładzie „Campari”, włącznie z Carrerasem i jego ludźmi. Uwolniło się przynajmniej ze dwanaście wielkich skrzyń, z których jedna czy dwie ważyły pewnie parę ton, i za każdym przechyłem „Campari” ślizgały się i przesuwwały po podłodze ładowni, zderzając się na przemian z zabezpieczonym ładunkiem od rufy i grodzia od dziobu. Na mój gust nie wychodziło to przedniej grodzi na dobre. A jeśli „Campari” zamiast nurkować zacznie się kołysać, zwłaszcza gdy wpłyniemy w centrum huraganu, te ciężkie, masywne skrzynie zaczną atakować burty statku. Wypaczone blachy, wyrwane nity i przeciek nie do naprawienia były tylko kwestią czasu.

Co gorsza, ludzie Carrerasa nie zadali sobie trudu, żeby usunąć połamane, oderwane ścianki drewnianych skrzyń, w których i oni, i działa dostali się na pokład. Za każdym przechyłem statku odłamki te ślizgały się po podłodze, a rozpędzone skrzynie, wpadając na grodzie, filary i przymocowany ładunek, miażdżyły je i rozbijały na mniejsze kawałki. Nie mniej przerażający był łoskot - nieprzerwany, metaliczny zgrzyt sunących po stalowym pokładzie opieczętowanych metalową taśmą skrzyń. Ten wysoki, świdrujący, przyprowadzający o ból zębów dźwięk nieodmiennie kończył się - co było do przewidzenia, lecz zawsze mnie zaskakiwało - potężnym trzaskiem, wstrząsającym całą ładownią w momencie, gdy skrzynie uderzały o coś masywnego. A każdy dźwięk w tej przepastnej ładowni rozbrzmiewał dziesięciokrotnie spotęgowanym echem. W sumie podłoga czwartej ładowni nie była miejscem, które bym sobie wymarzył na popołudniową drzemkę.

Oświetliłem prowadzącą w głąb ładowni pionową stalową drabinkę, a następnie podałem Susan lampę elektryczną.

- Schodź - powiedziałem. - Tylko, na miłość boską, trzymaj się drabinki. Na dole jest wysoka na metr przegroda. Schowaj się za nią. Tam powinnaś być bezpieczna.

Patrzyłem, jak schodzi powoli, a następnie założyłem na powrót dwie uszczelki nad głową - niezła sztuka, jak się ma wolną tylko jedną rękę - i zostawiłem je tak. Mogły się wysunąć, mogły nawet spaść na podłogę ładowni. Jednak musiałem zaryzykować, gdyż te uszczelki można było zabezpieczyć wyłącznie od góry, podobnie jak zakrywający je brezent. Nic na to nie mogłem poradzić. Jeśli ktoś był na tyle szalony, by wyjść tej nocy na pokład - zwłaszcza że Carreras nie założył lin sztormowych - to było bardzo prawdopodobne, że oślepiiony przez burzę nie zauważy trzepoczącego rogu brezentu lub co najwyżej przywiąże go i pójdzie dalej. Gdyby zaś ktoś okazał się do tego stopnia pedantyczny, że wcisnąłby uszczelki... cóż, o to nie było sensu się martwić.

Powoli, niezdarnie, zszedłem w głąb ładowni. Czułem przeszywający ból - Marston miał zdecydowanie lepsze zdanie na temat swoich środków znieczulających niż ja. Stałem obok Susan za przegrodą. Na tym poziomie hałas był zdwojony, a widok tych wysokich na chłopa, potwornych skrzyń sunących po ładowni jeszcze bardziej przerażający.

- Trumny - powiedziała Susan. - Gdzie one są? - Wiedziała tylko, że chcę sprawdzić zawartość kilku trumien. Nic? zdobyłem się na to, żeby jej powiedzieć, co możemy w nich znaleźć.

- Są opakowane. W drewnianych skrzyniach. Po drugiej stronie ładowni.

- Po drugiej stronie! - Pokręciła głową, uniosła lampę i spojrzała na deski i skrzynie, z chrzęstem i zgrzytem przesuujące się po podłodze. - Po drugiej stronie! My... my zginiemy, zanim przejdziemy pół drogi.

- Bardzo możliwe, ale nie widzę innego wyjścia. Poczekaj chwilę, dobrze?

- Ty! Z tą twoją nogą! Nie możesz nawet kuśtykać. O, nie! - Zanim zdążyłem ją powstrzymać, przeskoczyła przez przegrodę i na wpół biegła, na wpół zataczała się, potykając się i chwiejąc za każdym przechylem statku. Jej nogi obijały się o połamane kawałki drewna, lecz zawsze odzyskiwała równowagę, zatrzymywała się raptownie lub uskakiwała żwawo, gdy skrzynie prześlizgiwały się obok niej. Musiałem przyznać, że była zwinna i szybka. Ale wyczerpanie, spowodowane chorobą morską i nieustannym, gwałtownym kołysaniem „Campari” przez ostatnie kilka godzin, zrobiło swoje. Nie mogło jej się udać.

A jednak udało się - po chwili ujrzałem ją po drugiej stronie, jak świeciła latarką dookoła. Mój podziw dla jej odwagi przewyższała tylko irytacja z powodu jej postępowania. Co chciała zrobić z tymi opakowanymi trumnami, gdyby je nawet znalazła - wziąć je pod pachę i przynieść z powrotem?

Lecz tam ich nie było - sprawdziła wszystko dookoła i potrząsnęła głową. Po chwili wracała. Krzyknąłem ostrzegawczo, jednak krzyk uwiązł mi w gardle i wyszedł mi tylko szept, którego i tak nie mogła usłyszeć. Rozhuśtana, pochylona skrzynia, pchnięta nagłym, gwałtownym przechylem, uderzyła ją w ramiona i plecy i rzuciła na podłogę. Popychała ją całą swą masą, by zmiażdżyć o przeciwległą grodz, jak gdyby drzemało w niej niemal ludzkie - czy nieludzkie - zło i złośliwość. I wtedy, w ostatniej sekundzie życia Susan, „Campari” wyprostował się, skrzynia zatrzymała się ze zgrzytem niecały metr od grodzi, a Susan leżała nieruchomo między skrzynią a grodzią. Stałem w odległości przynajmniej pięciu metrów, lecz nie przypominam sobie, w jaki sposób przebyłem drogę od przegrody do Susan i z powrotem. Musiałem to jednak jakoś zrobić, ponieważ nagle byliśmy razem, w bezpiecznym miejscu, a ona przywarła do mnie kurczowo, jakbym był ostatnią nadzieją jej życia.

- Susan! - Mój głos był ochrypy, należał do kogoś innego. - Susan, jesteś ranna?

Przywarła do mnie jeszcze bardziej. Jakimś cudem wciąż ścisnęła w zaciśniętej dłoni lampę. Trzymała ją gdzieś za moją szyją, ale odbite od burty statku światło pozwalało co nieco dojrzeć... Susan miała rozdartą maskę, twarz podrapaną i skrwawioną, mokre włosy w nieładzie, ubranie przemoczone, jej serce zaś trzepotało jak serce schwytanego ptaka. Przemknęło mi przez myśl niestosowne wspomnienie chłodnej, zrównoważonej, rozkosznie złośliwej, pseudotroskliwej młodej damy, która zaledwie dwa dni temu w Carracio pytała mnie o koktajle, lecz wizja ta znikła szybciej niż się pojawiła - była zbyt absurdalna.

- Susan! - szepnąłem natarczywie. - Czy...

- Nic mi nie jest. - Wydała długie, straszliwe westchnienie, przypominające raczej dreszcz. - Byłam zbyt przerażona, żeby się poruszyć. - Zwolniła nieco uścisk, spojrzała na mnie zielonymi oczyma, nienormalnie wielkimi w oprawie jej twarzy, i ukryła twarz na mojej piersi. Myślałem, że chce mnie udusić.

Na szczęście nie trwało to długo. Poczulem, jak jej uścisk powoli słabnie, zobaczyłem, jak snop światła lampy się przesuwa, i po chwili odezwała się nienormalnie obojętnym tonem:



- Tam leżą.

Odwróciłem się. Rzeczywiście, leżały trzy metry od nas. Trzy trumny - Carreras wyjął je już ze skrzyń - były bezpiecznie wciśnięte pomiędzy grodz a przegrodę i okryte brezentem, tak że nie mogło im się stać nic złego. Jak to powtarzał Tony Carreras, jego ojciec o niczym nie zapominał. Ciemne, błyszczące trumny, z czarnymi skręconymi linami i drewnianymi uchwytyami. Jedna miała wpuszczoną w wieko tabliczkę, miedzianą lub mosiężną, nie byłam pewny.

- To mi oszczędzi kłopotu. - Mój głos brzmiał prawie normalnie. Chwyciłem młotek i dłuto, które zabrałem z magazynu bosmana, lecz upuściłem je. - Śrubokręt mi wystarczy. W dwóch trumnach pewnie będzie to, co zwykle się w nich znajduje. Daj mi lampę i zostań tutaj. Uwinę się z tym jak najszybciej.

- Będzie szybciej, jak ja potrzynam lampę. - Jej głos był równie opanowany jak mój, ale tętno na szyi waliło jej niczym kafar. - Pośpiesz się.

Nie było sensu się sprzeczać. Chwyciłem za brzeg jednej trumny i pociągnąłem ją do siebie, żeby mieć trochę więcej miejsca do pracy. Była zaklinowana. Wsunąłem dłoń pod spód, żeby ją podnieść, i nagle moje palce trafiły na otwór w dnie trumny. I jeszcze jeden. I trzeci. Obita ołowiem trumna z wywierconymi w dnie otworami. Było to co najmniej dziwne.

Kiedy ją wyciągnąłem wystarczająco daleko, zabrałem się za śruby. Były mosiężne i bardzo ciężkie, podobnie jak śrubokręt z magazynu MacDonalda. Przemknęło mi przez głowę, że jeżeli proszki nasenne, które doktor Marston zaaplikował strażnikowi, są równie skuteczne, co mój środek znieczulający, to strażnik obudzi się pewnie lada chwila. Jeżeli już się nie obudził. Błyskawicznie zdjąłem wieko.

W środku nie zobaczyłem całunu z atlasu czy jedwabiu, jak się tego spodziewałem, lecz brudny szary koc. Możliwe, że w kraju generalissimusa obchodzono się z nieboszczykami inaczej niż u nas. Ściągnąłem koc i stwierdziłem, że mam rację. Ich zwyczaje faktycznie różniły się od naszych. W tym wypadku rolę trupa spełniały bryły amatolu - każda była wyraźnie podpisana, więc nie było co do tego wątpliwości - zapalnik, skrzynka detonatorów oraz małe kwadratowe pudełko z wystającymi drutami - przypuszczalnie zegar.

Susan zaglądała mi przez ramię.

- Co to jest amatol?

- Materiał wybuchowy. Tego tutaj wystarczy, żeby wysadzić „Campari”.

Nie pytała o nic więcej. Zawinałem koc, przyśrubowałem wieko i zabrałem się za następną trumnę. Ta również miała otwory w dnie, przypuszczalnie po to, by uchronić materiał wybuchowy od potnienia. Zdjąłem wieko, rzuciłem okiem na zawartość i założyłem je z powrotem. Numer drugi był duplikatem numeru pierwszego. Zająłem się trzecią trumną. Tą, na której była tabliczka. To musiała być ta trumna. Tabliczka miała kształt serca i wygrawerowany napis, z uderzającą prostotą informujący: „Richard Hoskins, senator”. Tylko tyle. Senator, o którym nigdy nie słyszałem. Było to jednak imponujące. Wystarczająco imponujące, aby zapewnić pełen czci transport do Stanów Zjednoczonych. Ostrożnie, łagodnie zdjąłem wieko z należną czcią, jakby Richard Hoskins naprawdę leżał w środku, choć wiedziałem, że tak nie jest.

To, co leżało w środku, zakrywał pled. Uniosłem go delikatnie, Susan przysunęła lampę, i ujrzeliśmy to, spowite w koce i bawełnę. Cylinder z polerowanego aluminium, długości stu dziewięćdziesięciu centymetrów i grubości dwudziestu ośmiu, z szarym kapturem z piroceramu. W tym leżącym przedmiocie było coś przerażającego, jakieś niewypowiedziane zło. Może jednak wydawało mi się tak dlatego, że tkwiło to od dawna w mojej głowie.

- Co to jest? - Głos Susan był tak cichy, że musiała się przysunąć i powtórzyć pytanie. - Och, Johnny, co to takiego?

- „Tornado”.

- Co?

- „Tornado”.

- O Boże! - Wreszcie zrozumiała. - Ta... ta bomba atomowa skradziona w Południowej Karolinie. „Tornado”. - Powstała chwiejnie i cofnęła się. - „Tornado”.

- Nie gryzie - powiedziałem. Chociaż nie byłem tego tak całkiem pewny. - Równowartość pięciu tysięcy ton TNT. Wystarczy, żeby rozerwać każdy statek na drobne kawałeczki, a nawet zamienić w parę wodną. A właśnie do tego zmierza Carreras.

- Nie... nie rozumiem. - Być może chodziło jej o to, że nie słyszy moich słów - naszą rozmowę przez cały czas zagłuszało skrzypienie metalu i dźwięk miażdżonego, rąbanego drewna - albo że ich nie rozumie. - Ty... kiedy on zabierze złoto z „Ticonderogi” i przeładuje na czekający w pobliżu statek, to wysadzi „Campari” za pomocą tego?

- Nie ma żadnego czekającego statku. Nigdy nie było. Jak załadują złoto, to dobroduszny Miguel Carreras uwolni wszystkich pasażerów i załogę i pozwoli im odpłynąć na „Ticonderodze”. Na dowód swej wielkoduszności i uprzejmości poprosi, żeby zabrać tego tutaj senatora i jego dwóch znakomitych kolegów i pochować ich w ojczystej ziemi. Kapitan „Ticonderogi” nie ośmieli się odmówić, a gdyby nawet, to i tak Carreras załatwi, żeby z całą pewnością nie odmówił. Widzisz to? - wskazałem na tablicę rozdzielczą na końcu „Tornado”.

- Nie dotykaj! - Jeżeli możecie sobie wyobrazić kogoś krzyżującego szeptem, to tak właśnie krzyknęła.

- Nie dotknąłbym tego za wszystkie pieniądze na „Ticonderodze” - zapewniłem ją gorliwie. - Nawet się boję patrzeć na to draństwo. W każdym razie ta tablica to niewątpliwie zegar, który zostanie odpowiednio nastawiony, zanim przeładują trumny. Radośnie popłyniemy sobie w drogę, prosto do Norfolk, armii, marynarki wojennej, sił powietrznych, FBI i czego tylko chcesz, bo te popychadła Carrerasa na „Ticonderodze” dopatrzą, żeby wszystkie nadajniki zostały rozbite i żebyśmy nie mieli możliwości wysłania depechy. I pół godziny, może godzinę po odpłynięciu „Campari” - raczej chyba godzinę, bo nawet Carreras nie chciałby znajdować się o parę mil od wybuchającej bomby atomowej - rozlegnie się wielkie bum.

- On tego nigdy nie zrobi... nigdy. - W jej stanowczym głosie nie mogłem się doszukać ani cienia przekonania. - To musi być kawał łotra.

- Pierwszej klasy - zgodziłem się. - I nie gadaj bzdur, że tego nie zrobi. Jak myślisz, dlaczego wykradł „Tornado” i upozorował, że to doktor Slingsby Caroline się z nim ulotnił? Od samego początku miało to tylko jeden cel: wysłanie „Fortu Ticonderoga” do Królestwa Niebieskiego. Żeby nie było możliwości wpadki, wszystko zależy od totalnego zniszczenia „Ticonderogi” i tego, co ma na pokładzie, włącznie z pasażerami i załogą „Campari”. Być może dwaj podstawieni ludzie Carrerasa mogliby przeszmuglować na statek pewną ilość materiałów wybuchowych, ale z pewnością nie aż tyle, żeby zapewnić jego całkowite zniszczenie. Setki tysięcy ton materiałów wybuchowych eksplodowały w magazynach brytyjskich krążowników podczas ostatniej wojny, a jednak część ich załóg przeżyła. Nie mógłby zatopić go ogniem armatnim - po kilku strzałach ze średnio ciężkiego działa platformy „Campari” byłyby tak wygięte, że działa stałyby się bezużyteczne... a nawet wtedy mogliby się uratować jacyś rozbitkowie. Ale ma ją „Tornado”, nie zostawia najmniejszej szansy ratunku. Najmniejszej.

- Ludzie Carrerasa zabili strażników w zakładzie badań atomowych? - zapytała powoli.

- A któżby inny? I zmusili doktora Caroline do wyjechania z zakładu wraz z nimi i z „Tornadem”, upchanym z tyłu samochodu. W ciągu godziny wysłali przypuszczalnie „Tornado” drogą powietrzną na swoją wyspę, ktoś jednak dojechał furgonetką do Savannah, nim ją porzucił. Niewątpliwie po to, by skierować podejrzenia na „Campari”, o którym wiedzieli, że odpływa z Savannah następnego dnia rano. Nie wiem dlaczego, ale założyłbym się o co chcesz, że Carreras, wiedząc, że „Campari” wybiera się na Karaiby, był pewny, że w

najbliższym porcie statek zostanie przeszukany, co da mu możliwość wprowadzenia na pokład fałszywego agenta Marconiego.

Mówiąc, przyglądałem się jednocześnie dwóm okrągłym tarczom na tablicy „Tornado”. Okryłem bombę pledem z troską kochającego ojca, wyrównującego kołderkę na swym śpiącym najmłodszym synku, i zabrałem się do przyśrubowywania wieka trumny. Przez pewien czas Susan spoglądała na mnie w milczeniu, po czym rzekła z zastanowieniem:

- Pan Cerdan. Doktor Caroline. To ten sam człowiek. To musi być ten sam człowiek. Teraz pamiętam. Gdy zniknęło „Tornado”, wspomniano, że tylko dwie osoby potrafią je nastawić.

- On był równie ważny dla ich planów, jak samo „Tornado”. Bez niego bomba jest bezużyteczna. Biedny stary doktor Caroline, miał pewnie ciężkie przejścia. Nie dość, że został porwany i zmuszony do wykonywania rozkazów, to jeszcze oberwał od nas, jedynych ludzi, którzy mogli go uratować. Był pod nieustanną opieką tych dwóch zbirów przebranych za pielęgniarke. Gdy go ujrzałem po raz pierwszy, wywalił mnie ze swej kabiny, ale to tylko dlatego, że jego oddana, siedząca obok pielęgniarka miała na kolanach torbę z robótką, a w niej pistolet maszynowy.

- Ale... ale po co ten fotel na kółkach? Czy trzeba było sięgać po tak wymyślny...

- Naturalnie. Nie mogli pozwolić, żeby się kręcił wśród pasażerów i komunikował z nimi. Pomogło im to ukryć jego niecodzienny wzrost. I wreszcie mieli doskonały pretekst do prowadzenia nieustannego nasłuchu depeusz. Na przyjęcie wydane przez twojego ojca Cerdan przyszedł dlatego, że mu kazano... akcja była zaplanowana na ten wieczór, a Carrerasowi była bardzo na rękę obecność dwóch uzbrojonych ludzi do pomocy w napadzie. Biedny stary Caroline. Kiedy mu pokazałem słuchawki, szarpnął się nie dlatego, że chciał mnie zaatakować, on usiłował dopaść pielęgniarki z pistoletem maszynowym, ale kapitan Bullen tego nie wiedział, więc go kropnął. - Zakręciłem ostatnią śrubę i przykazałem Susan: - W izbie chorych nie mów o tym ani słowa... stary cały czas gada przez sen. Gdzie indziej też nic nie mów. Chodź. Strażnik może się obudzić lada chwila.

- Ty... zostawisz tak tę bombę? - Patrzyła na mnie z niedowierzaniem. - Musisz się jej pozbyć... musisz!

- Jak? Mam ją wynieść po pionowej drabince na ramionach? Razem z trumną ta bomba waży około stu siedemdziesięciu kilogramów. A co by było, gdybym się jej pozbył? Carreras by się dowiedział za kilka godzin. Nieważne, czy się dowie, kto to zrobił, ważne jest to, że będzie wiedział, że nie może już liczyć na „Tornado” przy likwidowaniu niewygodnych świadków. I co wtedy? Na mój gust nikomu z pasażerów ani z załogi „Campari” nie pozostałoby więcej niż kilka godzin życia. Wtedy musiałyby ich zabić... przetransportowanie na „Ticonderogę” nie wchodziłoby w rachubę. A co do „Ticonderogi”, to musiałyby ją opanować, wybić całą załogę i otworzyć zawory denne. To mogłoby trwać kilka godzin i byłoby dla niego bardzo niewygodne i niebezpieczne, mogłoby zniszczyć jego plany. Ale musiałyby to zrobić. Stąd wniosek, że pozbycie się „Tornado” nie uratuje nikomu życia, a tylko przypieczętuje naszą śmierć.

- Co teraz zrobimy? - Jej napięty głos drżał, jej twarz w odbitym świetle stanowiła bladą plamę. - Och, Johnny, co my teraz zrobimy?

- Ja wracam do łóżka. - Bóg jeden wiedział, jak mi to było potrzebne. - Później będę tracił czas, dumając nad tym, jak uratować doktora Caroline.

- Doktora Caroline? Nie widzę, w jaki... dlaczego doktora Caroline?

- Bo w tym skoku to on gra pierwsze skrzypce, nie my. To on ma nastawić „Tornado” - wyjaśniłem cierpliwie. - Czy sądzisz, że pozwolą mu zostać na „Ticonderodze” i powiadomić kapitana, że trumna, którą ten wiezie do Stanów, zawiera nie senatora Hoskinsa, lecz nastawioną, tykającą bombę atomową?

- Kiedy to się wreszcie skończy? - W jej głosie brzmiała teraz panika, niemal histeria. - Nie mogę w to uwierzyć. Nie mogę. To jakiś koszmar. - Ścisnęła mnie za szyję, twarz wtuliła w moją marynarkę - a raczej marynarkę swojego ojca - i jej głos był stłumiony. - Och, Johnny, kiedy to się wreszcie skończy?

- Wzruszająca scena, bardzo wzruszająca - odezwał się tuż za mną przedrzeźniający głos. - Skończy się teraz i tutaj. W tym momencie.

Okręciłem się, a raczej próbowałem to zrobić, ale nawet tego nie byłem w stanie wykonać jak należy. Na skutek obezwładniającego uchwytu Susan, słabości mojej lewej nogi i przechyłu „Campari”, nagły obrót wytrącił mnie zupełnie z równowagi, zachwiałem się i oparłem o burtę statku.

Zapaliła się mocna latarka, oślepiając mnie. W czarnym kształcie, rysującym się na tle światła, rozpoznałem tępą lufę pistoletu.

- Wstawaj, Carter. - Ten głos nie zostawiał miejsca na wątpliwości. Tony Carreras, już nie uprzejmy i sympatyczny, lecz zimny, twardy, złośliwy, nareszcie prawdziwy Tony Carreras. - Chcę widzieć, jak padasz. Spryciarz Carter. Tak ci się zdawało, co? Wstawaj, powiedziałem. Czy wolisz dostać leżąc? Jak sobie życzysz.

Lufa nieco drgnęła. Facet nie bawił się w cwane, nonsensowne przemówienia. Zastrzelić i spokój. Teraz wierzyłem, że jest synem swojego ojca. Leżałem na zranionej nodze i nie mogłem się podnieść. Gapiłem się w światło latarki, w czarny otwór lufy pistoletu. Wstrzymałem oddech i naprężyłem się. Naprężanie się przed kulą kalibru zero trzydzieści osiem wystrzeloną z odległości półtora metra jest nadzwyczaj skuteczne, ale w tym momencie nie rozumowałem zbyt logicznie.

- Nie strzelaj! - krzyknęła Susan. - Nie zabijaj go, bo zginiemy wszyscy!

Promień latarki przesunął się i znieruchomiał. Znieruchomiał na mnie. Pistolet ani drgnął, przynajmniej ja tego nie zauważyłem. Susan zrobiła kilka kroków w stronę Carrerasa, lecz przytrzymała ją wyciągniętym ramieniem.

- Zejdź mi z drogi, dziewczyno! - Nigdy w życiu nie słyszałem tak skondensowanego jadu i złości. Źle oceniłem młodego Carrerasa. Jej słowa nawet do niego nie dotarły, tak nieugięty był jego zamiar. Wciąż jeszcze nie oddychałem, usta miałem suche jak pieprz.

- „Tornado”! - Jej głos był natrętny, zdesperowany, nieugięty. - On nastawił „Tornado”!

- Co?! Co mówisz? - Tym razem do niego dotarło. - „Tornado”? Nastawione? - Jego głos był jadowity jak przedtem, lecz tym razem wyczułem w nim cień strachu.

- Tak, Carreras, nastawione! - Dotychczas nie zdawałem sobie sprawy, do jakiego stopnia wilgoć w gardle i ustach jest konieczna dla prawidłowego mówienia. Myszołów z zapaleniem migdałków nie umywał się do mojego rechotu. - Nastawione, Carreras, nastawione! - Powtórzyłem to nie dla spotęgowania efektu. Nie mogłem wymyślić nic innego, nie wiedziałem, jak to ciągnąć, jak wykorzystać te kilka sekund łaski, które mi podarowała Susan. Przesunąłem rękę, na której byłem oparty - tę, która była niewidoczna w cieniu za mną - jakbym chciał się przeciwstawić przechyłom „Campari”. Zacisnąłem palce na młotku, który wcześniej upuściłem. Zastanawiałem się mętnie, co mam z nim zrobić. Latarka i pistolet były nieruchome jak przedtem.

- Kłamiesz, Carter. - W jego głosie znów zabrzmiało przekonanie. - Bóg jeden wie, jak się o tym dowiedziałeś, ale łiesz. Nie wiesz, jak nastawić „Tornado”.

O to chodziło: niech gada, niech po prostu gada.

- Ja nie. Ale doktor Slingsby Caroline wie.

To nim wstrząsnęło, dosłownie. Latarka drgnęła. Ale za mało.

- Skąd wiesz o doktorze Caroline? - spytał ochryple, niemal krzyżąc. - Jak...

- Rozmawiałem z nim dziś wieczorem - powiedziałem spokojnie.

- Rozmawiałeś z nim! Ale do nastawienia bomby potrzebny jest klucz. Jedyne klucz. Ma go mój ojciec.

- Doktor Caroline ma zapasowy. W kapciuchu na tytoń. Nie pomyślałeś o tym, żeby tam zajrzeć, co, Carreras? - parskalem.

- Łżesz - odrzekł mechanicznie. Po chwili, bardziej stanowczo, dorzucił: - Łżesz, Carter! Widziałem cię dziś wieczorem. Widziałem, jak wychodzisz z izby chorych - myślisz że jestem na tyle głupi, żeby nie nabrać podejrzeń, widząc strażnika pijącego kawę podaną mu przez dobrodusznego Cartera - zamknąłem drzwi na klucz, poszedłem za wami do kabiny radiowej i do kajuty Caroline'a. Ale ty nie wszedłeś do środka, Carter. Przyznaję, że straciłem cię tam na kilka minut z oczu. Ale nie wszedłeś do środka.

- Dlaczego nas nie zatrzymałeś wcześniej?

- Bo chciałem zobaczyć, do czego zmierzasz. I zobaczyłem.

- A więc to jego widzieliśmy! - powiedziałem do Susan. Przekonanie w moim głosie zdziwiło nawet mnie. - Ty biedny głupcze, zauważyliśmy coś w ciemności i raz-dwa się ulotniliśmy. Ale wróciliśmy, Carreras, wróciliśmy. Do doktora Caroline. I nie traciliśmy czasu na gadanie z nim. Mieliśmy dużo lepszy pomysł. Panna Beresford wyraziła się niezbyt dokładnie. Nie ja nastawiłem „Tornado” - doktor Caroline sam to zrobił. - Uśmiechnąłem się i przeniosłem spojrzenie poza światło latarki, na punkt za plecami Carrerasa. - Może sam pan mu powie, doktorze.

Carreras na wpół się odwrócił, zaklął brzydko i okręcił się z powrotem. Miał szybki łeb i jeszcze szybsze reakcje, właściwie to nawet nie dał się nabrać na to stare zagranie. Dał nam tylko jedną sekundę, a przez ten czas ja nawet nie zacisnąłem dłoni na trzonku młotka. Teraz zaś chciał mnie zabić.

Nie mógł jednak wycelować broni. Susan czekała na taką okazję, wyczuła, że stwarzam jej taką szansę, upuściła lampę i rzuciła się na Carrerasa, gdy tylko zaczął się odwracać. Miała do niego mniej niż metr. Teraz desperacko całym ciężarem uwiesiła się na jego dłoni trzymającej pistolet, przyciągając ją do podłogi. Okręciłem się gwałtownie do przodu, zatoczyłem kilogramowym młotkiem łuk nad moim ramieniem i rąbnąłem nim w twarz Carrerasa, z całą siłą, nienawiścią i złością, jakie we mnie tkwiły.

Zorientował się, co go czeka. Wciąż trzymając latarkę uniósł lewą dłoń, by złamać odsłoniętą szyję Susan. Szarpnął głową w bok, instynktownie wyciągnął lewą rękę... młotek ze straszliwą siłą uderzył go tuż poniżej lewego łokcia, latarka wyleciała w powietrze i ładownia pogrążyła się w absolutnej ciemności. Gdzie poleciał młotek, tego nie wiem. Właśnie w tym momencie po podłodze zaszurała skrzynia i nie słyszałem, jak upadał.

Skrzynia zatrzymała się. W tej nagłej, chwilowej ciszy słyszałem odgłosy szarpaniny, czyjś ciężki oddech. Podnosiłem się powoli, lewą nogę miałem praktycznie bezużyteczną, lecz może tylko wydawało mi się, że byłem wolny. Strach, jeżeli jest wystarczająco silny, ma zdumiewającą właściwość zwalniania upływu czasu. A ja się bałem. Bałem się o Susan. Carreras istniał dla mnie w tej chwili tylko jako zagrożenie dla Susan. To był wielki, silny facet, mógł jej skrócić szyję jednym szarpnięciem, zabić ją jednym ciosem.

Usłyszałem jej krzyk, krzyk strachu. Chwilowa cisza, ciężki, cichy odgłos padających ciał, krzyk bólu Susan i znów cisza.

Nie było ich tam. Kiedy dotarłem na miejsce, gdzie się szarpali, ich tam nie było. Przez sekundę stałem nieruchomo w tej nieprzeniknionej ciemności, oszołomiony, po czym moja dłoń dotknęła szczytu metalowej przegrody i zrozumiałem: w trakcie szarpaniny na tym szaleńczo roztańczonym pokładzie zatoczyli się na przegrodę, przewrócili i spadli na podłogę po drugiej stronie. Znalazłem się po drugiej stronie przegrody, nim jeszcze miałem czas pomyśleć, nim jeszcze wiedziałem, co robię. W ręku trzymałem nóż bosmana, z otwartym, ostrym jak igła marspiklem, zablokowanym na zatrask.

Zachwiałem się, gdy oparłem ciężar ciała na lewej nodze, opadłem na kolana, dotknąłem czyjejs głowy i włosów. Długich włosów. Susan. Przesunąłem się i właśnie wstawałem, gdy

on się na mnie rzucił. Rzucił się na mnie. Nie chował się, nie starał się ukryć w ciemności. Rzucił się na mnie. Znaczyło to, że zgubił pistolet.

Opadliśmy razem na podłogę, szarpiąc się, okładając i kopiąc. Raz, dwa, sześć razy rąbnął mnie w piersi, w bok, krótkimi, przypominającymi uderzenia młota pchnięciami, niemal łamiącymi mi żebra. Ale nie czułem tego. Był silny, straszliwie silny, lecz nawet mimo swej siły, nawet gdyby jego lewa ręka nie była sparaliżowana i bezużyteczna, nie uszedłby mi tej nocy.

Chrząknąłem, obezwładniony wstrząsem, a Carreras wrzasnął w agonii, gdy trzonek noża MacDonalda uderzył o jego mostek. Wyszarpnąłem nóż i uderzyłem ponownie. I jeszcze raz, i jeszcze. Po czwartym uderzeniu już nie krzyczał.

Carreras umierał ciężko. Już mnie nie okładał - jego prawa dłoń otaczała mi szyję, a za każdym moim ciosem jej uścisk się wzmacniał. Cała konwulsyjna siła umierającego w bólu człowieka skupiła się dokładnie w tym miejscu, w które zarobiłem workiem piasku. Ból, paralizujący ból, rozpalone do czerwoności kolczaste płomienie przeszły mi plecy i głowę. Myślałem, że pęknie mi kark. Uderzyłem raz jeszcze. Nóż wypadł mi z ręki.

Gdy odzyskałem przytomność, krew zawrotnie pulsowała mi w uszach. Miałem wrażenie, że pęknie mi głowa, moje płuca ciężko chwytają powietrze, które nie chciało w nie wejść. Czułem, że się duszę, że powoli, lecz skutecznie zaduszę się na śmierć.

Niejasno zdałem sobie sprawę z rzeczywistości. Naprawdę się dusiłem. Ręka zmarłego, w wyniku skurczu mięśni, wciąż ścisnęła mi szyję. Nie mogłem stracić świadomości na długo, nie więcej niż na minutę. Chwyciłem oburącz jego rękę przy nadgarstku i uwolniłem szyję. Przez trzydzieści sekund, może nawet dłużej, leżałem wyciągnięty na podłodze ładowni, z bijącym sercem chwytając powietrze, gdy ogarniały mnie fale słabości i zawroty głowy, a gdzieś daleko, w głębi mojej świadomości, naglący głos, równie zdesperowany co daleki, powtarzał: musisz wstać, musisz wstać.

Wreszcie zrozumiałem. Leżałem na podłodze ładowni, a te olbrzymie skrzynie wciąż ślizgały się i przewalały dookoła za każdym przechyłem i szarpnięciem „Campari”. I Susan. Ona też tam leżała.

Uniosłem się na kolana, pogrzebałem w kieszeni, znalazłem malutką latarkę Marstona i zapaliłem ją. Wciąż działała. Promień padł na Carrerasa. Zdążyłem tylko dostrzec, że cały przód jego koszuli jest przesiąknięty krwią, nim mimowolnie odwróciłem się i zwymiotowałem.

Susan leżała tuż przy przegrodzie, częściowo na plecach, częściowo na boku. Oczy miała otwarte, matowe i szkliste od szoku i bólu, ale otwarte.

- Skończone. - Z trudem rozpoznałem swój głos. - Już po wszystkim. - Pokiwała głową i spróbowała się uśmiechnąć. - Nie możesz tu zostać - ciągnąłem. - Szybko na drugą stronę przegrody.

Wstałem, chwyciłem ją pod ramiona i podniosłem. Wstała łatwo, lekko, lecz wrzasnęła z bólu i osunęła się na mnie. Złapałem ją, nim zdążyła upaść, oparłem o drabinę, przeniosłem na drugą stronę przegrody i ostrożnie ułożyłem na podłodze.

W świetle latarki zobaczyłem, jak leży z rozrzuconymi rękami. Jej lewe przedramię, pomiędzy nadgarstkiem i łokciem, było wygięte pod nienaturalnym kątem. Złamane, niewątpliwie złamane. Kiedy przewróciła się z Carrerasem, prawdopodobnie znalazła się pod nim - jej ręka przyjęła na siebie impet ich padających ciał, a tego było za dużo. Nic jednak nie mogłem na to poradzić. Nie teraz. Zająłem się Tonym Carrerasem.

Nie mogłem go tam zostawić, wiedziałem, że nie mogę go tam zostawić. Kiedy Miguel Carreras stwierdził, że jego syn zaginął, każe przeszukać „Campari” od deski do deski. Musiałem się go jakoś pozbyć, lecz nie mogłem się go pozbyć w tej ładowni. Było tylko

jedno miejsce, gdzie mogłem ukryć ciało Tony'ego Carrerasa ostatecznie, nieodwracalnie, bez obawy, że ktoś je odkryje: morze.

Tony Carreras ważył przynajmniej sto kilo, ta wąska, pionowa stalowa drabinka miała przynajmniej dziewięć metrów wysokości, byłem osłabiony wpływem krwi i zwyczajnym fizycznym wyczerpaniem, a do tego miałem sprawną tylko jedną nogę, toteż nawet się nad tym nie zastanawiałem. Gdybym zaczął o tym myśleć, to niewykonalność tego, co miałem do zrobienia, pokonałaby mnie, jeszcze zanim bym zaczął.

Zaciągnąłem go pod drabinkę, uniosłem do pozycji siedzącej, wsunąłem ręce pod jego ramiona i targałem go w górę, cal po calu, aż jego barki i opadająca głowa znalazły się na poziomie moich. Następnie szybko odskoczyłem, złapałem go chwytem strażackim i zacząłem wspinać.

Po raz pierwszy tej nocy rozkołysany, rozchwiany „Campari” był moim sprzymierzeńcem. Kiedy statek wpadał w dolinę fal, przechylając się na prawą burzę, drabinka odsuwała się ode mnie o piętnaście stopni, a ja szybko robiłem kilka kroków; potem wisiałem ponuro, czekając aż „Campari” przechyli się w drugą stronę, a drabinka przesunie nade mnie, czekałem na kolejny przechył i powtarzałem wszystko od początku. Dwukrotnie Carreras niemal zsunął się z moich ramion, dwukrotnie musiałem szybko zejść o stopień, żeby go złapać. Prawie nie korzystałem z lewej nogi, cały ciężar dźwigała moja prawa noga i ramiona. A przede wszystkim moje barki - czasami, miałem wrażenie, że pękną mi mięśnie, ale to nic było gorsze od bólu w nodze, toteż wciąż się wspinałem. Wspinałem się, dopóki nie wyszedłem na szczyt. Jeszcze kilka szczebli i musiałbym go puścić, bo nie wyobrażam sobie, żebym mógł to dalej ciągnąć.

Wypchnąłem go przez luk, wyszedłem, zwałiłem się na pokład i czekałem, aż tętno opadnie mi poniżej setki. Po zapachu oleju i duchocie panującej w ładowni, ulewny, zacinający deszcz smakował wybornie. Zakryłem latarkę dłonią - choć prawdopodobieństwo tego, że o tej porze i przy takiej pogodzie ktoś będzie się kręcił, było znikome - i zacząłem przeszukiwać jego kieszenie, aż znalazłem klucz z napisem „izba chorych”. Potem chwyciłem go za kołnierz i ruszyłem do burty statku.

Minutę później znów stałem na podłodze ładowni. Znalazłem broń Tony'ego Carrerasa, wsadziłem ją do kieszeni i spojrzałem na Susan. Wciąż była nieprzytomna, co się dobrze składało, skoro musiałem ją wnieść po drabince. Ze złamaną ręką sama nie dałaby rady, a gdybym czekał, aż oprzytomnieje, to przez całą drogę męczyłaby się straszliwie i nie zachowałaby przytomności na długo.

Po targaniu martwego Carrerasa wyniesienie Susan Beresford było nieomal łatwe. Ostrożnie ułożyłem ją na zmytym przez deszcz pokładzie, założyłem uszczelki i przywiązałem na powrót brezent. Właśnie kończyłem, gdy nie tyle usłyszałem, co poczułem, jak się wstrząsnęła.

- Nie ruszaj się - powiedziałem szybko. Na górnym pokładzie znów musiałem krzyknąć, żeby mnie usłyszała przez wycie sztormu. - Masz złamane przedramię.

- Tak - odparła obojętnie. Zbyt obojętnie. - Tony Carreras? Zostawiłeś...

- Z nim już koniec. Powiedziałem ci, że to już koniec.

- Gdzie on jest?

- Za burzą.

- Za burzą? - Jej głos drżał; lepsze to niż jej nienormalne opanowanie. - Jak on...

- Pchnąłem go nożem, Bóg jeden wie, ile razy - powiedziałem ze znużeniem. - Myślisz, że sam wstał, wyszedł po drabince i skoczył... przepraszam Susan, nie powinienem... myślę, że nie jestem w najlepszej formie. Chodź. Czas, żeby stary doktor Marston obejrzał twoje ramię.

Zacisnąłem prawą dłoń na jej złamanej ręce, podniosłem ją i chwyciłem za zdrowe ramię, by mogła utrzymać równowagę na chwiejnym pokładzie. Wiódł ślepy kulawego.

Kiedy dotarliśmy do dziobowego uskoku na pokładzie studniowym, posadziłem ją tam za tą względną osłoną, a sam ruszyłem do magazynu bosmana. Po kilku sekundach znalazłem to, co chciałem: dwa zwoje liny nylonowej, które włożyłem do płóciennej torby, i krótszą, za to grubszą linę z konopi. Zamknąłem drzwi, położyłem torbę obok Susan i chwiejnie ruszyłem przez rozkołysany, zdradliwy pokład ku lewej burcie. Przywiązałem linę z konopi do słupka relingu. Zastanawiałem się, czy nie powinienem zrobić na niej kilku węzłów, ale zrezygnowałem. MacDonald, który to wymyślił, był przekonany, że przy tak podłej pogodzie nikt nie zauważy takiego drobiazgu jak węzeł wokół podstawy słupka, a gdyby nawet, to ludzie Carrerasa nie byli na tyle wytrawnymi żeglarzami, żeby się tym zainteresować i wyciągnąć linę. Gdyby ktoś jednak wyjrzał za burtę i zobaczył linę z węzłami, byłby co najmniej zdziwiony. Dokładnie sprawdziłem, czy węzeł dookoła słupka jest dobrze zaciśnięty - od tego miało zależeć życie kogoś, kto dla mnie bardzo wiele znaczył: moje życie.

Dziesięć minut później byliśmy z powrotem przed izbą chorych. Nie musiałem się martwić o wartownika - z opuszczoną na piersi głową wciąż przebywał w innym świetle i nie wyglądało na to, żeby go chciał opuścić. Zastanawiałem się, jak będzie się czuł, gdy oprzytomnieje. Czy będzie podejrzewał, że został uśpiony, czy też ewentualne niezwykle objawy przypisze kombinacji wyczerpania i choroby morskiej? Pomyślałem, że martwię się niepotrzebnie, jedno wiedziałem z całą pewnością - kiedy wartownik się obudzi, nikomu nie powie, że zasnął. Miguel Carreras sprawił na mnie wrażenie kogoś, kto ostro traktuje wartowników zasypiających na służbie.

Wyciągnąłem klucz, który zabrałem Tony'emu Carrerasowi, i otworzyłem drzwi. Marston był za swoim biurkiem, a bosman i Bullen siedzieli na łózkach. Po raz pierwszy, odkąd został postrzelony, zobaczyłem Bullena przytomnego. Był blady i wynędzniały, najwyraźniej odczuwał ogromny ból, lecz nie wyglądało na to, żeby jechał ostatkiem sił. Niełatwo jest zabić takiego człowieka jak Bullen.

Posłał mi długie spojrzenie, niemal spode łba.

- No, poruczniku. Gdzieście się, do cholery, podziewali? - Normalnie wyrzuciłby z siebie takie słowa ze zgrzytem, teraz jednak rana w płucach pozwoliła mu zaledwie na ochrypły szept. Nie miałem siły zdobyć się na uśmiech, choć miałem na to wielką ochotę: stary nie był jeszcze stracony.

- Za minutkę, kapitanie. Doktorze Marston, panna Beresford ma...

- Widzę, widzę. Jak wam się, do diabła, udało... - zbliżył się do nas, przerwał i przyjrzał mi się z bliska krótkowzrocznymi oczyma. - Powiedziałbym, John, że to ty wymagasz natychmiastowej opieki.

- Ja? Ze mną wszystko w porządku.

- Rzeczywiście? - Ujął Susan pod zdrową rękę i zaprowadził do ambulatorium. - Przeglądałeś się ostatnio w lustrze? - rzucił przez ramię.

Spojrzałem w lustro. Zrozumiałem, co miał na myśli. Sukienki Balenciagi nie były nieprzemakalne. Całą lewą stronę mojej głowy, twarzy i szyi pokrywała krew, która przesiąkła przez kaptur i maskę; zaschnięta, ciemna krew, której nawet deszcz nie był w stanie zmyć. Zresztą deszcz sprawił, że moja twarz wyglądała dużo gorzej niż powinna. Pewnie się umazałem zakrwawioną koszulą Tony'ego Carrerasa, gdy wynosiłem go po drabinie z czwartej ładowni.

- Zmyje się - powiedziałem do Bullena i bosmana. - To nie moja krew. To krew Tony'ego Carrerasa.

- Carrerasa? - Bullen wytrzeszczył na mnie oczy, a potem spojrzał na MacDonalda. Miał przed sobą namacalny dowód, lecz widać było, że w jego przekonaniu zblizkowałem. - Co chcesz przez to powiedzieć?

- To, co mówię. Tony'ego Carrerasa. - Usiadłem ciężko na krześle i gapiłem się bezmyślnie na przemoczone ubranie. Może jednak kapitan Bullen miał rację - miałem



chorobliwą ochotę wybuchnąć śmiechem. Wiedziałem, że narasta we mnie histeria, spowodowana osłabieniem, przemęczeniem, rosnącą gorączką i nadmierną porcją emocji w krótkim czasie. Z olbrzymim, fizycznym wysiłkiem udało mi się ją zwalczyć. - Właśnie go zabiłem w czwartej ładowni.

- Jesteś szalony - stwierdził Bullen stanowczo. - Sam nie wiesz, co mówisz.

- Nie wiem? - Spojrzałem na niego i odwróciłem wzrok. - Niech pan spyta Susan Beresford.

- Pan Carter mówi prawdę, kapitanie - wtrącił spokojnie MacDonald. - Mój nóż, poruczniku? Przyniósł go pan z powrotem?

Skinałem głową, wstałem z trudem, pokuśtykałem do łóżka MacDonalda i podałem mu nóż. Nie miałem go kiedy oczyścić. Bosman bez słowa podał go Bullenowi, który w milczeniu wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę.

- Przepraszam, mój chłopcze - powiedział wreszcie matowym głosem. - Cholernie przepraszam. Ale wszyscy się tu zamartwialiśmy.

Uśmiechnąłem się słabo. Nawet to przyszło mi z dużym trudem.

- Ja też, kapitanie, ja też.

- Miałeś dobrą passę - mruknął Bullen zachęcająco.

- Myślę, kapitanie, że pan Carter powinien nam opowiedzieć o tym później - zasugerował MacDonald. - Musi się umyć, zdjąć te mokre łachy i położyć się. Gdyby ktoś wszedł...

- Racja, bosmanie, święta racja. - Widać było, że nawet tak krótkie zdanie wyczerpywało Bullena. - Lepiej się pośpiesz, mój chłopcze.

- Tak - Patrzyłem tępo na torbę, którą ze sobą przyniosłem. - Mam liny, Archie.

- Proszę mi je dać, poruczniku. - Wziął torbę, wyciągnął oba zwoje liny, wyjął dolną poduszkę z poszewki, wsadził tam liny i włożył je pod swoją górną poduszkę. - Miejsce równie dobre, jak każde inne. Jeżeli zrobią dokładną rewizję, to i tak je znajdą. A teraz, gdyby pan mógł po prostu wyrzucić tę poduszkę i torbę przez okno...

Zrobiłem to, umyłem się, wysuszyłem jak mogłem najlepiej i wskoczyłem do łóżka, właśnie w momencie, gdy do gabinetu wszedł Marston.

- Z nią wszystko w porządku, John. Proste złamanie. Już ją opatrzyłem; leży teraz pod kocem i zaśnie za moment. Wiesz, środek nasenny.

Skinałem głową.

- Odwalił pan dziś kawał solidnej roboty, doktorze. Chłopak za drzwiami śpi twardo, a ja w nodze nic nie czuję. - To było tylko połowiczne kłamstwo, nie chciałem go urazić niepotrzebnie. Spojrzałem na swoją nogę. - Łubki...

- Już zakładam.

Założył mi je, niemal mnie przy tym zabijając, ja zaś opowiedziałem tymczasem, co się stało. Tylko częściowo. Powiedziałem, że spotkałem Tony'ego Carrerasa, gdy chciałem zagwoździć działo na pokładzie rufowym. Mając na uwadze, że stary Bullen bez przerwy gada przez sen, wszelkie wzmianki o „Tornado” nie miały sensu.

Gdy skończyłem, zapanowała ponura cisza, aż wreszcie Bullen powiedział z rozpaczą:

- To koniec. Kłapa. Cała ta robota i cierpienie na nic. Wszystko na nic.

To nie był koniec, to się nigdy nie miało skończyć. Nie wcześniej niż nastąpi koniec Miguela Carrerasa albo mój. Gdybym był hazardzistą, postawiłbym ostatni grosz na Carrerasa.

Nie powiedziałem im tego. Zamiast prostego planu, który miałem w głowie, przedstawiłem im nieprawdopodobny projekt opanowania na siłę mostka. To jednak nie było ani w połowie tak desperackie i beznadziejne jak mój prawdziwy plan. Ten, o którym miałem powiedzieć później MacDonaldowi. Starego nie mogłem wtajemniczyć, bo było więcej niż prawdopodobne, że zdradzi nas swym delirycznym mamrotaniem pod wpływem środków

nasennych. Nie chciałem nawet wspominać o Tonym Carrerasie, ale musiałem jakoś wyjaśnić obecność krwi.

Kiedy skończyłem, Bullen odezwał się ochryłym szeptem:

- Ja wciąż jestem kapitanem tego statku. Nie zgadzam się na to. Wielki Boże, poruczniku, popatrzcie na pogodę, na wasz stan. Nie pozwolę wam ryzykować życiem. Nie mogę na to pozwolić.

- Dziękuję, kapitanie. Rozumiem pana. Ale musi mi pan na to pozwolić. Musi pan. Bo jeśli nie...

- A co się stanie, jeśli ktoś wejdzie do izby chorych, kiedy cię tu nie będzie? - spytał beznadziejnie. Pogodził się już z rzeczą nieuchronną.

- A co ma być? - Wyciągnąłem pistolet i rzuciłem go bosmanowi. - Należał do Tony'ego Carrerasa. W magazynku wciąż jeszcze ma siedem naboii.

- Dziękuję, poruczniku - odrzekł spokojnie MacDonald. - Będę bardzo oszczędnie rozdzielał kule.

- Ale co z tobą, człowieku? - spytał ochryple Bullen. - Co z tobą?

- Daj mi ten nóż z powrotem, Archie - powiedziałem.

## X. Piątek, dziewiąta rano - sobota, pierwsza w nocy

Tej nocy spałem głęboko, prawie tak głęboko jak Tony Carreras. Nie wziąłem narkotyku ani proszków nasennych, moim narkotykiem było wyczerpanie.

Budząc się następnego dnia rano miałem wrażenie, że wynurzam się powoli z czeluści bezdennej studni. Wspinałem się w ciemności, lecz - jak to bywa w snach - po chwili już się nie wspinałem i nie było ciemno - jakaś wielka bestia trzymała mnie w swej paszczy i próbowała wytrząsnąć ze mnie życie. Tygrys, ale nie zwyczajny tygrys. Tygrys z szablistymi zębami, taki jak te, które żyły na Ziemi przed milionami lat. Znów się wspinałem w ciemności, a tygrys dalej mnie szarpał, tak jak terrier potrząsa szczurem. Wiedziałem, że moją ostatnią nadzieją jest dotarcie do światła nade mną, lecz nie widziałem żadnego światła. Nagle, ni stąd, ni zowąd, pojawiło się światło, otworzyłem oczy, a Miguel Carreras pochylał się nade mną i potrząsał mną niezbyt delikatnie. Wolałbym raczej codziennie oglądać tygrysa szablistego.

Marston stał po drugiej stronie łóżka. Kiedy zobaczył, że nie śpię, chwycił mnie pod pachy i delikatnie unióś do pozycji siedzącej. Na ile mogłem, starałem się mu w tym pomóc, jednak nie byłem na tym skoncentrowany, byłem pochłonięty zagryzaniem warg i przymykaniem oczu, żeby Carreras musiał zauważyć, jak bardzo cierpię. Marston protestował.

- Jego nie można ruszać, panie Carreras, naprawdę nie można. Przez cały czas odczuwa wielki ból i powtarzam, że jak najszybciej należy go poddać poważnej operacji. - Przypuszczam, że było ze czterdzieści lat za późno, by oświadczyć Marstonowi, że jest urodzonym aktorem. Ani przez chwilę nie wątpiłem, że powinien być nim zostać - zarówno świat teatralny, jak i medyczny odniosłyby nieocenioną korzyść.

Starłem sen z oczu i uśmiechnąłem się blado.

- Dlaczego nie powie mu pan wprost, doktorze? Ma pan przecież ma myśli amputację?

Popatrzył na mnie poważnie i odszedł bez słowa. Zerknąłem na Bullena i MacDonalda. Obaj nie spali, obaj starannie unikali mojego wzroku. Spojrzałem na Carrerasa.

Na pierwszy rzut oka wyglądał zupełnie tak samo, jak kilka dni temu. Ale tylko na pierwszy rzut oka. Przy bliższym spojrzeniu widać było różnicę: lekką bladość pod opalenizną, zaczerwienienie oczu, ściągnięcie twarzy, którego przedtem nie było. Pod lewą pachą trzymał mapy, w lewej dłoni jakąś kartkę.

- No! - parsknąłem. - Jak się dziś miewa nasz wielki, zuchwały pirat?

- Mój syn nie żyje - powiedział głucho.

Nie oczekiwałem tego w takiej formie i tak szybko, ale to całkowite zaskoczenie pomogło mi zareagować tak, jak mógł się tego po mnie spodziewać. Spojrzałem na niego lekko przymrużonymi oczyma i powiedziałem:

- Co takiego?

- Nie żyje. - Miguelowi Carrerasowi mogło brakować wielu cech, z pewnością jednak miał normalne ojcowskie, rodzicielskie instynkty. Jego powściągliwość dowodziła tylko, jak bardzo go to dotknęło. Przez chwilę było mi go naprawdę żal. Przez bardzo krótką chwilę. Zobaczyłem twarze Wilsona, Jamiesona, Bensona, Brownella i Dextera, twarze nieżyjących już ludzi, i wszelki żal minął.

- Nie żyje? - powtórzyłem. Byłem zdziwiony i zaszokowany, ale nie za bardzo, tego by ode mnie nie oczekiwał. - Twój syn? Nie żyje? Jak to możliwe? Na co umarł? - Moja ręka mimowolnie powędrowała pod poduszkę, w kierunku składanego noża, lecz powstrzymałem się. Choć gdyby go nawet zobaczył, nie zrobiłoby to wielkiej różnicy - pięć minut w sterylizatorze usunęło z niego ostatnie ślady krwi.

- Nie wiem. - Potrząsnął głową, a ja miałem ochotę się roześmiać: jego twarz nie wyrażała podejrzania. - Nie wiem.

- Doktorze Marston, pan z pewnością...

- Nie znaleźliśmy go. Zaginał.

- Zaginał? - To kapitan Bullen wtrącił się do rozmowy. Tym razem jego głos był jakby mocniejszy, mniej ochryply niż poprzedniej nocy. - Zniknął? Człowiek nie znika na statku tak po prostu, panie Carreras.

- Przeszukiwaliśmy statek ponad dwie godziny. Mojego syna nie ma na pokładzie „Campari”. Kiedy go pan ostatnio widział, panie Carter?

Nie bawiłem się w robienie obrażonych min, rzucanie ostrych spojrzeń i tym podobne głupoty. Zastanawiałem się jak by zareagował, gdybym mu powiedział: „wczoraj w nocy, kiedy go wyrzucałem za burtę „Campari”. Zamiast tego wydałem jednak wargi i rzekłem:

- Wczoraj wieczorem, kiedy tu przyszedł po kolacji. Długo nie siedział. Powiedział coś w stylu: „Kapitan Carreras robi obchód” i wyszedł.

- Zgadza się. Wysłałem go na obchód. Jak wyglądał?

- Nie tak, jak zwykle. Był zielony. Choroba morska.

- Mój syn był kiepskim żeglarzem - przyznał Carreras. -Możliwe, że...

- Powiedziałeś, że robił obchód - przerwałem. - Całego statku? Pokładów i całej reszty?

- Właśnie.

- Kazałeś założyć liny sztormowe na pokładzie dziobowym i rufowym?

- Nie. Nie sądziłem, żeby to było konieczne.

- Cóż - rzekłem ponuro. - To chyba wyjaśnia sprawę. Najprawdopodobniej. Nie ma lin, nie ma żadnego oparcia. Poczul się źle, ruszył do burty, nagły przechył statku i... - zawiesiłem głos.

- To możliwe, ale mało realne. Miał nadzwyczajne poczucie równowagi.

- Poczucie równowagi niewiele pomaga, jeśli się ktoś pośliznie na mokrym pokładzie.

- Owszem, ale nie wykluczyłem jeszcze możliwości nieczystej gry.

- Nieczystej gry? - Gapiłem się na niego tępo, szczęśliwy, że zdolności telepatyczne są tak rzadkie. - Załoga i pasażerowie są pod strażą, pod kluczem, więc jak tu jest możliwa nieczysta gra? Chyba - dodałem po namyśle - że to robota kogoś z twojego podwórka.

- Nie zakończyłem jeszcze śledztwa. - Zimnym głosem zamknął temat i wrócił do interesów. Żałoba nie mogła załamać tego człowieka. Fakt, że opłakiwał w duchu syna, w najmniejszym stopniu nie mógł osłabić jego sprawności i bezwzględnej determinacji w przeprowadzeniu swych planów. Na przykład nie robiło mu najmniejszej różnicy, że następnego dnia wyśle nas wszystkich na orbitę. Możliwe, że wykazywał jakieś cechy człowieczeństwa, jednak u podstaw charakteru Carrerasa leżał całkowity, bezgraniczny fanatyzm, tym groźniejszy, że przykryty płaszczykiem uprzejmej ogłady.

- Mapa, Carter. - Podał mi ją razem z kartką, na której były zaznaczone pozycje. - Sprawdź, czy „Fort Ticonderoga” jest na kursie. I czy płynie zgodnie z czasem. Później obliczymy godzinę spotkania, jeżeli dostanę rano ich nową pozycję.

- Dostaniesz - zapewnił go Bullen ochryplym głosem. - Powiadają, Carreras, że diabeł kocha dzieci swoje, a ciebie na pewno kocha. Uciekasz przed huraganem i do południa będziesz miał czysty horyzont. Wieczorem będzie deszcz, ale najpierw się przejaśni.

- Jest pan pewny, kapitanie Bullen? Jest pan pewny, że uciekamy przed huraganem?

- Jestem pewny. Choć to raczej huragan ucieka przed nami. - Stary Bullen był autorytetem w dziedzinie huraganów i mógłby rozprawiać na swój ulubiony temat zawsze i wszędzie, nawet z Carrerasem, nawet gdy stać go było tylko na chrapliwy szept. - Ani wiatr, ani morze zbyt się nie uspokoiły - wcale się nie uspokoiły - ale ważny jest tu kierunek wiatru. Teraz wieje z północnego zachodu, czyli huragan leży na północny wschód od nas. Minął nas w nocy od wschodu, od naszej sterburty, kierując się na północ, a potem skręcił

nagle na północny wschód. Bardzo często, gdy huragan zapędzi się na północne granice swego zasięgu i wpada na wiatr zachodni, pozostaje w miejscu zakrętu przez dwanaście do dwudziestu czterech godzin... co by znaczyło, że musiałbyś płynąć przez niego. Ale miałeś szczęście: on już zakręcił i skierował się na wschód niemal bez przestoju. - Bullen wyciągnął się, wyczerpany. Nawet tak krótkie przemówienie przerastało jego siły.

- Może pan to wszystko przewidzieć, leżąc sobie spokojnie w łóżku? - zapytał Carreras.

Bullen posłał mu swoje komandorskie spojrzenie, jakim obdarzyłyby każdego kadeta, który ośmieliłby się zakwestionować jego wiedzę, i zignorował go.

- Pogoda się poprawi? - naciskał Carreras.

- To chyba oczywiste?

Carreras powoli pokiwał głową. Miał dwa poważne zmartwienia: zdążyć na czas na spotkanie i zdołać przejąć złoto. Teraz oba zmartwienia zniknęły. Odwrócił się gwałtownie i wyszedł z izby chorych. Bullen odchrząknął i oświadczył sztywno swym napiętym szeptem:

- Gratulacje, panie Carter. Jest pan najlepszym kłamcą, jakiego znam.

MacDonald po prostu wyszczerzył zęby.

Minęło przedpołudnie, minęło południe. Jak to przewidział Bullen, spoza chmur wyjrzało słońce, a później, co również Bullen przewidział, zaszło. Morze uspokoiło się, lecz nie za bardzo, według mnie nie na tyle, by złagodzić cierpienia pasażerów. Wiatr zaś był taki jak przedtem, północno-wschodni. Bullen, po zastrzyku przeciwbólowym, spał niemal cały dzień, znowu mamrocząc bezładnie - na szczęście, jak stwierdziłem z ulgą, jego mamrotanie nie dotyczyło Tony'ego Carrerasa - a ja i MacDonald rozmawialiśmy lub spaliśmy. Ale nie poszliśmy spać, zanim nie powiedziałem mu, co mam zamiar zrobić w nocy, kiedy - i jeżeli - dostanę się na górny pokład.

Tego dnia prawie nie oglądałem Susan. Pojawiła się po śniadaniu z zagipsowaną ręką na temblaku. To nie mogło wzbudzić podejrzeń, nawet w kimś tak podejrzliwym jak Carreras: miała powiedzieć, że zasnęła na krześle, spadła i zwichnęła nadgarstek. Podczas sztormu podobne wypadki były tak powszechne, że nikt by nawet nie mrugnął. Około dziesiątej rano poprosiła o zgodę na przyłączenie się do rodziców i została z nimi przez cały dzień.

Piętnaście minut po południu Carreras znów się pojawił. Możliwe, że śledztwo w sprawie zniknięcia jego syna posunęło się do przodu, lecz nic na ten temat nie wspomniał. W ogóle nie mówił o jego zniknięciu. Miał ze sobą nieodłączną mapę - tym razem dwie mapy - oraz pozycję „Campari” w południe. Widocznie udało mu się ustalić właściwą pozycję z położenia słońca.

- Nasza pozycja, nasza szybkość, ich pozycja i szybkość oraz kurs. Czy spotkamy się w punkcie oznaczonym X?

- Przypuszczam, że sam to już sprawdziłeś?

- Tak.

- Nie spotkamy się - powiedziałem po paru minutach. - Przy naszej obecnej szybkości dotrzemy do miejsca spotkania za jedenaście godzin, może jedenaście i pół godziny. Powiedzmy o północy. To o pięć godzin za wcześnie.

- Dziękuję, panie Carter. Doszedłem do identycznego wniosku. Pięć godzin oczekiwania na „Ticonderogę” szybko nam zejdzie.

Poczułem dziwne ściskanie w dołku. Być może wyrażenie mówiące o zamieraniu serca nie jest dokładne z fizjologicznego punktu widzenia, za to doskonale oddaje mój ówczesny stan. To by zniszczyło wszystko, zaprzepaściłoby nawet te mizerne szanse, jakie rokował mój plan. Wiedziałem jednak, że na mojej twarzy nie było widać konsternacji.

- Planujesz dopłynąć tam o północy i czekać, aż mucha sama wpadnie ci w sieć. - Wzruszyłem ramionami. - Cóż, to ty decydujesz.

- Co masz na myśli? - spytał ostro.

- Nic takiego - odrzekłem obojętnie. - Myślałem tylko, że chciałbyś, żeby twoja załoga była w pełni zdolna do przenoszenia złota, jak już spotkamy „Ticonderogę”.

- Więc?

- Więc za dwanaście godzin morze wciąż jeszcze będzie bardzo wzburzone. Kiedy zatrzymamy się w miejscu spotkania, to „Campari” będzie leżał w dolinach fal i, mówiąc eleganckim językiem naszych czasów, wypruwał z siebie flaki. Nie wiem, ilu z tych twoich szczerów lądowych chorowało wczoraj, ale założę się, że dziś w nocy będzie ich dwa razy tyle. I nie miej nadziei, że pomogą ci nasze stabilizatory, ich skuteczność zależy od szybkości statku.

- Słuszna uwaga - zgodził się zimno. - Zmniejszą szybkość, żebyśmy tam dotarli około czwartej rano. - Popatrzył na mnie z nagłym namysłem. - Pan jest zadziwiająco skory do współpracy, pełen cennych sugestii. Dziwnie mi to nie pasuje do obrazu, jaki sobie o panu wytworzyłem.

- Co tylko dowodzi tego, jak błędne są twoje oceny, przyjacielu. Wyjaśnia to zdrowy rozsądek i interes własny. Jak najszybciej chcę się dostać do odpowiedniego szpitala... perspektywa chodzenia całe życie z jedną nogą krótszą jakoś mnie specjalnie nie bawi. Im szybciej znajdę się z pasażerami i załogą na „Ticonderodze”, tym bardziej będę szczęśliwy. Tylko głupiec bije głową o mur. Ja nie walczę z faktami dokonanymi. Ty przecież chcesz przesadzić nas wszystkich na „Ticonderogę”, prawda, Carreras?

- Nie będę miał później żadnego pożytku z załogi „Campari”, a tym bardziej z pasażerów. - Uśmiechnął się blado. - Kapitan Teach i Czarnobrody nie są moimi idolami, panie Carter. Chciałbym zachować się w waszej pamięci jako humanitarny pirat. Macie moje słowo, że wszyscy zostaniecie przeniesieni bezpiecznie i bez szwanku. - W ostatnim zdaniu zabrzmiała szczerą prawdą, gdyż było ono szczerze i prawdziwe. Była to prawda, lecz oczywiście nie cała: zapomniał dodać, że pół godziny później wszyscy wylecimy w powietrze.

Około siódmej wieczorem powróciła Susan, doktor Marston zaś udał się pod strażą do salonu, rozdzielać pigułki i słowa pociechy wśród pasażerów, którzy po dwudziestu czterech godzinach nieustającego sztormu ze zrozumiałych względów nie czuli się najlepiej.

Susan była blada i wymęczona, na co niewątpliwie złożyły się fizyczne i psychiczne cierpienia z zeszłej nocy oraz dotkliwy ból złamanej lewej ręki, a jednak po raz pierwszy zupełnie bezstronnie musiałem przyznać, że wygląda prześlicznie. Dotychczas nie zdawałem sobie sprawy, że jej kasztanowe włosy i zielone oczy stanowią tak niedoścignione połączenie - przypuszczalnie dlatego, że nie spotkałem jeszcze dziewczyny o kasztanowych włosach i zielonych oczach.

Była także spięta i nerwowa jak kotka. W przeciwieństwie do starego doktora Marstona i mnie, nie utrzymałaby się długo w szkole aktorskiej.

Podeszła cicho do mojego łóżka - Bullen wciąż spał pod narkozą, a MacDonald spał lub drzemał - i usiadła na krześle. Kiedy już zapytałem o zdrowie jej i pasażerów, kiedy mi odpowiedziała, spytała o moje samopoczucie i usłyszała odpowiedź, w którą zresztą nie uwierzyła, powiedziała nagle:

- Johnny, jeżeli wszystko pójdzie dobrze, zatrudnisz się znów na statku?

- Nie rozumiem.

- No - rzuciła zniecierpliwiona. - Jeżeli „Campari” wyleci w powietrze, a my uciekniemy albo uratujemy się jakoś, to czy...

- Rozumiem. Chyba tak. Blue Mail ma pełno statków, a ja ponoć jestem ich najlepszym pierwszym oficerem.

- Chciałbyś tego? Wrócić znów na morze?

To była zwariowana rozmowa, ale ona krążyła tylko po omacku.

- Nie sędę, żebym jeszcze wrócił na morze - odparłem.

- Rezygnujesz?

- Rzucam to. To nie to samo. Nie chcę spędzić reszty życia na zaspokajaniu kaprysów bogatych pasażerów. Nie myślę tu o rodzinie Beresfordów, o ojcu, matce... i córce.

Uśmiechnęła się, a jej wielkie oczy znów zaczęły się rozpląwać w niesamowity sposób. Był to uśmiech, który mógł wyrzucić nader poważne skutki na organizmie tak schorowanego mężczyzny jak ja, toteż czym prędzej oderwałem od niej wzrok i ciągnąłem:

- Jestem całkiem niezłym mechanikiem i mam trochę odłożonej gotówki. W Kent jest taki jeden ładny, dobrze prosperujący garaż, który mogę przejąć w każdej chwili. A nasz Archie MacDonald jest wyśmienitym mechanikiem. Myślę, że możemy stworzyć niezły zespół.

- Pytałeś go już?

- A niby kiedy? - odrzekłem z irytacją. - Właśnie mi to wpadło do głowy.

- Jesteście dobrymi przyjaciółmi, prawda?

- Przyjaciółmi? A co to ma do rzeczy?

- Nic, zupełnie nic. Tylko że to zabawne. Bosman nigdy nie będzie normalnie chodził, nikt go już nie weźmie na morze, nie ma pewnie kwalifikacji na otrzymanie przyzwoitej roboty na lądzie... zwłaszcza z tą nogą... a tu nagle pierwszy oficer Carter czuje się zmęczony morzem i decyduje się...

- To wcale nie tak - przerwałem. - Taki sprytny to ja nie jestem.

- Ale o niego nie musisz się troszczyć. Tata powiedział mi dziś wieczorem, że ma dla niego dobrą robotę.

- Och? - Zaryzykowałem i znów spojrzałem jej w oczy. - Jaką robotę?

- Magazyniera.

- Magazyniera. - Wiem, że w moim głosie brzmiało rozczarowanie, ale gdybym to wszystko brał poważnie, gdybym dzielił jej wiarę w przyszłość, byłbym dziesięć razy bardziej rozczarowany. - To ładnie z jego strony. Nie mam nic przeciwko magazynierom, ale jakoś nie widzę w tej roli Archiego MacDonalda. Zwłaszcza w Ameryce.

- Czy wysłuchasz mnie wreszcie? - spytała słodko. Przed oczami stanęła mi dawna panna Beresford.

- Słucham.

- Słyszałeś, że tata buduje wielką rafinerię w zachodniej Szkocji? Zbiorniki, własny port, do którego może zawijać Bóg wie ile tankowców?

- Słyszałem.

- No więc to tam. Towary dla portu i rafinerii... jak mówi tata, wartości milionów dolarów, i licho wie ilu ludzi, którzy ich pilnują. A twój przyjaciel byłby ich szefem... z własnym domkiem jak ze snu.

- To całkiem inna propozycja. To brzmi cudownie, Susan, wprost cudownie. To strasznie miło z twojej strony.

- Nie z mojej! - zaprotestowała. - Taty.

- Spójrz mi w oczy. Powtórz to i się nie zarumień.

Spojrzała mi w oczy. Zarumieniła się. W połączeniu z jej zielonymi oczyma efekt był niszczycielski. Znów pomyślałem o moim ciężkim stanie i oderwałem wzrok. Słyszałem, jak mówi dalej:

- Tata chce, żebyś został kierownikiem nowego portu. Wtedy ty i bosman pracowalibyście razem. Zgodziłbyś się?

Odwróciłem się bez pośpiechu i popatrzyłem na nią.

- Czy to jest ta praca, którą miał na myśli pytając czy chciałbym dla niego pracować? - rzekłem powoli.

- Oczywiście. A ty mu nawet nie dałeś szansy, żeby ci opowiedział. Czy myślisz, że zrezygnował... on nawet jeszcze nie zaczął. Nie znasz mojego ojca. A nie możesz powiedzieć, że ja miałam z tym coś wspólnego.

Nie wierzyłem jej.

- Nie jestem w stanie wyrazić, jak... jaki jestem wdzięczny - powiedziałem. - To wspomniała szansa, wiem o tym i doceniam to. Jeśli zobaczysz się dziś jeszcze z ojcem, to bardzo mu ode mnie podziękuj.

Jej oczy błyszczały. Nie spotkałem dotychczas dziewczyny, której oczy błyszczałyby z mojego powodu. Nie w ten sposób.

- Więc ty... więc ty...

- I powiedz mu, że nie.

- Powiedzieć mu...

- Być może duma to głupia rzecz, ale trochę mi jej jednak zostało. - Nie chciałem, żeby to zabrzmiało szorstko, to po prostu tak wyszło. - Jeśli przyjmę pracę, to taką, którą sam sobie znajdę, a nie załatwioną mi przez dziewczynę. - Jak na odrzucenie dobrej oferty, zreflektowałem się gorzko, można to było sformułować bardziej elegancko.

Spojrzała na mnie, a jej twarz nagle stężała.

- Och, Johnny - szepnęła dziwnie stłumionym głosem, odwróciła się i ukryła twarz w poduszce. Jej ramiona drgały, szlochała, jakby jej miało pęknąć serce.

Zrobiło mi się nie najładniej. Poczułem się tak mały, że mógłbym przejść przez dziurkę od klucza. Wysunąłem rękę, niezdarnie dotknąłem jej głowy i powiedziałem:

- Strasznie mi przykro, Susan. Ale tylko dlatego, że odrzu...

- To nie to, nie to. - Potrząsnęła głową na poduszce. Głos miała jeszcze bardziej stłumiony. - To wszystko było nierealne. Nie, nie to, wszystko, co powiedziałam, to prawda. Ale przez kilka chwil my... no, nas tu nie było. Byliśmy... byliśmy z dala od „Campari”, to było coś, co nie miało związku z „Campari”. Ty... ty to rozumiesz.

Potargałem jej włosy.

- Tak, Susan, rozumiem. - Nie miałem pojęcia, o czym ona mówi.

- To było jak sen. - Nie pamiętałem, kiedy zapadła w ten sen. - Przyszłość. Z dala... z dala od tego okropnego statku. A ty zburzyłeś ten sen i wróciliśmy na „Campari”. I nikt nie wie, jak to się skończy, z wyjątkiem nas... tata, mama, oni wszyscy wierzą, że Carreras zostawi ich przy życiu. - Znów zaszlochała i rzekła przez łyżę. - Och, kochany, oszukujemy samych siebie. To już koniec, wszystko skończone. Czterdziestu uzbrojonych ludzi grasuje po statku. Widziałam ich. Wszędzie podwójne straże... przed tymi drzwiami też stoi dwóch. I wszystkie drzwi zamknięte. Nie ma nadziei, żadnej nadziei. Mama, tata, ty, ja, my wszyscy... jutro o tej porze będzie koniec. Cuda już się nie zdarzają.

- To nie jest koniec, Susan. - Nigdy nie zostałem dobrym sprzedawcą, pomyślałem pośpiesznie; gdybym spotkał na Saharze człowieka konającego z pragnienia, to nie dałbym rady przekonać go, że woda dobrze mu zrobi. - Do końca jeszcze daleko. - Ale i to nie zabrzmiało lepiej niż za pierwszym razem.

Usłyszałem skrzypienie sprężyn i zobaczyłem, jak MacDonald wspiera się na łokciu, ze zdziwieniem i niepokojem unosząc brwi. Pewnie go obudził jej płacz.

- Wszystko w porządku, Archie - powiedziałem. - Zmartwiona, to wszystko.

- Przepraszam. - Wyprostowała się i zwróciła zalaną łzami twarz do bosmana. Jak zwykle po płaczu, chwytła powietrze szybkimi, krótkimi haustami. - Strasznie mi przykro. Obudziłam pana. Ale nie ma już nadziei, prawda, panie MacDonald?

- Wystarczy Archie - rzekł bosman poważnie.

- Dobrze, Archie. - Próbowała się do niego uśmiechnąć przez łyżę. - Jestem po prostu strasznie tchórzliwa.



- Spędziła pani cały dzień z rodzicami i nie powiedziała im pani tego, co pani wie. I to ma być tchórzostwo? - zganił ją MacDonald.

- Pan mi nie odpowiedział na pytanie - zarzuciła mu przez łzy.

- Jestem górale, panno Beresford - odrzekł MacDonald powoli. - Odziedziczyłem zdolności moich przodków, zdolności, których czasami wolałbym nie mieć, ale niestety mam. Widzę to, co stanie się jutro czy pojutrze. Nie zawsze, ale czasami widzę. Tego nie można przywołać siłą woli, to przychodzi samo. Przez ostatnie kilka lat wiele razy przewidywałem, co się stanie, a obecny tu pan Carter może pani potwierdzić, że nigdy się nie pomyliłem. - Pierwszy raz o czymś takim słyszałem, kłamał równie dobrze jak ja. - Wszystko się dobrze skończy.

- Naprawdę pan tak myśli? Naprawdę? - W jej głosie i oczach pojawiła się nadzieja. Powolny, miarowy głos MacDonalda, ta kamienna powaga w jego oczach pośród spalonej przez słońce twarzy napawały zaufaniem, niewzruszoną wiarą. Oto, pomyślałem, byłby wyśmienity sprzedawca.

- Ja nie myślę, panno Beresford. - Znów poważny uśmiech. - Ja wiem. Nasze kłopoty już się prawie kończą. Niech pani zrobi to, co ja... postawi ostatni grosz na pana Cartera.

Nawet mnie udało mu się przekonać. Ja także wiedziałem, że wszystko skończy się świetnie, póki nie przypomniałem sobie, od kogo to zależy. Ode mnie. Podałem Susan chusteczkę i rzekłem:

- Idź, powiedz Archiemu o tej pracy.

- Nie powierysz chyba życia czemuś takiemu? - W głosie Susan brzmiała panika, twarz miała wykrzywioną z przerażenia, gdy patrzyła, jak zawiązuję linę dookoła pasa. - Przecież ona jest cieńsza od mojego małego palca. - Nie dziwiłem się jej - cienka, potrójnie skręcona linka, nie grubsza od sznura na bieliznę, nie miała na celu wzbudzać w ludziach zaufania. We mnie też go nie wzbudzała, mimo że znałem jej właściwości.

- To nylon, proszę pani - pocieszył ją MacDonald. - Takiej samej liny używają alpiniści... a nie sądzi pani chyba, że powierzaliby życie czemuś, do czego nie mają całkowitego zaufania? Można by na niej zawiesić samochód, a i tak by nie pękła. - Susan posłała mu spojrzenie, jakby chciała powiedzieć: „tobie to dobrze gadać, to nie twoje życie od tego zależy”, zagryzła wargę i nic nie odrzekła.

Była dokładnie północ. Jeżeli właściwie odczytałem tablicę zegara „Tornado”, to maksymalne opóźnienie, na jakie można było je nastawić, wynosiło sześć godzin. Zakładając, że spotkanie z „Ticonderogą” nastąpi dokładnie o piątej rano, przed wybuchem musiała minąć jeszcze co najmniej godzina, żeby Carreras mógł odpłynąć wystarczająco daleko. A więc „Tornado” można było nastawić dopiero po północy.

Wszystko było gotowe. Ostrożnie zamknęliśmy od wewnątrz drzwi izby chorych kluczem, który zabrałem Tony'emu Carrerasowi, aby żaden z dwóch strażników nie wpadł do nas nieoczekiwanie w samym środku akcji. Zresztą, gdyby nawet powzięli jakieś podejrzenia i sforsowali drzwi, to MacDonald miał pistolet.

Bosman siedział teraz na szczycie mojego łóżka, koło okna. Marston i ja musieliśmy go tam przenieść - lewą nogę miał całkowicie bezużyteczną. I on, i ja dostaliśmy zastrzyk przeciwbólowy od doktora Marstona - przy czym mój był tym razem dwukrotnie silniejszy niż poprzedniej nocy - ale MacDonald nie musiał używać nogi, jedynie ramion i barków, a z ramionami i barkami MacDonalda było wszystko w porządku. Były najsilniejsze na „Campari”. Miałem uczucie, że tej nocy będzie mi potrzebna cała ich siła. Tylko bosman znał moje zamiary. Tylko on wiedział, że zamierzam wrócić tą samą drogą, którą wyjdę. Inni wierzyli w mój samobójczy atak na mostek, wierzyli, że jeżeli mi się powiedzie, to wrócę przez drzwi. Ale nie wierzyli, że w ogóle wrócę. Ogólny nastrój nie był specjalnie radosny.

Bullen nie spał; leżał w milczeniu na plecach, z ponurym wyrazem twarzy.

Miałem na sobie ten sam garnitur, co poprzedniej nocy. Wciąż jeszcze był wilgotny, wciąż przesiąknięty krwią. Nie założyłem butów. W jednej kieszeni miałem nóż, w drugiej zawiniętą w ceratę latarkę, na twarzy maskę, a na głowie kaptur. Bolała mnie noga, czułem się jak po ciężkim ataku grypy, a gorączka wciąż mnie trawiła. A jednak byłem zdecydowany jak nigdy.

- Światło - rzuciłem do doktora Marstona.

Pstryknął kontakt i w izbie chorych zapanowały grobowe ciemności. Odsunąłem zasłony, otworzyłem okno i zabezpieczyłem je przed zamknięciem. Wystawiłem głowę na zewnątrz.

Padła ciężki, równomierny deszcz, zimny, ulewny deszcz, zacinający od północnego zachodu, padający przez okno na łóżko. Niebo było czarne, bezgwiazdne. „Campari” wciąż nieco się kiwał, przechylał, ale to było nic w porównaniu z poprzednią nocą. Rozwijał szybkość około dwunastu węzłów. Przekręciłem głowę i popatrzyłem w górę. Nikogo nie było. Wysunąłem się jak najdalej i wyjrzałem w kierunku rufy i dziobu. Jeżeli na „Campari” paliły się tej nocy jakieś światła, to ja ich nie widziałem.

Wsunąłem się do środka, wziąłem zwój nylonowej liny, sprawdziłem, że jest przywiązana do nogi żelaznego łóżka, i wyrzuciłem ją w ciemność i deszcz za oknem. Ostatni raz sprawdziłem węzeł na linie dookoła mojego pasa - to była ta lina, którą bosman trzymał w dłoniach - i oświadczyłem:

- Wybywam.

Jak na pożegnalną przemowę mogło to wypaść lepiej, ale w tym momencie nie mogłem wymyślić nic bardziej sensownego.

- Powodzenia, mój chłopcze - rzekł Bullen. Gdyby wiedział, co naprawdę zamierzam, miałby mi dużo więcej do powiedzenia. Marston mruknął coś, czego nie dosłyszałem. Susan nic nie powiedziała. Przecisnąłem się przez okno, przekładając najpierw zranioną nogę, i znalazłem się na zewnątrz, oparty łokciami o parapet. Raczej wyczuwałem niż widziałem bosmana przy oknie, gotowego do popuszczenia opasującej mnie liny.

- Archie -szepnąłem. - Powtórz to jeszcze raz. To, że wszystko się dobrze skończy.

- Wrócisz do nas, zanim się obejrzyysz - powiedział radośnie. - Leć i przynieś z powrotem mój nóż.

Namacalem linę przywiązaną do łóżka, złapałem ją oburącz, zdjąłem łokcie z parapetu i szybko zacząłem się opuszczać, ręka za ręką, w miarę jak MacDonald popuszczał moją linę sygnałową. Pięć sekund później znalazłem się w wodzie.

Woda była ciemna, zimna i zaparła mi dech w piersiach. Po ciepłe panującym w izbie chorych, szok spowodowany niemal natychmiastową zmianą temperatury, jej spadkiem, dosłownie paraliżował. Mimowolnie puściłem na chwilę linę, wpadłem w panikę, gdy zrozumiałem, co się stało, pomacałem ręką dookoła i odnalazłem ją. Na górze bosman spisywał się znakomicie - nagły wzrost ciężaru, gdy zgubiłem linę sygnałową, musiał go niemal wyciągnąć za okno.

Jednak to nie zimno było najgorsze. Jeżeli się przeżyje początkowy szok, to do pewnego stopnia można znieść chłód, przyzwyczać się do niego, choć nie pogodzić; natomiast do mimowolnego łkania co kilka sekund wody morskiej nie można się przyzwyczać, to jest nie do zniesienia. A ja właśnie zachłystywałem się słoną wodą.

Wiedziałem, że dać się holować na linie za statkiem rozwijającym dwanaście węzłów to będzie średnia przyjemność, ale nigdy nie przypuszczałem, że będzie aż tak źle. Czynnikiem, którego nie wziąłem pod uwagę, były fale. Przez moment twarzą w dół szybowałem po grzbiecie fali, by po chwili, kiedy fala przewali się pode mną, znaleźć się całkiem ponad wodą i runąć w dół, wbijając się we wznoszącą się ścianę wody z brutalnym wstrząsem, który zapierał mi dech w piersiach. A wówczas moje ciało natychmiast nakazywało mi zaczerpnąć świeżego powietrza. Takiego rozkazu nie sposób zignorować. Tyle tylko, że mając twarz zanurzoną w morzu, nie chwytałem powietrza, chwytałem pokaźne ilości słonej wody.

Miałem wrażenie, że ktoś wciska mi wodę do gardła przez podłączony do sprężarki gumowy wąż. Wirowałem, podskakiwałem, obracałem się i skręcałem dokładnie tak, jak ryba na haczyku, wyciągana na powierzchnię przez wędkarza w pędzącej motorówce. Tonąłem powoli, lecz skutecznie.

Byłem pokonany jeszcze nim zacząłem. Wiedziałem, że muszę wracać, i to natychmiast; zachłystywałem się i krztusiłem morską wodą, miałem jej pełno w ustach, brzuchu, paliła mi gardło i nos. Wiedziałem, że dochodzi mi już do płuc.

Ustaliliśmy uprzednio system sygnałów, więc zacząłem ciągnąć zawzięcie za linę przewiazaną wokół mojego pasa, trzymając się lewą ręką drugiej liny. Powoli, systematycznie, szarpnąłem z sześć razy, a kiedy nie otrzymałem odpowiedzi, zacząłem ciągnąć z zapamiętaniem, z rozpaczą. Bez skutku. Kołysałem się w górę i w dół tak gwałtownie, że MacDonald mógł odczuć jedynie nieustanne, nieregularne szarpnięcia, gdy lina naprężała się i zwalniała. Nie było sposobu, żeby odróżnić jedno szarpnięcie od drugiego.

Próbowałem wciągnąć się po linie z powrotem, lecz było to niewykonalne wobec miażdżącego naporu wody, jaki wytwarzało przebijające się przez wzburzone morze „Campari”. Kiedy napięcie na opasującej mnie linie opadało, musiałem zbierać wszystkie siły, by utrzymać się na linie sygnałowej i nie dać się porwać. Z całą siłą i desperacją, jakie we mnie tkwiły, starałem się przesunąć do przodu choćby o centymetr. Ale nawet to przerastało moje siły. Wiedziałem, że długo już tak nie wytrzymam.

Ratunek nadszedł całkiem przypadkowo, to nie była moja zasługa. Jedna szczególnie wielka fala odwróciła mnie na plecy i w tej pozycji uderzyłem w następną grzbietem. Nastąpiło nieuchronne, wybuchowe wypuszczenie powietrza z płuc, równie nieuchronne zaczerpnięcie świeżego powietrza... lecz tym razem stwierdziłem, że mogę oddychać. Do moich płuc wpadło powietrze, nie woda. Mogłem oddychać! Leżąc w ten sposób, na pół wyciągnięty z wody dzięki trzymaniu się liny sygnałowej i z głową przygiętą niemal do klatki piersiowej, miałem twarz ponad wodą i mogłem oddychać.

Nie traciłem czasu, lecz szybko przesuwalem dłoń za dłonią po linie sygnałowej, w miarę jak MacDonald zwalniał tę, którą byłem opasany. Wciąż jeszcze połykałem nieco wody, ale to już nie miało znaczenia.

Po mniej więcej piętnastu sekundach puściłem jedną ręką linę sygnałową i zacząłem macać po burcie statku, w poszukiwaniu tej, którą zeszej nocy spuściłem za burtę. Lina sygnałowa ślizgała się teraz w mojej prawej dłoni i - ponieważ była mokra - paliła mi skórę. Nie zwracałem na to uwagi. Musiałem znaleźć tę linę, którą przywiązałem do słupka relingu - gdybym jej nie znalazł, to byłby koniec. Nie tylko przepadłyby nadzieje na zrealizowanie mojego planu, lecz byłby to także koniec ze mną. MacDonald i ja musieliśmy działać przy założeniu, że ona tam będzie i że nie będzie mnie wyciągał, zanim nie dostanie wyraźnego sygnału. Tymczasem, jak stwierdziłem, przesłanie wyraźnego sygnału z wody było niemożliwe. Gdybym nie znalazł tej liny, to włókłbym się za statkiem, póki bym nie utonął. Nie trwałoby to długo. Woda, którą połknąłem, gwałtowne uderzenia fal, ciosy, jakie zarobiłem, objając się wielokrotnie o stalowe burty „Campari”, upływ krwi i moja zraniona noga - wszystko to zbierało swe przerażające żniwo i byłem niebezpiecznie słaby. To by długo nie trwało.

Lewą dłonią namacałem linę z konopi. Chwyliłem ją, jak tonący chwyta ostatnią słomkę na bezkresnym oceanie.

Przełożyłem linę sygnałową pod tę, którą byłem opasany, i podciągnąłem się na konopnej, aż znalazłem się ponad wodą. Okręciłem zdrową nogę liną i zawisłem na niej, chwytając powietrze jak zziębnięty pies, drżąc i wymiotując, wyrzucając z siebie całą nagromadzoną w żołądku słoną wodę. Wreszcie poczułem się lepiej, choć nadal byłem bardzo osłabiony. Zacząłem się wspinać.

Nie miałem przed sobą długiej drogi, z siedem metrów, ale nie zrobiłem jeszcze pół metra, a już pożałowałem gorzko, że poprzedniej nocy nie poszedłem za pierwszym impulsem i nie zawiązałem na tej linie węzłów. Była mokra, śliska, i musiałem ją ciągnąć z całych sił. A sił mi już brakowało. Moje ramiona były wyczerpane długotrwałym, desperackim trzymaniem się liny sygnałowej. Moje barki były równie obolałe. A nawet gdy udawał mi się dobry chwyt, gdy moje słabnące dłonie nie ześlizgiwały się pod moim ciężarem, posuwałem się zaledwie po pięć, siedem centymetrów na raz. Nie więcej. Za jednym zamachem tylko tyle mogłem się podciągnąć.

Nie mogło mi się udać - rozum, instykt, logika, zdrowy rozsądek mówiły mi, że nie może mi się udać. A jednak udało się. Ostatni odcinek to był zupełny koszmar - wspinałem się pięć centymetrów, zjeżdżałem trzy, znów się wspinałem, i w ten sposób pełzałem pod górę. Niecały metr od szczytu zatrzymałem się. Z wysiłku ręce mi drżały jak w ataku malarii, ramiona paliły mnie z bólu. Podciągnąłem się, aż miałem oczy na jednym poziomie z dłońmi. Pomimo niemal absolutnej ciemności widziałem lekką, bladą plamę moich zaciśniętych kostek. Wisiałem tak przez sekundę, po czym wyrzuciłem do góry prawą dłoń. Gdybym nie trafił na listwę luku odpływowego... ale musiałem trafić. Nie miałem już siły, drugi raz nie zdobyłbym się na taki wyczyn.

Trafiłem. Zaciśnąłem na listwie środkowy palec i natychmiast obok niego pojawiła się moja druga dłoń. Zdesperowany, szukałem najniższego szczebla relingu, musiałem go znaleźć, i to natychmiast, inaczej bym spadł do morza. Trafiłem na szczebel, uchwyciłem go oburącz, szarpnąłem się na prawo, aż zahaczyłem zdrową nogą o listwę luku, chwyciłem za poręcz relingu i ni to przeciągnąłem się, ni to prześliznąłem nad nią, opadając ciężko po drugiej stronie.

Nie wiem, jak długo tam leżałem. Moje wymęczone mięśnie gwałtownie drgały, chrapliwie chwytałem powietrze, zaciskając zęby z bólu, który palił mi ramiona i barki. Próbowałem nie dopuścić, by czerwona mgła przed oczami całkowicie mnie pochłonęła. Mogło to trwać dwie minuty, mogło trwać dziesięć. W tym czasie znów gwałtownie zwymiotowałem. Aż wreszcie powoli, niezmiernie powoli ból zelżał, zacząłem oddychać wolniej, a mgła przed moimi oczami rozpląnęła się. Mimo to nie mogłem opanować drżenia. Miałem szczęście, że nie czyhał tam na mnie żaden pięciolatek - mógłby mnie zepchnąć za burtę nie wyjmując rąk z kieszeni.

Zdrętwiałymi, drżącymi, niemal bezwładnymi dłońmi odwiązałem opasujące mnie liny, przywiązałem je do słupka ponad liną z konopi, naciągnąłem linę sygnałową, aż się naprężyła, i bez pośpiechu szarpnąłem gwałtownie trzy razy. Po kilku sekundach poczułem odpowiedź - trzy wyraźne szarpnięcia. Teraz wiedzieli, że mi się udało. Miałem nadzieję, że ich samopoczucie jest lepsze od mojego. O to nie było trudno.

Siedziałem tam przynajmniej pięć minut, czekając aż odzyskam nieco sił, a następnie wstałem chwiejnie i ruszyłem przez pokład do czwartej ładowni. Brezent na przednim rogu od prawej burty wciąż był przywiązany. Znaczyło to, że na dole nikogo nie ma. Ale nie spodziewałem się, żeby ktoś już tam był.

Wyprostowałem się, rozejrzałem i znieruchomiałem, a ulewny deszcz spływał po mojej mokrej masce i przemoczonym ubraniu. Nie dalej niż pięć metrów ode mnie, od strony rufy, dostrzegłem w ciemności czerwony błysk, który zaraz zniknął. Minęło dziesięć sekund i błysk znowu się pojawił. Słyszałem, że istnieją wodoodporne papierosy, lecz chyba nie do tego stopnia. A jednak ktoś palił papierosa, co do tego nie miałem wątpliwości.

Ruszyłem w kierunku czerwonego błysku lekko jak opadający puch, tyle że ciszej. Wciąż jeszcze miałem dreszcze, ale dreszczy nie słycać. Dwukrotnie zatrzymałem się, by ocenić kierunek i odległość, dzielącą mnie od jarzącego się papierosa, aż wreszcie zatrzymałem się nie dalej niż trzy metry od niego. Chyba zupełnie przestałem myśleć, inaczej nigdy bym się

na coś takiego nie odważył. Jeden przypadkowy ruch latarką i byłoby po mnie. Nikt jednak nie zapalił latarki.

Czerwony błysk znów się pojawił, a ja stwierdziłem, że palacz nie stał na deszczu. Stał pod daszkiem z brezentu, wielkiego brezentu, okrywającego jakiś, wielki przedmiot. Działo, oczywiście że to było działo, które Carreras kazał zamontować na pokładzie rufowym, a brezent miał chronić mechanizm przed deszczem i zakrywać go, na wypadek gdyby w dzień przepływał obok nas jakiś statek.

Usłyszałem pomruk głosów. To nie palacz - jeszcze dwaj inni ludzie kucali pod osłoną brezentu. A więc było ich tam trzech. Trzech ludzi pilnujących działa. Carreras niewątpliwie nie chciał ryzykować. Ale dlaczego przydzielił do tego aż trzech ludzi? Nagle zrozumiałem. Carreras nie żartował, mówiąc, że podejrzewa kogoś o spowodowanie śmierci swojego syna. Podejrzewał to, lecz jego chłodny, logiczny umysł podpowiedział mu, że nie mógł tego zrobić nikt z załogi ani z pasażerów „Campari”. Jeżeli jego syn został zabity, to musiał go zabić jeden z jego własnych ludzi. Zdrajca, który raz zabił, mógł znów uderzyć, mógł się pokusić o zniweczenie jego planów. Stąd też potrójne straże. Mieli się nawzajem pilnować.

Odszedłem. Okrążyłem luk i skierowałem się do magazynu bosmana. Poszperałem dookoła w ciemności, znalazłem ciężki marspikiel i ruszyłem dalej, z marspikiem w jednej dłoni i nożem MacDonalda w drugiej. W kabinie doktora Caroline panowała ciemność. Byłem pewien, że zasłony są odsunięte, lecz nie dotykałem latarki. Susan mówiła, że ludzie Carrerasa waleśali się tej nocy po pokładzie - nie warto było ryzykować. Jeżeli doktor Caroline nie zszedł jeszcze do czwartej ładowni, to mógł być tylko w jednym miejscu - we własnym łóżku, ze skrępowanymi rękami i nogami.

Wspiąłem się na następny pokład i ruszyłem do kabiny radiowej. Mój oddech i tętno wróciły już do normy, dreszcze ustały i czułem, jak powoli do moich barków i ramion powraca siła. Oprócz bólu w szyi, w miejscu, nad którym pracował facet z workiem piasku i Tony Carreras, jedyny ból, jaki odczuwałem, pochodził z lewego uda, gdzie słona woda przedostała się do rany. Gdyby nie środek znieczulający, odstawiłbym taniec wojenny. Oczywiście na jednej nodze.

Kabina radiowa była pogrążona w ciemności. Przysunąłem ucho do drzwi, starając się wyłowić jakieś dźwięki, i właśnie delikatnie wyciągałem rękę do klamki, gdy omal nie dostałem ataku serca. Nie dalej niż piętnaście centymetrów od miejsca, do którego przyciskałem ucho, rozległ się metaliczny, głośny dzwonek telefonu. Poderwałem się i zeszywniałem, przez całe pięć sekund żona Lota nie mogłaby się ze mną równać, lecz zaraz cicho jak kot schowałem się w cieniu jednej z szalup.

Usłyszałem niewyraźny pomruk, gdy ktoś rozmawiał przez telefon, zobaczyłem, że w kabinie radiowej zapala się światło i wychodzi z niej mężczyzna. Zanim zgasił światło, dostrzegłem dwie rzeczy: ujrzałem, jak wyjmuje z prawej kieszeni klucz, oraz przekonałem się, kto to jest - ten artysta od pistoletu maszynowego, który zabił Tommy'ego Wilsona i skosił nas wszystkich. Jeżeli miałem tej nocy wyrównać jeszcze jakieś rachunki, pomyślałem ponuro, to właśnie z nim.

Zamknąłem drzwi na klucz i ruszył do trapu prowadzącego na pokład „A”. Poszedłem za nim do szczytu schodów i zatrzymałem się. U stóp trapu, tuż przed kajutą doktora Caroline, stał następny mężczyzna, z zapaloną latarką w dłoni. W odbitym od grodzi świetle zobaczyłem, kto to jest. Carreras we własnej osobie. Obok niego stało jeszcze dwóch mężczyzn. Nie mogłem ich rozpoznać, ale byłem pewny, że jednym z nich jest doktor Caroline. Przyłączył się do nich telegrafista i czterej mężczyźni ruszyli ku rufie. Nie miałem zamiaru ich śledzić. Wiedziałem, dokąd idą.

Dziesięć minut. Podaly to stacje radiowe po zniknięciu „Tornado”. Było tylko dwóch ludzi, którzy mogli uzbroić „Tornado”, i nie można było tego zrobić szybciej niż w dziesięć minut. Zastanawiałem się, czy Caroline wie, że pozostało mu tylko dziesięć minut życia. A

mnie ten czas musiał wystarczyć na wykonanie tego, co miałem do wykonania, To nie było dużo.

Latarka Carrerasa jeszcze nie zniknęła z widoku, a już schodziłem po trapie. Przebyłem trzy czwarte drogi na dół i zastygłem w bezruchu na trzecim stopniu od dołu. Dwaj ludzie - w tym ulewnym deszczu ich czarne, majaczące sylwetki były ledwie dostrzegalne, ale z pomruku głosów zorientowałem się, że jest ich dwóch - zbliżali się do stóp trapu. Uzbrojeni we wszechobecne automaty, które, jak się zdawało, były standardowym wyposażeniem ludzi generalissimusa.

Byli już u stóp trapu. Czułem, jak od ściskania marspikla i otwartego noża bolą mnie ręce, lecz oni nagle zbczyli na prawo, obok trapu. Mogłem ich dotknąć. Widziałem ich teraz wyraźnie, wystarczająco wyraźnie, by dostrzec, że obaj nosili brody. Gdybym nie miał maski na twarzy i kaptura na głowie, to musieliby zauważyć biel mojej skóry. Jak to się stało, że mnie nie zobaczyli, stojącego na trzecim stopniu, nie mam pojęcia. Jedyne wytłumaczenie, jakie mi przyszło do głowy, to to, że pochylali głowy przed zacinającym deszczem.

Po chwili byłem już w centralnym korytarzu prowadzącym do pomieszczeń „A”. Nie wysunąłem głowy zza rogu, by sprawdzić, czy droga jest czysta: po tej ucieczce doszedłem do wniosku, że nic się nie stanie, jeżeli wejdę wprost do środka. Korytarz był pusty.

Pierwsze drzwi na prawo, naprzeciw apartamentu doktora Caroline, prowadziły do apartamentu Carrerasa. Spróbowałem je otworzyć. Zamknięte. Przeszedłem korytarzem do miejsca, gdzie Benson, nasz zmarły ochmistrz, miał swoją kabinę, z nadzieją, że luksusowy dywan jest wystarczająco chłonny, by wsiąkła w niego cała spływająca ze mnie kaskadami woda. White, następca Bensona, dostałby palpitanii, gdyby zobaczył zniszczenia, jakie spowodowałem.

Klucz uniwersalny do kabin pasażerskich leżał jak zwykle w skrytce. Wziąłem go, wróciłem do kabiny Carrerasa i wszedłem do niej, zamykając za sobą drzwi.

W apartamencie było jasno - Carreras zapewne nie zawracał sobie głowy gaszeniem świateł, to nie on płacił za elektryczność. Przeszedłem przez kabinę, piętą otwierając wszystkie drzwi na oścież. Nic? Nikogo. Przeżyłem ciężkie chwile, kiedy po wejściu do sypialni Carrerasa ujrzałem zakapturzoną, skurczoną, ociekającą wodą postać, z rękami zaciśniętymi na broni, wielkimi wytrzeszczonymi oczyma i spływającą po lewej stronie twarzy krwią. Moje odbicie w lustrze. Oglądałem już piękniejsze widoki. Nie wiedziałem, że się zraniłem, to pewnie w rezultacie któregoś z licznych uderzeń o burtę „Campari” otworzyła mi się rana na głowie.

Carreras pochwalił się, że ma w swojej kabinie dokładny plan rozmieszczenia ładunku na „Forcie Ticonderoga”. Zostało dziewięć minut, może mniej. Gdzież on, na miłość boską, mógł schować ten plan? Przejrzałem jego stoliki, garderoby, szuflady, szafy, zajrzałem pod stół. Nic. Nic. Siedem minut.

Gdzie, gdzie on go schował? Myśl, Carter, na litość boską, myśl. Może Caroline potrafi nastawić „Tornado” szybciej niż przypuszczano. Skąd wiadomo, że - jak podawały komunikaty - potrzeba na to dziesięciu minut? Jeżeli „Tornado” było okryte taką tajemnicą - zanim go nie skradziono, było tak ściśle tajne, że nikt poza garstką wojskowych nie wiedział o jego istnieniu - to skąd wiadomo, że nastawienie go zajmuje dziesięć minut? Jak to możliwe? Może trzeba było tylko przekręcić coś w jedną stronę, w drugą. Może on już skończył. Może...

Odsunąłem te myśli na bok, wybiłem je sobie z głowy, zniszczyłem je bezlitośnie. Tak zaczynała się panika i porażka. Stałem jak kamień, zmuszając się do myślenia, spokojnie, bez emocji. Zajrzałem we wszystkie oczywiste miejsca. Ale czy powinienem zaglądać w oczywiste miejsca? W końcu sprawdziłem tę kabinę bardzo starannie w poszukiwaniu radia i nie znalazłem żadnych śladów. Musiał to schować, oczywiście, że schował. Nie mógł ryzykować, że ktoś to odkryje przez przypadek, chociażby steward, do którego, obowiązków,

zanim ludzie Carrerasa opanowali statek, należało codzienne sprzątanie kabin. Teraz, oczywiście, stewardzi już nie sprząтали, ale zapewne nie wyjmował tego planu od czasu napadu. Gdzie mógł go schować, tak żeby steward go nie znalazł?

To eliminowało wszystkie meble, wszystkie miejsca, na które traciłem czas. Eliminowało także łóżko, pościel, materace... ale nie dywan! Idealna skrytka na ukrycie arkusza papieru!

Niemal rzuciłem się na dywan w sypialni. Dywany w pomieszczeniach na „Campari” były przymocowane zatrzaskami, aby łatwo dawały się zdejmować. Chwyciłem za róg dywanu przy drzwiach, odpiąłem z tuzin zatrzasków i znalazłem go, kilka centymetrów od brzegu. Był to niewielki arkusz impregnowanego papieru, złożony we czworo, z napisem w jednym rogu: „TES «Fort Ticonderoga» ŚCIŚLE TAJNE”. Zostało mi pięć minut.

Patrzyłem na papier, aż zapamiętałem dokładnie jego położenie w stosunku do dywanu, podniosłem go i rozłożyłem. Był to schemat „Ticonderogi”, z kompletnym planem rozmieszczenia ładunku. Ale mnie interesował tylko ładunek pokładowy. Plan przedstawiał skrzynie, zarówno te ustawione na pokładzie dziobowym, jak i rufowym. Dwadzieścia skrzyń na dziobie zaznaczono czerwonym krzyżykiem. To te ze złotem.

Drobnym, starannym pismem Carreras zanotował na marginesie: „Wszystkie skrzynie ładunku pokładowego są identyczne. Złoto znajduje się w wodoszczelnych, spawanych stalowych pudłach, obłożonych kapokiem, by na wypadek zatonięcia statku mogły się unosić na wodzie. W każdej skrzyni znajduje się żółta farba wodna”. Przypuszczałem, że chodzi tu o jakiś związek chemiczny, który w kontakcie ze słoną wodą zabarwiłby morze na dużym obszarze. Czytałem dalej: „Skrzynie ze złotem nie do odróżnienia od pozostałych. Wszystkie skrzynie mają stemple ZAKŁADY ELEKTRONICZNE HARMSWORTH & HOLDEN. Napis głosi, że zawierają generatory i turbiny. Ładunek na dziobie, wyłącznie turbiny, przeznaczony do Nashville, w Tennessee. Ładunek na rufie, wyłącznie generatory, przeznaczony do Oak Ridge, w Tennessee. Tak jak oznakowano. Pierwsze dwadzieścia skrzyń na pokładzie dziobowym zawiera złoto”.

Nie śpieszyłem się. Czas naglił straszliwie, lecz nie śpieszyłem się. Studiowałem plan, który dokładnie zgadzał się z notatkami Carrerasa. Te notatki przeglądałem tak długo, aż byłem pewny, że nie zapomnę ani słowa. Złożyłem i schowałem plan dokładnie tak, jak go znalazłem, zacisnąłem zatrzaski dywanu, szybko przeszedłem przez kabiny, by sprawdzić, czy nie zostawiłem śladów swojej obecności. Żadnych śladów nie zauważyłem. Zamknąłem drzwi i wyszedłem.

Zimny, rześisty deszcz był teraz silniejszy, zacinął od lewej burty, bębniąc metalicznie o grodzie pomieszczeń pasażerskich i odbijając się na wysokość kostek od polerowanych drewnianych pokładów. Założyłem, że strażnicy Carrerasa, chroniąc się przed deszczem, będą stali na prawej burcie, toteż idąc ku rufie trzymałem się przeciwnej strony. Miałem na sobie skarpetki, maskę i kaptur, więc nikt by mnie nie usłyszał ani nie zobaczył z odległości większej niż metr. Nikt mnie nie widział ani nie słyszał, ja nie widziałem ani nie słyszałem nikogo. Nie starałem się nasłuchiwać, wypatrywać czy stosować innych środków ostrożności. Dwie minuty po opuszczeniu kabiny Carrerasa dotarłem do ładowni numer cztery.

Nie musiałem się śpieszyć. Carreras nie zadał sobie trudu, by naciągnąć brezent, który przed wejściem musiał odwiązać, aby usunąć uszczelki, toteż mogłem zajrzeć na samo dno ładowni. Było tam czterech ludzi. Dwóch trzymało zapalone silne lampy elektryczne, Carreras miał w opuszczonej dłoni pistolet. Koścista, zgarbiona sylwetka doktora Caroline, wciąż noszącego tę śmieszłą, przekrzywioną perukę, pochylała się nad „Tornadem”. Nie mogłem dojrzeć, co robi.

Była to scena niczym z dziewiętnastowiecznej ryciny, przedstawiającej okradanie grobowca. Grobowa czeluść ładowni, trumny, lampy, atmosfera lęku, pośpiechu i koncentracji, tworzące złowrogi, konspiracyjny nastrój sceny - były tam wszystkie te elementy. A przede wszystkim było napięcie, elektryzujące napięcie, którego pulsowanie w

tej ciemnej nocy można było niemal wyczuć. Lecz napięcie to wpływało nie z obawy, że ktoś ich może nakryć, lecz z faktu, że w każdej sekundzie może nastąpić nieodwracalny kataklizm. Jeżeli nastawienie „Tornada” zabierało dziesięć minut, a jak widać trwało to jeszcze dłużej, musiała to być trudna i skomplikowana operacja. A umysł doktora Caroline, jak łatwo było przewidzieć, nie nadawał się teraz do trudnych i skomplikowanych operacji - doktor był pewnie zdenerwowany, przerażony, ręce miał niepewne, pracował przypuszczalnie bez odpowiednich narzędzi, na chwiejnym pokładzie, w migotliwym świetle latarek, i chociaż nie sądziłem, żeby był na tyle zdesperowany czy głupi, by nas wysadzić z premedytacją, to jednak wydawało mi się, a na pewno tak samo wydawało się ludziom na dole, że istnieje realne niebezpieczeństwo, iż ręka mu się obsunie. Instynktownie cofnąłem się o kilka kroków, aż obramowanie luku przesłoniło mi widok. Nie widziałem już „Tornada”, byłem więc bezpieczny, gdyby wybuchło.

Wstałem i z uwagą kilkakrotnie okrążyłem luk. Najpierw z bliska, potem z daleka. Carreras nie wystawił tam żadnych czujek: wyglądało na to, że - poza strażnikami pilnującymi działa - pokład rufowy jest zupełnie wyludniony. Wróciłem pod lewy dziobowy róg luku i usiadłem w oczekiwaniu.

Miałem nadzieję, że nie będę musiał czekać zbyt długo. Woda morska była zimna, deszcz był zimny, wiatr był zimny, byłem przemoczony do suchej nitki i co chwila opadały mnie narastające fale dreszczy, dreszczy, których nie byłem w stanie opanować. Miałem wysoką gorączkę. Możliwe, że moje dreszcze miały coś wspólnego z wizją obsuwającej się ręki doktora Caroline, lecz tak czy inaczej powinienem się cieszyć, gdyby udało mi się z tego wyjść bez zapalenia płuc.

Po dalszych pięciu minutach znów zająłem ostrożnie w głąb ładowni. Wciąż pracowali. Wstałem, przeciągnąłem się i zacząłem spacerować cicho tam i z powrotem, aby zwalczyć sztywność i odrętwienie, które chwyciło moje ciało, a przede wszystkim nogi. Jeżeli sprawy miały się potoczyć tak, jak oczekiwałem, to nie mogłem sobie pozwolić na odrętwienie.

Jeżeli sprawy miały się potoczyć tak, jak oczekiwałem. Po raz trzeci zająłem do ładowni i tym razem zamarłem w bezruchu. Doktor Caroline skończył. Pod baczny okiem i pistoletem radiotelegrafisty przykręcał wieko z mosiężną tabliczką do trumny, podczas gdy Carreras i jeszcze jeden człowiek zdjęli już wieko następnej trumny i pochylali się nad nią. Pewnie łączyli konwencjonalne środki wybuchowe. Przypuszczalnie miały służyć na wypadek, gdyby „Tornado” nie wypaliło, lub - co bardziej prawdopodobne - na wypadek, gdyby zepsuł się zegar „Tornada” i wówczas miały spowodować jego wybuch. Nie wiedziałem tego, tylko się domyślałem. Jednak w tym momencie nie martwiło mnie to w najmniejszym stopniu. Nadszedł krytyczny moment.

Krytyczny dla doktora Caroline. Wiedziałem - on także musiał wiedzieć - że nie mogą go pozostawić przy życiu. On już zrobił, co do niego należało. Nie był im więcej potrzebny. Teraz już mógł zginąć w każdej chwili. Gdyby mu przystawili pistolet do głowy i zastrzelili go tak jak stał, to nie mógłbym nic zrobić. Nawet bym nie próbował nic zrobić. Musiałbym stać w milczeniu, nie ruszając się i nie protestując, patrząc, jak umiera. Ponieważ gdybym pozwolił umrzeć doktorowi Caroline, tylko on by umarł; gdybym jednak próbował go ratować, i nie udało by mi się - a mając tylko marspikiel przeciwko dwóm pistoletom maszynowym i jednemu samopowtarzalnemu, szanse porażki były stuprocentowe - zginąłby nie tylko doktor Caroline, lecz także wszyscy pasażerowie i cała załoga „Campari”. Mniejsze zło... Zastrzelą go tam na dole, czy dopiero na pokładzie?

Logika nakazywałaby zastrzelić go na pokładzie. Carreras miał korzystać z „Campari” jeszcze przez kilka dni i nie chciałby trzymać przez cały ten czas trupa w ładowni, a nie było sensu zabijać go tam, a potem wynosić na górę, skoro on mógł wyjść sam, o własnych siłach, by dać się zlikwidować na górze. Na miejscu Carrerasa tak właśnie bym rozumował.



On też to tak wymyślił. Caroline dokręcił ostatnią śrubę, odłożył śrubokręt i wyprostował się. Ujrzałem jego twarz: białą, napiętą. Jednym okiem mrugał mimowolnie.

- *Señor Carreras?* - powiedział telegrafista.

Carreras wyprostował się, odwrócił, popatrzył na niego i na Caroline'a i skinął głową.

- Zabierz go do kabiny, Carlos. Potem się tu zamelduj.

Odsunąłem się szybko, gdy promień latarki powędrował pionowo w górę. Carlos już wchodził po drabince. „Potem się tu zamelduj”. Boże, nigdy nie pomyślałem o tak oczywistej możliwości! Przez moment, owładnięty paniką, zaciskałem ręce na mojej żaloznej broni, niezdecydowany, sparaliżowany w myślach i w czynach. Nie mając do tego najmniejszych podstaw, wbiłem sobie do głowy, że uda mi się załatwić kata Caroline'a bez wzbudzenia podejrzeń. Gdyby Carlos, radiotelegrafista, miał rozkaz załatwić nieoczekiwanie Caroline'a w drodze na dziób i zanieść go potem do kabiny radiowej, to mógłbym się go pozbyć i minęłyby godziny, nim Carreras by nabrał podejrzeń. Teraz jednak jego rozkaz w rzeczywistości oznaczał: „Weź go na górę, wyrzuć za burtę i wróć do mnie, jak to załatwisz”.

W chwiejnym promieniu światła latarki, gdy Carlos żwawo wchodził po drabince, widziałem białe krople deszczu. Ja tymczasem byłem już po drugiej stronie obramowania luku, leżąc płasko na pokładzie.

Ostrożnie wysunąłem oko ponad luk. Carlos stał wyprostowany na pokładzie i świecił latarką w głąb ładowni. Zobaczyłem, jak wynurzają się białe włosy doktora Caroline, jak Carlos odsuwa się o kilka kroków i wreszcie cały Caroline ukazał się na pokładzie - wysoka, zgarbiona sylwetka, podnosząca na deszczu kołnierz płaszcza. Usłyszałem szybkie, ostre polecenie, którego nie zrozumiałem, i odeszli w przeciwnym kierunku. Caroline z przodu, Carlos za nim, oświetlając drogę latarką. Kierowali się do trapu prowadzącego na pokład „B”.

Wstałem, znieruchomiałem. Czyżby jednak Carlos zabierał go do kajuty? Czyżbym się pomylił? Czyżbym...

Nie skończyłem tej myśli. Biegłem za nimi tak szybko, tak lekko, jak na to pozwalała moja lewa noga. Oczywiście, że Carlos prowadził go w stronę trapu, gdyby go zaprowadził od razu do relingu, to Caroline natychmiast by się zorientował, co go czeka, i rzuciłby się na Carlosa z całą zagorzałą furią człowieka, który wie, że ma umrzeć.

Pięć sekund, zaledwie pięć sekund minęło od chwili, gdy zacząłem biec, do momentu gdy się z nimi zrównałem. Pięć sekund - to o wiele za mało czasu, by przemyśleć samobójcze niebezpieczeństwo z tym związane, o wiele za mało, by pomyśleć, co się stanie, jeżeli Carlos odwróci latarkę, jeżeli któryś ze strażników przy działach zobaczy naszą małą procesję, jeżeli Carreras lub jego pomocnik w ładowni wyjrzą przez luk, by sprawdzić, jak przebiega egzekucja... o wiele za mało czasu, by pomyśleć, co zrobię, gdy zrównam się z Carlosem.

Nie było mi dane rozważyć ten problem. Byłem może o metr od nich, gdy w odbitym świetle latarki dojrzałem, jak Carlos zmienia uchwyt na swoim automacie, łapie go za lufę i unosi wysoko ponad głowę. Broń osiągnęła już swój najwyższy punkt i zaczynała opadać, gdy podstawa ciężkiego marspikła, pchniętego z całą moją siłą i furią, trafiła go w kark. Usłyszałem jakiś trzask, chwyciłem automat, który wypadł z bezwładnych rąk, nim zdążył upaść na pokład, i wyciągnąłem rękę po latarkę. Za późno! Spadła na pokład z głuchym odgłosem, wytłumionym przez gumową oprawę, przetoczyła się kilka razy i zatrzymała, świecąc poza burtę statku. Carlos opadł ciężko do przodu, uderzył w Caroline'a i obaj spadli na dolne stopnie trapu.

- Cicho! - szepnąłem pośpiesznie. - Jeżeli chcesz żyć, to siedź cicho! - Dałem nura po latarkę, desperacko szukając wyłącznika. Nie mogąc go znaleźć, przytknąłem szkiełko latarki do mojej kurtki, aż wreszcie udało mi się ją wyłączyć.

- Cóż, do...

- Spokój! - Dotknąłem spustu pistoletu maszynowego i stanąłem jak wryty, wpatrując się w ciemność, w stronę ładowni i działa, usiłując przebić wzrokiem mrok, jak gdyby od tego

zależało moje życie. Bo i zależało. Odczekałem dziesięć sekund. Nic. Musiałem się ruszyć, nie mogłem sobie pozwolić na stratę dalszych dziesięciu sekund. Trzydzieści sekund powinno wystarczyć Carlosowi na pozbycie się doktora Caroline - jeszcze kilka sekund i Carreras zacznie się zastanawiać, co się dzieje z jego zaufanym sługą.

Wyciągnąłem latarkę i broń w stronę Caroline'a, znalazłem w ciemnościach jego rękę.

- Niech pan to potrzyma - rzekłem cicho.

- Co... co to jest? - Rozdzierający szept w ciemności.

- Chciał tym panu rozwalić łeb. Teraz niech się pan zamknie. Wciąż jeszcze może pan umrzeć. Jestem Carter, pierwszy oficer. - Odciągnąłem Carlosa od trapu i przeszukałem jego kieszenie, najszybciej jak mogłem w panujących ciemnościach. Klucz, klucz od kabiny radiowej. Widziałem, jak go wyjmował z prawej kieszeni spodni, ale teraz go tam nie było. W lewej też nie. Sekundy uciekały. Z rozpaczą dorwałem się do nakładanych kieszeni jego wojskowej koszuli i znalazłem klucz w drugiej z nich. Ale straciłem co najmniej dwadzieścia sekund.

- Czy... czy on nie żyje? - wyszeptał Caroline.

- Przejmuje się pan? Proszę tu zostać. - Wsadziłem klucz do wewnętrznej kieszeni, chwyciłem strażnika za kołnierz i zacząłem go ciągnąć po mokrym pokładzie. Do relingu miałem niecałe trzy metry. Upuściłem go, poszukałem zawiasów na poręczy z drewna tekowego, znalazłem zamek, otworzyłem, przekręciłem poręcz o sto osiemdziesiąt stopni i zamocowałem w położeniu otwartym. Chwyciłem strażnika pod pachy, przerzuciłem górną połowę jego ciała przez drugi szczebel balustrady i ścisnąłem jego nogi. Plusku z pewnością nie było słyhać z odległości większej niż dziesięć metrów. Nikt w ładowni ani pod brezentem przy dziale nie mógł go usłyszeć.

Pobiegłem do Caroline'a, siedzącego wciąż na dolnym stopniu trapu. Możliwe, że po prostu wykonywał moje polecenie, lecz raczej był chyba zbyt oszołomiony, żeby się poruszyć.

- Szybko, niech mi pan da perukę - powiedziałem.

- Co? Co takiego?! - Jednak zgadłem: był oszołomiony.

- Perukę! - Nie jest łatwo krzyczeć szeptem, ale chyba mi się to udało.

- Perukę? Ale... jest przyklejona.

Pochyliłem się zacisnąłem palce na jego czuprynie i pociągnąłem. Była przyklejona, to fakt. Jęk bólu i opór, na jaki natrafiła moja ręka, dowodziły, że nie żartowałem - miałem wrażenie, że perukę przytwierdzono mu do głowy nitami. Tej nocy nie było czasu na półśrodków. Lewą ręką oparłem na jego ustach, a prawą szarpnąłem wściekle. Małż o średnicy półmiska nie mógłby stawiać większego oporu, ale tym razem ją zerwałem. Nie wiem, ile mu to przysporzyło bólu, ale wiem, ile mnie to kosztowało: jego zęby prawie przebiły mi dłoń na wylot.

Wciąż trzymał w rękach pistolet maszynowy. Wyrwałem mu go, okręciłem się i znieruchomiałem. Po raz drugi w ciągu minuty zobaczyłem deszcz, odcinający się na tle pionowego promienia światła. To mogło oznaczać tylko jedno: ktoś wychodził po drabinie z dna ładowni.

W trzech długich susach doskoczyłem do relingu, rzuciłem perukę do luku odpływowego, na wierzch położyłem automat, pędem wróciłem pod trap, poderwałem doktora Caroline na nogi i zaciągnąłem go do magazynu bosmana, znajdującego się niecałe trzy metry od trapu. Kiedy Carreras wychylił się ponad listwę luku, drzwi były jeszcze na wpół otwarte, lecz jego latarka nie świeciła w naszą stronę. Cicho przykniąłem drzwi, zostawiając maleńką szparkę.

Tuż za Carrerasem szedł drugi mężczyzna, także z latarką. Obaj skierowali się wprost do burty. Zobaczyłem, jak latarka Carrerasa znieruchomiała nagle na otwartym relingu, po czym usłyszałem cichy krzyk, gdy schylił się i popatrzył do luku odpływowego. Chwilę później stał

wyprostowany, oglądając pistolet maszynowy i perukę. Usłyszałem, jak rzucił *staccato* kilka słów, powtarzając je parę razy. Po chwili zaczął coś szybko mówić do swego towarzysza, niestety używał hiszpańskiego, więc go nie rozumiałem. Następnie obejrzał wewnętrzną stronę peruki, wskazał na coś latarką, potrząsnął głową jakby z żalem, choć raczej z irytacją i gniewem, wyrzucił perukę za burtę i wrócił do ładowni, zabierając ze sobą automat. Jego kolega poszedł za nim.

- Wygląda na to, że nasz przyjaciel nie jest zbyt szczęśliwy - mruknąłem.

- To diabeł! Diabeł!.- Głos doktora Caroline drżał. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak blisko był śmierci, że uciekł jej w ostatnim momencie. - Słyszał pan. Zginął jeden z jego ludzi, a on tylko nazwał go ciężkim głupcem i się roześmiał, gdy drugi zaproponował, żeby go poszukać na statku.

- Zna pan hiszpański?

- Całkiem dobrze. Powiedział coś takiego: „ten taki a taki sadysta kazał Caroline'owi otworzyć reling, żeby zobaczył, co go czeka”. Myśli, że odwróciłem się do strażnika, chwyciłem jego pistolet i w trakcie walki, zanim obaj wypadliśmy, on mi zdarł perukę. Powiedział, że pod spodem peruki były przyklepione moje włosy.

- Przepraszam za to, doktorze Caroline.

- Wielkie nieba! Pan przeprosza! Uratował pan nasze życie. A w każdym razie moje. Przeprosza pan! - Doktor Caroline, pomyślałem, miał mocne nerwy, szybko otrząsnął się z szoku. Miałem tylko nadzieję, że jego nerwy są naprawdę mocne, przez najbliższe kilka godzin miał ich jeszcze potrzebować. - To ta garść włosów ostatecznie go przekonała.

Nic nie odrzekłem.

- Proszę mi powiedzieć - ciągnął - co tu się właściwie dzieje?

Przez następne pięć minut, podczas których wyglądałem przez szparę w drzwiach, doktor Caroline zasypywał mnie pytaniami, na które odpowiadałem możliwie jak najszybciej i najkrócej. Miał wysoce inteligentny, cięty umysł, którym mnie z lekka zadziwił, co z kolei było głupią reakcją z mojej strony: tępak nie zostaje kierownikiem badań nad nową bombą atomową. Przypuszczam, że to raczej jego komiczne nazwisko i wspomnienie widoku z poprzedniej nocy - skrępowany człowiek przywiązany do łóżka z baldachimem i gapiący się wytrzeszczonymi oczyma w promień latarki, wygląda nieszczerze - podświadomie wywarły na mnie całkowicie błędne wrażenie. Pod koniec tych pięciu minut wiedział na temat ostatnich wypadków tyle samo, co ja. Nie wiedział tylko tego, co nas czeka, gdyż nie miałem serca mu powiedzieć. Podawał mi właśnie szczegóły dotyczące jego porwania, kiedy pojawił się Carreras z kolegą.

Założyli uszczelki, zawiązali brezent i bez zwłoki ruszyli na dziób. Przypuszczałem, że był to znak, iż skończyli nastawianie zegarów pomocniczych bomb w dwóch pozostałych trumnach. Odwinąłem ceratę okrywającą latarkę, rozejrzałem się po magazynie, wziąłem kilka narzędzi i zgasłem światło.

- Już czas - powiedziałem do Caroline'a. - Chodźmy.

- Dokąd? - Po tym, co przeszedł, nie miał ochoty nigdzie chodzić. Wcale mu się nie dziwiłem.

- Z powrotem do ładowni. Byle szybko. Możemy mieć mało czasu.

Dwie minuty później staliśmy na podłodze ładowni. Na ile to było możliwe, założyliśmy nad nami uszczelki i brezent. Nie musiałem przynosić własnych narzędzi Carreras wszystkie zostawił, rozrzucone beładnie dookoła. Zrozumiałe, że się nie troszczył o nie - on już nie miał ich więcej używać.

Podąłem Caroline'owi latarkę do potrzymania, wybrałem śrubokręt i zacząłem odkręcać wieko trumny mosiężną tabliczką.

- Co pan chce zrobić? - spytał nerwowo Caroline.

- Przecież pan widzi.

- Na miłość boską, ostrożnie! Bomba jest nastawiona!

- I co z tego? Kiedy ma wybuchnąć?

- O siódmej. Ale jest niebezpieczna, bardzo niebezpieczna. Jest niepewna jak cholera. Do diabła, Carter, ja to wiem, wiem! - Drżącą dłoń położył na moim ramieniu, jego twarz wykrzywił lęk. - Badania nad tą bombą nie były jeszcze zakończone, kiedy ją skradziono. Mechanizm zapłonowy był dopiero w stadium eksperymentalnym, a badania wykazały, że sprężyna zwalnająca przerywacz jest o wiele za słaba. Normalnie „Tornado” jest całkiem bezpieczne, ale po nastawieniu przerywacz jest włączony do obwodu.

- I co?

- Uderzenie, stuk, najmniejszy upadek... wszystko może przeciążyć sprężynę i włączyć mechanizm zapłonowy. Piętnaście sekund później bomba wybucha.

Nie zauważyłem tego przedtem, ale w ładowni było o wiele cieplej niż na pokładzie. Mimowolnie podniosłem przemoczony rękaw, by zetrzeć pot z czoła.

- Powiedział pan to Carrerasowi? - Ciepło wpływało także na mój głos, zmieniając go w ochrypy skrzek.

- Mówiłem mu. Nie chciał słuchać. Myślę... myślę, że Carreras jest trochę szalony. Więcej niż trochę. Wydaje mi się, że jest przygotowany na każde ryzyko. Żeby wyeliminować możliwość wstrząsu, otulił „Tornado” bawełną i kocami.

Patrzyłem na niego przez dłuższą chwilę niewidzącym wzrokiem, po czym zabrałem się za następną śrubę. Była bardziej oporna niż pierwsza, ale możliwe, że tym razem nie przykładałem takiej siły. Delikatnie zdjąłem wieko, odłożyłem je na bok i powoli odchyliłem kilka koców. Pod nimi leżało „Tornado”. Wyglądało jeszcze bardziej przerażająco niż zwykle.

Wstałem, wziąłem latarkę od doktora Caroline i powiedziałem:

- Nastawiony, co?

- Oczywiście.

- Tu ma pan narzędzia. Niech pan rozbroi to draństwo.

Gapił się na mnie wypranym z wszelkiego wyrazu wzrokiem.

- Po to tu jesteśmy?

- A po cóż innego?

- Nic z tego.

- Nic z tego? - Złapałem go za ramię, niezbyt łagodnie. - Słuchaj, przyjacielu, nastawiłeś tę bombę, to teraz odwróć te wszystkie czynności, nic więcej.

- To niemożliwe - powiedział nieodwołałym tonem. - Kiedy ta bomba jest nastawiona, mechanizm jest zablokowany. Kluczem. Ten klucz jest w kieszeni Carrerasa.

## XI. Sobota, między pierwszą a drugą piętnaście w nocy

Gwałtownie poraziła mnie bezwładność lewej nogi, bezwładność niemal paraliżująca. Musiałem usiąść na przegrodzie i przytrzymać się drabinki. Gapiłem się na „Tornado”. Gapiłem się na nie przez dłuższy czas, z rozgoryczeniem. Po chwili wzdrygnąłem się i spojrzałem na doktora Caroline.

- Mógłby pan to powtórzyć?

Powtórzył.

- Strasznie mi przykro, Carter, ale tak to jest. Do rozbrowienia „Tornada” potrzebny jest klucz, a klucz ma Carreras.

Przemyślałem wszystkie niemożliwe rozwiązania tego problemu i od razu stwierdziłem, że były właśnie takie... niemożliwe. Wiedziałem, co należy teraz zrobić, tylko jedno można było zrobić.

- Czy wie pan, doktorze Caroline, że skazał pan właśnie czterdziestu ludzi na pewną śmierć? - zapytałem zmęczonym głosem.

- Ja ich skazałem?

- No, Carreras. Kiedy schował ten klucz do kieszeni, wydał na siebie i swoich ludzi wyrok równie nieodwołalny, co facet podłączający krzesło elektryczne. A resztą, czym ja się właściwie zajmuję? Dla takich łotrów jak Carreras i ci, co się z nim zadają, śmierć jest jedynym skutecznym lekarstwem. A lord Dexter tarza się w forsie. Zawsze może sobie zbudować następne „Campari”.

- O czym pan mówi, Carter? - Gdy spojrzał na mnie, jego twarz wyrażała lęk, więcej niż lęk: przerażenie. - Dobrze się pan czuje, panie Carter?

- Jasne, że tak - odrzekłem poirytowany. - Wszyscy mi zadają to samo głupie pytanie. - Nachyliłem się, podniosłem zwój liny i kołowrót, które zabrałem z magazynu bosmana, i wstałem ze znużeniem. - Chodźmy, doktorze, niech mi pan z tym pomoże.

- Z czym panu pomóc? - Doskonale wiedział, o co mi chodzi, ale strach nie pozwalał mu w to uwierzyć.

- Z „Tornadem”, oczywiście-wyjaśniłem zniecierpliwiony. - Chcę je przenieść na lewą stronę i schować pod brezentem za przegrodą.

- Zwariował pan? - szepnął. - Pan całkiem zwariował! Słyszał pan, co mówiłem? Podnieście je pan z trumny za pomocą czegoś takiego? Drobnny błąd, najmniejszy wstrząs...

- Pomoże mi pan czy nie?

Potrząsnął głową, wzruszył ramionami i odwrócił się. Zawiesiłem kołowrót na szczeblu drabinki na wysokości głowy, dolny blok opuściłem tuż nad „Tornado”, wziąłem linkę i przesunąłem się na skraj bomby. Pochylałem się nad nią nisko, kiedy usłyszałem za sobą ciche kroki i otoczyła mnie para ramion, ramion wyposażonych w całą siłę strachu i desperacji. Otrząsnąłem się szybko, chcąc się uwolnić, lecz równie dobrze mógłbym próbować strząsnąć macki kałamarnicy. Spróbowałem przydeptać jego stopę, lecz w rezultacie nadwreżyłem sobie tylko piętę: zapomniałem, że jestem bez butów.

- Puść!- rzuciłem dziko. - Co robisz, do cholery?

- Nie pozwolę ci tego zrobić! Nie pozwolę! - Dyszał, jego niski głos był ochryply, zdesperowany. - Nie pozwolę, żebyś nas wszystkich zabił!

Są pewni ludzie, z którymi w pewnych sytuacjach nie ma co dyskutować. To była właśnie taka sytuacja, a Caroline był takim człowiekiem. Wykonałem półobrót, rzuciłem się do tyłu z całą siłą, na jaką stać było moją nogę, i usłyszałem jego jęk, gdy ciężko uderzył plecami o burtę statku. Chwilowe osłabienie jego uścisku, szybki obrót i byłem wolny. Podniosłem wielki marspikiel i pokazałem mu go w świetle latarki.

- Nie chciałbym robić z tego użytku - powiedziałem spokojnie. - Ale następnym razem zrobię. Obiecuję. Może się pan przestać trząść na tyle, żeby sobie uświadomić, że próbuję nas ocalić, a nie zgubić? Zdaje pan sobie sprawę, że w każdej chwili ktoś może nadejść, zobaczyć odwiązany brezent i zajrzeć tutaj?

Stał oparty o metalową płytę, wpatrzony w podłogę. Nic nie powiedział. Odwróciłem się, włożyłem latarkę między zęby, położyłem zwój liny na skraju trumny i pochyliłem się, by unieść koniec „Tornada”. A raczej, by spróbować. Ważyło chyba tonę. Przynajmniej dla mnie, ostatecznie nie byłem w takiej formie jak zwykle. Udało mi się je podnieść z dziesięć centymetrów i nie wiedziałem, jak mam je utrzymać w takiej pozycji choćby przez kilka sekund, kiedy usłyszałem za sobą kroki i stęknienie. Sprężyłem się do następnego podejścia i odprężyłem powoli, gdy doktor Caroline przesunął się obok mnie pochylił i założył linę dookoła końca „Tornada”. Razem przesunęliśmy pętlę mniej więcej na środek długości bomby. Żaden z nas się nie odezwał.

Pociągnąłem za kołowrót, aż lina się napружиła.

- To nie wytrzyma - powiedział Caroline ochryple. - Ten cienki sznurek...

- Był badany na obciążenie pięciuset kilogramów. - Pociągnąłem jeszcze trochę i koniec bomby zaczął się unosić. Pętla nie była na samym środku. Opuściłem pocisk z powrotem, poprawiłem pętlę i za następnym razem „Tornado” uniosło się równo na całej długości. Kiedy znalazło się jakieś siedem centymetrów ponad wyściółką z bawełny i koców, zablokowałem automatyczny zatrząsk. Znowu przetarłem czoło. W ładowni było ciepło jak nigdy dotąd.

- Jak pan ją chce przenieść na drugą stronę? - Głos Caroline'a już nie drżał, teraz był matowy, bez wyrazu; głos człowieka, który pogodził się z czarnym koszmarem.

- Przeniesiemy ją. Razem powinno nam się udać.

- Przeniesiemy? - powtórzył tępo. - Waży sto trzydzieści pięć kilogramów.

- Wiem, ile waży - przerwałem zniecierpliwiony.

- Ma pan zranioną nogę. - Nie słyszał mnie. - Ja mam słabe serce. Statek się kiwa, a widzi pan, że to polerowane aluminium jest śliskie jak lód. Któryś z nas się potknie, rozluźni chwyt. A może obaj. I bomba upadnie.

- Niech pan poczeka - powiedziałem. Wziąłem latarkę, przeszedłem na lewą burzę, zebrałem kilka płacht leżącego tam brezentu i przeciągnąłem je przez podłogę. - Podłożymy to pod bombę i ją przeciągniemy.

- Przeciągnąć ją po podłodze? A może od razu przeturlać? - Nie pogodził się z tym koszmarem tak jak myślałem. Spojrzał na mnie, na „Tornado”, znowu na mnie, i stwierdził z niewzruszonym przekonaniem: - Pan zwariował.

- Do cholery, nie może pan wymyślić nic innego? - Znowu chwyciłem za wyciąg, odblokowałem zatrząsk, uwiesiłem się na linie i pociągnąłem. Kiedy „Tornado” wysunęło się całkiem z trumny, Caroline otoczył je rękami, uważając, żeby kaptur pocisku nie zaczepił o przegrodę.

- Niech pan z nim przejdzie za przegrodę - powiedziałem. - Niech się pan odwróci plecami do drabinki.

Skinął głową w milczeniu. W białym świetle latarki widziałem jego napiętą, nieruchomą twarz. Oparł się o drabinkę, mocniej chwycił „Tornado”, trzymając je po obu stronach pętli, podniósł nogę, by przejść przez przegrodę i zachwiał się, gdy nagły przechył statku rzucił na niego cały ciężar pocisku. Oparł się stopą na przegrodzie, połączone siły „Tornada” i przechyłu statku wytrąciły go z równowagi, krzyknął i przeleciał ciężko przez przegrodę, spadając po drugiej stronie.

Widziałem, jak to nadchodzi... a raczej widziałem ostatnią sekundę, w której to się stało. Wysunąłem na oślep rękę, uderzyłem w zatrząsk i skoczyłem w stronę rozkołysanego pocisku, rzucając się między niego a drabinkę i upuszczając latarkę, gdy wysunąłem ręce, by uchronić kaptur bomby przed zderzeniem z drabinką. W tej nagłej, nieprzeniknionej

ciemności nie trafiłem na „Tornado”... ale ono trafiło we mnie. Wyrznęło mnie poniżej mostka, z siłą, od której jęknąłem z bólu, lecz złapałem oburącz polerowane aluminium, jak gdybym chciał je przełamać na pół.

- Latarka! - zawyłem. W tym momencie ściszenie głosu nie wydawało mi się konieczne.  
- Weź latarkę!

- Moja kostka...

- Do diabła z twoją kostką! Weź latarkę!

Usłyszałem jego stłumiony jęk, i poczułem, że gramoli się przez przegrodę. Znow go usłyszałem, jak maca rękami po stalowej podłodze. I cisza.

- Znalazł pan? - „Campari” zaczęło się przechylać z powrotem, a ja walczyłem o zachowanie równowagi.

- Znalazłem.

- To zapal ją, głupcze!

- Nie mogę. - Pauza. - Połamała się.

- Złapał pan koniec tego draństwa - powiedziałem szybko. - Ja się ślizgam.

Złapał. Napięcie zelżało.

- Ma pan może zapalniczki? - zapytał.

- Zapalniczki! - Carter zdobywający się na nadludzką powściągliwość; gdyby nie „Tornado”, byłoby to nawet zabawne. - Zapalniczki! Po tym, jak przez pięć minut wlokłem się za „Campari”?

- Nie pomyślałem o tym - przyznał z powagą. Po chwili ciszy oświadczył: - Mam zapalniczkę.

- Boże, miej w opiece Amerykę - powiedziałem żarliwie. - Jeżeli wszyscy jej naukowcy... zapal ją, człowieku, zapal!

Kółko zazgrzytało o kamień i niziutki, żółty płomynek oświetlił anemicznie mały róg ciemnej ładowni.

- Blok i wyciąg. Szybko! - Poczekałem, aż je chwyci. - Niech pan napręży wolny koniec, odblokuje zatrzask i opuszcza powoli. Ja je naprowadzę na brezent.

Odsunąłem się pół kroku od przegrody, dźwigając większą część ciężaru pocisku, kiedy usłyszałem szcęk zatrzasku i nagle odniosłem wrażenie, że pękają mi plecy. Lina zwisała, całe sto trzydzieści pięć kilogramów „Tornado” znalazło się w moich ramionach, a „Campari” przechylał się w przeciwną stronę. Nie mogłem utrzymać bomby, wiedziałem, że nie dam rady, pękały mi plecy. Zachwiałem się i rzuciłem do przodu, wczepiony rozpaczliwie w „Tornado”, które zważyło się ciężko na brezent, aż zadrżała cała podłoga ładowni.

Uwolniłem ramiona i chwiejnie powstałem na nogi. Doktor Caroline trzymał płomień zapalniczki dokładnie na wysokości swoich oczu. Wpatrywał się w błyszczący pocisk niczym człowiek pojmany do niewoli; jego twarz była jak zamrożona maska, wyrażająca najstraszliwsze emocje. Wreszcie wybuchnął:

- Piętnaście sekund! - krzyknął ochryple. - Za piętnaście sekund wypali! - Rzucił się do drabinki, ale nim wszedł na drugi stopień, otoczyłem go wraz z drabinką ramionami. Szarpnął się krótko, gwałtownie, po czym odprężył się.

- Jak pan myśli, daleko by pan uciekł w piętnaście sekund? - spytałem. Nie wiem, dlaczego to powiedziałem, nie zdawałem sobie z tego sprawy, oczy i umysł skoncentrowałem na leżącym pocisku. Moja twarz wyrażała pewnie te same uczucia, co twarz Caroline'a, On też się gapił. Było to bezsensowne, ale też w tym momencie obaj byliśmy bezsensowni. Gapił się na „Tornado”, jakbyśmy chcieli zobaczyć, co się stanie, jakbyśmy mieli szansę coś zobaczyć. Ani nasze oczy, ani uszy, ani umysł nie miały najmniejszej szansy zarejestrowania czegokolwiek, zanim oślepiający nuklearny płomień unicestwi nas, zamieni w parę, zmiecie „Campari” z powierzchni ziemi.

Minęło dziesięć sekund. Dwanaście. Piętnaście. Dwadzieścia. Pół minuty. Wypuściłem powietrze z obolałych płuc - przez cały ten czas nie zaczerpnąłem powietrza - i zwoleń ucisk wokół Caroline'a i drabinki.

- No - sapnąłem. - I jak daleko by pan uciekł?

Doktor Caroline zszedł wolno na podłogę ładowni, oderwał wzrok od bomby, przez dłuższą chwilę patrzył na mnie nieprzytomnym wzrokiem, po czym uśmiechnął się.

- Wie pan, panie Carter, że jakoś mi to nie przyszło do głowy. - Jego głos był pewny, a uśmiech nie był uśmiechem szaleńca. Doktor Caroline wiedział, że umrze, ale nie umarł, więc nic gorszego nie mogło go już spotkać. Odkrył, że w dolinę strachu nie schodzi się w nieskończoność, gdzieś tam znajduje się dno, a wtedy człowiek znów zaczyna się wspinać.

- Niech pan najpierw chwyci linę, a dopiero potem zwalnia zatrask - powiedziałem z wyrzutem. Faktem jest, że sam byłem roztargniony, ale któż mógł mnie winić w takiej chwili? - Nie na odwrót. Następnym razem może pan będzie pamiętał.

Są rzeczy, za które nie sposób przeproszać, więc nawet nie próbował.

- Obawiam się, że nigdy nie będę dobrym marynarzem - stwierdził z żalem. - Ale teraz przynajmniej wiemy, że sprężyna przytrzymująca przerywacz nie jest tak słaba, jak sądziliśmy. - Uśmiechnął się blade. - Panie Carter, myślę, że zapalę papierosa.

- Ja chyba też - przyznałem.

Potem już poszło łatwo... no, względnie łatwo. Dalej traktowaliśmy „Tornado” z największą uwagą - możliwe, że gdyby upadło pod innym kątem, to by jednak wypaliło - ale bez przesadnej ostrożności, prowadzącej do paraliżującego strachu. Przeciągnęliśmy pocisk po brezencie na drugą stronę ładowni, przenieśliśmy wyciąg na drabinę, między przegrodą a burtą statku ułożyliśmy - jako podkład dla „Tornada” - kilka dodatkowych płacht brezentu i koców z trumny, przenieśliśmy bombę na drugą stronę przegrody bez akrobatycznych wyczynów, jakie towarzyszyły poprzedniej próbie, opuściliśmy ją na miejsce, zawinęliśmy w prześcieradła i całkowicie zakryliśmy płachtami brezentu, które wzięliśmy z podłogi.

- Tu będzie bezpieczny? - spytał doktor Caroline. Prawie już doszedł do siebie, jedynie oddychał szybko, a zimny pot osiadł na jego brwiach i twarzy.

- Nigdy go nie zobaczą. Nie wpadnie im do głowy tu zajrzeć. Dlaczego by tu mieli zaglądać?

- Co pan teraz proponuje?

- Uciekać stąd jak najszybciej. Wystarczająco już, nadużyłem swojego szczęścia. Ale najpierw trumna... musimy zrównoważyć jej wagę na miejsce „Tornada” i znów założyć wieko.

- A potem dokąd?

- Pan nigdzie nie idzie. Zostaje pan tutaj. - Wyjaśniłem mu, dlaczego musi zostać, ale nie spodobało mu się to. Wyjaśniłem mu to raz jeszcze, dowodząc, że to dla niego jedyna szansa pozostania przy życiu. Wciąż mu się to nie podobało. Wiedział jednak, że trzeba tak zrobić, i strach przed pewną śmiercią przeważył histeryczną panikę, która była skutkiem mojej propozycji. Po tych piętnastu sekundach, kiedy czekaliśmy na detonację „Tornada”, nic już nie mogło go bardziej przerazić.

Pięć minut później po raz ostatni zamocowałem wieko trumny, wsadziłem śrubokręt do kieszeni i wyszedłem ładowni.

Stwierdziłem, że wiatr nieco zelżał. Za to deszcz bez wątpienia był jeszcze gorszy. Nawet w tej idealnej ciemności widziałem białe błyski wokół moich stóp, gdy pchane przez wiatr krople deszczu spadały na stalowe pokłady i odbijały się na wysokość kostek.

Nie śpieszyłem się w drodze na dziób. Czas mnie już nie naglił, a teraz, gdy najgorsze było za nami, nie chciałem zniszczyć wszystkiego przez niepotrzebny pośpiech. W ciemności nocy byłem czarnym cieniem. Żaden duch nigdy nie był tak cichy. Raz minęło mnie dwóch strażników idących na rufę, raz minąłem dwóch innych, kryjących się pod mizerną osłoną



pokładu pasażerskiego „A” przed zimnym deszczem. Ani jedni, ani drudzy mnie nie zobaczyli, nie podejrzewali mojej obecności. Wszystko było tak, jak powinno. Lis nigdy nie poluje na psy, bo życie jest ważniejsze od obiadu.

Nie mogłem mierzyć czasu, ale przypuszczam, że musiało minąć ze dwadzieścia minut, zanim ponownie zjawiłem się przed kabiną radiową. Wszystkie większe wydarzenia w ciągu ostatnich trzech dni od samego początku łączyły się w ten czy inny sposób z kabiną radiową. Wydawało mi się, że będzie to także stosowne miejsce do zagrania ostatniej karty, jaką miałem w ręku.

Kłódka była założona na skobel, zamknięta. Znaczyło to, że nikogo w środku nie ma. Wróciłem pod osłonę najbliższej szalupy i usiadłem w oczekiwaniu. Fakt, że nikogo tam nie było, nie oznaczał, że wkrótce się ktoś nie pojawi. Tony Carreras wspominał, że ich ludzie na „Ticonderodze” podawali im swoją pozycję co godzinę. Carlos, ten, którego zabiłem, czekał pewnie na taką wiadomość, a jeżeli miały nadejść następne, to było pewne, że Carreras wyśle drugiego telegrafistę, aby przyjął depeszę. W tym przedostatnim akcie gry nie mógł ryzykować. Ja także nie: ostatnia rzecz, na jaką mogłem sobie pozwolić, to dopuścić do tego, żeby telegrafista zastał mnie siedzącego przy nadajniku.

Deszcz bębnił bezlitośnie po moich zgarbionych plecach. Nie mogłem już przemoknąć bardziej niż dotychczas, ale mogło mi być bardziej zimno. Było mi coraz zimniej, naprawdę zimno, i po kwadransie drżałem nieustannie. Dwukrotnie obok mnie przeszli strażnicy - tej nocy Carreras nie ryzykował - i dwukrotnie byłem pewny, że mnie odkryją - drżałem tak gwałtownie, że musiałem chwycić w zęby klapę marynarki, by się nie zdradzić szczekaniem. Jednak za każdym razem strażnicy przechodzili nie zwracając na mnie uwagi. Dreszcze wzmożyły się. Czy ten cholerny telegrafista nigdy nie przyjdzie? A może przechytryłem i źle odgadłem? Może telegrafista w ogóle się nie zjawi?

Wstałem chwiejnie z odwróconej szalupy, na której dotąd siedziałem. Jak długo miałem tam czekać, by się upewnić, że on nie przyjdzie? Może nie przyjdzie wcześniej niż za godzinę, czy nawet później? Co niosło ze sobą większe niebezpieczeństwo: wejście do kabiny radiowej i ryzyko, że w każdej chwili mogę zostać odkryty i złapany w pułapkę, czy czekanie przez godzinę lub dwie, nim zrobię swój ruch, co zresztą i tak byłoby za późno? Lepsza jest wpadka możliwa niż pewna, pomyślałem, a teraz, gdy już wyszedłem z czwartej ładowni, tylko ja mogłem stracić życie. Teraz, pomyślałem, trzeba teraz. Zrobiłem cicho trzy kroki, nie więcej. Pojawił się telegrafista. Cicho cofnąłem się o trzy kroki.

Szczęk klucza w kłódce, lekkie skrzyknięcie drzwi, metaliczny odgłos ich zamykania, lekki błysk światła zza zasłoniętych okien. Nasz przyjaciel przygotowuje się do odbioru depeszy, pomyślałem. Nie zostanie tam długo, to pewne; tylko tyle, by zanotować ostatnie szczegóły dotyczące kursu i szybkości „Ticonderogi” - jeżeli na północnym wschodzie pogoda nie była zdecydowanie inna, to było zupełnie nieprawdopodobne, by na „Ticonderodze” mogli ustalić tej nocy swą pozycję - a potem zanieść je Carrerasowi na mostek. Zakładałem, że Carreras tam będzie, byłoby nie w jego stylu, gdyby w ostatnich, decydujących godzinach nie został na mostku i osobiście nie przejął dowodzenia całą operacją, jak to robił dotychczas. Niemal widziałem, jak bierze kartkę z ostatnimi wiadomościami o postępach „Ticonderogi”, uśmiecha się z zimną satysfakcją i robi obliczenia na mapie.

Tu moje myśli się zatrzymały. Poczułem się tak, jakby ktoś wyłączył specjalnym kluczem moje wnętrze: serce, płuca, mózg, wszystkie inne organy. Czułem się jak wtedy, gdy z doktorem Caroline czekałem na wybuch „Tornado”. Czułem się tak dlatego, że nagle oświeciła mnie paraliżująca myśl, na którą powinienem był wpaść pół godziny wcześniej, gdybym nie był tak zajęty uzalaniem się nad sobą. Carreras nie pokazał się nam ze wszystkich stron - z wielu stron - ale na pewno dał się nam poznać jako człowiek pedantyczny, dokładny.

A nigdy jeszcze nie rozwiązał żadnego problemu nawigacyjnego, póki nie skonsultował go ze swym zaufanym nawigatorem - pierwszym oficerem Johnem Carterem

Mój umysł powoli wrzucił niski bieg, ale bez widocznych rezultatów. Fakt, że Carreras czasem czekał kilka godzin z konsultacją, ale tej nocy nie mógł czekać kilka godzin, bo byłoby za późno. Byliśmy nie dalej niż trzy godziny drogi od miejsca naszego spotkania z „Ticonderogą”, będzie więc chciał sprawdzić wszystko natychmiast. Obudzenie chorego człowieka w środku nocy me byłoby dla Carrerasa powodem do zmartwienia Nic bardziej pewnego niż to, że dziesięć, piętnaście minut po nadejściu depeszy zastuka do drzwi izby chorych. I stwierdzi, że jego nawigatora nie ma. Stwierdzi, że drzwi są zamknięte od środka. Stwierdzi, że MacDonald ma w rękę pistolet. MacDonald miał tylko jeden pistolet samopowtarzalny, Carreras mógł zwołać czterdziestu ludzi z pistoletami maszynowymi. Walka w izbie chorych mogła mieć tylko jedno zakończenie, szybkie, pewne i ostateczne. W wyobraźni słyszałem terkot pistoletów maszynowych w ambulatorium, widziałem MacDonalda i Susan, Bullena i Marstona... Zniszczyłem te myśli, wyrzuciłem je z głowy.

Gdy telegrafista wyjdzie z kabiny, to - jeżeli dostanę się do środka niepostrzeżenie, jeżeli będę mógł spokojnie wysłać depeszę - ile czasu zostanie mi na drogę powrotną do izby chorych? Dziesięć minut, nie więcej niż dziesięć minut, powiedzmy siedem - osiem minut na przedostanie się niepostrzeżenie na lewą stronę rufy, gdzie zostawiłem trzy liny przywiązane do słupka relingu, na przewiązanie się jedną z nich, złapanie drugiej, przesłanie sygnału bosmanowi, opuszczenie się do wody i przebycie drogi do izby chorych, na wpół tonąc w trakcie tego. Dziesięć minut? Osiem? Wiedziałem, że nie wykonam tego nawet w dwukrotnie dłuższym czasie. Jeżeli za kryterium przyjąć moją drogę w tę stronę, to zważywszy, że droga powrotna będzie pod prąd, a nie z nim, musi być przynajmniej dwa razy gorsza. A już pierwsza wyprawa omal mnie nie wykończyła. Osiem minut? Miałem poważne szanse, że już nigdy nie uda mi się wrócić.

A telegrafista? Mogłem go zabić, kiedy wyjdzie z kabiny radiowej. Byłem wystarczająco zdesperowany, żeby tego spróbować i wystarczająco wściekły, by mi się udało. Nawet pomimo patroli. W ten sposób Carreras nigdy by nie dostał depeszy. Ale on by na nią czekał, o tak, na pewno by czekał. Musiał z niepokojem oczekiwać ostatniej wiadomości, a gdyby nie nadeszła w ciągu kilku minut, to wysłałby kogoś dla obadania tej sprawy, gdyby zaś ten ktoś stwierdził, że telegrafista nie żyje lub zniknął, to Carrerasa ogarnęłaby żądza zemsty. Strażnicy biegający tam i z powrotem, światła na całym statku, sprawdzanie wszystkich ewentualnych źródeł kłopotów... a więc także izby chorych. A MacDonald wciąż by tam siedział. Z pistoletem.

Był tylko jeden sposób. Sposób, który dawał niejakie szanse, z tym tylko, że musiałbym zostawić trzy liny przywiązane do słupka na rufie, ale przynajmniej ta metoda nie równała się pewnej porażce.

Pochyliłem się, sięgnąłem po skreconą linę do opuszczania szalup i odciąłem ją składanym nożem. Jeden koniec przymocowałem sobie do pasa za pomocą cumy. Pozostały kawałek, długości około półtora metra, owinąłem dookoła talii. Wyjąłem klucz do kabiny radiowej, który zabrałem martwemu Carlosowi. Stałem w ciemnościach na deszczu i czekałem.

Nie minęła minuta, a ukazał się telegrafista, zamknął za sobą drzwi i ruszył do trapu prowadzącego na mostek. Trzydzieści sekund później siedziałem w jego fotelu, szukając sygnału wywoławczego „Ticonderogi”.

Nie starałem się ukryć mojej obecności w kabinie przez gaszenie światła. To by szybko wzbudziło podejrzenia strażników, którzy przechodząc mogli usłyszeć stukot sygnałów Morse'a, dochodzący z ciemnej kabiny radiowej.

Dwukrotnie wystukałem sygnał wywoławczy „Ticonderogi” i za drugim razem otrzymałem potwierdzenie. Któryś z podstawionych telegrafistów Carrerasa na „Ticonderodze” ostro trzymał wachetę. Niczego innego się nie spodziewałem.

Była to krótka depesza, której drogę miały przyspieszyć jej pierwsze słowa: BEZWZGLĘDNE PIERWSZEŃSTWO SUPER PILNE UWAGA KAPITAN «FORTU TICONDEROGA». Wysłałem depeszę i pozwoliłem sobie podpisać ją: Z BIURA MINISTRA TRANSPORTU Z UPOWAŻNIENIA WICEADMIRAŁA RICHARDA HODSONA DYREKTORA OPERACJI MORSKICH. Zgasilem światło, otworzyłem drzwi i wyjrzałem ostrożnie. Nie było zaintrygowanych słuchaczy, nikogo na widoku. Wyszedłem na zewnątrz, zamknąłem kłódkę i wyrzuciłem klucz za burtę.

Trzydzieści sekund później stałem na lewej stronie pokładu łodziowego, ostrożnie oceniając, na ile mogłem najlepiej w panujących ciemnościach i przy padającym deszczu, odległość od miejsca, gdzie stałem, do uskoku forpiku. Ostatecznie oceniłem ją na dziesięć metrów, a odległość od uskoku w kierunku rufy do okna nad moim łóżkiem była mniej więcej taka sama. Jeżeli się nie myliłem, to właśnie teraz stałem dokładnie nad moim oknem. Izba chorych była położona trzy pokłady niżej. A jeżeli się myliłem... cóż, lepiej żeby nie.

Sprawdziłem węzeł dookoła pasa, przesunąłem drugi koniec liny za pobliskie ramię żurawika łodziowego i wyrzuciłem ją swobodnie za burtę. Właśnie miałem się zacząć opuszczać, kiedy lina pode mną uderzyła o mokrą burtę statku i naprężyła się. Ktoś ją złapał i ciągnął.

Ogarnęła mnie panika, lecz instynkt samozachowawczy wciąż działał niezależnie od umysłu. Objąłem żurawik i zacisnąłem jedną rękę na nadgarstku drugiej. Każdy, kto chciałby mnie wyrzucić za burtę, musiałby wyrzucić razem ze mną żurawik i szalupę. Ale póki napięcie liny nie ustawało, nie mogłem uciec, nie mogłem uwolnić ręki, by rozwiązać cumę lub sięgnąć po nóż.

Napięcie zelzało. Zabrałem się za węzeł, lecz puściłem go, gdy lina znów się naprężyła. Ale napięcie było tylko chwilowe, to było pojedyncze szarpnięcie. Cztery szybkie szarpnięcia. Ustalony z MacDonaldem sygnał, że wracam. Powinienem wiedzieć, że Archie MacDonald będzie czuwał w każdej sekundzie, kiedy mnie nie będzie. Musiał zobaczyć, usłyszeć lub wyczuć, jak lina zwisa obok okna, i odgadł, że to mogłem być tylko ja. Zjechałem po linie jak nowo narodzony, zahamowałem gwałtownie, gdy silne ręce pochwyciły mnie za kostki i pięć minut później znów stałem na *terra firma* w izbie chorych.

- Liny! - rzuciłem do MacDonalda. Już rozwiązywałem tę, którą byłem opasany. - Te dwie liny na łóżku. Wyrzuć je. Wyrzuć je za okno. - W chwilę później ostatnia z trzech lin zniknęła, a ja zamykałem okno, zaciągałem zasłony i cicho prosiłem o światło.

Zapalili światło. MacDonald i Bullen leżeli tak, jak ich zostawiłem, obaj wpatrzeni we mnie bez wyrazu. MacDonald dlatego, że wiedział, iż mój powrót oznacza przynajmniej możliwość sukcesu i nie chciał się zdradzić, że wie; Bullen dlatego, że powiedziałem mu, iż zamierzam opanować na siłę mostek, i był przekonany, że sposób, w jaki wróciłem, oznacza przegraną, a nie chciał sprawić mi przykrości. Susan i Marston stali w drzwiach ambulatorium, całkiem ubrani, nie starając się ukryć swego rozczarowania. To nie była pora na gratulacje.

- Susan! Włącz grzejniki. Na pełny regulator. Tak długo trzymaliście otwarte okno, że się zrobiło jak w lodówce. Carreras tu przyjdzie lada chwila i to będzie pierwsze, na co zwróci uwagę. A później ręczniki dla mnie. Doktorze, proszę mi pomóc przenieść MacDonalda na jego łóżko. Ruszaj się, człowieku, ruszaj się! A dlaczego pan i Susan nie jesteście przygotowani do snu? Jak was Carreras zobaczy...

- Spodziewaliśmy się, że ten dzentelmen zjawi się tu z bronią - przypomniał mi MacDonald. - Pan jest całkiem przemarznięty, panie Carter, siny z zimna. I drży pan. Jakby pan wyszedł z zamrażalnika.

- Tak też się czuję. - Niezbyt łagodnie rzuciliśmy MacDonalda na jego łóżko, zakryliśmy go kocami i prześcieradłami, po czym wyskoczyłem z ubrania i zacząłem się wycierać ręcznikiem. Mimo to przez cały czas drżałem.

- Klucz! - rzucił ostro MacDonald. - Klucz w drzwiach izby chorych.

- Dobry Boże, fakt! - Zupełnie o nim zapomniałem. - Susan, otwórz. I wskakuj do łóżka. Szybko! Pan też doktorze. - Wziąłem od niej klucz, otworzyłem okno za zasłoną i wyrzuciłem go. Zaraz potem w ślad za nim poszły moje skarpetki, garnitur i mokre ręczniki, ale najpierw wyjąłem z kieszeni śrubokręt i nóż MacDonalda. Wyszuszyłem nieco i przygładziłem włosy - na tyle, na ile powinny być ułożone po paru godzinach w łóżku - i pomogłem Marstonowi, który zmienił mi opatrunek na głowie i założył nowe łubki i bandaże na stare, przemoczone, okrywające moją zranioną nogę. Następnie trzasnął kontakt i izba chorych pogrążyła się w ciemnościach.

- Czy zapomniałem o kimś lub o czymś? - spytałem. - O czymś, co mogłoby zdradzić, że byłem na zewnątrz?

- Nie. Nic takiego nie widzę - odrzekł bosman. - Jestem pewny.

- Grzejniki - powiedziałem. - Grzeją? Tu jest strasznie zimno.

- Nie jest tak zimno, mój chłopcze - odezwał się Bullen swoim ochryplym szeptem. - To ty marzniesz. Marston, nie ma pan...

- Poduszki z gorącą wodą - odrzekł szybko Marston. - Dwie. Proszę. - Po ciemku wcisnął mi je w ręce. - Przygotowałem je dla ciebie, wszyscy podejrzewaliśmy, że woda morska i deszcz nie wpłyną najlepiej na twoją gorączkę. A tu masz szklanekę, żeby nasz przyjaciel Carreras zobaczył na dnie kilka kropli brandy i przekonał się, jak z tobą źle.

- Mógł ją pan napełnić - poskarżyłem się.

- Napełniłem.

Wypiłem. Nie da się ukryć, że ta doskonała brandy miała właściwości rozgrzewające, zdawało mi się, że spływając do żołądka wypali mi wnętrzności. A jednak jedynym jej efektem było to, że reszta mojego ciała poczuła się jeszcze bardziej zziębnięta.

- Ktoś, idzie - usłyszałem szybki, spokojny głos MacDonalda.

Miałem czas zaledwie na odstawienie szklanki na podręczny stolik, ale na nic więcej. Nawet nie zdążyłem się wsunąć pod koce i położyć. Otworzyły się drzwi, zapaliło światło i Carreras, z nieodłączną mapą pod pachą, zbliżał się do mojego łóżka. Jak zwykle, całkowicie kontrolował swoje emocje i wyraz twarzy: obawa, napięcie, oczekiwanie, wszystkie te uczucia musiały się kłębić w jego głowie, a do tego jeszcze wspomnienie syna - ale nie było tego po nim widać.

Zatrzymał się metr ode mnie i popatrzył na mnie zimnymi, zwężonymi, pełnymi namysłu oczyma.

- Nie śpisz, Carter, co? - powiedział powoli. - Nawet nie leżysz. - Uniósł szklanekę z nocnego stolika, powąchał ją i odstawił. - Brandy. A ty drżysz, Carter. Drżysz cały czas. Dlaczego? Odpowiadaj?

- Boję się - powiedziałem z goryczą. - Za każdym razem, jak cię widzę, ogarnia mnie przerażenie.

- Panie Carreras! - Doktor Marston ukazał się właśnie w drzwiach ambulatorium, owinięty kocem, ze wspaniale rozczochraną grzywą białych włosów, ścierając sen z powiek. - To oburzające, oburzające! Nachodzić tego schorowanego chłopca o takiej porze. Stanowczo proszę, żeby pan wyszedł! I to zaraz!

Carreras obejrzał go sobie od stóp do głów i z powrotem i spokojnie, zimno powiedział:

- Spokój.

- Nie będę spokojny! - krzyknął doktor Marston. Metro-Goldwyn-Mayer zaproponowałoby mu dożywotni kontrakt w każdej chwili. - To ja jestem lekarzem. Mam swoje obowiązki i, jak mi Bóg miły, powiem, co i myślę jako lekarz!

Niestety, nie miał pod ręką stolika, w który mógłby uderzyć pięścią, ale nawet bez tego było to imponujące przedstawienie i zawodowy gniew i obraza Marstona najwyraźniej zbiły Carrerasa z tropu.

- Pierwszy oficer Carter jest bardzo chory! - grzmiał dalej Marston. - Nie mam tu możliwości leczenia skomplikowanych złamań kości udowych, więc taki rezultat był nieunikniony. Zapalenie płuc, drogi panie, zapalenie płuc! Tyle płynu zebrało się już w obu płucach, że nawet nie może się położyć, ledwie oddycha. Temperatura czterdzieści stopni, tętno sto trzydzieści, wysoka gorączka, nieustanne dreszcze. Obłożyłem go poduszkami z gorącą wodą, dałem mu lekarstwa, aspirynę, brandy, wszystko bez rezultatu. Gorączka sama nie spadnie: w jednej chwili jest rozpalony, w następnej mokry od potu. - Miał rację, byłem mokry: czułem, jak woda morską z przemoczonych bandaży wsiąka w materace. - Na litość boską, Carreras, nie widzisz, że to chory człowiek? Zostaw go w spokoju.

- Zajmę mu tylko chwilę, doktorze - zapewnił go Carreras. Jeśli nawet miał jakieś mgliste podejrzenia, to godne Oskara przedstawienie Marstona całkowicie je rozwiało. - Widzę, że pan Carter nie czuje się najlepiej. Ale to mu nie sprawi żadnego kłopotu.

Sięgnąłem po mapę i ołówek, nim jeszcze mi je podał. Na skutek nieustannych dreszczy i odrętwienia, które jakby przenikało z mojej rannej nogi, obliczenia zabrały mi nieco więcej czasu niż zwykle, ale nie były trudne. Spojrzałem na zegar na ścianie i stwierdziłem:

- Powinniście być na miejscu krótko przed czwartą rano.

- Chce pan powiedzieć, panie Carter, że nie możemy się z nim minąć? - Nie był tak pewny siebie i bez troski, jak na to wskazywał jego wygląd. - Nawet w ciemności?

- Z działającym radarem, nie wiem, jak by to było możliwe. - Posapałem przez chwilę, żeby sobie dobrze zapamiętał, jak bardzo jestem chory i ciągnąłem: - Jak chcesz zatrzymać „Ticonderogę”? - Ja też byłem zainteresowany tym, żeby nawiązano kontakt i dokonano przeładunku tak szybko i sprawnie, jak to tylko możliwe. „Tornado” w ładowni miało wybuchnąć o siódmej rano. Wolałbym być wtedy jak najdalej.

- Strzał przed dziób i sygnał do zatrzymania się. Jeżeli to nie poskutkuje - dodał po namyśle - to strzał w kubryk.

- Zdziwiasz mnie, Carreras - powiedziałem powoli.

- Zdziwiam? - Ledwie dostrzegalne uniesienie lewej brwi: jak na Carrerasa, był to wylew uczuć. - Jak to?

- Jak na kogoś, kto poniósł takie trudy i, muszę przyznać, wykazał nadzwyczajną staranność w opracowaniu całego planu... przegrać to wszystko przez bezmyślną, ślepa akcję w samym końcu? - Chciał się odezwać, ale podniosłem dłoń i ciągnąłem: - Jestem równie zainteresowany jak ty, żebyście zatrzymali „Fort Ticonderoga”. Mam w głębokim poważaniu całe to złoto. Wiem, że kapitan Bullen, bosman i ja musimy jak najszybciej dostać się do najlepszego szpitala. Chcę widzieć, jak cała załoga i pasażerowie przesiadają się bezpiecznie na „Ticonderogę”. Nie chcę, żeby jacyś ludzie z „Ticonderogi” mieli zginąć od ognia z waszych dział. I wreszcie...

- Do rzeczy - przerwał zimno.

- Zgoda. Spotkanie będzie o piątej. Przy obecnej pogodzie będzie prawie jasno... wystarczająco jasno, żeby kapitan „Ticonderogi” zobaczył, jak się zbliżacie. Kiedy stwierdzi, że jakiś statek, mając przed sobą cały Atlantyk, płynie wprost na niego, natychmiast stanie się podejrzliwy. Ostatecznie on wie, że wiezie majątek w złocie. Zawróci i ucieknie. Przy panującym półmroku, przy złej widoczności, padającym deszczu, z rozkołysanymi pokładami i załogą niewątpliwie nie obeznaną z artylerią morską, twoje szanse trafienia w mały cel, i to uciekający przed tobą, są raczej niewielkie. Zresztą ta pukawka, którą, jak słyszałem, zamontowałeś na pokładzie, wiele nie zdziała.

- Nikt jeszcze nie nazwał mojego działa na pokładzie rufowym pukawką, panie Carter. - A jednak mimo beztrioskiej, gładkiej twarzy widać było, że myśli intensywne - To prawie odpowiednik kalibru trzy koma siedem.

- Co z tego? Żeby zrobić z niego użytek, będziesz musiał odwrócić się do nich bokiem, a przez ten czas „Ticonderoga” jeszcze bardziej się oddali. Z powodów jak wyżej, prawie na pewno nie trafisz. Po drugim strzale platformy pokładowe będą pogięte jak diabli i do niczego. A wtedy jak go zatrzymasz? Wymachując pistoletami maszynowymi nie zatrzymasz czternastotysięcznika.

- Do tego nie dojdzie. We wszystkim jest, co prawda, element ryzyka. Ale nam się powiedzie.

- Nie ma potrzeby ryzykować, Carreras.

- Czyżby? Co by nam pan zaproponował?

- Dość tego! - To kapitan Bullen się wtrącił, ochrypłym głosem, w którym brzmiał cały autorytet i powaga komandora Blue Mail. - Sprawdzanie map pod przymusem to jedno, a niewymuszone obmyślanie dalszych etapów tego kryminalnego planu to inna sprawa. Słyszałem wszystko. Czyś pan się, poruczniku, nie zagalopował?

- Nie, psia krewo! - odrzekłem. - Nie zagalopowałem się i nie zagalopuję, dopóki wszyscy nie znajdziemy się w drodze do szpitala marynarki wojennej w Hampton Roads. Sprawa jest zupełnie prosta, Carreras. Kiedy zobaczysz na radarze, że są w odległości kilku mil, zacznij wysyłać sygnały alarmowe. Jednocześnie - ale lepiej przygotuj to zaraz - niech twoi ludzie na „Ticonderodze” zainformują kapitanowi wiadomość, że właśnie złapali sygnały SOS z „Campari”. Kiedy przybędą bliżej, nadaj aldisem wiadomość, że rozerwały ci się płyty maszynowni, kiedy przechodziłeś przez huragan, o którym on musiał słyszeć. - Uśmiechnąłem się blado. - To ostatnie to zresztą prawda. Kiedy zatrzyma się obok, a ty zdejmiesz brezent z działa... no to go masz. Nie będzie mógł, nawet się nie ośmieli uciekać.

Gapił się na mnie niewidzącym wzrokiem, a po chwili lekko skinął głową.

- Przypuszczam, Carter, że nie ma sensu proponować ci, żebyś został moim, hm... porucznikiem?

- Wsadź mnie tylko całego na „Ticonderogę”, Carreras. To będzie najlepsze podziękowanie.

- Da się załatwić. - Zerknął na zegarek. - Za niecałe trzy godziny będzie tu sześciu ludzi z waszej załogi z noszami, żeby przenieść kapitana Bullena, bosmana i pana na „Ticonderogę”.

Odszedł. Rozejrzałem się po izbie chorych. Byli wszyscy: Bullen i MacDonald na swoich łóżkach, Susan i Marston w drzwiach ambulatorium, spowici w koce. Wszyscy patrzyli na mnie, a ich twarze miały co najmniej dziwny wyraz.

Cisza ciągnęła się i ciągnęła, zupełnie niepotrzebnie, aż wreszcie odezwał się Bullen, powolnym, twardym głosem.

- Carreras dopuścił się aktu piractwa. Niedługo dopuści się następnego. Tym samym zadeklarował się jako wróg królowej i kraju. Zostanie pan oskarżony o udzielanie porad i pomocy wrogowi i o bezpośrednią odpowiedzialność za stratę stu pięćdziesięciu milionów dolarów w złocie. Jak tylko znajdziemy się na „Ticonderodze”, zbiorę zeznania od obecnych tu świadków. - Nie mogłem winić starego, on wciąż wierzył w obietnicę Carrerasa co do naszej bezpiecznej przyszłości. W jego oczach tylko ułatwiałem Carrerasowi zadanie. Ale teraz nie było czasu na oświecanie go.

- Ach, o to chodzi - rzekłem. - Pomoc, współdziałanie, współpraca jeśli pan woli, ale z tą zdradą to...

- Dlaczego to zrobiłeś? - Susan Beresford potrząsnęła głową z zastanowieniem. - Och, dlaczego to zrobiłeś? Pomagać mu tylko dlatego, żeby uratować własną skórę! - Na oświecanie jej to także nie był odpowiedni moment: ani ona, ani Bullen nie byli dostatecznie dobrymi aktorami, by - znając prawdę - mogli normalnie odegrać rano swe role.

- To też trochę za ostro - zaprotestowałem. - Jeszcze kilka godzin temu nikt bardziej od ciebie nie pragnął uciec z „Campari”. A teraz, gdy...

- Nie chciałam tego robić w taki sposób! Do tej pory nie wiedziałam, że „Ticonderoga” ma szansę uciec.

- Nie mogę w to uwierzyć, John - powiedział ciężko doktor Marston. - Nie mogę w to uwierzyć.

- Dobrze wam wszystkim gadać - rzekłem. - Wy macie rodziny. Ja mam tylko siebie. Możecie mnie winić za to, że dbam o wszystko, co mi pozostało?

Nikt nie podjął przykładu mojej mistrzowskiej logiki. Popatrzyłem na nich po kolei, na Susan, Marstona i Bullena, a oni, po kolei, odwrócili się, nie zadając sobie trudu, by ukryć swe uczucia. A potem MacDonald także się odwrócił, lecz przedtem jego lewa powieka opadła w powolnym, długim mrugnięciu.

Ułożyłem się na łóżku i spróbowałem zasnąć. Nikt mnie nie spytał, jak mi poszło tej nocy.

## XII. Sobota, między szóstą a siódmą rano

Obudziłem się zeszywniały, obolały, wstrząsany dreszczami. Ale to nie ból, zimno czy gorączka wyrwały mnie z mrocznych otchłani niespokojnego snu; to hałas, seria zgrzytliwych, skrzypiących dźwięków, których echo wstrząsało całym „Campari”, jak gdyby za każdym przechyłem zderzał się z górą lodową. Po leniwym, powolnym, niemrawym kołysaniu poznałem, że stabilizatory nie pracowały - „Campari” stał w miejscu.

- No, poruczniku - wychrypiał Bullen. - Wasz plan okazał się skuteczny, niech was diabli. Gratulacje. „Ticonderoga” stoi przy naszej burcie.

- Tuż przy burcie - potwierdził MacDonald. - Przycumowana.

- Przy tej pogodzie? - Skrzywiłem się, kiedy oba statki spadły razem w dolinę głębokich fal i usłyszałem nieprzyjemny, rozdzierający dźwięk, gdy wskutek miażdżącego zderzenia wygięło się i rozerwało metalowe nadburcie. - Cała farba będzie do niczego. Ten facet oszalał.

- Śpieszy się - powiedział MacDonald. - Słyszę wielki dźwig rufowy. Zaczął już przynosić ładunek.

- Na rufie? - Nie byłem w stanie ukryć podniecenia w głosie i nagle wszyscy spojrzeli na mnie ze zdziwieniem. - Na rufie? Jesteś pewny?

- Jestem pewny, poruczniku.

- Jesteśmy związani dziób w dziób i rufa w rufę, czy w przeciwnych kierunkach?

- Nie mam pojęcia. - I on, i Bullen bacznie mi się przyglądali, lecz każdy na swój sposób.

- Czy to ma jakieś znaczenie, panie Carter? - Doskonale wiedział, że tak.

- Nie, nie ma - odrzekłem obojętnie. To nie mogło mieć wielkiego znaczenia, to oznaczało tylko sto pięćdziesiąt milionów dolarów. Gdzie panna Beresford? - spytałem Marstona.

- Z rodziną - odparł krótko. - Pakuje się. Twój przemyły przyjaciel, Carreras, pozwolił każdemu zabrać ze sobą po jednej walizce. Mówi, że resztę rzeczy otrzymają w normalnym trybie... oczywiście, jeżeli ktoś odnajdzie „Campari”, gdy on już je opuści.

Był to, pomyślałem, typowy przykład staranności, właściwej każdemu działaniu tego człowieka: pozwalając im zabrać po jednej walizce i obiecując ewentualny zwrot reszty rzeczy, z nawet najbardziej podejrzliwego umysłu usuwał niegodną myśl, że być może jego intencje wobec załogi i pasażerów nie są tak całkiem czyste i szlachetne.

Zadzwoił telefon. Marston odebrał, słuchał przez chwilę i wyłączył się.

- Za pięć minut przychodzą po was z noszami - obwieścił.

- Pomóżcie mi się ubrać - poprosiłem. - W białe szorty i białą koszulę.

- Ty... ty chyba nie masz zamiaru wstać? - Marston był przerażony. - Gdyby tak...

- Wstaję, ubieram się i kładę z powrotem - odrzekłem krótko. - Myśli pan, że zwariowałem? Co by sobie pomyślał Carreras, gdyby zobaczył, jak człowiek ze skomplikowanym złamaniem uda przeskakuje żwawo przez reling na „Ticonderogę”?

Ubrałem się, wetknąłem śrubokręt pod łubki na lewej nodze i wróciłem do łóżka. Zaledwie to zrobiłem, weszli ludzie z noszami i wszyscy trzej, wciąż spowici w koce, zostaliśmy ostrożnie przeniesieni na nosze. Sześciu noszowych pochyliło się, złapało za uchwyty i ruszyliśmy w drogę.

Korytarzem na górnym pokładzie przeniesiono nas do tyłu, na pokład rufowy. Zobaczyłem, jak zbliża się wylot korytarza, a miejsce ciepłego, elektrycznego blasku zajmuje zimne, szare światło poranne. Poczulem, jak mimowolnie sztywnieją mi mięśnie. Za kilka sekund przy naszej burcie ukaże się „Ticonderoga”. Byłem ciekaw, czy ośmielę się na nią spojrzeć. Czy będzie związana z nami dziób w dziób, czy dziób w rufę? Wygrałem czy przegrałem? Wyszliśmy na pokład rufowy. Zmusiłem się, by spojrzeć na statek.



Wygrałem. Dziób w dziób, rufa w rufę. Leżąc nisko na noszach nie widziałem zbyt wiele, ale to jedno widziałem: dziób w dziób, rufa w rufę. Czyli że rufowy dźwig „Campari” przenosił skrzynie z rufy „Ticonderogi”. Spojrzałem raz jeszcze, sprawdziłem to ponownie, ale nie, wzrok mnie nie mylił. Dziób w dziób, rufa w rufę. Czuję się, jakbym miał milion dolarów.

„Ticonderoga”, wielki granatowy transportowiec z czerwonym kominem, był niemal tej samej wielkości co „Campari”. Co ważniejsze, jego pokład rufowy wystawał mniej więcej tyle samo ponad wodę co nasz, a to bardzo ułatwiało przeładunek skrzyń i ludzi. Na pokładzie „Campari” naliczyłem już osiem skrzyń. Brakowało jeszcze dwunastu.

Transport pasażerów poszedł jeszcze szybciej. Na pokładzie rufowym „Ticonderogi” - o ile mogłem dojrzeć - stali już wszyscy pasażerowie i co najmniej połowa załogi „Campari”. Nie ruszali się, jeśli nie liczyć balansowania na chwiejnym pokładzie. Ich bezruch zapewniała para twarogłowych goryli w zielonych mundurach, ściskająca odbezpieczone pistolety maszynowe. Trzeci strzelec trzymał ma muszce stojących przy opuszczonej poręczy barierki dwóch marynarzy z „Ticonderogi”, którzy łapali ludzi przeskakujących z pokładu „Campari” i pomagali im utrzymać równowagę. Dwaj następni ludzie z „Ticonderogi” zawiązywali pod baczny nadzorem liny wokół skrzyń, które mieli przetransportować. Z miejsca, gdzie leżałem, mogłem dojrzeć jeszcze czterech uzbrojonych mężczyzn - było ich pewnie więcej - patrolujących pokłady „Ticonderogi” oraz czterech innych na pokładach „Campari”. Mimo że przeważnie byli ubrani w coś na kształt zielonych mundurów, nie wyglądali mi na żołnierzy. Wyglądali na to, czym byli - na zatwardziałych kryminalistów z bronią w ręku, na zimnookich mężczyzn, których przeszłość była wryta na ich twarzach zmarszczkami brutalności i deprawacji. Carrerasowi obce było poczucie piękna, jednak musiałem przyznać, że zabójców dobierał sobie z niewątpliwym talentem.

Nisko na niebie wisiały szare postrzępione chmury, zlewające się w niewyraźny zamazany horyzont. Wiejący teraz z zachodu wiatr wciąż był silny, za to deszcz niemal przestał padać, przeszedł w zimną mżawkę, którą się raczej wyczuwało niż widziało. Widoczność była wprawdzie kiepska, lecz pozwalała Carrerasowi upewnić się, że w sąsiedztwie nie ma żadnego statku. Zresztą radar pracował przez cały czas. A jednak widoczność najwyraźniej nie była aż tak dobra, by Carreras mógł dostrzec trzy liny, przywiązane przy lewej burcie do słupka relingu. Z miejsca, w którym leżałem, widziałem je wyraźnie. Dla mnie były one wielkie jak liny podtrzymujące most brooklyński. Pośpiesznie odwróciłem wzrok.

Stwierdziłem jednak, że Carreras nie miał czasu na rozglądanie się. Osobiście przejął nadzór nad załadunkiem skrzyń, ponagląc zarówno swoich ludzi, jak i załogę „Ticonderogi”, krzycząc na nich, zagrzewając do roboty, dyrygując z niezmordowaną, bezlitosną energią i pośpiechem, który w zestawieniu z jego zazwyczaj zimnym, bezdusznym zachowaniem był co najmniej dziwny. Oczywiście, że zrozumiałych względów zależało mu na tym, by zakończyć załadunek, nim jakiś zaciekawiony trzeci statek pojawi się na horyzoncie, lecz mimo wszystko... Nagle zrozumiałem przyczynę jego niemal rozpaczliwego pośpiechu. Spojrzałem na zegarek.

Było już dziesięć po szóstej. Dziesięć po szóstej! Z tego, co wiedziałem o planach Carrerasa, i sądząc po ciemnym niebie, byłem przekonany, że jest góra wpół do szóstej. Sprawdziłem raz jeszcze, lecz nie myliłem się. Szósta dziesiąta. Carreras chciałby zniknąć za horyzontem, nim wybuchnie „Ticonderoga” - byłby wprawdzie wystarczająco zabezpieczony przed falą uderzeniową i opadem radioaktywnym, ale Bóg jeden wiedział, jaką falą pływową może spowodować podwodny wybuch takiego pocisku nuklearnego - a „Tornado” miało eksplodować za pięćdziesiąt minut. Jego pośpiech był zupełnie zrozumiały. Zastanawiałem się, co go tak zatrzymało. Może zbyt późne pojawienie się „Ticonderogi” lub większa niż oczekiwał ilość czasu, potrzebna na zwabienie jej w pobliże. Zresztą, teraz to było nieważne.

Na znak Carrerasa zaczęto przenosić chorych na noszach. Ja poszedłem na pierwszy ogień. Nie uśmiechała mi się perspektywa tej krótkiej podróży - gdyby któryś z noszowych pośliznął się w chwili, gdy statki zderzały się ze sobą, to zostałyby ze mnie krwawa plama, rozmazana na stu metrach kwadratowych metalu. Jednak zwinni marynarze też chyba mieli tę samą wizję przed oczami, bo nie potknęli się. Jeszcze minuta i wszystkie nosze znalazły się po drugiej stronie.

Ułożono nas przy przednim uskoku na pokładzie rufowym, koło pasażerów i załogi. Nieco na uboczu, pilnowana przez osobnego strażnika, stała grupka oficerów i ze dwunastu marynarzy z „Ticonderogi”. Jeden z nich, wysoki mężczyzna po pięćdziesiątce, o gniewnym spojrzeniu, z czterema złotymi paskami kapitańskimi na rękawach i blankietem telegraficznym w dłoni, rozmawiał z McIlroyem - naszym starszym mechanikiem - oraz z Cummingssem. McIlroy, ignorując nagły ruch pistoletu strażnika, doprowadził go do nas.

- Bogu dzięki, że wszyscy żyjecie - powiedział McIlroy spokojnie. - Jak się widzieliśmy ostatnio, nie postawiłbym na was złamanego grosza. To jest kapitan Brace z „Ticonderogi”. Kapitan Brace, kapitan Bullen, pierwszy oficer Carter.

- Cieszę się, że mam okazję pana poznać, kapitanie - szepnął ochryple Bullen. - Choć szkoda, że w takich cholernych okolicznościach. - Bez wątpienia stary odzyskiwał formę. - Pana Cartera możemy z tego wyłączyć, panie McIlroy. Zamierzam oskarżyć go o nadmierną, nieusprawiedliwioną pomoc, której udzielił temu zbrodniarzowi Carrerasowi. - Zważywszy, że uratowałem mu życie, zabraniając doktorowi Marstonowi przeprowadzenia na nim operacji, myślę, że powinien mi okazać nieco większą wdzięczność.

- Johnny Carter? - McIlroy popatrzył na niego z jawnym niedowierzaniem. - To niemożliwe!

- Przekona się pan - odrzekł Bullen posepnie. Spojrzał w górę na kapitana Brace'a. - Spodziewałem się, że wiedząc, jaki wieziecie ładunek, będziecie uciekać bez względu na działa. Ale pan nie uciekał, prawda? Odpowiedział pan na SOS, czy tak? Rakiety alarmowe, wiadomość, że rozerwaliśmy płyty podczas huraganu, toniemy, przyplynie i uratuje nas? Zgadza się, kapitanie?

- Mógłbym uciec albo go wymanewrować - syknął przez zęby Brace. Po chwili spytał zaciekawiony: - Skąd pan o tym wiedział?

- Bo słyszałem, jak nasz pierwszy oficer przekonywał Carrerasa, że to będzie najlepszy sposób. Już ma pan częściową odpowiedź, McIlroy. - Popatrzył na mnie bez zachwytu i znów spojrzał na McIlroya. - Niech mnie paru ludzi przeniesie pod tamtą gródź. Atmosfera mi tu nie odpowiada.

Posłałem mu obrażone spojrzenie, ale go nie ruszyło. Przeniesiono jego nosze i na dobrą sprawę zostałem sam, naprzeciw całej grupy. Leżałem tak mniej więcej trzy minuty, przyglądając się załadunkowi. Skrzynia na minutę, i to pomimo tego, że lina łącząca rufy obu statków pękła i trzeba ją było wymienić. Góra dziesięć minut i będzie po wszystkim.

Czyjaś dłoń dotknęła mojego ramienia. Obejrzałem się. Julius Beresford kucał obok mnie.

- Nie wierzyłem, że pana jeszcze zobaczę, panie Carter - wyznał otwarcie. - Jak się pan czuje?

- Lepiej niż wyglądam - odparłem nieszczerze.

- A dlaczego został pan tu sam? - spytał zdziwiony.

- To się nazywa skazanie na banicję - wyjaśniłem. - Kapitan Bullen jest przekonany, że udzieliłem Carrerasowi bezpodstawnej pomocy, czy jak to się tam określa w języku prawniczym. Nie jest ze mnie zadowolony.

- Bzdury! - parsknął.

- Słyszał to na własne uszy.

- Nie obchodzi mnie, co słyszał - stwierdził Beresford stanowczo. - Jeżeli nawet coś słyszał, to sam nie wiedział co. Myle się tak samo jak inni, może nawet częściej, ale nigdy nie mylę się co do ludzi... a właśnie, mój chłopcze, przypomniało mi się... nie mam słów, żeby wyrazić, jak bardzo się cieszę, jaki jestem szczęśliwy. Teraz nie czas i miejsce na to, ale moje najszczęśliwsze gratulacje. Zapewniam, że moja żona podchodzi do tego dokładnie tak samo.

Skupianie się na tym, co mówi, pochłaniało całą moją uwagę. Jedna ze skrzyń chwiała się niebezpiecznie na linie, a gdyby spadła, rozbiła się i wysypała swą zawartość, to nie mielibyśmy przed sobą długiej przyszłości. Nie chciałem o tym myśleć, wolałem się skoncentrować na czym innym, na przykład na tym, co mówi Beresford.

- Przepraszam, ale niezupełnie rozumiem - rzekłem.

- Mówię o pracy w moim szkockim porcie naftowym. - Był na wpół zniecierpliwiony, na wpół uśmiechnięty. - Wie pan. Cieszę się, że pan się zgodził. Ale to mnie nawet w połowie tak nie cieszy, jak nowina o panu i Susan. Jak pan się domyśla, przez całe życie nadskakiwały jej hordy spragnionych złota pasożytów, ale zawsze jej mówiłem, że nadejdzie dzień, gdy znajdzie mężczyznę, który nie będzie dbał o jej pieniądze, i że choćby nawet był włóczęgą, to nie stanąłby jej na drodze. No i znalazła. A pan nie jest włóczęgą.

- Port naftowy... Susan i ja? - Zamrugałem. - Chwileczkę...

- Tak myślałem, tak właśnie myślałem - zaśmiał się rubasznie. - Cała moja córka. Nawet panu jeszcze nie powiedziała. Niech tylko moja żona się o tym dowie!

- A panu kiedy powiedziała? - spytałem uprzejmie. Gdy ją widziałem po raz ostatni, około drugiej piętnaście nad ranem, miałem wrażenie, że byłaby to ostatnia rzecz, jaka mogła jej przyjść do głowy.

- Wczoraj wieczorem. - Czyli jeszcze zanim mi zaproponowała pracę. - Ale i do tego dojdzie, mój chłopcze, dojdzie na pewno.

- Nie dojdzie! - Nie wiedziałem, jak długo tam stała, w każdym razie teraz już była. Jej wzburzony głos idealnie pasował do wzburzonych oczu. - Nigdy tego nie zrobię! Musiałam chyba zwariować, wstydzę się samej siebie, że o czymś takim pomyślałam. Ja go słyszałam, tato. Wczoraj w nocy byłam z nimi w izbie chorych, kiedy on mówił Carrerasowi, że najlepszy sposób na zatrzymanie „Ticonderogi”...

Długi, świdrujący gwizd zakończył na szczęście opowieść o tchórzostwie Cartera. Natychmiast ubrani na zielono ludzie zaczęli wynurzać się z różnych zakątków „Ticonderogi”, z mostka i maszynowni, gdzie trzymali wartę podczas załadunku, który właściwie został już zakończony. Pozostała tylko ostatnia skrzynia. Zauważyłem, że dwaj uzbrojeni ludzie ubrani byli w mundury marynarki wojennej - zapewne telegrafistów, których Carreras wprowadził na „Ticonderogę”. Spojrzałem na zegarek. Szósta dwadzieścia sześć. Carreras niezłe się sprawił.

Teraz Carreras we własnej osobie przeskoczył na pokład rufowy „Ticonderogi”. Powiedział do kapitana Brace'a coś, czego nie dosłyszałem, lecz zauważyłem stwardniałą, ponurą twarz Brace'a, potakującego niechętnie. Carreras załatwił przewóz trumien. Wracając do relingu przystanął obok mnie.

- Widzisz, że Miguel Carreras zawsze dotrzymuje obietnicy. Wszyscy zostali przeniesieni bez szwanku. - Zerknął na zegarek. - Wciąż potrzebuję porucznika.

- Żegnaj, Carreras.

Skinął głową, odwrócił się na pięcie i odszedł, a jego ludzie wnieśli na pokład „Ticonderogi” trumny. Ułożyli je pieczołowicie, z ostrożnością, która wskazywała, że obawiają się ich zawartości. Na pierwszy rzut oka nie było widać, że to trumny: niczym wytrawny aktor, zwracający uwagę na najdrobniejsze szczegóły swej roli, Carreras przykrył je flagami. Znając go, byłem pewny, że ciągnął je ze sobą przez całe Karaiby.

Kapitan Brace pochylił się, uniósł róg flagi okrywającej najbliższą trumnę i popatrzył na mosiężną tabliczkę z nazwiskiem senatora Hoskinsa. Usłyszałem szybki wdech, zobaczyłem,

jak Susan Beresford, z dłońmi na zaciśniętych wargach, wpatruje się w dół szeroko otwartymi oczyma, przypomniałem sobie, że wciąż musi być przekonana, iż „Tornado” jest w środku, wyciągnąłem rękę i chwyciłem ją za kostkę u nogi. Z całej siły.

- Cicho! - szepnąłem z pasją. - Na miłość boską, zamknij się!

Usłyszała mnie. Była cicho. Jej stary też mnie usłyszał i też był cicho, co musiało z jego strony wymagać dużej dozy samozaparcia, gdy ujrzał moją dłoń wokół kostki swej córki. Jednak umiejętność sterowania wyrazem twarzy i skrywania emocji należy do najbardziej elementarnych cech każdego multimilionera.

Ostatni ludzie Carrerasa zniknęli, a sam Carreras razem z nimi. Nie bawił się w składanie nam życzeń przyjemnej podróży czy coś w tym stylu, rozkazał tylko odczepić liny i błyskawicznie zniknął na mostku. Pół minuty później „Campari” był w drodze, a jego zapchany skrzyniami pokład rufowy zataczał łuk i kierował się na wschód.

- No... - Bullen przerwał ponurą ciszę. - Oto płynię, morderca. Na moim statku, niech go cholera!

- Długo mieć go nie będzie - powiedziałem. - Niecałe pół godziny. Kapitanie Brace, radzę panu...

- Obejdziemy się bez pańskich rad, poruczniku - głos kapitana Bullena trząsał niczym seria opadających pułapek na myszy, a jego zimne oczy były faktycznie bardzo zimne.

- To pilne, kapitanie. Jest rzeczą najwyższej wagi, żeby kapitan Brace...

- Dałem panu wyraźny rozkaz, panie Carter. Niech pan...

- Będzie pan wreszcie cicho, kapitanie Bullen. - Powiedziałem to z rozpaczą i szacunkiem, lecz więcej w tym było rozpaczy niż szacunku.

- Myślę, że lepiej go wysłuchać, kapitanie - wtrącił bosman, wyraźnie nieszczęśliwy. - Pan Carter nie próżnował ostatniej nocy albo się grubo mylę.

- Dzięki, bosmanie. - Znów odwróciłem się do kapitana Brace'a. - Niech pan zadzwoni do oficera wachtowego. Kurs dokładnie na zachód, sto osiemdziesiąt stopni od kursu „Campari”, na pełnej szybkości. Nie, na zasilaniu alarmowym. I to już, kapitanie Brace.

Usilna prośba w moim głosie dotarła do niego. Jak na kogoś, kto właśnie stracił sto pięćdziesiąt milionów dolarów, Brace reagował zdumiewająco szybko, w dodatku zgodnie z poleceniami człowieka, przez którego je stracił. Wydał szybkie instrukcje młodszemu oficerowi, po czym zwrócił na mnie badawcze spojrzenie.

- Pańskie powody, poruczniku?

- W ładowni numer cztery na „Campari” Carreras wiezie bombę atomową z nastawionym zapalnikiem. To „Tornado”, nowy pocisk skradziony Amerykanom coś koło tygodnia temu. - Po napiętych, niedowierzających twarzach słuchaczy zorientowałem się, że wiedzą, o czym mówię. Równie jasno widziałem, że mi nie wierzą.

- „Tornado”...

- Bomba atomowa? - Głos Brace'a był ochrypły, zbyt głośny. - Co za bzdury...

- Posłucha pan? Panno Beresford, czy mówię prawdę?

- Mówisz prawdę. - Jej głos drżał, jej zielone oczy wciąż biegały po trumnie. - Widziałam ją, kapitanie. Ale...

- A więc - przerwałem. - Bomba. Nastawiona. Wybuchnie za... - spojrzałem na zegarek - mniej niż dwadzieścia pięć minut. Carreras wie, o której wybuchnie. Dlatego tak strasznie się śpieszy. Myśli, że „Tornado” jest tutaj. I dlatego ja się tak strasznie śpieszę w przeciwnym kierunku. Wiem, że go tu nie ma.

- Ależ ono tu jest! - krzyknęła gwałtownie Susan. - Jest tutaj, wiesz, że tu jest! W tej trumnie. Tutaj!

- Pani się myli, panno Beresford.

„Ticonderoga” nabierała już szybkości, od dudniącego parcia śruby napędowej wibrowały płyty pokładów. Nie zdziwiłbym się, gdyby Carreras obserwował przez lornetkę

nasz pokład rufowy, więc leżałem jeszcze przez dziesięć czy piętnaście sekund, a czterdzieści par przerażonych oczu wpatrywało się w przykryte flagami trumny. Wreszcie rufa „Ticonderogi” skrzyła na wschód, „Campari” zniknął z widoku, a ja wygramoliłem się z koców, zrywając bandaż i wyciągając schowany śrubokręt, nim sztywno powstałem na nogi. Na pasażerach i załodze, którzy myśleli, że pierwszy oficer Carter doznał skomplikowanego złamania uda, wywarło to, mówiąc łagodnie, zdumiewający efekt. Niestety, nie miałem czasu na podziwianie efektów. Pokuśtykałem do najbliższej trumny i ściągnąłem flagę.

- Panie Carter. - Kapitan Brace stanął obok mnie - Cóż pan, do diabła, robi? Zgoda, że Carreras to kryminalista, ale powiedział mi...

- Ha! - rzekłem. Trzonkiem śrubokręta uderzyłem trzy razy w wieko. Od środka dobiegły trzy ostre uderzenia. Rozejrzałem się po zaciśniętym kręgu widzów. Powinien tam być reporter z kamerą, rejestrujący dla potomności wyraz ich twarzy. - Ci amerykańscy senatorowie mają zadziwiające zdolności odzyskiwania życia - powiedziałem do kapitana Brace'a. - Nie sposób ich załatwić. Zobacz pan.

Zdjąłem wieko trumny w równe dwie minuty. W zdejmowaniu wieka, jak zresztą we wszystkim, praktyka prowadzi do perfekcji.

Doktor Slingsby Caroline był równie blady, jak wszyscy nieboszczycy, których mi się zdarzyło oglądać. Sprawiał wrażenie śmiertelnie przerażonego. Nie miałem mu tego za złe; istnieje pewnie wiele sposobów doprowadzenia człowieka do ostateczności, ale zamknięcie kogoś na pięć godzin w trumnie bije je chyba na głowę. Doktor Caroline nie przekroczył jeszcze całkiem tej granicy, lecz gdy się do niego dostałem, niewiele mu już brakowało. Trząśł się niczym złamana sprężyna w tapczanie, oczy miał przepełnione strachem, ledwie mógł wydobyć głos. Moje pukanie musiało być dla niego najwspanialszą muzyką, jaką kiedykolwiek słyszał.

Przekazałem obowiązki duszpasterskie w inne ręce i zająłem się następną trumną. Albo to wieko było bardziej odporne, albo ja byłem bardzo słaby, w każdym razie niewiele zdziałalem do chwili, gdy wielki marynarz z „Ticonderogi” odebrał mi śrubokręt. Oddałem mu go bez żalu. Spojrzałem na zegarek. Za siedemnaście minut siódma.

- A tym razem, panie Carter? - Kapitan Brace znów stał przy moim ramieniu, a wyraz jego twarzy jasno wskazywał, że przestał już nadążać za biegiem wypadków. Co było całkiem zrozumiałe.

- Konwencjonalny materiał wybuchowy z zapalnikiem zegarowym. Przypuszczam, że miał na celu spowodowanie detonacji „Tornado” przez swój wybuch, gdyby mechanizm zegarowy „Tornado” zawiódł. Szczerze mówiąc, nie wiem. Rzecz w tym, że nawet samo to wystarcza do zatopienia „Ticonderogi”.

- Nie moglibyśmy... nie moglibyśmy wyrzucić tego po prostu za burtę? - spytał nerwowo.

- To niebezpieczne, kapitanie. Niedługo ma wybuchnąć, a uderzenie o wodę mogłoby zwolnić zegar. Wywaliłoby w burcie pańskiego statku dziurę jak stodoła... Może ktoś się zajmie trzecim wiekiem.

Znów spojrzałem na zegarek. Piętnaście minut. „Campari” stanowił już tylko ciemną smugę, daleko na oświetlonym horyzoncie na wschodzie, sześć, może siedem mil od nas. Dość daleko, ale jeszcze za blisko.

Puściło wieko drugiej trumny. Odsunąłem leżące na wierzchu koce, znalazłem przerywacz i dwa przewody biegnące do zapalnika i gorliwie przeciąłem je po kolei nożem. Na wszelki wypadek wyrzuciłem przerywacz za burtę. Dwie minuty później w podobny sposób unieszkodliwiłem bombę w trzeciej trumnie. Rozejrzałem się po pokładzie rufowym - gdyby ci ludzie mieli za grosz rozumu, już dawno by ich tam nie było. Nikt jednak nie drgnął nawet o cal.

- Panie Carter - powiedział powoli Bullen. Przestali spoglądać na mnie spoode łba. - Myślę, że jestem panu winien małe przeprosiny. - Skruszony, ale bez przesady. - Ale nie mogę sobie wybić z głowy „Tornado”... „Tornado” i „Campari”. To był dobry statek, poruczniku. Do cholery, wiem, że Carreras to bandyta, potwór, otoczony przez rzezimieszków. Ale czy musiał pan to tak załatwić? Skazać ich wszystkich na śmierć? Mieć czterdziestu ludzi na sumieniu?

- Lepiej niż gdyby Carreras miał mieć na sumieniu stu pięćdziesięciu ludzi - wtrącił ponuro Julius Beresford. - Co właśnie by się stało, gdyby nie ten oto nasz przyjaciel.

- Nie można było inaczej, kapitanie - powiedziałem do Bullena. - „Tornado” zostało nastawione i zablokowane. Carreras ma klucz. Jedyny sposób, żeby rozbroić tę bombę, to powiedzieć o tym Carrerasowi i pozwolić mu ją otworzyć. Gdybyśmy mu to powiedzieli, zanim odpłynął, to jasne, rozbroiłby ją. Tyle, że potem zabiłby wszystkich mężczyzn i kobiety na „Ticonderodze”. Załóżcie się, o co chcecie, że ostatnia instrukcja generalissimusa brzmiała: „żaden świadek nie może pozostać przy życiu”.

- Jeszcze nie jest za późno - nalegał Bullen. Nie chodziło mu wcale o Carrerasa, ale kochał „Campari”. - Jak już jesteśmy w drodze, to nie ma sposobu, żeby nas znów mógł napaść, nawet gdyby za nami popłynął. Możemy zastosować różne wybiegi...

- Chwileczkę, kapitanie - przerwałem. - Jak go pan chce ostrzec?

- Przez radio, człowieku, przez radio! Zostało jeszcze sześć minut! Nadaj wiadomość...

- Nadajniki na „Ticonderodze” są beużyteczne - powiedziałem ze znużeniem. - Pogruhotane na amen.

- Co?! - Brace chwycił mnie za ramię. - Co? Pogruhotane? Skąd pan wie?

- Niech pan pomyśli - rzekłem zirytowany. - Ci dwaj podstawieni telegrafisci mieli rozkaz zniszczenia nadajników, zanim stąd znikną. Myśli pan, że Carreras chciał, żeby pan zaczął nadawać SOS na cały Atlantyk, ledwie on odpłynie?

- Nie przyszło mi to na myśl. - Brace potrząsnął głową i zwrócił się do młodszego oficera. - Do telefonu. Słyszałeś. Sprawdź to.

Sprawdził. Wrócił po trzydziestu sekundach z grobową miną.

- On ma rację, kapitanie. Kompletnie strzaskane.

- Nasz przyjaciel Carreras został swoim własnym katem - mruknąłem.

Dwie sekundy później, a pięć minut przed terminem, „Campari” przestał istnieć. Był już pewnie ze trzydzieści mil od nas, za horyzontem, a wysoka, wzniesiona rufa „Ticonderogi” weszła nam dokładnie na linię wzroku, lecz mimo to palący, bladoniebieski płomień, który był sercem eksplodującej bomby, poraził nasze przerażone oczy z siłą tuzina słońc w samo południe, przez moment spowijając „Ticonderogę” w błyszczącą biel i cienie czarniejsze niż noc, jak gdyby o kilka kroków od nas zapalił się gigantyczny reflektor. Intensywna biel, mordercze oślepienie trwały jedynie ułamek sekundy - chociaż odbicie na siatkówce oka pozostało o wiele dłużej - a ich miejsce zajął pojedynczy, prosty jak świeca słup jarzącego się, czerwonego płomienia, wzbijający się w poranną zorzę aż po same chmury. Następnie zaś powoli, niewiarygodnie powoli, z powierzchni morza podniósł się potężny słup wrzącej, kipiącej wody; zdawało się, że zastygł w połowie drogi do chmur i równie powoli zaczął opadać. Ze zmiążdżonego, przemienionego w parę wodną „Campari” pozostała tylko ta gigantyczna trąba wodna. Z „Campari” i z Carrerasa.

Od narodzin do śmierci trąby wodnej upłynęła dobra minuta, lecz już po kilku sekundach od jej zniknięcia, gdy horyzont na wschodzie znów stał się czysty, po powierzchni morza dobiegł do nas pojedynczy, matowy grzmot, a za nim głębokie pomruki kolejnych wybuchów i towarzyszących im fal uderzeniowych. I znów zapadła cisza; głęboka, śmiertelna.

- Cóż, doktorze Caroline - powiedziałem swobodnie. - Przynajmniej ma pan satysfakcję, wiedząc, że to draństwo działa.

Nie podjął mojego gambitu. Nikt go nie podjął. Wszyscy czekali na wielką falę pływową, lecz nie nadeszła. Po minucie czy dwóch ze wschodu nadpłynęły głębokie, długie, bardzo szybko przesuwające się fale, które przechodząc pod „Ticonderogą” pokiwały nią potężnie z tuzin razy i zniknęły.

- No i tak, kapitanie Bullen. - Kapitan Brace pierwszy odzyskał głos. - Wszystko poszło z dymem. Pański statek i moje sto pięćdziesiąt milionów dolarów w złocie.

- Tylko statek, kapitanie Brace - sprostowałem. - Tylko statek. Co do dwudziestu zamienionych w parę generatorów, to jestem pewien, że rząd Stanów Zjednoczonych chętnie wynagrodzi straty Zakładom Elektonicznym Harmsworth & Holden.

Uśmiechnął się lekko, choć Bóg jeden wiedział, że nie było mu do śmiechu.

- Te skrzynie nie zawierały generatorów, panie Carter. Zawierały złoto dla Fortu Knox. Skąd ten piekielny Carreras...

- Pan wiedział, że w tych skrzyniach jest złoto? - spytałem.

- Oczywiście. A raczej wiedziałem, że mamy je na pokładzie. Ale zaszła pomyłka przy oznaczaniu skrzyń. Jak podejrzewam, była to taka tajemnica, że tam jeden nie wiedział, co robi drugi. Zgodnie z moim manifestem, złoto było w pierwszych dwudziestu skrzyniach na górnym pokładzie, ale Admiralicja przesłała mi ostatniej nocy depeszę, informującą, że zaszła pomyłka. Choć właściwie to poinformowali tych zdrajców telegrafistów. A oni oczywiście nie powiedzieli mi o tym. Pewnie przesłali to do Carrerasa i pierwsze, co zrobili po jego przybyciu, to pokazali mu przepisana wiadomość; żeby się sam przekonał. Dał mi ją w prezencie - dorzucił gorzko. Wyciągnął dłoń z blankietem. - Chce pan zobaczyć.

- Nie potrzeba. - Potrząsnąłem głową. - Mogę panu powtórzyć słowo w słowo treść tej depeszy. BEZWZGLĘDNE PIERWSZEŃSTWO SUPER PILNE UWAGA KAPITAN FORTU TICONDEROGA. POWAŻNY BŁĄD W MANIFEŚCIE OKRĘTOWYM. SPECJALNY ŁADUNEK NIE POWTARZAM NIE W PIERWSZYCH DWUDZIESTU SKRZYNIACH OZNACZONYCH TURBINY DO NASHVILLE W TENNESSEE NA POKŁADZIE DZIOBOWYM LECZ W PIERWSZYCH DWUDZIESTU SKRZYNIACH OZNACZONYCH GENERATORY DO OAK RIDGE W TENNESSEE NA POKŁADZIE RUFOWYM. NA WYPADEK HURAGANU NAJPIERW ZABEZPIECZAĆ ŁADUNEK NA RUFIE. Z BIURA MINISTRA TRANSPORTU Z UPOWAŻNIENIA WICEADMIRAŁA RICHARDA HODSONA DYREKTORA OPERACJI MORSKICH.

Kapitan Brace gapił się na mnie.

- Skąd, na miłość...

- Miguel Carreras też miał manifest okrętowy w swojej kabinie - wyjaśniłem. - Oznaczony dokładnie tak samo, jak pański. Widziałem go. Depesza radiowa nie wyszła z Londynu. Wyszła ode mnie. Wysłałem ją dzisiaj, o drugiej nad ranem, z kabiny radiowej „Campari”.

Nastąpiła naprawdę długa cisza. Jak było do przewidzenia ostatecznie przerwała ją Susan Beresford. Podeszła do noszy Bullena, spojrzała na niego i powiedziała:

- Kapitanie Bullen, myślę, że pan i ja jesteśmy winni panu Carterowi ogromne przeprosiny.

- Chyba tak, panno Beresford, chyba tak. - Próbował spojrzeć na mnie spode łba, ale mu nie wyszło. - Ale on mi się kazał zamknąć. Mnie. Swojemu kapitanowi. Słyszała pani?

- To nic - skwitowała. - Pan jest tylko jego kapitanem. Mnie też kazał się zamknąć, a ja jestem jego narzeczoną. W przysłym miesiącu bierzemy ślub.

- Jego narzeczoną? Bierzecie... bierzecie ślub za miesiąc? - Nie zważając na ból, kapitan Bullen uniósł się na łokciu, gapiąc się oszołomionym wzrokiem to mnie, to na nią. Po chwili opadł ciężko na nosze. - No, niech mnie kule biją! Pierwszy raz o tym słyszę!

- Pan Carter też o tym słyszy pierwszy raz - przyznała. - Ale wreszcie to usłyszał.

KONIEC